Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Targu

Spotkania literackie
tom 3

pod redakcją Macieja Pinkwarta

Nowy Targ 2007

Spis treści

Maciej Pinkwart, Słowo wstępne

Roman Dzioboń
*** (Potrzebny mi dzień wiosenny...)
Trochę zimy – jesienią
Przed Gody
Gorczańskie Zaduszki
Ślady
W staryj bacówce
Do Gorczańskiego Betlejemu
Romkowi „Precelkowi”
Gorczańskie opowiastki

Maria Giłka
Bez odbioru
Nic i wszystko
Przemijanie
Z drzew spadają liście
Bądź *trendy*, babciu
Kalambury polsko-amerykańskie

Kalina Gruca
Na kiermaszu uczuć
Parasol miłości
Depresja
Współczesny dialog
Być sobą
Za kulisami
W duecie z chwilą
Świt
*** (Miłość zagubiona...)
Warto słuchać
Trudy dnia
*** (Z więzienia...)
Nostalgia
Dola iskierki
Echo miłości
Chandra
Hospicjum
Nieodpowiedzialny świat
Beskidzki szlak
Beskidzkie wspomnienia
Stary domek
Beskidzka jesień
Suski Patron Książek (ku pamięci Michała Żmigrodzkiego)
Prognoza pogody

Kinga Gruszczyńska

*** (Biegnąc przez gęsty las...)
Huśtawka
*** (Idę przez ciemny zaułek...)
*** (Umieram...)
Miłość
*** (Przechodząc przez most...)
*** (Siedzę sama...)

Jerzy „Juras” Gruszczyński
Gdy idziesz w góry
Kto tam
*** (Na początku przyszła tęsknota...)
Na rozdrożu
Naści

Krzysztof Kokot
Nowotarskie fraszki zgryźliwe
Lotnisko
Bilet do..
Destylacja
Gdzieś na świecie
Inny świat
Gorczańska kaplica
Kilimandżaro
Może
Martwa natura
Może się mylę
*** (podejdę do ciebie...)
Schronisko minionego czasu
Spotkanie

Anna Kram
060923

Andrzej Milewski
Wywrócone ostatnim halnym drzewo życia
Dziecko Aniołów

Dorota Miśkowicz
Nie palmy za sobą mostów
Obiecaj mi
*** (Wyłóż serce na stół...)
*** (Krytykuj matki-Polki...)
Przepis na udane jutro
Casting na męża

Magda Mrugała
Bezsens
*** (Jeden strzał...)
Wspomnienie Ducha

Przygoda
Sprawa z przeszłości

Ewa Oraczko
Kobieta
Niebo
Światło i wieczność

Andrzej Pietraszkiewicz
Gwiazdy na śniegu
Jesienne sprawy
Żuraw
Piękna w godzinach pracy
Drzewo umiera wieczorek

Maciej Pinkwart
Jesień późnowiecza
Prom do Sochaczewa
Drogowskazy
Odpowiedzi
Potem
Trzy prawa
Zapach wigilii
Bajka wigilijna

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz
Życie
*** (wieczność by się urodzić...)
Chwile
Jałmużna
Łza...
Kiedy potłukły się moje okulary
Mgły jesienne
Morze wiersz napisało
Niestrawność poetycka
Oczekiwanie
Pełnia
Jak tumany kurzu
Przemijanie
Tak daleko jak blisko
Tryptyk
Tylko sny
Wymagasz ode mnie pokory
Za myśli
Zapach wiosny
Zgubione słowo
*** (Znalazłam cię...)
Alter ego
Bo dzieckiem jest się tylko do zimy
Bocca chiusa

Czarownica
Jednorazowa łza
Krzyk (wariacja na temat ślepców)
Perpetuum mobile
Śpij, Mirabelle
Tipsy

Elżbieta Plewa
Dopóki nam los pozwoli

Jakub Ptaś
Twórczość pisana krwią
Rozpięci na krzyżu samotności
Reflektowany obraz
Odejście
Wiersze słowotwórcze
Kochanka
Ziemia
Czasy się czasem zmieniają
Przydrożny wybór oraz struktura następstw
*** (Jak nami będą rządzić...)
Sposób na metodę życia
Przecinki szczęścia
Słońce
Pismo
Kwietniowy maj
Bajka o Życiu
Prawda subiektywna a prawda obiektywna
Pięć lekcji nauki
Truiczny wywód

Paweł Ryś
Kain i Abel
Sodoma i Gomora
Koziołek o imieniu Judasz
Monolog przed powieszeniem się
Golgota
Rozkaz
Rehabilitacja Nienawiści
Pustka
Miłość?
Ziarenko
Żebrak
A więc
Akt współczesny
Wspomnienie człowieka szczęśliwego
Recenzja z „Pryncypatu”
Wojna bogów
Poprawiona i uzupełniona notatka o wojnie trojańskiej
Mój potwór

Banalne rady

Mariola Socha
Dziewięć dzwonów
Miłość doskonała
Dziewczyna z kontynentu
Samotne serce
Jedynie w tobie mam sprzymierzeńca
Zaklęcie
*** (Zjawiłeś się w samą porę...)
Latarnia

Wanda Szado-Kudasik
*** (Luty się ozpłakoł...)
*** (Przedwiośnie się rodzi...)
Noinakso wiesna
*** (Noc zawiesiła na smrekowej gałęzi...)
W Ludźmierzu
*** (W szpitalnych łóżkach...)
Góralskie anioły
Turbaczowe święto

Anna Maria Świeczek
Pożegnanie
Na zimowy wieczór
Natura

Słowo wstępne

Po raz trzeci zasiadam do pisania słowa wstępnego do kolejnego tomu „Spotkań literackich" przygotowanych do druku podczas warsztatów, odbywających się co tydzień w Miejskim Ośrodku Kultury w Nowym Targu. Zarzucił mi ktoś niedawno, że ta nasza publikacja w zasadzie nie ma tytułu, no bo co to znaczy „Spotkania literackie", to tylko forma działalności... Nieprawda: właśnie za stronach tego rocznika owe spotkania odbywają się najskuteczniej: my, autorzy spotykamy się ze sobą i mamy okazję skonfrontować nasze pomysły z tym, co wymyślili inni. Patrzymy także na siebie samych, tych z dziś i tych sprzed roku. I ja, jako redaktor tomu spoglądam na dzieła, które co roku są inne, lepsze, bardziej oryginalne. To, naturalnie, jest również źródłem mojej satysfakcji.

Jest to także miejsce spotkań autorów z Czytelnikami, którzy odnajdują w tych tomach nie tylko duchowe portrety autorów, ich warsztat i ujęte w słowa emocje, wiedzę i wspomnienia, ale także swoisty portret naszego miasta, jego codzienności i tego, jak oddziaływuje na nasze życie. W tym roku zaprezentowaliśmy Państwu także obraz odświętny: w tomie „Kto ciebie będzie kochał" zamieściliśmy prace, dedykowane Nowemu Targowi z 650-lecie istnienia. Tutaj już nie będzie prac jubileuszowych, raczej impresje na marginesie życia codziennego. Zresztą, fantazja twórców szybuje gdzie chce – często z dala od Nowego Targu, często w głąb własnych przemyśleń. Jak zwykle, w poezji przeważa liryka osobista, sporo jest tzw. wierszy „o życiu", niekiedy trafia się satyra. W prozie wytwory nieokiełznanej wyobraźni autorów towarzyszą sumiennym refleksjom opartym na realiach, czasem przemyka przez strony kunsztowna koronka prozy poetyckiej... Pojawiają się – podobnie jak wcześniej – fragmenty większych całości, czyli pierwsze rozdziały powieści, których autorzy planują ich publikacje samodzielne w przyszłości.

W trzecim tomie spotkań, jak zwykle, większość autorów stanowią nowotarżanie i osoby z okolic Miasta, jest też trójka Zakopiańczyków, jedna autorka pochodzi spod Jordanowa i jedna jest mieszkanką Łodzi. W tomie niniejszym – na równych prawach z innymi – publikują także znani i cenieni już od dawna autorzy nowotarscy. Jak zwykle, o kolejności prac decyduje wyłącznie układ alfabetyczny nazwisk autorów; prawie wszyscy prezentują i poezję, i prozę. W zgodnie z utrwaloną już tradycją, nie podajemy ani wieku, ani statusu i doświadczenia literackiego autorów: wobec literatury wszyscy jesteśmy równi i ani wiek, ani zasługi ani nie tworzą preferencji, ani nie dają prawa do taryfy ulgowej u Czytelników.

Autorzy i redaktor tomu serdecznie dziękują władzom Nowego Targu i Dyrekcji Miejskiego Ośrodka Kultury za wspieranie naszej działalności i umożliwienie wydania niniejszej publikacji. Wierzymy, że tym swoim działaniem przyczyniamy się do ubarwienia panoramy kulturalnej naszego miasta.

Maciej Pinkwart

Nowy Targ, kwiecień 2007 r.

Roman Dzioboń, Nowy Targ

****

Potrzebny mi dzień wiosenny
gdy wstaje
i słońca blask, i chmury cień
i drozda donośne gwizdanie

Podziwiam odwagę krokusów:
spod śniegu
ich fiolet i biel
pojawia się na polanie

Potrzebny mi
skromny olchowy kwiat
i bazi wierzbowych biel
bo wiem że Wiosna – dziwożona
jeden przekorny ma cel:
rozsiewa swoje czary
by Miłość
łączyła wszystko co żyje
w pary...

Trochę zimy - jesienią

Mechaniczne powieki wycieraczek
ścierają z szyby
natrętne łzy deszczu
Zmokły kogut ochrypłym głosem
trąbi spóźniony hejnał
kurzy harem
z krzykiem ucieka spod kół

Nawet Frankowe, Pająkowe pieski
odpuściły dziś swój poranny
obchód

Strzelił z bata bezlistny buk
i - jak magik z kapelusza
wyciągnął za uszy
bajkowy krajobraz zimy!

Oczom nie wierzymy!
Ubrane w białe czapeczki
czerwone kiście jarzębin –
przycupnięte przy drodze
dziwaczne postaci...

Idziemy w górę - śnieg wali i wali -
bezszelestnie, acz skutecznie
wtapiając nas samych
w bajeczny świat
gorczańskiej zimy....

Przed Gody

Brodziaty smrek
zaświyciył
śrybelne świycoski okiści
niziućkie słónecko
lem imo kapkę błysło na nif
i - zgasło

Lis - rudo bestyjo
niciom równego ściyga
zeszył
las ze stajniom,
ku ftoryj sie zblizała
jakosi oślada z dziedziny

W stajni - ciymno:
zywina legła i mieryndzo -
wół, osioł, owiecki...
na zyrdecce kury
drzymiom
cekojom cudu, co haw spłynie
z Góry

Stary Górol - poeta,
nie wiym cy je z Miasta
cy tyz hań, z Dziedziny
przyodzioł sie we wiyrse
co se som wyzdajoł,
jak kiyrpce
Siod na pnioku, zakurzył
i ceko
Wesołyj Nowiny...

Gorczańskie Zaduszki

Strzępy mokrych mgieł
jak strzępy wspomnień
rozczesywane przez wiatr
w koronach prawie bezlistnych buków

Zmienne odcienie szarości nieba
tonące w nostalgii jednostajnego,
wiejącego gdzieś górą - szumu
Odmierzamy klepsydrą ubłoconych kroków
CZAS
potrzebny na dotarcie tam,
gdzie nad zarośniętą ścieżką
w psiorce - u stóp poczerniałego krzyża
zapalimy znicz pamięci
o tych, którzy kiedyś tędy szli przed nami
do wiyrchu...

***

Deszcz - rozmazujący uparcie na twarzy
zabłąkaną łzę
jeszcze podkreśla ulotne piękno
późnej gorczańskiej
Jesieni

* * *

Czego tu dziś szukamy
w nieprzyjaznym czasie?
w ponurej Gór scenerii
posiekanej deszczem?
Przecie zamilkło dawno echo gęśli
w pasterskim szałasie...
partyzancka piosenka –
tylko
w sercu
jeszcze...

Miłośniczce Gór, które pamiętają...

Ślady

To tylko zupełnie umowna
„gruba kreska”
szatkująca czas
na tysiąclecia, stulecia
lata, miesiące –
i - drgania ludzkiego serca

płyniemy, bezwolnie niesieni
falą zdarzeń
epokowych i błahych
Przerażeni
rosnącym tempem nurtu
zanim
wątła łódeczka naszego życia
roztrzaska się w kipieli
lub runie z wodospadem
pomyślmy:
co będzie naszym śladem
który zdołamy pozostawić?
Czy zasłużymy na napis:
„Nie całkiem umarli”?
Czy zatopieni w wieczności
będziemy jednak oddychać
pamięcią kochających serc?

W staryj bacówce

Ciepło spękanych płazów
grzeje jascurecke:
óna mo cas - połednie
cicho...
Zdrzyzdzóne dachowe dranice
przykryćio juz nie obiecujom
po złocistym prómyku słonka
skiełznem sparom
do mrocnego nuka

Haw - tańcujące „wiecnom”
drobinki kurzu
jak w babcynyj skrzyni
uchowały jesce
cichućkie nucicki tego
co haw było -
kiejsi....

Do gorczańskiego Betlejemu

Aureole pochodni biegły na wyścigi
z zimnymi światełkami czołowych latarek
przygięte czapami śniegu młode smreczki
i garbate wierzchołki zasp
jak wielbłądy karawany mędrców
i wełniste owce pasterzy
gapiły się bezmyślnie w jarzące światła

    Święta Rodzina kuliła się z zimna
    drzwi bacówki zamknięte na głucho
    spóźnionym celebransom wicher wywiewał
    z repertuaru liturgii własne, ciepłe słowa
    choć prosiły o nie
    wznoszące nagie ręce konarów do nieba
    czarnego jak kosmos
    drzewa — pomniki Ojca Kolbego

Tańczące w snopach iskier ognistych
cienie pielgrzymów pochylonych nad mroźnym opłatkiem
nie zauważyły
jak spod śnieżnego nawisu
wybiegła maleńka myszka
która też chciała zobaczyć Dzieciątko

    Może chociaż swoim mysim serduszkiem
    wysłała Mu SMS-a:
    Witaj Panie wszelkiego stworzenia!
    dziękuję Ci za życie!

Głębokie ślady pielgrzymich kroków
w kopnym śniegu wiodące w dół
- znaczyły
powrót do codzienności

Romkowi „Precelkowi”

Romkowi Oleksemu
sprzedawcy precelków w Rynku w Mieście

Nie sprzedaj mi precelków
ale swoje wiersze
od niechcenia wyjęte z pieca
jeszcze ciepłe
poplątane mimozy
trochę ze zakalcem -

Pośród ludzi biznesu
Ty nie zbankrutujesz
bo ciebie, całkiem serio
Muza wskaże palcem

Gorczańskie opowiastki

Przepytujem Wos tyz piyknie, Jegomościu Mieczysławie, plebanie od św. Katarzyny - mojyj parafii, że często, bez lato, uciekom razem z ponieftorymi lasowymi ludziami na mszę świętą do Matki Boskiej Gorczańskiej w kaplicy na Rusnokowom.

Przecie myślem, ze ta uciecka nie hańbi, bo my nie uciekomy od Boga, ba do Niego, bo przecie tan wyżej, to i do Boga bliżej...

Taka to wej, myślem, ino przenośnia, bo to ani prawa fizyczne ani teologiczne nie regulują, gdzie właściwie jest do tego Pana Boga bliżej. Myślę, że On jest najbliżej wtedy, gdy Go nosimy w sercu. Te dwie opowiastki będą jednymi z wielu opowieści zasłyszanych w drodze, w czasie wędrówki - czy to gorczańskiej, czy wogóle życiowej. Te akurat, na gorczańskich perciach.

- Idziemy jutro do Kaplicy? - spytałem starego przyjaciela, towarzysza górskich wędrówek, Staszka, przy sobotnim spotkaniu.

- Ne-i pewnie że pójdziemy, jak ino dożyjemy, bo my już kapkę starawi, no i oczywiście, jak będzie jako-tako pogoda – odpowiedział.

W niedzielę rano tak się jakoś złożyło, że my spóźnili na autobus i trza było wykosztować się na taksówkę. Taksówkarz z pewną dozą podziwu - a może i zazdrości - popatrzył na nasz ubiór i ekwipunek turystyczny i zagadnął:

- Fce sie wom to panowie iść na tom turystykę?

Sam już nie pierwszej młodości, cudowoł się, że takim starym prykom jeszcze turystyka w głowie. Odrzekliśmy zgodnie z prawdą, że jak rok długi, prawie w każdą pogodę idziemy bliżej czy dalej w góry. Nic już nie godoł, ino pokiwoł głową, dość wieloznacznie... Pobrał taksę i życzył pogody.

Wysiadamy na wąziutkim asfalcie (Boże drogi, edy tu pół wieku temu płynął potócosek!) - i pomiędzy domami Kalatów i Komperdów, podchodzimy pod kapliczkę pod „Golgotą”. Wiera że to prawdziwa Golgota, bo od razu kawałek ostrej wspinaczki, gdzie się trzeba kapkę przypocić, toteż przezornie ściągamy wierzchnie okrycia, by potem, jak nas na polanach, wiater oduchnie, było co włożyć na siebie. Przypocone plecy niemile reagują na lodowate nieraz podmuchy wiatru na polanie nad Golgotką, zwaną Lukusiową.

Tu, zaraz na wejściu, stoi mała szopa na siano, która przywodzi mi na pamięć wycieczkę - chyba sprzed lat pięćdziesięciu (!). W pewien upalny ranek szedłem z moją późniejszą żoną na Turbacz. Mama mojej dziewczyny przezornie - jak to mama - kazała jej ubrać ciepłe rajstopy, które, w tym upale niemiłosiernie parzyły zgrabne nóżki mojej ukochanej...

Rada w radę, doszliśmy zgodnie do wniosku, że trzeba je chyba skrócić, toteż bez pardonu obciąłem je scyzorykiem na progu bacówki. Teroz, ciepły wiaterek mógł oduchować syćko, tam ka trza. Były podobno ze strony jej mamy jakieś niemiłe komentarze, ale jakoś to przyschło...

Z tymi rajstopami to była tylko dygresja, jak to mówi na kazaniu ksiądz Kaziu Krakowczyk w Kaplicy Papieskiej.

Nie trzymamy się szlaku, lecz idziemy polanami, w słońcu. Dzisiaj to już niczym nie grozi, lecz dawnymi czasy, zwłaszcza w czasie koszenia polan, mogłeś bracie dostać od Waksmundzian jaką kłonicą po łbie, albo być zrugany „po łacinie”, za zniszczenie trawy. Któż dziś kosi polany? Jeździ każdy lub chodzi, gdzie chce, nikt mu drogi nie „zaprzycy”.

Podchodzimy ostrym podejściem środkiem pięknej, ukwieconej polany Rosołowej, zwanej dziś „Cereśmicą”. Nad nią, w cieniu smreków gościnna bacówka p. Białońskich, skąd często dochodzi wołanie: podźcie na herbatę! Czasem korzystamy. Po minięciu ogrodzonej brzydkimi płotami części polany, dochodzimy do ołtarza - pomnika Ojca Maksymiliana

Kolbego na polanie Brożek. Nagie kikuty drzew wyciągają gałęzie do nieba w niemej modlitwie... Trochę opodal, pod drogą stoi bacówka św. pamięci Stefana Mrugały, zwanego w Burczymuchą, lub „Gorczańskim Rumcajsem" (broda).

Był on postacią nietuzinkową, współtwórcą i budowniczym pomnika Ojca Kolbego. Zetknąłem się z nim przypadkowo, wędrując kiedyś z synem jesienią po Gorcach. Było trochę zimnawo, pewnie początek listopada. Zapaliliśmy małą waterkę na skraju polany, by upiec przyniesione grule. Ledwie ogienek zaczął błyskać, kiedy z bacówki wyszedł pan Stefan. Podszedł do nas i z miłym uśmiechem swoim głębokim basem pado:

- Nie polcie chłopy tu w lesie, chodźcie do mnie, poczęstuję was herbatą.

Ujęci tak miłym podejściem, skorzystaliśmy z zaproszenia - i przegadaliśmy przy tej herbacie prawie do zmierzchu. Razem z miłym gospodarzem wróciliśmy „dołu" - do Kowańca.

Tak się odbyło nasze spotkanie ze skromnym, ujmującym, choć bardzo znanym bywalcem gorczańskich szlaków - Człowiekiem Gór. To opowiadanie było pewnie kolejną dygresją w stylu księdza Kazia.

Idąc dalej, już gdzieś nad Srolówkami, zauważyliśmy idącą przed nami, charakterystyczną, lekko pochyloną, słusznego wzrostu postać, ubraną na zielono. Mężczyzna maszerował raźno, podpierając się dwoma krzywymi patykami. Na plecach obijał mu się skórzany chlebak. Był bez czapki, siwe włosy pozwalały domyślać się starszego człowieka. Doszliśmy go już nieco pod Bukowiną Waksmundzką. Uchyliliśmy grzecznie czapek i pozdrowiliśmy starego człowieka, który okazał się być nie kim innym, lecz samym Stanisławem Klimowskim, stałym uczestnikiem mszy na Rusnokowyj.

Przystanęliśmy na chwilę. Żeby coś powiedzieć, zagadałem nie bardzo dowcipnie:

- Jakoż ta żyjecie, Stanisławie? Pewnie idziecie do Kaplicy? E, mocie tyz jesce chody! Niejedyn młody mógłby wam pozazdrościć! Fse sie wom tak samymu masiyrować?

Na gładko wygolonej twarzy starego Górala pojawił się uśmiech:

- Ne, cozby mi sie ni miało fcieć? Ino se trza rano pędzieć: sruć lynia z ramiynia, i bier sie - hore! Potym sie już jakosi idzie - a wiycie ze to nozki juz nie takie wartkie, to se zaś mom dwóf pomocników.

I pokazuje te swoje krzywe patyki – loski, którymi się podpiera.

- Kieloz tyz mocie roków, Stanisławie? - pytam z podziwem.

- E, idzie mi na osimdziesiąty ósmy - odpowiada z dumą.

Którejś niedzieli dowiedziałem się, że pan Stanisław cosi zachorzał na nogi - no, coz robić - wse wiyrchowoł nie bedzies. Teraz przywożą go w „Uazem" na górę. Siedzi obok nas w kaplicy. Czasem na życzenie celebransa śpiewamy partyzanckie piosenki. Stanisław dobrze pamięta te ponure ale i hyrne czasy. Pewnie i sam cosi narobioł z partyzantami, jako mieszkaniec górskiego przysiółka. Oni tam wszyscy sprzyjali górskim chłopcom, w taki czy inny sposób.

Ciekawą historię opowiedział nam natomiast brat Stanisława, Romek Klimowski, młodszy od brata chyba ze dwadzieścia lat. Było to już hrubo po wojnie, gdzieś w latach pięćdziesiątych. Starszy brat, dla którego las nie miał tajemnic, brał młodszego, w góry, na swojego rodzaju w lekcje topografii, znajomości zwierząt - a po trosze może lekcje „raubsicerki" (kłusownictwa). Romek przypominał sobie, że prawie wyszli z lasa opadającego w dolinę Kamienicy i pięli się wolno, do wiyrchu Polany Turbaczańskiej. Stała tam bacówka bacy Filosa, którą pewnie nieraz odwiedzali, coby się napić zyntycy i pogwarzyć z bacą.

- Patrzymy z daleka - opowiada młodszy Klimowski - a tu dało sie widzieć jakieby sie w bacówce cosi świyciyło. Kia diasi - powiada Stanisław - co we dnie świycom? Cozby to miało być? Tak, kieby sie świycki świyciyły! Cyzby stary Filos umar, cy co?

Podchodzą jednak ostrożnie bliżej i widzą - że rzeczywiście we wrotach szopy na

jakifsik deskaf polom sie świecki.

Klęczy na polu grupka młodych ludzi a zwrócony do nich twarzą ksiądz odprawia widać mszę.

- Praśliśmy sie i my na kolana - opowiada Romek, pomodlyli my sie śnimi, a potem dowiedzieliśmy się od bace, że to ksiądz Karol Wojtyła z Krakowa modlił się z przyjaciółmi - turystami, zapewne studentami. Tak więc przypadkowo, obaj Klimowscy stali się świadkami historycznego liturgicznego wydarzenia: odprawiania mszy św. twarzą do ludu, co po raz pierwszy zastosował ks. Karol Wojtyła.

Jak mówią mądrzy teologowie i filozofy, w życiu nie ma jednak przypadków. Wiele ze znanych nam dziwnych zdarzeń jest pewnie sterowanych odgórnie przez Tego Nowyzsego Bace, który wybrał sobie braci Klimowskich na świadków tego wydarzenia... A co - moze Mu nie wolno? On tak jak wiater - ślebodny!

A wracając jeszcze do mojego poprzedniego spotkania ze Stanisławem Klimowskim, padło tam jeszcze z mojej strony jedno pytanie:

- Nie boicie sie to Stanisławie tak som po Góraf chodzować? Przecieście nie nomłodsy- jakby sie wom tak co złego przytrafiyło? Jakbyście tak zesłob – abo i – umar?

Na to pytanie stary Góral uśmiechnął się zwężonymi szparkami oczu:

- No to i cozby było? Cy nie piyknie byłoby umrzyć haw, a nie na pościeli w chałpie abo i w śpytolu?

No i macie, moi kochani - zupełnie Sabałowską, góralską mentalność starego polowaca: Chłopu nie rzec na pościeli umierać.

- Zresztą - jak dodał zaraz Stanisław - I tak sie przecie od śmierci nie wymigos, nie wykryncis - darm!

Ej, wiyra! Wolałby się stary spotkać z tą Białą i Chudą na gorczańskiej perci - nie pod pierzynom... Potok by mu szumiał pociyrze, a smreki i jedle śpiywały nopiykniyjse Requiem.

Przecie i Jegomość Kazimierz, żywczański Góral woli tu egzystować nędznie na gorczańskieh polanach, niż grzać pierzynę, gdzieś na dole w wygodnej plebanii, bo to chyba jest tylko naprawdę ważne, do czego przywiąże się serce.

Nie powiem nic nowego, jeśli przyjmę za pewne, że takim magnesem przyciągającym serca są Góry. Niezależnie, czy są to olbrzymy himalajskie, czy przedeptane, stare, rozświetlone polanami – Gorce.

Maria Giłka, Nowy Targ

Bez odbioru

w moim siwiejącym świecie
rozstania są proste
wystarczy przeciąg
i obraz twój znika
wzajemności
w wyznaniach nie było
tęsknotę więc
przylepię do szyby
niech wiejąc firanką
wywiewa
reumatyzm starości

Nic i wszystko

wspomnienia trwają krótko
tyle co wypowiedzenie słowa
tyle co oddech
zaparowany na szybie
czy były zbyt gorące?
za zimne?
nie wiesz
bo odjechał twój tramwaj
o tych kilka słów za wcześnie
stoisz bez pretensji
zamarła w grymasie
koniecznego jutra

Przemijanie

po dawnych śladach
znajomych drzwi szukam
wieziona tęsknotą
minionych lat

świt kształty rozpuścił
ślady zaś oczami kocimi
prowadzą do nikąd
pamięć przysiadła
i cienie zdarzeń
oprawia w chmurki
na kawałku nieba

Z drzew spadają liście…

odarte ze złudzeń
więc puste
jak łuski
po zielonym groszku
niby zwiastują nowe życie
ale wysuszone
przestają być życiem

z drzew opadają liście
jak zazdrość sukcesów
wziętej primadonny

bo choć przegrany
ale życiem pochłonięty
pragniesz soczystej
zielonej
wizji

Bądź *trendy*, babciu

Łatwiej to powiedzieć niż zrobić - pomyśli każda babcia rozważając dylemat czy bycie babcią to przywilej, czy tylko obowiązek wynikający z konsekwencji, zwanych życiem. Ja, choć nie bardzo mi się podoba słowo *babcia*, a jeszcze gorzej dla moich uszu brzmi zdrobnienie *babunia, babusia*, to tą babcią bywam chętnie, choć wymaga to trochę trudu. A wszystko to z prostego powodu, że babcią się zostaje i już...

Więc uczysz się na nowo tajników życia oseska, niemowlaka, malucha, następnie starszaka, ucznia, dziwiąc się, że jest aż tyle tych podziałów w procesie wychowania. Kiedyś nie miało to chyba takiego znaczenia, ale teraz dla babci to duża różnica. Nie na niej bowiem spoczywa odpowiedzialność za rozwój i wychowanie, więc śmieje się głośno z głupich pomysłów, głupich min, śmiesznych zdarzeń, dowcipnych powiedzeń, aż podziwiana progenitura osiągnie status ucznia. A że w tym stanie przyjdzie im trochę potrwać, bo tu znowu istnieje kilka szczebli dojrzewania, to babcie zdążą się przeformować na babcie-przyjaciółki. Nie jest to trudne, bo babcie już wiedzą, że dopiero dorosłe życie uczy umiaru, godzenia się z porażkami, negowania przerostów ambicjonalnych, ale wymusza za to wytrwałość, potrzebę sukcesu, stabilizacji, rozwija ambicje, rodzi marzenia. Stąd znające życie babcie okazują tyle wyrozumiałości, podtrzymują w zwątpieniach, we wzlotach i upadkach. Z kolei wnuki dla babć mają szczerą estymę, pobłażliwość, przewidując już zawczasu starczą demencję, rozumiejąc babcine skłonności do przesady, dziwią się jednak, dlaczego babcia wzdycha do przeszłości i z pietyzmem odnosi się do starości. Oni, na wskroś nowocześni, tylko nowoczesność preferują na swój własny użytek. Więc uparcie przekonują *bądź trendy, babciu.*

Starość, w której tkwisz, to przecież taki stan ducha i ciała, w którym twoje struktury zewnętrzne ulegają drastycznym zmianom. Tworzą się zmarszczki - podłużne, poprzeczne, pigment się w plamkach produkuje, mięśnie wiotczeją, słuch tępieje, pamięć wietrzeje i tego co wiedziałeś wczoraj, nie wiesz dziś, może sobie przypomnisz jutro albo za godzinę. Albo nigdy. Oto dewiacje twojego ciała. Ale stan ducha ma się dobrze. Czujesz się młoda, no - prawie młoda, wnętrze twego ciała odbiera w sposób typowy bodźce tego świata, korygowane wyłącznie przez twoją niemoc. Więc sama do siebie mówisz powtarzając za wnukami *bądź trendy, babciu.*

Oni cię nie pozostawiają bez rad, wręcz odwrotnie - na wszystko mają swoje recepty, a głoszone przez nich motto brzmi *wprawdzie nie jesteśmy w stanie wpłynąć na genetyczne uwarunkowania procesu starzenia, ale możemy natomiast oddziaływać na swój wiek biologiczny starając się utrzymać jak najlepszą czynność naszych narządów, komórek ciała oraz zachowując dobry wygląd zewnętrzny*. W rezultacie dostajesz leksykon medycyny alternatywnej, czasem poradnik Ajurweda, gdybyś wolała wierzyć hinduskim metodom leczenia. Dostajesz również całą masę broszurek o leczniczej działalności ziół, o indyjskim masażu głowy, o uniwersalnym działaniu kapusty na zdrowie i urodę. A jeśli specjalnie zależy ci na urodzie, to cały sztab ludzi jest ci w stanie zaoferować swoją pomoc - dermatolodzy, chirurdzy plastyczni, wizażyści, fryzjerzy, styliści, kosmetyczki. Serwują wysokiej klasy kosmetyki oraz wysokiej klasy zabiegi jak np. laserowe peelingi, masaże liposomowe i tym podobne. Rzeczywiście bogaty to arsenał na niemoc starzenia się w porównaniu z możliwościami naszych prababć, które preferowały na urodę zimną wodę, podcinanie włosów na nowiu, ślaz na cerę, miętę na trawienie, melisę na strapienie i jeszcze coś co w jakimś stopniu było prekursorem późniejszego powszechnego trendu pozytywnego myślenia, a przez prababcie wyrażane było prostymi słowami *usram się a nie dam się.*

*

Kiedyś, ileś tam lat do tyłu, spotkałam w parku w Breckenrige sąsiada mojej córki Noela Ramsey'a, który wiózł na wózku inwalidzkim swoją żonę. Przyjmując za dobrą monetę

jego wrażliwość na potrzeby starszej pani, wyraziłam swój podziw i pomagając mu popychać ów wózek, na jakimś tam odcinku drogi zapytałam:

- Jak długo trwa taki spacer?

A on na to że*:*

- Tak do trzeciej

Więc skwapliwie zapytałam:

- A potem wracacie do domu odpocząć?

- Nie - odpowiedział sympatyczny starszy pan - potem ona wozi mnie.

O, świecie pełny subtelnych niuansów - czy można się pogodniej starzeć?

*

A starość, jako się rzekło, to stan ducha i ciała, więc jako taki powoduje czasami, że starość bywa pocieszna... Wspomnę tu taką historię. Mąż mojej przyjaciółki miał o sobie mniemanie, że jest złotą rączką, więc stale coś udoskonalał, a na emeryturze przeszedł już sam siebie, udoskonalając na przykład któregoś tam dnia system klimatyzacji pokoju, zawieszając wiatrak chłodzący ponad kącikiem wypoczynkowym, jakieś 80 cm poniżej sufitu. Następnie zawołał swoją żonę i tak do niej mówi:

- Zosiu, popatrz - jak pociągniesz za tę czerwoną wstążeczkę, to wiatrak będzie wiał w lewo, a jak pociągniesz za niebieską to będzie wiał w prawo.

Zosia, która była perfekcjonistką zapytała:

- A jak za obydwie na raz?

- To ci spadnie na łeb, babo – zakończył instrukcję wyprowadzony z równowagi mąż-wynalazca. By po chwili dodać:

- Przepraszam, ale jesteś taką ignorantką.

Inna historia. Przyjaciółka, którą odwiedziłam, strzepywała falbany firanki z całym zapamiętaniem. Mąż jej, stękając, wspiął się na drabinkę, a kiedy już osiągnął odpowiednią wysokość, wytarł kurz i tę ewentualną pajęczynę w miejscu, gdzie sufit styka się ze ścianą, co było w jego zamyśle, po czym zapytał:

- Jak już tu jestem to co mam jeszcze zrobić?

- Policz żabki - odkrzyknęła żona.

- Przecież liczyłem je już w jesieni - odpowiedział.

- To podziel je na pół - powiedziała Marysia.

- Ale już zapomniałem ile ich było... – rozłożył ręce mąż, o mało nie spadając z drabinki.

Ale starość ma jeszcze inne oblicze, kiedy to miłe naszemu sercu osoby zatracają poczucie miejsca i czasu, powodując śmieszne sytuacje. Kiedyś moja powinowata dobiegająca dziewięćdziesiątki na swoich urodzinach urządzanych dla niej przez córkę, znalazła na stole pismo z Urzędu Miasta, zresztą wcale nie do niej adresowanego. A nie mogąc bez okularów go przeczytać, zainteresowała gości wybuchem perlistego śmiechu:

- Ha ha ha, wiecie co, dzisiaj burmistrz przysłał mi życzenia urodzinowe i życzy mi stu lat, a ja już mam 112, hahaha, chyba zgłupiał.

112 to był numer domu w którym mieszkała, ale w sumie czy to takie ważne?

Inna znajoma znajomej zmuszona była zabrać matkę do siebie, aby zapewnić jej stałą opiekę. Dotąd staruszka mieszkała na wsi, blisko lasu, a teraz przyszło jej żyć w bloku na czwartym piętrze. Więc ciało poddawało się przymusowi, ale wolny duch przyzwyczajeń tkwił w niej głęboko. Nic więc dziwnego, że wchodzących do tego jej nowego lokum witała po staremu: *wchodźcie, wchodźcie, Cyrwusko* - nie widząc różnicy między dawną swoją sąsiadką Cyrwuską a wchodzącą osobą. Z upodobaniem też kucała w przedpokoju, mówiąc

trochę sobie tu posiedzę póki słonko świeci, całkowicie przekonana, że siedzi na swojej ulubionej ławeczce przed swoim domem.

Więc co, czy to śmieszne, czy żałosne? A bywa czasami i tak, że w jednej chwili tracisz całe swoje mniemanie o sobie. Jak to było w przypadku pewnego mieszkańca wsi, który w młodości dał się poznać jako zdolny prymista muzyki góralskiej, dobry skrzypek, który i czardasza zagrał, i walca wiedeńskiego. Więc wielbiony i chętnie goszczony grał ludziom dla radości i do tańca. Ale i jemu przyszło przełknąć czarę goryczy, kiedy to zapragnął włączyć się w grono rozbawionych młodych ludzi z pokolenia swoich wnuków aby ucieszyć ich swoim granie usłyszał *e tam panie Tadku tak piździcie a nie grocie.* Znamienny to znak przemijania. Przeminęła moda na skrzypeczki, oraz na melodie które grywał grajek, minął się i pan Tadek.

Nie chcę jednak kończyć mojego wspominania pesymistycznie, dlatego odwołam się do przeświadczenia, że podobno Bóg, zamykając nam jedne drzwi otwiera przed nami następne i może kto to wie w tym powiedzeniu tkwi cały sens życia ludzkiego. Mijasz drzwi ustawione w jakiejś wyimaginowanej amfiladzie… coś zyskujesz, coś tracisz, coś oddajesz, ale coś ci dane będzie. I w takim to kontekście, wyznanie naszych prababć, *usram się a nie dam się* nic nie traci na aktualności i może stać się pierwszą zasadą naszej współczesnej codzienności.

Kalambury polsko–amerykańskie

Siedzenie w living roomie i nie spoglądanie od czasu do czasu na stojący na kominku drezdeński zegar nie mogło wchodzić w rachubę, bowiem przykuwał on uwagę wszystkich swoją urodą, wiekiem, europejskim pochodzeniem. To nic że musiał być co dwie doby ręcznie nakręcany, skoro Mike - spadkobierca zegara - to nakręcanie traktował jak jakiś rodzinny rytuał trwania, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Z drugiej zaś strony to patrzenie coraz na jego drezdeński cyferblat sprawiało, że czas wlókł się niemiłosiernie, więc siedząc w zasięgu jego działania musiałam dla zabicia czasu, wynajdywać sobie różne zajęcia jak np. przeglądanie magazynu dla kobiet. Z czasem zaczytywałam się w jakimś artykule bądź w opisywanej ludzkiej dolegliwości, której po ichniemu nie potrafiłabym wprawdzie wymówić, ale potrafiłam zrozumieć czytając w amerykańskiej wersji, pojąć objawy oraz skuteczność leczenia jej reklamowanymi właśnie lekami. Zaniepokoiła mnie trochę powszechność tej choroby, ale pomyślałam sobie, to tak pewnie jest jak u nas z kokluszem, czy ospą wietrzną, nabywa się ją i już.

Rozmyślania te przerwał mi Tomasz, mój trzyletni wnuk, dopominając się pomarańczowego *dżusu*, nadal bardzo zadowolony z życia, a że jeszcze bardziej brudny, to już inna sprawa. Nie człapał już w butach swojego ojca, ale teraz dreptał w gumiakach Bartosza, które sięgały mu do samego tyłka, przez co wyglądał bardzo śmiesznie. Tak też odebrał ten obrazek listonosz, który właśnie nadszedł i uśmiechając się do malca, zażartował:

- Czy mógłby mi pan pokwitować dostarczoną przesyłkę?

Na co zaskoczony nieco maluch odpowiedział:

- Ja nie jestem pan, ja mam tylko takie duże buty.

O Ameryko, będę twoją fanką, ujęłaś mnie podejściem pana listonosza - pomyślałam. Powracając jednak do malucha, ja niby ta pilnująca go osoba, nie miałam wpływu na jego wygląd, bo dzieciom w tej rodzinie, w tym stanie i pewno w tej Ameryce, nie zabrania się niczego co im nie zagraża. Dzieci mają czuć się wolne i szczęśliwe. Zresztą od brudnej buzi czy rączek, nawet anioł by się nie ustrzegł bawiąc się w tym ogrodzie, który kiedyś był szumiącym lasem, a teraz po wykarczowaniu drzew przypiekana słońcem ziemia wysychała na pieprz a może raczej na popiół i wystarczyło tylko trochę ożywczej wody ze sprawnie działającego zraszacza, aby poczuć się szczęśliwym, lecz nie koniecznie już czystym. Ale przecież to tu właśnie w Ameryce słyszałam stale kierowane do dziecka pytanie *You are happy boy?* bądź trochę inne, ale też pełne troski *czy miałeś dobry czas?*

Więc czy mogłam się zatem dziwić, kiedy ten umorusany do granic możliwości chłopiec, rozpoznawalny jedynie po błyszczących oczach, w słoneczny dzień, w krótkich spodenkach, ale wielkich gumiakach, zapragnął jechać do city-marketu - to jego ojciec, bez najmniejszego sprzeciwu wsadził go do samochodu jak stał, dorzucając za nim gumiaki, które mu w między czasie pospadały z nóg. Taka pobłażliwość dla dziecięcych fanaberii była powszechna. Nie dziwiły się np. przedszkolanki, że Karol ubrał się w Tomka koszulkę bo miała jakiś rysunek czy napis, który mu się akurat spodobał. A to, że owa koszulka sięgała mu do kolan, to już był zwykły detal. Było i tak, że Karol zamienił się w przedszkolu z kolegą butami, więc chodził kulawy, bo buty były dla niego za ciasne. Wtedy ojciec nie wnikając w powód zamiany, zabrał go do sklepu by kupić mu nowe buty. Wiedziałam, że nie będzie to takie proste, bo Karol miał szczególny gust i dziwne upodobanie do dużych butów. Kiedy wrócili po godzinie z pudełkiem pod pachą i wciąż z kulawym Karolem, spodziewałam się jakichś wyjaśnień, ale tego było zaskakująco niewiele, poza stwierdzeniem: *pozwolił sobie przymierzać różne buty, ale kiedy spytałem, no to co te będą dobre, odpowiadał nie! chcę większe.* Dlaczego więc zamienił się z kolegą na mniejsze buty - pozostało zagadką. Kiedy utrudzony kulawieniem Karol zainteresował się wreszcie nowo nabytymi adidasami i zaczął je siedząc na podłodze przymierzać, zorientowałam się, że choć niby takie same w kolorze i

nie różniące się fasonem to jednak jeden od drugiego różniły się wielkością. I tą różnicę z zachwytem przyjął Karol ciesząc się że choć jednego buta będzie miał dużego. Ojciec nie psuł mu radości, podsumowując wydarzenie iście po amerykańsku: *przecież mogło być jeszcze gorzej, gdyby się trafiły obydwa buty z jednej nogi*. A wygłaszając tą uwagę odsłonił górną szczękę w pełnym uśmiechu zarezerwowanym tylko dla synów.

Właśnie chronometr drezdeński wskazywał godzinę 15.00. Jaką tam piętnastą, tu w Ameryce nie ma piętnastej. Jest tylko trzecia PM. Więc to ostatnia pora podjąć decyzję, czy zabieram się do gotowania obiadu, czy idziemy na obiad do restauracji, czy przywozimy dania w styropianowych opakowaniach sami, czy zamawiamy telefonicznie obiad do domu.

Nie byłabym matką-Polką gdybym się nie starała w każdej sytuacji pokazać z dobrej strony, pokazując tym samym w dobrym świetle mój kraj, rodzinę i siebie. A przecież już byłam bardzo chwalona za *pilogi, golombki, krymouki, koklety*. Byłam więc dobrej myśli proponując barszcz z uszkami. Ale poniosłam całkowitą klęskę, bo ten przysmak nie spodobał się zięciowi. Ani wygląd, ani nazwa, ani smak. Na pytanie co to takiego uświadomiony został że czysty barszcz z uszkami. I choć próbował powtórzyć słowo barszcz, nie potrafił mimo kilkakrotnego powtarzania a nawet spelowania, zawsze wychodziło mu *bosz*. Odmówił też spróbowania potrawy tłumacząc, że ten krwisty kolor odbiera mu apetyt. I tak wdzięcznie brzmiący barszcz w swojej nazwie, przezwany boszem, porównany do krwistej zawiesiny, odarty ze smaku, musiał w przyszłości ustąpić miejsca zwykłemu bulionowi, do którego wrzucone uszka zaraz zagustowały, a myślę że nawet zachwyciły amerykańskie podniebienie.

W czasie moich kilku pobytów w USA stale słyszałam: *mamuś nie przyjechałaś aby tu pracować*, więc gotowanie było wyłącznie sprawą mojej dobrej woli. Ale lubiłam robić rodzinie niespodzianki kulinarne. Więc tym razem wymyśliłam sznycle, inaczej nazywane kotletami siekanymi, do tego duszona marchewka z zielonym groszkiem i purée ziemniaczane. Kiedy przygotowane jadło trafiło na stół, zięć Amerykanin i jego latorośl patrzyli na chwilę skonsternowani na ten rodzaj dania, po czym z pogodą ducha sięgnęli po amerykańskie dodatki, sznycel trafił do miękkiej buły, i przyodziany został grubymi plastrami pomidora cebuli i z wdziękiem skonsumowany, a marchewka przetykana groszkiem, ze wstydu zasychała na półmisku. Po tym doświadczeniu pomyślałam, to się jeszcze okaże i podjęłam wyzwanie. Jak tak - to ja też potrafię gotować po amerykańsku. Więc wzięłam do ręki amerykańską książkę kucharską, wyszukałam przepis, który zaczynał się mniej więcej tak: przysmaż bekon na patelni, potem uduś dwie marchewki oraz pietruszkę startą na grubej tarce, potem dodaj trzy łodygi selera naciowego i duś do miękkości, dolej do tego trzy kubki wody, dorzuć cztery pokrojone w kostkę ziemniaki i kiedy ziemniaki będą już ugotowane połącz to wszystko z usmażonym boczkiem. Choć wszystko z nazwy było takie amerykańskie to zupa smakowała jak nasza rodzima kartoflanka, a uzupełniona przez Amerykanów krakersami znowu zrobiła się amerykańska.

Nie zrażona tym niepowodzeniem, podjęłam jeszcze jedną próbę, zniewolona ważnością nadchodzącego Christmasu. Będzie indyk, szynka pieczona z ananasami i może pasztet z gęsich wątróbek. To tak dystyngowanie zabrzmiało w tej zwykłej kuchni, że pomyślałam, warto się potrudzić aby się dowartościować. Zabrałam się więc ochoczo do pracy - mielenie, siekanie, warzenie, mieszanie, wszystko według amerykańskiego przepisu i amerykańskiej miary. Wreszcie końcowy etap starań, czyli zawinięcie produktu w lnianą materię i gotowanie na ogniu w rynience o takich to a takich wymiarach. Wszyscy domownicy byli przejęci tą kulinarną osobliwością, która musiała stygnąć w tej wodnej kąpieli do drugiego dnia i dopiero wtedy mogła być obnażona z opakowania. To co się ukazało nie było ani piękne ani smaczne, mnie przypominało w smaku naszą dobrze znaną z czasów PRL–u podgarlankę.

Wtedy ostatecznie pokonana została moja kosmopolityczna próżność, ale i tak pisana mi była jeszcze jedna próba. W rewanżu za moje starania, Mike miał ugotować swoją słynną

potrawę, która podobno w jego wykonaniu była rewelacyjna czyli *chyle*, rodem z Ameryki Łacińskiej, ale w USA bardzo powszechnej. Głównym składnikiem tej potrawy była fasola, ale to nie ona budziła mój strach, tylko sama przyprawa składająca się z różnych gatunków tropikalnych pieprzowców. To właśnie ta przyprawa zwalała z nóg, i pozbawiała oddechu. Ostrzeżona o zagrożeniu, pouczona o sposobie ratowania się mlekiem, drwiłam: *jak to - Karol przełyka i nic, choć jest dziesięć razy ode mnie młodszy, to ja z takim doświadczonym przełykiem, nie potrafię?* Nie było jednak lekko, honor Polki obroniłam, ratunku nie wołałam, ale nie przestawałam się dziwić, że mi łyżka nie zardzewiała, ani mi się talerz nie rozpuścił od te żrącej papki.

Znając dobrze to porzekadło o wspólnym krakaniu, kiedy los rzuci cię między obce wrony, bez najmniejszych zastrzeżeń przyjęłam tutejszy zwyczaj pozdrawiania się nawzajem, na ulicy stacji benzynowej, sklepie, hotelu, mało tego, zaczęłam w tym prym wodzić, zachwycona taką ludzką serdecznością, ze wstydem myśląc, że my Polacy wobec tego jesteśmy gburowaci. Aby się jednak całkowicie nie pogrążyć w wyrzutach, przypomniałam sobie że i u nas kiedyś pozdrawiało się ludzi pracujących słowami *Szczęść Boże*. Ludzi starszych, znanych i nie znanych i wszystkich duchownych witało się słowami *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*. Ale gdzieś ten zwyczaj zapodział się widocznie speszony bezwzględnością ludzką w parciu do przodu. A tam nadal wśród piękna koloradzkich gór i lasów, ludzie trwają w poczuciu wspólnoty lokalnej, pozdrawiając się nawzajem prostym słowem *hi*.

Było jeszcze coś innego co skłoniło mnie do zmiany mojego stereotypowego myślenia o Amerykanach, dotyczyło to ich wrażliwości, a wyglądało tak. Wybrałam się z Tomaszem, wtedy czteroletnim brzdącem, na spacer. Taki w polskim stylu, czyli prosto przed siebie. Kiedy skończył się chodnik dla pieszych i w tyle pozostały zabudowania miejskie, nie zawróciliśmy, ale śmiało dalej maszerując poboczem drogi, podziwialiśmy widoki i przydrożne kępy kwiatów. Wówczas zaobserwowałam coś niezwykłego, co świadczyło niewątpliwie o dużej wrażliwości Amerykanów na drugiego człowieka, a może tylko na dziecko. W każdym bądź razie ku mojemu zdumieniu niemal każdy przejeżdżający samochód zatrzymywał się przy nas, a kierujący z troską pytał *jak mogę wam pomóc.* Dziękowałam z polską wylewnością, ale przecież wtedy nie wiedziałam, że amerykanie wzdłuż długiego *highwayu* na piechotę nie chodzą. Więc szliśmy dalej, aż na moje utrapienie zatrzymał się przy nas szeryf z naszego miasteczka i nie dał się zbyć serdecznością moich podziękowań, ale chciał wiedzieć wszystko, po co, na co, dokąd idziemy. Widocznie ta moja obco brzmiąca mowa nie wzbudziła zaufania, bo usadził malucha w samochodzie, a mnie zaprosił na miejsce obok siebie i z całą paradą w mgnieniu oka zajechaliśmy w tej szeryfowej gablocie z mrugającym kogutem na dachu na podjazd naszego domu, wprawiając moją córkę i jej męża w osłupienie.

Ale czy to osłupienie było bezpodstawne? Nie. Bo już raz dałam się poznać jako ekscentryczka, a rzecz miała się tak. Zajechały obok naszego domu dwa policyjne samochody, wysiadło z nich kilku policjantów i zaczęli otaczać sąsiadujące z nami kondominium. Zapowiadało się ciekawe widowisko. Więc zostawiłam wszystko i w pośpiechu zajęłam miejsce w wiklinowym fotelu przed domem z góry ciesząc się, że nareszcie zobaczę amerykański kryminał z pierwszej ręki. Dziwiło mnie jednak trochę dlaczego jeden z policjantów machał ręką jakby zaganiał kury. Ale nie dopuszczałam do siebie myśli, że to machanie może się do mnie odnosić. A moje polskie pochodzenie już brało górę nade mną: *co się ta amerykańska glina do mnie przypieprza, przecież siedzę na swoim, a gapić się to on mi zabronić nie może. Więc może mi co najwyżej naskoczyć…* To moje święte oburzeni rozwiał jednak mąż Agnieszki wołając mnie do domu i wyjaśniając, że policja chce zaczynać akcję, więc znowu wykrzyknęłam:

- To niech zaczynają, przecież na to czekam!

- Ale oni chcą aby mama była bezpieczna...

No więc co mogłam zrobić? Na tak widoczną troskę o moje dobro musiałam skapitulować i całą zabawę diabli wzięli.

Po raz trzeci udało mi się zadziwić zięcia moim spekulowaniem po polsku, kiedy to on dostał mandat za przekroczenie szybkości. A rzecz miała się następująco. Jechaliśmy na weekend do dziadków do Canyon City. Malutki wtedy Karol zaczął wrzeszczeć w samochodzie, jakby go kto ze skóry obdzierał. Zaniepokojony tymi wrzaskami, dotąd niezwykle praworządny ojciec nacisnął na pedał gazu znacznie przekraczając dozwoloną prędkość. Takie rzeczy nie uchodziły bezkarnie w rezerwacie przyrody. Więc najpierw usłyszeliśmy syrenę, potem zajechał nam drogę policjant na motorze, a jeszcze potem dostaliśmy mandat na pięćset dolarów. W poniedziałek zaś już koło południa dostarczono pozew do sądu a w środę wydano wyrok skazujący na odpracowanie czterdziestu godzin na rzecz miasta. Najpierw przysądzono zięciowi wymiatanie liści z rynien przedszkola. Potem trzy dni wydawania posiłków dzieciom w szkole, resztę godzin miał osądzony przeznaczyć na sprzątanie parku. Prowadzenie własnej firmy i odrabianie kary nie przychodziło oskarżonemu łatwo więc chciałam pomóc i zaproponowałam abyśmy wszyscy poszli sprzątać ten park. Wtedy wyjdzie każdemu z nas po trzy godziny, więc w jedno popołudnie odwalimy robotę. Rozumowałam po polsku, przyzwyczajona do kombinowania, ale to moje polskie myślenie sprawiło, że jeszcze raz udało mi się widzieć osłupiałego zięcia. W osłupieniu tym nie trwał długo, bo musiał przecież jednoosobowo przystąpić do sprzątania.

Ale tu się myliłam, bowiem byli i inni, którym też przytrafiło się popełnić podobne wykroczenie, więc skład ekipy był ze wszech miar ciekawy: lekarz, mechanik samochodowy, barman, instruktorka aerobiku, właściciel restauracji... Ten rzucający się w oczy pozorny brak kompetencji u sprzątających nie miał większego znaczenia, gdyż wkrótce zawarta przyjaźń między uczestnikami wspólnej niedoli oparta o bar i restaurację, zagwarantowała ogólne zrozumienie i dobre samopoczucie, wytrwałość i rzetelność wykonywanej pracy. Więc na tę okoliczność tak sobie pomyślałam, że ten wysoki sąd w Breckenridge zna się na rzeczy, skutecznie kompletuje preferencje zawodowe, ale to przecież wszystko dla społecznego dobra. Więc znowu udało ci się wzbudził mój podziw, Ameryko.

Zdarzało się jednak, że pewne wydarzenia budziły we mnie zgoła inne uczucia. Na przykład historia Becky. Becky to pies amerykańskiej rasy, lat około sześciu, słusznego wzrostu, czarnej maści i łagodnego charakteru. Nic więc nie mogło wskazywać na to, że posiadającej tyle zalet psinie przyjdzie przeżywać taki melodramat. Becky przywiązana do łańcucha, leniwie spędzała wiosenne przedpołudnie, wylegując się w ogrodzie i z widoczną nudą obserwując spacerujące po podjeździe kruki. Nagle ciszę tę przerwał przebiegający niemal środkiem naszej posesji młody człowiek, który akurat miał ochotę skrócić sobie drogę na Mainstreet, naruszając tym samym bezprawnie prywatną własność. Tego występku nie miała zamiaru tolerować Becky i ugryzła go w łydkę, dziurawiąc mu przy tym nogawkę dzinsów. Właściciele psa, moja córka i zięć, pożałowali delikwenta i pouczając go, że nie miał prawa tędy przebiegać, bo to droga niepubliczna tylko prywatny ogród, dali mu parę dolarów na nowe spodnie. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po godzinie pojawiła się policjantka i w całym majestacie prawa zaaresztowała Becky odwożąc ją do psiej ciupy. Można było ją tam odwiedzać, a nawet dokarmiać, ale jej więzienne menu niczym nie różniło się od domowego. Tam suszone bulki i tu suszone bulki, ot takie psie życie. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy sprawa Becky stanęła na wokandzie sądowej, przedstawiono zarzuty, pogdybano o zagrożeniu i wydano wyrok. Dożywocie w klatce. Jęknęłam, biedna Becky skazana na przebywanie tylko w domu, albo w ogrodzie, ale w klatce. W mojej głowie się to nie mieściło. Więc komentowałam to na różne sposoby. Ale tam prawo znaczy prawo. Więc już dalej musiałam się wyżywać w polskiej mowie, pocieszając Becky, że gdyby bliżej była ta Polska, to zabrałabym ją ze sobą i wtedy mogłaby mieć w … no właśnie ten wysoki sąd i jego

wyroki. Bo w Polsce jakby ktoś skracał sobie drogę przez czyjś ogród i ugryzł by go pies, który byłby w dodatku na łańcuchu, to by na spodnie nie dostał, a jakby się stawiał do tego, to by jeszcze w ryj oberwał. To użalanie się nad Becky nie miało większego sensu, ona i tak nic nie kumała, ciesząc się po psiemu, że jest już w domu a nie w pace. A gdyby podobna sytuacja zdarzyłaby się jeszcze raz, to Becky mimo wzniosłego gadania sędziego ugryzłaby jeszcze raz.

Kiedy ja sobie tak gadałam sama do siebie, to mój zięć raczył się odezwać w te słowa:

- Mama znowu rozmawia z mamą - i dodał - czy mama wie, że mówienie do siebie pachnie paranoją.

- A czy ty wiesz – odparowałam - że któregoś dnia możesz ugryźć tą swoją wygadaną buzią więcej niż będziesz mógł w stanie połknąć?

Na co on niezwłocznie odpowiedział, że woli umrzeć w nieświadomości.

Nasze słowne aluzje czy głośno wypowiadane komentarze w żadnym wypadku nie miały wpływu na nasze wzajemne stosunki, my się po prostu lubimy, wzajemnie szanujemy, a czasami podziwiamy. Jednak odrębność naszych kultur musi nas dzielić w niektórych sprawach. Melodramat Becky zasiał we mnie obawę, aby historia się nie powtórzyła, tym bardziej, że w domu były jeszcze dwa psy, Barni i Adelka. Więc martwiąc się wymyślałam różne wyjścia, a że rozumowałam po polsku, doszłam do wniosku, cóż prostszego jak wywiesić tabliczkę zły pies, albo może dla pewności złe psy. I rezultat swojego myślenia przekazałam zięciowi. On na chwilę stracił mowę, już wiedziałam, że znowu powiedziałam coś głupiego, więc ratowałam się jak mogłam powoływaniem się na polski zwyczaj, że u nas tak się robi i każdy ma obowiązek ostrzeżenie przeczytać i uszanować. A on kiedy już odzyskał moc amerykańskiego argumentowania, wygłosił mowę, która brzmiała mniej więcej tak:

- Świadomość, że ma się złe psy już sama w sobie jest zła i karalna. A jeszcze ogłaszanie tego publicznie za pomocą tabliczki, to jest jak drwienie z przepisów czyli z władzy. A jakby trafił się obcokrajowiec i tego napisu nie byłby w stanie zrozumieć i gdyby załóżmy przez chwilę to ostrzeżenie miało moc prawną …

Tu zrobiło mi się głupio, straciłam pewność siebie, a broniąc się brnęłam dalej w absurd.

- U nas wszyscy umieją czytać i co napisane rozumieją i respektują. Ale nie mogę się specjalnie dziwić, bo moja ojczyzna ma już ponad tysiąc lat. A wy trochę ponad dwieście. Więc w tym względzie się nie dogadamy.

I z rezygnacją machnęłam ręką, resztę dopowiadając po polsku *głupie porządki, zdziwaczała Ameryka.*

No tak, dla mnie była dziwaczna czasami, ale też ile w niej przykładów obywatelskiej postawy, poszanowania prawa i znów w obronie twojego dobrego imienia Ameryko, przypomniałam sobie jak uciekł z domu Dodo, łasiczka Tomasza. A że dom nasz stał przy głównej ulicy, to ta ucieczka zaraz stała się sprawą publiczną: niewinne zwierzątko narażone na śmierć pod kołami samochodów. Powiadomiona przez przechodniów policja z całą determinacją przystąpiła do akcji łapania Doda, wstrzymując ruch i uganiając się za wystraszonym zwierzątkiem, oczywiście z pozytywnym skutkiem, bo łasiczka będąc oswojona dała się złapać bez trudu z pomocą przechodniów. A więc Ameryko masz i takie przyjazne oblicze, kiedy władza schodzi z piedestału dostojności, by uganiać się za Dodem, a potem wręczyć go zapłakanemu maluchowi, odstępując od dochodzenia, kto i dlaczego.

Wspomnienie zaczęłam od zegara i na zegarze chcę skończyć. Otóż zdarzyło się tak, że zajęta sadzeniem kwiatków w ogrodzie posłużyłam się swoim wnukiem Bartoszem, który wczesne dzieciństwo spędził w Polsce, więc posiadł umiejętności mowy polskiej, aby poszedł i spojrzał na ów drezdeński zegar i zobaczył na jakiej cyferce jest mała wskazówka a na jakiej duża. Pobiegł chętnie, jeszcze prędzej wrócił pytając: *a co jak obie na kupie.*

No nic odpowiedziałam, przypominając sobie maksymę mojej babki na okoliczność kłopotów *diasi wezmą wej takie pucone zycie* i otrząsając się z lenistwa sama poszłam spojrzeć w cyferblat drezdeńskiego zegara.

Kalina Gruca, Toporzysko

Na kiermaszu uczuć

Na kiermaszu uczuć
rozkapryszona miłość
zapakowana w szkatułkę
odporną na zazdrość
obok niej
kusząca ceną złość,
która w przeciwieństwie
do nadziei
nie miała popytu
wśród optymistów
z dala od niej nienawiść
z wrodzoną wadą fabryczną,
zaś nieopodal przyjaźni
stoi garstka szczęścia
w duopaku z radością losu

niestety mamy dziś deficyt marzeń
mam nadzieje,
że nikt nie nałoży
nam embarga
  na to strategiczne uczucie!

Parasol miłości

Życie kolejny raz
wiruje w niepewności,
bezsilność fastryguje w nas złość,
żelazna mina odstrasza
płochliwe szczęście

codzień faszerujemy się
pesymistycznymi myślami
i emitujemy falsyfikat radości

ale pamiętajmy,
  że czasami warto
        schować się pod parasol miłości!

Depresja

Wątła konieczność bycia
przeważa nad konsystencją życia.
Nieznośny świat kruszy się w dłoniach.
Wpadamy w kałuże zmartwień,
Smutek nie jest już tylko przelotną burza,
lecz normalnością
kapryśna miłość
bawi się z nami w chowanego
dobry humor najwidoczniej internowany,

a nadzieja staje się fatamorganą.

Współczesny dialog

Ukartowane słowa
oklepany tekst
i koniec - urwany sznur rozmowy
jeszcze moment niegustownej ciszy
przerwanej przez skrzypiące
znudzone kontekstem drzwi
trwa niezręczne zamyślenie
po czym rutynowe pytanie,
które i tak było retoryczne

Być sobą

Nieśmiałe słowa
poszczute krytyką
spłoszone siłą fantazji
błąkają się w niepewności

Zapominają, że być sobą
znaczy demonstrować na oścież
swoje poglądy

Za kulisami

Za parawanem twarzy
słychać szloch myśli,
sztab niewypowiedzianych słów
czeka na stracenie,
beznadzieja szturmuje uczucia,
wszechmocna miłość na odwyku

lecz niedopałek szczęścia
sprawia, że mogę
  szyderczo uśmiechnąć się
                do losu

W duecie z chwilą

Konserwatysta zakotwiczony
w przeszłości
bezskutecznie łamie
fale czasu
i przepędza czas niosący zmiany

ale zapomina, że czasami
  warto iść w duecie z chwilą

Świt

Świt okrywa
firaną pola,
wiatr czesze rozwichrzoną
czuprynę dmuchawca,
bataliony szpaków
mkną dziurawiąc niebo
a słońce przegląda się
w zwierciadle jeziora

****

Miłość
zagubiona
w gąszczu złudzeń,
znudzona normalnością
zamienia się
w warkocze kłamstw
  i tornada kłótni...

Warto słuchać

Na wirażu rozmowy
tłum rozkojarzonych słów
zadeptał prawdę
biegnące w poszukiwaniu
tak zwanego sensu
na drodze stanęły
mu obce poglądy,
które zmieniły kierunek jego życia.

Trudy dnia

Co dzień
muszę wyciskać z dnia dobro,
cedzić kłamstwa przez sito sumienia,
wcierać w siebie uparty czas,
ocierać się o grzeszki
i wciąż walczyć z pokusami życia

****

Z więzienia
w moim sercu zbiegła złość
próbuję ją okiełznać
ale nie mogę

uciekinier posiada broń,
która zabija szczęście

strzeżcie się jest zaraźliwa

Nostalgia

Wpuszczam przez frontowe
drzwi serca natrętną tęsknotę

Do głowy wpraszają się
znienacka urodzajne wspomnienia,
czas jakby obejrzał się za siebie
a jego wzrok utkwił
w żyznych polach Orawy
i osiadł na rosie,
zmówił paciorek przed leśną kapliczką

niestety bicz rozsądku pognał życie
na właściwy tor tułaczki

Dola iskierki

Nieposłuszne córy ognia
wirują w objęciach
szarmanckiego wiatru,
ryzykują samobójczy lot
nad ogniskiem
flirtują z podmuchem
zda się, że podpalą chmury
lecz wypalone, stłumione
giną męczeńską śmiercią
zgwałcone przez ulotny żywioł wiatru

Echo miłości

W codziennym zgiełku pracujących myśl,
słów, które wzajemnie przeganiają się
w kolejce do zapomnienia
nachodzi mnie cień goryczy
przesiąknięty melancholią,
po mojej twarzy paradują myśli

a wystarczyło tylko wsłuchać się
w echo miłości

Chandra

Miotam się
wśród monotonności i beznadziei
nieustannie, mimowolnie
kręcąc korbką życia

Znudzona, zamęczona normalnością
wpadam w otchłań apatii,
co wieczór nachodzi mnie
korowód obojętnych myśli
napada inwazja bezsensu

lecz podmuch miłości
haftuje na mej twarzy uśmiech radości

Hospicjum

Pędzimy przez życie
i nie zważamy na tych,
 których życie kuleje
a oni wyciągają dłonie
i czekają…

Czekają na pospieszny
z przesiadką
na stacji - hospicjum,
 a potem (!)

Dlaczego przechodzimy
obojętnie obok nich…(?)
Dlaczego świat
izoluje się od nich…(?)

Każdy może zakreślić
łuk- uśmiechu
na twarzach tych dzieci
cyrklem zrozumienia !

Nieodpowiedzialny świat

Świat ugina się pod naporem zła,
zatacza się w otchłań kłamstw,
zanieczyszcza powietrze
wzajemną nienawiścią,
nakłada cła na uczucia
i pogłębia własną studnię melancholii
STOP !!!
Nie pozwól by opary
nowoczesnego świata
dotknęły i Beskidy !

Beskidzki szlak

Życie
balsamowane szczęściem
i szykanowane przeciwnościami
przemierza
chwile radości
i napotyka ślepe uliczki

miotamy się w życiu
różnymi drogami,
ale ważne by znaleźć
tę prawdziwą
moja – prowadzi przez Beskidy

Beskidzkie wspomnienia

Myśli opętane wspomnieniami
zmierzwionych szczytów
zdyszanych bieganiną wiatrów
i umorusanych pięknem gór

pamiętajmy
wspomnienia to najlepszy
teleporter w przeszłość !

Stary domek

Na zaścianku
beskidzkiego lasu
tli się stary domek
nadziewany wspomnieniami
przed nim wzgórze
niechlujnie pociętych spałków
z siekierą krwawo wbitą w gnotek
chałpa uzbrojona
w spróchniałe okiennice
ona pamiętała
wojenne strzały
i zapamięta
współczesny zagmatwany świat !

Beskidzka jesień

Zadumane drzewa
śpiewają z ostatkiem ptaków
żałobną pieśń
gdyż wiatr gnębi kasztany
obrywa im wyblakłe liście
po czym poniewiera je po ziemi,

iglaki z nerwów
przekuwają sobie żyły

a bezkarny wiatr
wciąż galopuje po Beskidach

Suski Patron Książek (ku pamięci Michała Żmigrodzkiego)

Wielbił wszystkie żywioły literatury
słyszał krzyki nieoczytanych książek
jego świątynią była biblioteka
i oprawiał nagie książki w szacunek
a jego pamięć czuć pomiędzy
zżółkniętymi stronami
suskich zbiorów

Prognoza pogody

Dziś nad moją duszą
przeleci mżawka kłamstw
na północy życia słoneczne uśmiechy
popołudniu w sercu
jak zwykle wysokie ciśnienie

uwaga
duże stężenie złości w powietrzu
trudny dzień dla uczulonych na zazdrość

Kinga Gruszczyńska, Zakopane

***

Biegnąc przez gęsty las
szukam kryształowych wspomnień
których rozerwany naszyjnik
rozsypał się po równinie myśli
zbieram do kielicha marzeń
popękane kawałki
z których układam
najskrytsze chwile mojego życia...

Huśtawka

Usiadłam na starej drewnianej huśtawce
poczułam lekki powiew wiatru
który kołysał moje włosy
obudził moje wspomnienia
teraz pozostały mi tylko one
i linka starej huśtawki...

***

Idę przez ciemny zaułek
delikatne ręce dziecka
zanurzone w chłodzie
widząc zsiniałe stopy umierającego człowieka
upadam potykając się o opuszczony bucik
tracę radość życia
kryjąc się za śmietnikiem
przepełnionym smutkiem i rozpaczą

***

Umieram
moje usychające łodygi
zapatrzone w gwiazdy
szukają ciebie
wędrujesz po planetach
szukając źródła
łza tęsknoty
spływa po pożółkłym liściu
nie wystarcza już opieka trzech księżyców
czekam
aż wrócisz
i napoisz moje korzenie miłością
bym znów mogła cieszyć się
widokiem Małego Księcia

Miłość

Spotkałam ją na przystanku
akurat paliła ostatniego papierosa
po chwili zdeptała go
i obróciła się w moją stronę
ujrzałam twarz wtuloną w biały szalik
wsiadła ze mną do autobusu
i już została

****

Przechodząc przez most twoich myśli
upuściłam marzenia
które pozostały już tylko w twojej głowie

lecz nie jestem pewna czy będzie im tam dobrze
bo w końcu są moje
i tylko ja wiem co dla nich najlepsze

lecz gdy most zapada się
moje marzenia toną
a tylko resztki mostu wypływają na powierzchnię

***

Siedzę sama w ciemnej pustce pokoju
szukam jedwabnych wspomnień
które rozsypały się po szklanej posadzce
ostrożnie stawiając kroki
staram się dotrzeć do okna nadziei
zaglądając przez szybę czasu
próbuje dostrzec twój wzrok
wśród miliona innych spojrzeń
niestety wspomnienia które nas łączyły
nie wystarczają
i posadzka ze szkła zapada się
pod ciężarem mojego smutku

Jerzy „Juras” Gruszczyński, Zakopane

Gdy idziesz w góry

Kroczysz wbrew ciążeniu,
niesiesz pęd co cię popędza,
przekomarzasz się z kamieniami
i pytasz świerki o drogę.

Idziesz...
by za dnia być bliżej nieba
i na skalistych graniach
móc chmurom się wyspowiadać,
dać myśli uczesać wiatrowi.
w deszczu wykąpać wątpliwości,
a w zlodowaciałych żlebach
przemrozić lęki i zmory.

Idziesz...
by nocą być bliżej gwiazd,
pomrugać do nich.
i choć w myślach frunąć
nad skałami, dolinami,
frunąć pomiędzy gwiazdami.
tymi z nieba i tymi z ziemi
co tlą się wokół ludzkich serc.

Idziesz...
by zagłębić się w łono ziemi,
badać czeluście jej wnętrzności,
lub skalną mądrość niedoszłych,
albo i doszłych stalagnatów.
gdzie jaskiniowymi łzami
odwieczne zegary
rytmicznie mierzą czas.

Idziesz...
by przeglądnąć się w stawie
na ile jesteś już aniołem
i jakie skrzydła
nad tobą się wznoszą.
i opowiedzieć mgle
jaką to też jesteś potęgą
zespoloną z wiecznością.

Idziesz...
by wreszcie móc powrócić
do miejsca, gdzie uwiłeś gniazdo
i usiąść, lecz tym razem
już nie wbrew ciążeniu.

Kto tam

Puk, puk.
Kto tam?
Pytanie!
Oj, proszę nie wchodzić, nie odpowiem na nie.
Puk, puk.
Kto tam?
Myślenie!
Oj, nie będę myśleć, bo to już skrzywienie.
Puk, puk.
Kto tam?
Tęsknota!
Oj, nie chcę cię widzieć, tęsknić to głupota.
Puk, puk.
Kto tam?
Sumienie!
Chyba nie otworzę, bo się zarumienię.
Puk puk.
Kto tam?
Nagroda!
Ależ proszę, proszę, bo byłoby szkoda!

***

Na początku przyszła tęsknota,
potem myśl i za nią słowo.
A słowo ciałem się stało.
Miało krągłe piersi
i pachnące biodra.
I mieszkałem między nimi.

NA ROZDROŻU

Idziesz najkrótszą droga do nieba
tak cię uczono
Niebieskie odrętwienie, szczypta świątobliwości
tak ci wpojono
Pozbawiony kompromisów unosisz sztandar
inaczej wzbroniono
I kroczysz dumnie wielbiąc swe cnoty
innych odmówiono

Idziesz najkrótszą droga do piekła
chcesz uwielbienia
Majaki parzą cię zwątpieniami w to co wpojone
chcesz oświecenia
Kusisz się blichtrem, a to znów bożym darem
szukasz rozgrzeszenia
Przemykasz zaułkami świadomości z bojaźnią
pragniesz namaszczenia

I nie wiesz
Czy czasem na rozdrożu nie umyka ci życie
nie umyka ci życie

Naści

Naści moich garści, niech zda się ich ruchliwość ku chwale ojczyzny. By rozwój był żyzny. Zakasujesz rękawy, unosisz skrzydła, a tu ci niespodzianka: nie ma sprawy, ni strawy. Decydent ustawą merda, wychodzi la mierda. Właściwie nie ma ojczyzny. Same blizny. A miało być dobrze i równo pomimo mielizny, więc wszystko na gówno. Unosisz się życiodajnym honorem, a tu: Na na na naa mówią ci „trzymaj swe łapy przy sobie, bo jeszcze ci coś zrobię". Wygrzebią, wykrzeszą, przykleją. Ty nie masz racji, boś nie z tej nacji, więc nie pchaj się do interesu. Niet problema małe conieco spreparować, zwłaszcza maluczkim gdy nie zechcą być usłuszni. Słuch musi być wyśmienity, to musi być CW, Czujny Współtego, tamtego. I trzeba mieć kompletencje, a zwłaszcza społeczne indolencje. Też do samorządu co się sam umie rządzić i przy tym oporządzić.

Chciałbyś pogłówkować? A cóż ptasi móżdżek potrafi? Podziobać nieco? Siedź pod miotłą i przy śledziu śledź telewizyjne wypociny. Afera i polityki sfera – popodniecaj się teraz. Maraton humoru na poziomie psychiatrycznego dozoru. I ucz się niby demokracji, tekologii z racji biurokracji. Do paszportu głupia mina i co z ciebie? Umysłowa roślina. Numerek NIPerek Peselek Dowodzik Paszporcik. Czekaj na podskórnego czipa w jestestwie, zamiast wyrostka na przykład, albo pieczątkę na czole. Rozpoznawalny nick. Cyk, pstryk w mig. Nic nowego. Toż kiedyś Oświęcimik rozdawano ludźbratom. Psubraty? Prosimy psów nie obrażać.

Ptaki niebieskie nie sieją nie orzą, a zbierają. Zapewne to co ze stołu spadnie. Albo się wyleje. Taka samospadajka, samowylewajka. Może i samodajka. Ptak ptakowi nie równy, mimo iż oba niebieskie. Choć wolny i świata wielbiciel, to zaraz się puszy wolnomyśliciel, stawia w poprzek buntownik co to mu się filozofować zachciewa. Przez to społeczny tasiemiec, owsik zaplugawiony, zapluty reakcji krasnal od Śnieżki. Krawatu nie łaska nosić jeden z drugim? Hippis. Trzeba mu zrobić wypis. Należy izolować zanim się naćpa, zaćpa, albo i doćpa. Bo zapewne nic robić nie umie, choć i nawet magister. Najgorsze, że ma ster i sobie sterem chce być. Darmozjad jeden, darmopij, darmoplątaj co kręci się po ziemi. Fichu. Aspołeczny myśliciel stroiciel. Do izby przetrzeźwień z takimi psychicznie niedomytymi, skrzywionymi.

Drugiemu metro boulot dodo nie nada? Nie wypada? Pobrudzą się rączki od pracy bolączki? Kołowrotek na płotek. Dukaty mu się śnią i pracować bez pytania o skutki pracowania nie umie. Toć twe przeznaczenie to urzędowe przyzwolenie. A potem z racji charakteru sięga poza wódkę i już jest nasz, pan kamasz. Odwrócony w szklaną przyssawkę akcyzę równo płaci, choćby kosztem braku spodni. A z rodziny głodni. Dostatki dać wybranym, a reszcie przychylić napuszonego nieba bez chleba. Więcej nie trzeba. Wystarczy niekończąca się drabina i niebo za parawanem, może być też z procentem. Naści upojeń.

Ptaszyska zielone nie sieją nie orzą, a się stawiają. To bronią żabki, to kwiatka, to lasu. Dużo hałasu o nic, o jakąś tam autostradę. Toć pewna Ułuda Rozpuda. O środowisko robią szumy, o dom ludzki, o ekologiczne marnotrawstwo. Przecież to głupawstwo.

A ty co dzień siadasz na sedesie i chlup. Wysyłasz do Bałtyku. Załączasz śnieżnobiały listek, a żebyś się cieszył to może być też niebieski, w kwiatki, albo i różowy. Za socjalizmu szły skrawki gazety, z postacią pierwszego sekretarza par exemple. Ślup lup lug lug lup tlap dulglu dzy dzy dzy sssss... Podąża za sąsiadem. A mogło wylądować w ogródku. Na wiosnę w kwiatka pachnącego się zmienić, albo przetworzone przez naturę marchewce nadać rumieńców. Bo i ptaszek coś wydziobie, a piesek przewącha. A tak to znika w rurze i wanishuje z wezyrem, z arialem. Twu brzydacyttwa mać chemiczne zapachosmrodniki. Aaaaaaa - Radocha zepsucia! Biologii ubywa, bo miesza się z przemysłowytryskiem. Ekologii naplewać, plewić jeno opryskiem. I mielić pyskiem. Liczy się przerób na śmieci.

A gdzie segregacja odpadów? Ten nieboszczyk na lewo, ten na prawo. Proszę się nie

pchać. Zdążymy wszystkich załatwić. Na cacy, globalizacją, każdego w globulkę. Tylko nie Zet, bo mus(t) chronić poczęcie. A po poczęciu to może być już tylko życia ochronięcie. W nawias wzięcie, bo wychowywanie nie ważne. Przyrost naturalnie popędzany, by doganiać inne populacje, nacje. Chronić poczęcie, mieć polityczne zadęcie i tuczyć wiecznoświeżym pożywieniem. Z rakotwórczą wkładką zapadką, jak pod szubienicą. Nawet ponumerowaną i na opakowaniu opisaną. E dwa cztery dziewięć, a raczej E blebleble. Regulatory, konserwanty, akselbanty. Czy przyjmiesz z mojej dłoni jabłko z diabłoni?

Cywilizacyjna manna jebanna. Możesz jeść świadomie s/rakotwórcze batoniki na druciku i kleiku z kolorowych jarmarków. Biologiczna kastracja przemysłowo dzienna racja, wirtualna food animacja. Na żywego trupa zamienię przepyszne pożywienie. Konsekwencje na potencje. Dodatkowo drość, radość, zazdrość i niedość. A czasem chorość. Bez zwodu, ni wywodu z intelektualnego wzwodu. Przemyślał dietetyczny spożywczolog, artysta fetyszysta. Ząb się rozpada, w nerw wbijasz wykałaczkę. Za nim podąża dentysta sadysta, glista oczywista. Ała, ałła, oj boli. Tylko jeszcze tu skończę. Wrrrrrrrrrrrr i maszyna się natrętnie wkręca. To jej wina. Musiał skończyć, gdyż mu to frajdą chyba z ciarami po plecach. Ciar, ciar. Naści w kierunku zapaści.

A ptaszki czarne nie sieją nie orzą i też zbierają. Zapewne to co się innym podkradnie.. Trochę sprytu, pitu pitu i gość ogolony. Nawet z napletka. Especial ptasia actividad. Wchodzi do wychodka, przechodzi przez przychodnię, wychodzi bogatszy, jak się patrzy. Nie musi wyjeżdżać na zachód przed wschodem słońca, by się dokraść pierwszej finansjady. Potem już jako biznesmen racje wykłada, bo kawior zajada. Co się liczy? Dochody odchody przychody, czy chody. No to chodu na zakupy: ślimacze móżdżki, żabie cudka cudeńka, kurze nóżki, cycuszki i jemiołuszki. Różne fachury.

Siedzi komornik w przebogatej komorze, w wyremontowanym dworze i może. Nawet i nad morze. Łowi węgorze, nie orze, nie karmi w oborze, a je zbożne zboże i jeździ oglądać polarne zorze.

Siedzi przemysłowiec w przemyśle. Nawet nie musi do Przemyśla i przemyśliwa. Zawsze na wierzch wypływa. Ręka mu szczęśliwa i tylko się palec kiwa - od pogróżek ma się rozumieć. Kogobytu i jakbytu. Kiedybytu i którędybytu. Nagarnia, nadgarnia bytu i wydobywa istotę nie swym, a cudzym potem. Potem ręce i suknie umywa. Nawet nie trzeba ich prać, bo i tak nie będzie znać.

Siedzi handlowiec i ładuje na parowiec. Mnogość towaru i owiec. Baranów i bukszpanów. Konkurencja i inwencja, uczciwa intencja. Właściwa proweniencja. Z pokolenia na pokolanie poprzez wykolegowanie. Ja nie bedem marnowić życiorazu. Co mie obchodzi, jo pon z krwi i sakiewki. Kupitalizm mie wykupił, wyzwolił. Osło bodził. Kupa tego by powiadać, ale nie sie spowiadać. Za dużo byłoby szczegółów uf. A to w nich te chwile, co diabeł siedzi. Pote pudem do nieba, bo odkupiem brak sumienia za sru mienie. Zapiszem temu i siamtemu, ale nie owemu, bo mi nie pasował do tandemu. Też nie użyczył haremu.

I tak jeden drugiego zżera, a z innym się zażera. Natomiast ciebie na obżarstwo nie stać. Zaledwie podjadasz, pracujesz i na rozkaz głupio gadasz. Naści na liszaje maści.

Ptaki różniaste. Jako siedlisko ptaków would wood be good? Rośnie sobie taki las demokratycznie. Jedno drzewo niebosiężne, inne w cieniu sąsiada, mniej rozwojowo. To znów rozszczypane przez piorun, a tu karłowate, bo zasiało się niewłaściwie. Złe pochodzenie. Punktów w lesie nie dają. Drzewa rosną i umierają stojąc.

Człowiek potrafi na szpitalnym. Wypchany przez bliźnich pampersami starości. Takim pomocnikiem, nibynocnikiem w kolejce do przychodzenia, odchodzenia. Pan odszedł in nomine Patris. Z tęsknoty za panem pies zdechł, bo nie był wart umierania. Był zaledwie dozgonnie wierny. Inny zmarł na zakręcie i jeszcze chwilę trzepotał się rozbryzgany po szybach. Różnie się odchodzi.

A pradziad na zesłanie. Z dala od czegokolwiek bliskiego, na ostateczne zkakanie.

Mięśnie popuściły i wypadło, jak jajko z naciętej skorupki. Wypsnęło się w gacie i przyskwiera na słońcu, jak na maśle. Wrzucili bez obmycia do dołu. Zdołowali. I jakby chciano psychicznie. Nikt nie wyszeptał choć słowa: Pomnij. Czy kochaj bliźniego swego, jak szczura podwórkowego. A potem naści do garści. Nawet nie urna z prochem, a jeno wspomnienie na wietrze rozsiane. Albo nieraz przekłamana relacja, co się zaciera jak odcisk stopy rozmywany deszczem. Czas leczy, czas w proch zamienia, z prochu buduje i krąży. Qui sait?

Bo wczoraj przemija co dzień. Na zawsze. Więc naści ptaku jeszcze jeden dzień życia. To ewangelia na dzisiaj...

Krzysztof Kokot, Nowy Targ

Nowotarskie Fraszki Zgryźliwe

Dziwne moje miasto, niech zaprzeczy który!
Jak doszło do tego? A fakt to jest znany.
Powszechnie kojarzyć z symbolem kultury,
Obiekt przy fontannie – zdobionej w barany.

*

Wietrzyk niesie fetorek,
Upał przynosi smród,
Miasto – perła Podhala,
Zarazy nie ma. To cud!

*

Ocknął się święty Jan z rana,
I tak rzecze do Orkana:
- Brak nam było tu na Rynku,
Zimnego piwka wyszynku.
Niech potwierdzi ceper luby,
Że górale – mocne czuby.

Problem ciebie też dotyka,
Spójrz Burmistrzu na tych gości!
Czapkę sobie zrób Stańczyka...
Z ustawy o... trzeźwości.

Lotnisko

Ni samolot, ni szybowiec
Tylko łazi kierdel owiec.

Bilet do...

nasyp
bez szyn, porośnięty bujnym chwastem,
kreśli łuk prowadzący do nikąd

semafor
zastygł z opuszczonym ramieniem,
zatrzymał czas i szczątki nadziei

stacyjka
pamiętająca cesarza pusta
patrzy ślepo bezszkłymi oknami

peron
omieciony jesiennym wietrzykiem,
gotowy przyjąć spóźnionych gości

stary
zawiadowca wsparty na lizaku
czeka na swą ostatnią odprawę

bilet
na życie opłacony już dawno
prolongowano, na jak długi czas?

Destylacja

Czy biograf to pamięta?
Czy też absurd w głowie świta?
Z destylacji brudnej ropy,
miała powstać okowita.

Do apteki karczmarz przyniósł
w dużej butli skalny olej.
Łukasiewicz miał mu zrobić;
wódkę – taka rzeczy kolej.

Płyn nie nadał się pod śledzia,
mimo trudów prowizora,
stąd to pomysł oświetlania,
gdy przychodzi zmroku pora.

Prometeusz! Wielki Polak!
Dziś osoba wszystkim znana.
Lampkę zniosła już historia,
wódka nadal w gardła lana.

Naród ciągle doskonali,
nawet dzisiaj – nie mam racji?
Pewną prostą technologię,
opartą na destylacji.

Gdzieś na świecie

Wokół cisza, jeszcze ciemno,
W Piekielniku kogut śpi,
A kubańczyk po kolacji
Hawańskie cygaro ćmi.

Wczesny ranek nad Orawą,
Doją krowy gospodarze,
Na Syberii jedzą obiad,
Tam południe na zegarze.

Gdy w Orawce i Lipnicy
Dzieci spieszą się do szkoły,
Hindus chroniąc się przed żarem,
Gna ku rzece swoje woły.

Już południe, dzwon donosi,
Od Zubrzycy do Jabłonki,
Brazylijczyk wstaje z łóżka,
Gdzieś w dorzeczu Amazonki.

U Moniaków kot się grzeje,
Obiad pachnie już od progu,
Na dywanik Arab klęka,
Dzięki składa swemu Bogu.

Ludzie w Chyżnem po robocie,
Słońce niżej na zachodzie,
Hen, na wyspach Polinezji,
Na łowiska płyną łodzie.

Noc zapada nad Orawą,
Wy zapewne już to wiecie,
Że nie wszędzie teraz ciemno,
Słonko świeci gdzieś na świecie.

Inny świat

Zanurzone w ciepłej jesieni,
Wąskie uliczki żyją,
Swoimi drobnymi sprawami.
Nuda zaprasza do plotek,
O wielkim świecie,
Zaczynającym się hen,
Przecznicę dalej.
Aromat powideł sąsiada,
Miesza się z pianiem koguta.
Na rogu sklepik,
Kusi czerwoną oranżadą.
Znajome psy,
Przyjaźnie witają powracających,
Z innej czasoprzestrzeni,
Do siebie.
Do ciasnych uliczek,
Minionego świata.

Gorczańska kaplica

Przyklękła na psiorce,
pod samym Turbaczem,
niepozorna i skromna.

Pokorni gazdowie,
biją się w piersi,
dziękują i proszą.

Wiatr modły unosi,
nad smreki, nad szczyty;
stąd do Boga bliżej.

Kilimandżaro

Wyjdź na ganek, obuj buty,
nawet gdy się czujesz staro!
Piękny ranek, szlak prowadzi,
na polskie Kilimandżaro.

Coraz wyżej, las wysoki,
raz słoneczko, to znów szaro,
dusza śpiewa, oczy patrzą,
na polskie Kilimandżaro.

Ciężki plecak, mokre czoło,
trudy pokonamy wiarą.
Jak zdobywcy tam staniemy,
na polskim Kilimandżaro.

Może

Może wiary
może nadziei
może miłości
człowiekowi trzeba
by
morze wiary
morze nadziei
morze miłości odkryć
i wejść do nieba
cnym.

Martwa natura

Wspomnienia,
Malowane ciepłem jesieni,
Rozmytymi kontrastami babiego lata,
Jak jabłka z kosza,
Na koronki wysypane,
Pozują do martwej natury.
Kość słoniowa pianina,
Zmęczona graniem,
Śmieje się z wiatru,
Zaplątanego w sieci firan.
Słoneczne motyle migocą,
Na pięcioliniach partytury
„Le Quattro Stagioni”.
Odpoczywam w cieniu życia,
Winna latorośl łapie dźwięki,
W pożółkłe liście minionego lata.
Jesień w pastelach życia,
Szeleści minionym czasem.

Może się mylę

Idziesz przez życie
zostawiasz ślady
zmywane falami zapomnienia
obróć się, a usłyszysz
bezkarny chichot żywota
kontentego twą bezradnością
spójrz – przed tobą,
horyzont przeznaczenia
grzęźnie w mozole codzienności
nad głowa padlinożercy
dopiero wyżej, błękit nieba,
szukasz pomocy, gdzie ona?
l i n a r a t u n k o w a
nie licz na cud, anioł stróż drzemie,
jeszcze kilka kroków,
spazmów bezładnych
potem duszę zawieje piach
bezbrzeżnej obojętności
a morze...
a może się mylę?

*** * ***

podejdę do ciebie
z wyciągniętą ręką
prosząc...
o dobre słowo
serdeczny gest
jak mnich buddyjski
o drobinę ryżu
do miski ofiarnej
sprawdzę...
naukę doczesnego życia
czy miłosierny samarytanin
pozostanie perłą
stanowiąc wzór niedościgniony...
nie bądź zaskoczony
gdy role się odwrócą
a ty w potrzebie
zostaniesz poszczuty psami
nieczułego sumienia

Schronisko minionego czasu

Ponad chmurami
schronisko minionego czasu.
Widok gór świata,
roztacza się stąd niedoczesny.

Postacie – majaki,
toczą nieme dysputy,
patrząc w zadumie,
ku bezpowrotnej Ziemi.

Pasterski dzwonek pobrzękuje,
u drzwi nowi goście.
Doszli... strudzeni tułacze!

Zgasły ich świece w lichtarzu życia,
a krzyż mogilny,
czasem tylko w sercu.

Spotkanie

Płatkami mokrego śniegu pachniesz miła,
Przychodząc zimowa porą, niesiesz ciszę,
Tajemnic szkatułę, która uwodziła,
Zagadką niezwykłą, bladych twarzy mniszek.

Białości karrary nagie światło zbliża,
Namiętność różowi piękne lico twoje,
Pieszczota miłosna wargi koral zwilża,
Zegary odeszły, śnimy tylko dwoje.

Anna Kram, Stare Bystre

060923

Rozdział 1
Oczy, wieloryb, dąb

Było pochmurne popołudnie – zanosiło się na deszcz, ale jednocześnie miała pewność, że nie spadnie ani jedna kropla. Cicho wymknęła się z mieszkania tak, żeby nikogo nie zbudzić, choć nikt oczywiście nie spał o tej porze – to senność tego dnia sprawiała, że zachowanie jej, jak i reszty domowników i chyba całego podwórka, miasta, świata przypominało somnambuliczny trans. I pewnie dlatego też zrodził się w niej ten lęk, by zbytnią żywiołowością nie zakłócić obecnego porządku.

Na ulicy, podobnie jak w środku, panował gęsty półmrok. Gdzieś spoza ściany ciszy dawał się słyszeć szmer mantrującego wiatru, któremu wtórowały ocierające się o siebie, wyschłe konary kilkudziesięcioletnich Drzew.

Nieśpiesznie opuściła klatkę schodową, czując na sobie skupione spojrzenie nieobecnej pary oczu. Lustrowały każdy szczegół jej powierzchowności, odnotowując fałdy na nieuprasowanej koszuli flanelowej (własność starszego brata), ślady atramentu na podwiniętych do połowy łydek dżinsach i jak zwykle naganny stan uczesania głowy, która z grzebieniem czy szczotką wciąż rozmawia per Pan/Pani. Czuwający wieloryb i nietoperz na czubkach tanich trampek zapobiegały ewentualnym upadkom przy przeskakiwaniu co drugiego schodka, zaś na pozór nie mające znaczenia hieroglify na przedramionach i wewnętrznej stronie dłoni naprowadzały najlepiej wyostrzony zmysł dotyku w stronę *wyjścia,* tj. wzdłuż żywopłotu, przez pełen zagrożeń w postaci rozrzuconych zabawek i grubego żwiru chodnik, w stronę przejścia dla pieszych, dalej wzdłuż łańcuchowej barierki (za przejściem w prawo), w stronę ogródka, później w lewo, ściana bloku, dalej prosto i o trzy godziny w prawo. Drabinki. Sprawdzić stan kory na pniu starego dębu. Zostawić kartkę za naderwaną skórą Drzewa.

Oczy wbiły się w jej stopy. Te zaczęły ciążyć jak kolumny starożytnych świątyń i zatrzymała się na moment. Podciągnęła skarpetkę. Skinięcie głowy należącej do oczu. Uśmiechnęła się lekko w duchu na myśl o jego subtelnym pedantyzmie i ruszyła dalej.

Poruszając się po trawie, nie po chodniku (zbyt ryzykowny hałas wdzierających się pod podeszwy ziarenek piasku i żwiru), minęła kolejny blok. Weszła na ulicę. Naprzeciwko T-skrzyżowania sklepik z uchylonymi drzwiami i dobywającym się z wnętrza monologiem dziennikarza prowadzącego audycję na temat statystyk letnich wypadków samochodowych. Przejść drogę i w prawo. Wejść w kolejne osiedle. Poruszać się wzdłuż bloku, po jego tylnej stronie. Raz, dwa, trzy… skupić uwagę. Ósmy krok. Dziewięćdziesiąt stopni w lewo, trzy kroki, dąb. Kartka. Dzięki tobie.

Był to typowy blok komunalny – szara bryła betonu i cegły, poszatkowana równomiernie oknami i balkonami przy co drugim oknie. Trzy zadaszone wejścia, na ścianach anteny satelitarne, poniżej kwiatowe ogródki, krzewy. Na wprost pierwszych od lewej drzwi, oddalony o jakieś pięćdziesiąt metrów plac zabaw. Obok (na prawo) niskie garaże. Dalej chodnik prowadzący do kolejnego osiedla, takiego samego bloku stojącego pod kątem prostym w stosunku do pierwszego.

Chodniki zaczynają się czy też kończą przy każdych drzwiach, łączą kilka metrów od nich w jeden, oplatający frontową część budynku i na końcu krzyżujący się z kolejnym chodnikiem, tworząc tym samym siatkę prostopadłych ulic. Jak w średniowiecznych miastach opartych na prawie magdeburskim.

Dystans między jej osiedlem a osiedlem-celem to piętnaście minut za dnia, czterdzieści w transie. Nie pomijając żadnego z Braci dotarła niemal na miejsce – niemal, bo zatrzymała się na tyłach garażu, gdzie chronił ją przed spojrzeniami ospałych przechodniów przepełniony śmietnik emanujący nieodłącznym sobie odorem niechcianych resztek przedmiotów i porzuconych strzępków garderoby. Zaszyła się w tych niesprzyjających, ale bezpiecznych warunkach. Czekanie. Pięć minut. Dziesięć. Trzynaście i trzydzieści sekund. Otworzyła oczy, wstała, przywarła plecami do chropowatej ściany garażu. Czternasta minuta. Piętnasta by przejść chodnikiem przed Celem i umożliwić mu jej zauważenie. W lewo, w lewo, zniknąć za jego ścianą, w jego cieniu.

Rozdział 2
Kaśka

Uparty liść spada z parapetu na moje ramię. Chyba wcześniej zaplątał się w pajęczą nić, bo potrząsam barkiem a on nie spada.

- Za dziesięć siódma, wstawaj, wstawaj Karola – cichy szept mamy dociera wreszcie do mojej świadomości i w tym momencie otwieram oczy. Szeroko. Mrugam dwa razy, zauważam maminą dłoń delikatnie gładzącą moje ramię.

- Cześć, mamo – mówię i jednym ruchem odrzucam grubą warstwę puchowych kołder. Zastanawiając się nad wrażeniem jakie wywarły na mnie liściaste opuszki jej palców zaczynam proces porannego wstawania. Najlepiej zacząć szybko. Wyskoczyć z wysokiego łóżka, pogalopować do łazienki. Lodowatą wodą przemyć oczy, niemiłosiernie twardą szczoteczką ożywić dziąsła i wypolerować kosteczki w jamie ustnej. Jeśli nie zajęło to zbyt dużo czasu – a zwykle zajmuje jednak dużo – uczesać jeszcze kołtuny. Z powrotem do pokoju, by zasłać łóżko, wciągnąć naprędce spodnie, ciepłe (niezależnie od pory roku) skarpety, jakiś top, T-shirt, koszulkę, bluzę, sweter. Mnóstwo ubrań na zmarznięte ciało.

Z dołu słychać już niecierpliwe szemranie brata. Zgarniam pozostałości notatek, zeszytów i książek do niebywale pojemnej torby, suwak w ruch, ostatnie spojrzenie na pokój, zignorowanie otwartej szafy i kilku książek płaszczących się w bezwstydnym otwarciu na podłodze, fotelu, biurku.

- Smacznego. Cześć. – I siadam do stołu, i wstaję, i nalewam sobie herbaty, kawy i zaglądam do lodówki (odruch serożercy węszącego zdobycz), mamie przez ramię, do szuflady z pieczywem, do stołu. Kilka minut, ułamki rozmów i wzajemnych pretensji, i powodzenia w pracy, w szkole, i wychodzimy – ja, tata i brat.

Kaśka ma sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, pełne usta i proste włosy z sięgającą niżej brwi grzywką. Nosi się zawsze szykownie – czółenka obszyte koronką czy wiązane na wstążkę lekkie pantofelki na niewysokim obcasiku plus nienagannie skrojony żakiet z broszką w kształcie kiści winogron, pucharu cytrusów czy dwóch połówek jabłka. Ta broszka to jedyna biżuteria jaką ma na sobie – nie zobaczysz w jej uszach kolczyków, bransoletek na nadgarstkach, koralików wokół szyi, ani nawet spinek we włosach.

Dziś ma na sobie króciutką marynarkę koloru suchej skórki pomarańczy, czarną plisowaną spódnicę za kolana i pantofle tego samego koloru. Stroju dopełnia zgniłozielona torebka ze sztruksu, z wyszytym na niej pomarańczową nitką konturem żonkila. Broszkę w kształcie soczystej mandarynki przypięła Kaśka do torebki, właściwie to do jej ramienia. Teraz poprawia Kaśka to ramię, które uparcie zsuwa się z jej własnego i zauważa zbliżający się cień. To ja się zbliżam, ale Kaśka zatonęła w swych myślach i nie usłyszała moich ciężkich kroków.

Poznałam ją niedawno, bo dopiero w zeszłym roku. Siedziała pochylona nad podręcznikiem do biologii i pilnie – tak wtedy sądziłam – studiowała anatomię człowieka, nieznacznie poruszając wargami spragnionych wiedzy ust. Lekko wysunięta dolna warga nabrzmiała krwią. Zagryzana raz po raz przemieniała się w obraz paradoksu – jej soczysta czerwień przywodziła na myśl dojrzałe czereśnie, jednocześnie zaś bruzdy jakie tworzył spękany naskórek przypominały porzucony przez wybrednego smakosza wysuszony owoc. Obok niej siedziała Dominika – moja koleżanka z klasy, a jak się później okazało – bardzo dobra znajoma Kaśki. Wychowały się w jednym ogródku, razem kończyły podstawówkę i gimnazjum. Dominika zobaczyła mnie wtedy, opartą o przeciwległą ścianę korytarza i przywołała śmiejącymi się oczami.

Cześć, cześć i Kaśka podnosi spojrzenie znad książki, na której stronach zauważam drobne, odręczne pismo ukryte między wersami.

- To Karola, a to Kaśka. Moja classmate, i moja ten… była, to znaczy w starej szkole siedziałyśmy razem w ławce przez kilka lat. Poznajcie się. Ale dziwna sprawa. Już rok jesteśmy w tej samej szkole, a wy się nie znacie. Bo ty się Karola zawsze spóźniasz, wiesz. A tak w ogóle to co się stało, że dziś tak wcześnie – szczebiocze Dominika. Już mam coś odpowiedzieć, ale uprzedza mnie dzwonek wzywający na pierwszą lekcję. Dominika zrywa się gwałtownie i chwyta mnie za ramię. Jest tak strasznie punktualna! W mgnieniu oka jesteśmy na schodach, piętrze, przed wejściem do sali. Kaśce zdążyła Dominika krzyknąć pośpieszne hej, ja tylko skinęłam głową.

Tyle pamiętam z poznawania. Później po prostu znałyśmy się. Od razu – bez okresu grzeczności, standardowych rozważań nad stanami pogodowymi – zżyłyśmy się z sobą.

Rozdział 3
Noc

Po drugiej stronie była świątynia. Potężne wrota, które otwierała napierając nań całym ciałem drobnej kobiety, zdobione permanentnym dłutem anonimowego rzeźbiarza tonęły pod zasłoną bluszczowej kotary. Czy to przez wzgląd na zbliżającą się jesień, czy też z powodu harmonijnego współgrania z promieniami zachodzącego za horyzontem słońca, rozłożyste liście pokrywające zmurszały mur mieniły się tysiącem odcieni złota i purpury. Nawet postaci świętych spoglądające z witraży wysokich okien nie promieniały takim blaskiem, jak każda cząstka ciała rośliny. Strzeliste wieżyczki kościoła rozrzucały po dziedzińcu tajemnicze cienie, spod których nieśpiesznie wyłoniła się jej postać.

Szła wyprostowana, z głową lekko uniesioną i rękoma zwieszonymi bezwiednie wzdłuż ciała. Wzrok jej utkwiony w bogato zdobioną tabliczkę na monumentalnych drzwiach bezskutecznie próbował odczytać łaciński napis. Nie zniechęcona tym oplatała spojrzeniem malowidła pieszczące delikatnie gotyckie litery, jedną po drugiej poznawała każdą wypukłość i każdą ostrość dźwięcznych głosek. Wreszcie zamknęła oczy. Promieniujący chrzęst otwieranych wrót świątyni wstrząsnął jej ciałem i duchem. Wciąż nie otwierając oczu, a wytężając maksymalnie nie najostrzejszy jej zmysł – słuch, podążała wzdłuż nieistniejącej ścieżki. Gęsty las. Nisko zawieszony pomost mgły. Co rusz, co krok jest mrok; co rusz, co krok mimo ciemność radośnie pnące się do góry, wśród szaleństwa wieczornej zabawy porywanych w taneczny krąg barwnych liści, co rusz, co krok pochylone nad szemrzącym, lecz tylko gdy zbliżyć się doń na zanurzenie w jego odmętach spragnionych ust strumieniem – Ono.

Ono – dumne, ono – pokorne. Tętniące życiem, próbujące bez skutku wypluć je wśród wysokich traw poszycia leśnego.

Miarowy stukot to natężał się, to gasł w uderzających o kamienne przejścia prądach potoku. Szła pewnie, ani na chwilę nie tracąc orientacji. Prosto w chmury, których pędzące kłębowisko widziała wprost nad sobą, jednocześnie nie przechodząc na drugą ich stronę. Zatopiona we mgle nie zauważała nawet jak powoli, powoli, jej kroki stają się coraz mniejsze, a dłoń podnoszona do oczu w celu osłonięcia ich przed nachalnymi konarami drzew opóźnia swoje zadanie. Nie wiedzieć kiedy znalazła się w dolinie. Ze wszystkich stron otaczały ją potężne pnie ubrane w chmurną woalkę. Uniosła oczy do góry, i nagle nie stała już pod Drzewem. Zamarła w bezruchu nie przyjmowała żadnego namacalnego kształtu – nie była kobietą ani dziewczyną, nie miała ani rąk, ani stóp, trzewików ani dłoni. Wciąż z uniesioną głową próbowała przebić się spojrzeniem przez śnieżną biel. Nieistniejącymi dłońmi wpierw chwytała zagęszczone powietrze, swój własny, nieistniejący dekolt, talię, biodra. Na nic. Mgła pochłaniała ją ze wszystkich stron, zagarniając w siebie centymetr po centymetrze ciało Kamili.

Oczy, oczy, pnie.

Zaczęła wirować. Obracając się wokół zapamiętanej osi ciała, otworzyła oczy szeroko. Pęd nie przeszkadzał, nie szczypało mleczne powietrze.

Raz, dwa, trzy – zajęła się liczeniem szarych konturów drzew.

c.d.n.

Andrzej Milewski, Nowy Targ

Wywrócone ostatnim halnym drzewo życia

mówi do mnie otwarcie
i wprost
jak
nigdy wcześniej
swymi korzeniami
opowiada
i spogląda
jak
brzemienny śmiercią
stary człowiek
właśnie usechł
i zamienia się
w życiodajne próchno
z którego będzie czerpać siłę
drzewo młode
smagane przez wiatr życia

Dziecko Aniołów

(fragment)

Zdyszani przybiegli na wskazane przez kobietę miejsce. Oddychali ciężko i głośno. Żołnierz, urzędnik, dwie kobiety, dwóch kapłanów, kilka osób z tłumu i uczniowie. Stali w kłębach piasku i kurzu przed grobem, który był pusty. Wpatrywali się w opuszczone miejsce oddychając coraz wolniej, rzadziej, ciszej i ciszej.

Piasek opadł. Skały z pustynią budziły się w promieniach porannego słońca pnącego się ciężko w górę.

Kurz opadł.

Zapanowała idealna cisza.

Tylko pusty, jasny grób wołał do niemych ludzi: Widzisz mnie? To ja, cel twój, ...wój, ...ój, u mnie znajdziesz spokój, ...pokój, …kój, ja jestem twoją przyszłością, ….szłością, …….ością, twoim domem i twoją radością, ...dością, …ością.

Obudziłem się.

*

Dokąd idziesz?
Do swego zamierzonego celu
Czy marzyłeś o nim?
Tak marzyło wielu
Ale kim jesteś?
I dlaczego?

*

Tego wieczoru wybrałem się z Dorotą na wernisaż wystawy do nowotarskiej galerii „Jatki". Autorka prezentowała swoje prace spontanicznie zapisywane, malowane lub rysowane w plenerze. Pustynne góry o fantastycznych kształtach na jej obrazach przypominały ruiny zamków, przedmioty, bądź innym razem dziwne księżycowe krajobrazy w odcieniach brązu, ochry i sepii. Jest w tych obrazach przetworzona z palety barw temperatura gorących, pustynnych dni, zatrzymany w bezruchu wiatr nanoszący z lekka drobiny piasku i drgający falami żaru afrykańskiego rozmazany horyzont, za którym kryje się tajemnica.

Wernisaż przerodził się w dwugodzinną fascynującą rozmowę przeplataną wykładami o sztuce, w której uczestniczyła autorka i grupka słuchaczy, Dorota i ja.

Pozostawiliśmy po sobie tego wieczora tylko wpis do kroniki:

Za naszą wyprawę!
Oczy wpatrzone w obrazy,
Które były tam gdzie ona
Tylko dziewięć tysięcy lat temu
A już ruchome piaski niepamięci
Pokryły pustynię
Oczy wpatrzone w nią
Która była tam gdzie jej obrazy
Beduini na wielbłądach
Kolejna lampka wina i na zdrowie!
Za naszą wyprawę
Malowidła jaskiniowe
Sprzed dziewięciu tysięcy lat
Dłonie połączone żarem

My tam byliśmy
Palmy
Nosorożce
Oazy
Skały
Kolejna lampka wina i na zdrowie!
Ukryte piękno na zawsze
To była nasza najwspanialsza podróż
W pani fascynacje
Dorota i Andrzej

Część I

Było to tuż po Walentynkach 2000 roku, kilka dni przed występem nowego zespołu nowotarskiego, który miał się odbyć końcem lutego w kawiarni „Plama". Zespół założyli na początku stycznia Andrzej i Dziadek. W czerwcu ubiegłego roku pokończyli szkoły i mieli dużo czasu na własne zainteresowania.

Dziadek - to oczywiście pseudonim - pochodzi ze znanego rodu nowotarskiego, pisze wiersze i fraszki, maluje, wydał nawet kilka tomików własnych utworów. Kupił właśnie swoją pierwszą gitarę od Syfona. Andrzej swoją starszą już o kilka lat *jolę* wykopał z piwnicy. Dokupili wzmacniacz od Antka, czyli człowieka zwanego w mieście Koniem. Taki pseudonim otrzymał po tym jak podobno po powrocie z kościoła zabił swoją żonę jednym kopnięciem nogi. Dziadek wymyślił nazwę: *The Calecs*. *The Calecs*, ponieważ wszyscy artyści na początku swojej drogi niewiele umieli. Dziadek pomyślał szerzej, wszyscy ludzie na świecie nie są idealni: tak ciałem, jak i duchem. Idealne są tylko Anioły i tylko one pomagają ludziom dojść do doskonałości.

Właśnie skończyło się dwudzieste stulecie. Zaczynał się nowy rok, nowe stulecie i nowe tysiąclecie. Uważali, że wkrótce zmieni się cały świat.

Program zespołu brzmiał:

Niech żyje praca!
Niech żyje przyjaźń!
Niech żyje wzajemna pomoc!
Niech żyje WIARA, NADZIEJA I MIŁOŚĆ!!!

To był Czas Odnowy Ducha. Czas gdy Anioły schodziły na ziemię. Gdy zimowe noce stawały się białe od spadających z Nieba Aniołów. Anioły małe i duże, niskie i wysokie, z białymi i złotymi włosami, wszystkie chciały schodzić na ziemię.

Zaczęli grać, komponować i śpiewać. Dziadek grał od niedawna, Andrzej od kilku lat, ale z przerwami. Andrzej śpiewał krótko, wiedząc, że śpiew nie jest jego mocną stroną. Dziadek zaś przerwał śpiewanie kilka lat temu, gdy był w szkole. Jeśli chodzi o komponowanie, to nigdy tego nie robili, ale słuchali dużo muzyki. Byli przygotowani jedynie teoretycznie. Jedną z pierwszych piosenek do słów Dziadka i wspólnej kompozycji była ballada *Mai Lai* opowiadającą o tym jak dziecko oglądające w telewizji sceny wojenne nie reaguje na krew i śmierć.

W następnych tygodniach do zespołu dołączył Marcel, wokalista i klawiszowiec. Marcel gra, maluje i rysuje. Jest ciekawym człowiekiem. Dużo podróżuje. Gdy był w Niemczech brali go za Niemca, w Pradze za Czecha, a w Polsce za cudzoziemca. Podobno był w Afryce i widział plemię, którego członkowie rodzili się z ogromnymi stopami. Podczas deszczu kładli się na plecach i używali ich jako parasole.

Marcel ma dziewczynę we wsi pod Nowym Targiem, do której jeździ na rowerze. Kiedyś przyjechał do niej w niedzielę, w stroju arabskim. Pędził przez wieś główną drogą i pozdrawiał po arabsku wszystkich górali, którzy wybiegali z ciekawości na drogę. Kilka lat temu potrącił go samochód na pasach, na skrzyżowaniu ul. Szafarskiej i Kopernika. Od tego zdarzenia pogłębiła mu się wada wzroku, musi nosić specjalne okulary i widzi tylko z bliska.

Tamtego wieczoru Andrzej, Dziadek, Marcel i Ela siedzieli przy swoim ulubionym stoliku w „Plamie", mieszczącej się w starej kamienicy przy Kościelnej, naprzeciw nowotarskiej galerii. Pili i rozmawiali. W pewnym momencie właściciel lokalu podszedł do nich i powiedział, że jest tutaj osoba, która ma podobne zainteresowania, co oni. Po chwili do ich stolika podeszła dziewczyna niewysokiego wzrostu, ubrana w dres, z długimi blond włosami i o ładnej twarzy. Przedstawiła się imieniem Dorota. W trakcie rozmowy zaproponowali jej współpracę z zespołem *The Calecs*. Nie dała jednoznacznej odpowiedzi, ale zaczęli wymieniać się doświadczeniami z poprzednich imprez i wyobrażali sobie, jak mógłby wyglądać ich ewentualny wspólny występ. Doszło do pierwszych rozbieżności. Dziadek chciał dostać pieniądze już po pierwszym występie, Andrzej uważał, że najpierw trzeba wystąpić za darmo, a dopiero za drugim, trzecim razem zaproponować cenę. Dorota zgodziła się z Andrzejem. Dziewczyna miała ze sobą swoje wiersze. Dała Dziadkowi do przeczytania. Po przeczytaniu stwierdził, że nadają się do druku. Andrzej też je przeczytał. Tylko raz. Nie zachwycił się nimi i bez słowa oddał je dziewczynie. Ona nerwowo zmięła kartki mówiąc, że ma lub może mieć takich wierszy bez liku i rzuciła je w kąt. Andrzej natychmiast je podniósł i schował pod bluzę, żartując, że teraz są bliskie jego sercu. Dorota uśmiechnęła się szczerze, choć smutno i podziękowała swojemu Aniołowi.

Andrzej i Dziadek opowiedzieli jej o zespole. Mówiła mało o sobie, wspominając tylko swój jedyny występ publiczny. Coraz częściej natomiast do rozmowy włączała się Ela, natarczywie wpatrując się w chłopaka. Wymykał się spod jej spojrzeń. Na koniec Ela zaprosiła wszystkich do siebie.

Wyszli z „Plamy". Był ciemny lutowy wieczór, którego mrok rozpraszały tylko lampy uliczne, światła z okien domów i reflektory samochodów. Był duży mróz. Szli powoli po skrzypiącym śniegu w stronę kościoła św. Katarzyny i bawili się jak dzieci, podobni do Aniołów bez skrzydeł. Jedynie Marcel był ostrożny, bo niósł swoje klawisze. Minęli kościół patronki Nowego Targu i weszli na Rynek. Wszystko było pokryte świeżymi białymi płatkami. Andrzej zauważył plakat na ścianie, zatrzymał się, by przeczytać.

- Widziałem informacje o kursie tańca towarzyskiego, może się zapiszę.

- Chciałabym z tobą chodzić na ten kurs – powiedziała Dorota, nie patrząc na niego.

Ucieszył się. *Byłaby okazja do bliższego poznania się* - pomyślał.

Minęli Rynek. Dorota odłączyła od grupy i pobiegła do domu po gitarę znikając w jednym z domów przy ulicy Ogrodowej. Po kilku minutach wróciła z instrumentem i cała grupa skierowała się w stronę bloku Eli. Minęli Nowy Kościół i weszli na pustą i zaśnieżoną ulicę Królowej Jadwigi. Pojedyncze płatki śniegu spadały wolno z nieba odbijając swą biel w światłach ulicznych lamp, które wyglądały jak szczupłe damy z pochyloną głową.

Dotarli na Osiedle Topolowe. Gospodyni zrobiła gorącą herbatę. Andrzej wyciągnął wino. Ela przyniosła kieliszki i wznieśli pierwszy toast. Dorota zaczęła śpiewać i grać przy wtórze klawiszy Marcela. Wszyscy śpiewali razem znane piosenki. Anioły były szczęśliwe. Wypili drugą kolejkę.

Później Andrzej wszedł na łóżko i zaczął tańczyć *Jezioro Łabędzie* wymachując swoimi spodniami-dzwonami. Ela przeczytała wiersz: *Anioł Pokoju*, dedykowany Andrzejowi i znów wbiła w niego wzrok, trzepocząc powiekami jak motyl na łące i uśmiechając się z mocno zaciśniętymi ustami przez pół głowy. Wyglądała jeszcze bardziej nienaturalnie. Gdy skończyła, popatrzył głęboko w jej oczy i zapytał:

- Czy ten Andrzej, któremu zadedykowałaś wiersz, to ja?

- Tak - odpowiedziała twierdząco Ela. Jej powieki zatrzepotały dwa razy szybciej, usta owinęły się wokół głowy, a oczy przeżyły pijany orgazm.

Pierwszy raz ktoś napisał wiersz o Andrzeju i dla niego. Poczuł się szczególnie wyróżniony. Marcel siedzący i grający naprzeciw Andrzeja i Doroty, odłożył swój instrument i poszedł do ubikacji.

- Jego rodzina mówi, że ma depresję i powinien się leczyć. Inni uważają, że jest obłąkany. Mówią na niego Diabeł Podhalański – powiedziała Ela - Marcel jest protestantem. Kilka lat temu, gdy wprowadzono religię do szkół publicznych, jako jedyny z całej klasy nie chodził na lekcje religii. Przezywali go Luter, heretyk, sekciarz, kociarz. Raz został pobity. Podobno rok temu złapali go w Amsterdamie schowanego w przesyłce do Kolumbii, po tym jak wysłał się sam w paczce *Pocztą Polską*.

Anioły usłyszawszy to zasmuciły się.

Marcel wrócił i zaczął rozmawiać z Dorotą. Ela, z drugiego końca stołu zaczęła coś mówić o komunistach, a Dziadek wyciągnął kajet i zaczął czytać swoje nowe wiersze. Andrzej siedział teraz już mniej rozmowny, obok Doroty, z głową na oparciu przyglądając się uważnie Marcelowi. Od czasu do czasu spoglądał na profil Doroty, co raz natrafiając na jej spojrzenie. Byli już zgraną i zwariowaną grupą przyjaciół. Wino kończyło się.

Rozmowy zaczęły się zamieniać w gwar kawiarniany. Andrzej ożywił się i co jakiś czas krzyczał, że jest super, i że wszystkich kocha. I tak trwał ten wzniosły wieczór, na który długo czekały Anioły, aż do chwili, gdy Ela nazwała Dziadka obłudnikiem. Dziadek żalił się, że w każdą niedzielę musi chodzić do Kościoła. Na to Ela, że nikt mu nie każe. Dała Andrzeja za przykład mówiąc, że chodzi do Kościoła wtedy, kiedy czuje potrzebę, i że jest przecież wierzący. I zaraz dodała, że nie trzeba być w każdą niedzielę i święta na nabożeństwach, żeby żyć według przykazań. Tu nastąpiła jakaś rozmowa o duchowieństwie.

- Boga nosi się w sercu, a nie w niedzielę przez godzinę – powiedział Marcel.

- Jesteś obłudnikiem i donosisz - Ela powiedziała do Dziadka.

Tym razem Dziadek spienił się jak ocean, odwrócił się i skierował do wyjścia. Zdecydowanie założył płaszcz i buty, z których ostentacyjnie strzepał piasek. Andrzej poszedł go przekonywać i Dziadek pozostał. Może sprawiły to argumenty Andrzeja, a może gorący swojski bigos, który Ela i Dorota postawiły na stole, a którego wspaniały zapach pieścił wszystkim nozdrza. Smakował przepysznie. Kilka chwil po zjedzeniu wszyscy goście zaczęli kierować się do wyjścia. Andrzej ubrał się pierwszy i stanął szybko przy drzwiach, by Ela nie miała sposobności umówić się z nim. Dorota ubrała się, podeszła do Andrzeja, wspięła się lekko na palcach i pocałowała go czule w policzek. Zrobiła to tak, by nikt tego nie zauważył. Postanowił ją odprowadzić.

W drodze zadawała dużo pytań Andrzejowi, a pod drzwiami swojego domu zaproponowała, że chce się z nim wkrótce spotkać i porozmawiać, bo mają podobne zainteresowania. Schylił głowę i odpowiedział, że jest małomówny, ona, że to nic nie szkodzi, że będzie podtrzymywać rozmowę. Uśmiechnęła się. Zgodził się. Anioły patrzyły sobie prosto w oczy. Poprosiła, żeby zadzwonił do jej pracy, to się umówią.

Skończył się mroźny luty. Po kilku dniach zadzwonił do Doroty i umówili się w „Plamie”. Minęły dwie godziny, nie przychodziła. Zjawiła się natomiast Ela i dosiadła do niego. Andrzej był w bardzo podłym nastroju, w środku działy się z nim rzeczy, jakie wcześniej nigdy się nie zdarzały. Ela widząc to starała się mu pomóc, ale myślała i mówiła tylko o sobie. Na jego problemy patrzyła tylko ze swojego punktu widzenia i chciała stosować metody, jakie ona stosuje w takich sytuacjach.

Zaczęła mu przeszkadzać z tą koślawą, niedźwiedzią przysługą. Przeprosił ją, wstał i wyszedł z kawiarni. W powietrzu było czuć nadchodzącą odwilż. Ela też wyszła z kawiarni i

szła za nim. Zatrzymał się w Rynku przed Ratuszem. Ela podeszła do niego, poprosił ją, że teraz chce być sam. Odszedł w stronę pomnika Władysława Orkana i zatrzymał się pod nim.

- Wiesz kim on był? - spytał.

- Nie.

- Był poetą.

- Kiedy przyjdziesz do mnie? - zapytała.

- Nie wiem. Zostaw to czasowi - odpowiedział Andrzej – chcę być teraz sam.

Ale szła tuż za nim, jak ogon. Nerwowo założył kaptur na głowę i przyśpieszył kroku. Anioły widząc to posmutniały. Z Rynku szedł ulicą Szafarską, minął Długą, kawiarnię „Szóstkę" i skręcił w Ogrodową w stronę domu Doroty. Ela została w tyle. Nagle na skrzyżowaniu Andrzej z daleka zobaczył Dorotę idącą z dwoma osobami. Pobiegł w ich stronę i krzyknął jej imię. Odwróciła się, podbiegła do niego, oparła mu ręce na ramionach i spojrzała w twarz, osłoniętą kapturem.

Podniósł głowę. Światło ulicznej lampy odbiło się w jego oczach, z których wypływające łzy łączyły się z chłodnymi kroplami marcowego deszczu. Może nie miał dość odwagi, by powiedzieć choć jedno słowo, może Anioły wolały zamknąć jego usta. Anioły lubią ciszę w takich sytuacjach. Wystarczyły mu jej gesty, słowa i ich ton, żeby w końcu odpowiedział spokojnie. Już bez łez.

- Idź do znajomych, czekają na ciebie - poprosił.

- Jesteś smutny... Czekałeś na mnie. Przepraszam… Nie dałam rady, bo przyjechała dziewczyna, która będzie ze mną mieszkać - po chwili ciszy dodała - Przyjdź jutro do mojej pracy.

Mocniejszy podmuch wiatru naniósł kolejną falę zacinającego marcowego deszczu ze śniegiem.

- Tak, przyjdę. Dziękuję ci.

Następnego dnia przyszedł do pracy Doroty i wręczył jej list:

Wiesz jak to jest, gdy najmniej kilka pytań nałoży się na siebie w jednym czasie. Pytam samego siebie i na jedno pytanie odpowiadam sobie kilkoma odpowiedziami. I tak z kilku pytań otrzymuję kilkadziesiąt odpowiedzi, które nie są jeszcze satysfakcjonujące. Odpowiedzi rodzą następne wątpliwości. Pytania są różnorodne. Dotyczą Boga, wiary, nadziei, miłości, nienawiści, sztuki, pracy i seksu. Przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Dobra i zła. Rodziny, cywilizacji, przyrody, polityki, narodów, ras, religii, wyznań i sekt. Handlu, gospodarki, pieniędzy oraz życia i śmierci. Stwierdziłem, że nie mogę żyć między ludźmi. Wczoraj tak właśnie było. Gdy nasze drogi przecięły się i zobaczyłaś moją twarz, powiedziałaś że jestem smutny. Mam dołek. Nie, dół. Dół, jakiego wcześniej nie doświadczyłem. Pierwszy raz od kilku lat w moich oczach pojawiły się łzy.

Umówili się ponownie w „Plamie". Czekał na nią czytając dopiero co kupiony „Przekrój". Gdy zjawiła się, spytała:

- Czy zawsze czytasz „Przekrój"?

- Tak, kupuję co tydzień.

- Też kiedyś go czytałam. Teraz Ela namawia mnie do „Naszego Dziennika", a Marcel chce żebym czytała „Fakty i Mity". Chciałabym spędzić z tobą noc i dzień w Krakowie...

- Zostaw to czasowi – odpowiedział.

Zapytała, czy podobają mu się jej wiersze, które pomięła i chciała wyrzucić podczas tego pierwszego spotkania. Powiedział, że jeszcze nie przeczytał, że na razie prostują się pod poduszką. Jej oczy i usta zamieniły się w uśmiech. Przypomniał sobie, że ma ze sobą w plecaku swój zeszyt z wierszami.

- Czy chcesz przeczytać moje wiersze? Akurat mam je przy sobie. Dziś byłem w wydawnictwie przepisywać je, bo planuję wydać debiutancki tomik.

- Tak, chcę - odpowiedziała z nutą ciekawości.

- Jaki tytuł?

- *Słowa-słówka, Obrazy-obrazki*. Oprócz wierszy będą w nim moje rysunki.

Wyjął zniszczony, stary zeszyt z oderwanymi okładkami i wręczył Dorocie. Zaczęła czytać. Przyleciały Anioły. Gdy skończyła, siedziała kilka chwil nieruchomo, wpatrzona w przestrzeń między nią, a otwartym zeszytem. Była jakaś inna, spokojniejsza, łagodniejsza, piękniejsza, lepsza i bezbronna, dobra i pewna siebie. Bez tej niewygodnej zbroi, którą wszyscy na co dzień zakładamy. Anioły przyglądały się uważnie.

Dziewczyna wyjęła długopis i wpisała coś do jego zeszytu. Wstała i nie patrząc na niego powiedziała, że już idzie, i nie musi jej odprowadzać. Był zdziwiony jej reakcją. Otworzył zeszyt i przeczytał:

Ale tak między nami ciężki jest to bieg
Pytasz dlaczego?
Odpowiem ci więc
Ja siedzę teraz u podnóża kolejnego wzgórza
I widząc co trzeba boli mnie
Rzeczywistość czasów cały ten grzech
Tych świniopasów
Pogarda dla nich nie zna granic
Lecz i to na nic gdyż zapewniam cię że
Wśród ich pobłądzeń i psich namiętności
Sam Bóg zasiewa ziarno swej miłości

Któregoś dnia o poranku, Andrzej wyciągnął wyprostowane już wiersze spod poduszki i zaczął uważnie czytać. Pierwszy, drugi i trzeci raz. Na początku były niezrozumiałe. Jednak było w nich coś, co nie pozwalało od nich się uwolnić. Przeczytał je kilka razy. Pragnął do tego dotrzeć. Szukał w nich czegoś, czego nigdy nie było i nie ma w nim. Każdy z utworów odsłaniał się powoli, ujawniając to, co było w nim naprawdę To, co autorka ukryła za chłodnym parawanem słów. On był w jej wierszach, a one w nim. Podobnie jak naświetlony papier fotograficzny, włożony do wywoływacza o właściwym stężeniu przy czerwonym świetle poddaje się procesowi wywoływania, tak on reagował na jej wiersze, pomięte i wyciągnięte spod poduszki. Zapuścił się więc w swoje głębiny chemiczne i na białych zmiętych kartkach zaczęły pojawiać się plamy, które ułożyły się w całe obrazy krążące w jego intensywnej krwi.

- Dorota! Robiliśmy zdjęcia tym samym aparatem fotograficznym – wykrzyknął i chwycił za gitarę. Z łatwością skomponował melodię wraz z chwytami na gitarę do kilku jej wierszy. Za każdym razem dzwonił do niej i entuzjastycznie informował o nowej piosence, oraz pytał się, czy pozwala, w niektórych utworach na minimalne przeróbki, tylko do celów muzycznych. Pierwszy wiersz, który „ożenił” z muzyką miał tytuł: *Bardziej niż wody*.

Następnego słonecznego dnia rano, pierwszego dnia marca, tuż po przebudzeniu, gdy słońce przygotowywało się do swojej wędrówki a zmarznięta ziemia czekała na przyjęcie ciepłych promieni słońca po jednym z promieni zszedł z Nieba Anioł i wręczył Andrzejowi wiersz. Pierwszy wiersz o miłości, drugi od kilku miesięcy. Podziękował Niebu za dar i pomyślał, że z tej okazji wręczy kartkę Dorocie.

Suche, wiosenne słońce odbiło się od horyzontu i dawało o sobie znać coraz bardziej. Pobiegł do sklepu, chcąc kupić wiosenną pocztówkę, ale po chwili pomyślał: czy nie lepiej

będzie, jak sam własnoręcznie zrobi dla niej kartkę? Do domu wrócił po błyszczącym i skrzypiącym śniegu. Czarne drzewa z obu stron chodnika rzucały granatowy długi cień na biały lekki puch. W domu znalazł nożyczki, kolorowy papier oraz klej i na nie zasłanym jeszcze łóżku zrobił pierwszą i ostatnią kartkę dla Doroty. Była prawie cała w kolorze błękitu nie licząc odrobiny żółci na brzegach z białą kartką w środku, na której napisał:

Dziś rano napisałem wiersz. Dziękuję Ci za to.

Wczoraj
Światem zaczęła rządzić wieczna wiosna miłości
I w ogrodzie mojego serca płatki żółtych róż zarumieniły się
Wieczorem
Poszliśmy na spacer i naszkicowałem wewnętrzny portret
Paroma pociągnięciami słowa
Później
Zaprosiłaś mnie do siebie na noc a
Dziś
O świcie w radosnych promieniach nadziei
Pozwoliłaś mi słodko skonać
Przy nowym cieple wspólnego poczęcia

I od tego dnia zaczęli pisać wiersze dla siebie nawzajem:

Wiersz tylko dla Andrzeja

Jeszcze śniegiem jest przykryta nasza miłość
I mróz rządzi światem bycia
Czujemy jak nadchodzi wspólna radość
Nasza pora roku pora życia
Jeszcze stare słońce chodzi dolinami
I zielonych płatków nie ma na konarach
My już żyjemy przyszłymi chwilami
Serca zapomniały już o krwawych ranach
Śpimy zbyt długo wstajemy za późno
Jeszcze zegar tańczy niczym pijany
Przywitajmy pierwsze promienie nowego słońca
Leżę i czekam na Ciebie Kochany

Następnie on napisał dla niej:

Ona gra na gitarze
On gra na gitarze
Ona pisze wiersze
On pisze wiersze
Ona śpiewa
On układa muzykę do jej słów
Oboje powstrzymują zranione serca
Ona myśli o nim
On jej daje czternaście żółtych róż na kolanie
Ona daje mu nowy zeszyt na wiersze

On jej swój obrazek i surówkę z selera
Oboje trzymając się za ręce chodzą środkiem ulicy
Ona dzwoni do niego
On czeka na nią
Ona daje mu swoją dłoń
On sięga po jej skroń
Oboje o północy w stalowych obręczach księżyca całują się
Na środku skrzyżowania na oczach zdumionych gwiazd
On powiedział: jesteśmy przyjaciółmi
Ona mu przytaknęła i poszli dalej Aleją Wiosennych Pąków
Oboje wiedząc, że to jest tylko część prawdy
Resztę ukryli na gorsze czasy

W kwietniu Dorota i Andrzej pojechali do Krakowa. Był słoneczny i upalny dzień. Pokazała mu uczelnię: przykościelne Kolegium Jezuickie, przy ulicy Kopernika, w którym studiuje. Zobaczyli sale wykładowe, w których pilnie słucha nauk i korytarze. Byli w stołówce uczelnianej i w pobliskiej kameralnej kawiarni, w której tak bardzo lubi przesiadywać.

Pod wieczór poszli do akademickiego kościoła św. Anny. Msza była wzruszająca. W modlitwie dziękowali za otrzymane łaski i za to, że są razem. Po mszy przed ołtarzem stanęła dziewczyna, która podzieliła się z obecnymi otrzymanym świadectwem od Boga. Opowiadała, że gdy jako dziecko uczęszczała do szkoły muzycznej uległa wypadkowi, który uniemożliwił jej granie na instrumencie. Po kilku latach za sprawą działania Ducha Świętego mogła ponownie ćwiczyć i zagrać swój pierwszy w życiu koncert. Ze łzami dziękowała za otrzymaną łaskę.

Dorota i Andrzej spoglądali na siebie ze wzruszeniem i cicho w skrytych myślach dziękowali Aniołom, że są razem i że doświadczają wspólnej radości. Prosili Niebo o wspólną i dobrą przyszłość. Przepełniała ich wiara, nadzieja i miłość.

Po skończonej mszy, zostali dłużej modląc się. Przed opuszczeniem świątyni zaczęli rozmawiać w ławce. Dorota natychmiast przerwała mówiąc, że w kościele nie powinno się rozmawiać i zaproponowała spacer. Podążyli w stronę ulicy Floriańskiej. Wstąpili do jego ulubionej kawiarni. Potem pospacerowali, obejrzeli obrazy na murach przy Bramie Floriańskiej. Zrobili sobie wspólne zdjęcie. Ostatnie chwile dnia pożegnali siedząc na ławce, na Plantach.

Nocleg znaleźli w hoteliku na przedmieściach Krakowa, gdzie przy szampanie spędzili razem najpiękniejszą i pełną namiętności noc.

Do Nowego Targu wrócili następnego dnia późnym popołudniem. Gdy rozstawali się, ona wyraziła pragnienie:

- Chciałabym spędzić z tobą wakacje, w jakimś pustynnym kraju.
- Zostawmy to czasowi. On się tym zaopiekuje – odpowiedział.

Dorota Miśkowicz, Trybsz

Nie palmy za sobą mostów

Nie palmy za sobą mostów
Czasem nie wiemy, co zostawiamy
Świadomi nie jesteśmy,
Guru młodości
Młodej głupoty
Tryumfuje
Zgarniając kolejnych samobójców.

Nie palmy za sobą mostów
Ludzie lubią zbierać niedopałki
Więc albo podajmy im to na dłoni
Albo w niespokojnej butelce.

Nie palmy za sobą mostów
W tym świecie kryją się nasze
Doświadczenia smutki
Wspomnienia wyblakłe zdjęcia
Krętej niekonsekwencji
Czasem dobrze jest skorzystać również
Z własnego dorobku.

Nie zamykaj wrót dzieciństwa
Kora późnych lat nie musi być
Adekwatna do twego wnętrza.

Nie palmy za sobą mostów
Nigdy nie wiemy,
Czy
Nie
Przyjdzie nam pod nimi
Zamieszkać

Obiecaj mi

Obiecaj mi –
jeszcze zobaczę słabość poranka
Nie – kiedy będzie
zimno mokro ponuro
Chcę poczuć jego usterki nie przez mgłę

Obiecaj mi –
Będę się wtedy modlić
na instrumentach wypłowiałej ciszy;
pokutować oczami za wszystkie krzyże tego świata
za każdy judaszowy namiętny

Obiecaj mi –
Że zboczę kiedyś z drogi
nikt nie będzie stał przy sterze
a życzliwi nie zawołają bym zawróciła
chyba że będzie już za późno

Obiecaj mi –
Całą noc będę tylko płakać
nie podasz mi chusteczki
i nie przytulisz
nie będziesz krzyczał ani płakał ze mną
tylko pójdziesz w cholerę.

Obiecaj mi –
Nie dasz mi nigdy pełni szczęścia
bo sama przestanę gnębić Boga
nie będziesz dbał bym miała święty spokój –
obrączka rutyny nie może królować
ani ciepła – bo nigdy naprawdę nie zmarznę
i niedziurawego dachu nad głową
wiem – nie zobaczyłabym Nieba i świata poza Nim

Obiecaj mi –
Skosztuję kiedyś dojrzałego zakazanego owocu
elegię wspomnień po powrocie boskiego Ozyrysa
martwiącego się i uwieczniającego nadzieje
upokorzone w pobudce ciszy

Obiecaj mi –
Obudzą mnie zawczasu dzikie szelesty
w sercu dziewiczego lasu
zgon etosu zepsuty dzięcioł
będę krzyczeć o więcej – obiecaj mi to!

Obiecaj mi –
Jedną bezsenną noc

nie będziemy milczeć ani na chwilę
schowamy listki figowe do szafki nocnej
i że będę flirtować z diabłem

Obiecaj mi –
Nigdy nie będę odważna tobą
zawsze chcę przemawiać tylko we własnym imieniu
kolce apatii i lęku nie przyćmią
idealnego schematu zacofanego Wertera

Obiecaj mi –
Będę cierpieć jak on
i... nigdy nie będę sama

****

Wyłóż serce na stół
Rozkuj z zielonych kajdan
Czy potrafisz

Wiem nie dostrzegasz ani igły ani wideł
Siano różowe
Nie przynależysz nawet do glinianego stereotypu
Nie masz ochoty wychodzić poza własną Utopię
Nie interesujesz się potarganą ojczyzną wspólnej pamięci
Nie tańczysz czardasza w gwar wojny sumienia
Nie prasujesz pogniecionej bluzki

Czy aż tak wysoką jest cena bycia poetą

***

Krytykuj matki – Polki, elitę polskiego śmietniska
zasłaniaj kompleks braku najhojniejszej dawczyni
popularyzuj zmyślone teorie
„życia normalnego”
bo
„taka kolej rzeczy”

A wieczorem idź –
na zagrzebane kości eksploduj gniewem
smutkiem bezsilnością żalem
kurhan wiecznie niemy
dziś
niech nie będzie milczący
a ty znowu mów

Mów o zaściankach życia
tak, tego, w którym była obecna
krzycz
dopóki pożółkła proteza
nie wyzuje zbyt przytomnych emocji

podążaj dalej chorymi fotografiami
dobrze wiesz – one nie mają końca
ale idź – jak wszyscy

*** * ***

Kolejny bogaty w regres
antecedens fabryki ,,dni minionych”
otwieranej zbyt często
dobrze wiesz – deliberacja i postanowienia nie wystarczą
nie jest też żadną gnozą, że przegrywasz
równie dobrze mógłbyś położyć się w trumnie i –
ku satysfakcji uczonych -
stwierdzić że pomaga
idea psa z bruku
podążającego w stronę domniemanego światła.
Potem znowu pomyślisz
bo to przychodzi łatwiej
że Bóg o tobie zapomniał
że wsadził twoje zdjęcie w
cholera wie jaką książkę
Erystykę z sumieniem również
opanowałeś do perfekcji
jak jego nagi strukturalizm –
dalej milczy

Godzina czynnego woluntaryzmu
więcej warta
aniżeli cała dotychczasowa
zmyślona vis vitalis

Być może TERAZ to nic nie da,
ale nigdy nie będziesz starszy niż Mary,
by ją naśladować
zatem powtórz
„nigdy, nigdy mnie nie złapiecie”
powtarzaj każdego ranka
nie, nie przesypiaj się z tym
sen jest nudny
i pewniejsze że zaśniesz, aniżeli
dogłębnie zinterpretujesz.
I nie analizuj.
Powtórz.
Teraz idź i im pokaż.
Krok w kierunku nieskończoności
choćby w chmurach i spartaczony
nigdy nie równa się zeru
upadek wprawdzie boli
ale wstań
pamiętaj –
serce w gipsie nie służy podróży
krętej wyboistej fałszywej
odwaga ma pierwszeństwo

Nie jadaj wypłowiałych
kaloryferów z chleba i kości
jedzenie śmiertelnym statystom nieodłączne
nie komponuje się jakkolwiek z twoim menu.
wiem – mimo wszystko pragniesz poznać
smak swojego raju
smak zwycięstwa i smak ryzyka
smak wolności i smak przygody
smak zemsty jest dla Boga
więc pieprz, pieprz z góry na dół
pieprzone odbicie zakazanego owocu -
no i oczywiście dla idiotów
z przerośniętym ego i kiczowatym spojrzeniem
pieprz ich lub
jeśli nie szkoda ci życia – pomóż
poza drwiną niczego nie gwarantuję

Łatwopalne ambicje niech utracą blask
feniks będzie inny
wykona to co zaplanuje
albo kolejny raz spali się obiecująco

Twe myśli niech nie podniecają się
stenograficznym preliminarzem życia
to przesłoni im konieczność natychmiastowego czynu
zobaczysz –
niebawem twój los amatora działania
zostanie przypieczętowany apogeum duchowej kariery
spostponowane przez tych „z elity”
pamiętaj - to oni będą kiedyś spostponowani
w tym gwarze jest też
pokaźna kolekcja, trofea
sensownych bezsensownych
uśmiechów do każdego grobu nieznanego żołnierza
wtedy zrozumiesz że galaktyka jest dużo większa
i nie przydepczesz jej podwójną dawką prozaców
nie odstawiaj też na jutro ani obowiązków ani marzeń
nie przeczę – to banał
ale to banały rządzą,
banalni twierdzą że „łże elita”
i to banały są w Dekalogu

A jutro...
może nie zdążyć

Casting na męża

Rozdział pierwszy

2 czerwca, piątek

„Czemu ty nie możesz być mój?”- pomyślałam chyba po raz setny, całując zdjęcie Orlando Blooma. Taki facet w domu to skarb... Szybko jednak schowałam je pod poduszkę, gdyż trzask drzwi i kurwowanie niejakiego pana Konopki (dyrektora szkoły, w której Aśka pracuje) poinformowały mnie o powrocie mojej najlepszej przyjaciółki. Nie, nie - Aśka normalnie ze mną nie mieszka. Po prostu pokłóciła się z mężem i postanowiła, iż wraz ze swymi smutkami przybieży wprost do mego lokum. I wszystko byłoby OK, gdyby nie jej humorki. Przecież Krzysiek (tj. jej mąż) mógłby spokojnie zwariować. Aż dziw, że tego nie robi... Swoją drogą taki stoicki spokój w domu to prawdziwy skarb! Mówię wam - nawet najlepszy kumpel, który jest w potrzebie jest, jak nie przymierzając wrzód na dupie. Bo ani przyprowadzić chłopaka do „domu”, ani gdzieś wyjść. Bo czasami Aśka ma taką deprechę, że trzeba ją siłą wyciągać. Owszem – niekiedy jest nawet zabawnie, ale ile można?!

***

Wieczorem dręczyły mnie wyrzuty natury etycznej, moralnej, dietetycznej i cholera wie, jakiej jeszcze. Dlaczego - zapytacie. Powiem wam. Otóż na stole w kuchni (czyt. w aneksie kuchennym) spoczywała bezinteresownie, pieczołowicie ułożona na talerzu przez Aśkę, świeża i pachnąca... drożdżówka z budyniem! Szybko zrobiłam tzw. „gryza”, tym samym przypieczętowując prawo do skonsumowania jej teraz. A co tam - odchudzać mogę się od jutra, nie? Co gorsza, w ciągu ostatniego tygodnia przytyłam prawie cztery kg! Niedługo po tym dołączyła do mnie Aśka, przynosząc duże Laysy cebulowe i pieczywo. A musicie wiedzieć, że chipsy (zwłaszcza cebulowe) w połączeniu z pieczywem dają całkiem niezłą kombinację smakową. Utworzenie raju dla kubków smakowych wyzwoliło w nas prawdziwą orgię konsumpcji...

4 czerwca, niedziela

Cały dzień obie leczyłyśmy kaca po wczorajszej imprezie u Tomka - naszego szkolnego kolegi. Imieniny- bo to je fetowaliśmy - doczekały swojego końca o czwartej nad ranem i – gdyby nie zdecydowanie za duża ilość procentów spożyta przez towarzystwo - trwałaby dłużej. Zawsze po tego typu balangach dostaję całą masę esemesów i telefonów. Wbrew pozorom - nie są to propozycje randki, nocy w hotelu, czy romantycznego wyjazdu. Nic z tych rzeczy! No bo pomyślcie sami; co może zwiastować następująca treść: *Fajne masz cycki*, albo *zapomniałaś bielizny*? A najgorsze jest to, że zawsze jestem tak nawalona, iż nie jestem w stanie stwierdzić, czy coś jest prawdą, czy też nie. Każda osoba, która widziała mnie w stanie przedawkowania alkoholu jest potencjałem do wkręcenia mi, że coś zrobiłam. O! Na przykład dzisiaj o 11.00 zadzwonił do mnie Przemek, mój kumpel i zaczął mi wmawiać, że niby tańczyłam na stole bez stanika i Mariusz - syn Tomka był tego naocznym świadkiem. Akurat w to uwierzę! Poza tym smarkacz ma niecałe siedem lat! Co on może wiedzieć o cyckach?! Jego wiek pozwala mu co najwyżej wiedzieć, że penis służy do siusiania i nic więcej! Bo niby skąd? Przecież nie od ojca (chociaż muszę przyznać - Tomek raczej zna dwuznaczna role swojego członka)! A już tym bardziej nie od matki, bo cholera jedna wie, gdzie ona teraz jest!

***

Na początku myślałam, że to niemożliwe. Przecież nie ściągnęłabym biustonosza przy wszystkich!

Pobiegłam do łazienki, analizując w głowie moją wczorajszą garderobę. Jasne Levisy, czarny t-shirt z allegro, czarne trampki z Converse'a i... tak. To musiał być biały stanik z Atlantica. Taki z brokatem. Zaczęłam grzebać w koszu na bieliznę. Wczorajsze białe majciochy ukazały mi się szybko. Tylko... gdzie jest ten pieprzony stanik? Następnym przystankiem w poszukiwaniu stanika była sypialnia. Niestety - nawet tam go zabrakło.

- Niech to czort! - krzyknęłam

- Co się kurwa drzesz?! - wyraziła współczucie Aśka, trzymając jedną ręką swej potylicy, w drugiej natomiast ściskając szklankę z wodą. Włosy miała tłuste i rozczochrane, zaś na paznokciach widniały „ślady kompetencji lakiera do paznokci"- cokolwiek miałoby to oznaczać.

- Sraczkoburaczkowaczerń! – krzyknęła, wyrażając swą opinię na temat koloru lakieru, a machając ręką, uroniła kilka łyków.

Nie miałam nawet siły, żeby ją uspokoić. Przeszukałam cały dom (o ile 38- metrową kawalerkę można nazwać domem) - bezskutecznie. Rzuciłam się na łóżko, próbując wsłuchać w ciszę i spokojnie zastanowić, gdzie ten pieprzony biustnik może być, ale zamiast ciszy, odpowiedziało mi głośne beknięcie mojej lokatorki, która, jak zawsze, przeżywa kaca trzy razy bardziej ode mnie.

Pewnie zastanawiacie się, po co tyle szumu o głupi biustnik? Szczerze? Tam był on. Tak! Ten prawdziwy „on" z krwi i kości! A teraz dowiaduję się, że ów „on" oglądał moje cycki, tańczące razem ze mną na stole! Wspaniale! Ja zawsze umiałam utorować sobie drogę do celu! Po prostu świetnie!

***

Odruchowo odebrałam telefon mimo, iż wcale tego nie planowałam. Ba! Obiecałam sobie, że ograniczę iloraz wstydu, jaki spada na mnie regularnie po imprezach.

- Halo - przywitałam się, jak zwykle, dyplomatycznie

- Cześć, zygotko (co?), mówi wujek Przemek. Mam twój stanik. Swoją drogą nie wiedziałem - nie dane mu było dokończyć, bowiem rzuciłam słuchawką

Oparłam się głową o ścianę i zaczęłam nią walić. Już po chwili doczekałam się reakcji ze strony otoczenia, bo oto przybiegła Aśka.

- Kobieto! Opanuj się! Łeb mi pęka! I tobie też za chwilę pęknie, jak nie przestaniesz! - urwała i nagle po jej policzkach spłynęły dwie- obfitujące w sole i przeciwbakteryjne enzymy – łzy.

- Co się stało?- zapytałam, wykorzystując swą nadprzyrodzoną zdolność psychologicznego rozmawiania z bliźnimi

- Tobie nie dolega życie! A wiesz, dlaczego?!

- Nie - odparłam zgodnie z prawdą.

- Bo jesteś narcyzem!

Wiem - nie wiem, co ma piernik do wiatraka, ale to również nie zaliczało się do kłamstwa.

Ale musicie wiedzieć, że nie zawsze nim byłam. Po tacie odziedziczyłam duży (a raczej długi) nos. Przez całą młodość nos był moim przekleństwem. Moją egzystencję odmieniła operacja plastyczna w wieku dziewiętnastu lat, zaraz po egzaminach na studia. Pieniądze zbierałam, pracując gdzie się tylko da. Robiłam wszystko, żeby osiągnąć ideał. Nienawidziłam (i szczerze powiedziawszy uczucie owo towarzyszy mi do tej pory) cytatu B.

Shawa „Ideały są jak gwiazdy - można je podziwiać, ale nie można ich dosięgnąć". Ja mogę - myślałam. Za wszelką cenę. Chciałam osiągnąć pełną perfekcję w każdej dziedzinie. Czy osiągnęłam? Jeżeli chodzi o wygląd - owszem.

Obecnie dzierżę 38-metrową kawalerkę w stolicy tego zamożnego i cieszącego się wspaniałą opinią kraju (dla niewtajemniczonych; Warszawa, stolica Polski). Jestem adwokatem w (delikatnie mówiąc) małej firmie o beznadziejnej nazwie „Dukoplast". Zarabiam wprawdzie nieźle, ale wiem, że stać mnie na więcej. Wiele razy słyszałam, że jestem jednym z najbardziej kompetentnych adwokatów w mieście, ale niestety - to, że pracuję w „Dukoplaście" ogranicza moje prawnicze możliwości. Zdaję sobie sprawę z tego, iż to moja wina, że tu pracuję. Ale czasami, zwłaszcza w sytuacjach, gdy nie mamy wyboru, musimy poddać się losowi i temu, co ze sobą niesie. A tak właśnie było w moim wypadku - po prostu zaraz po studiach musiałam coś robić. A godziwą pracę jest znaleźć bardzo trudno. Zwłaszcza w Warszawie. Tak więc cieszyłam się, że mam jakąkolwiek pracę i planowałam znalezienie czegoś lepszego w późniejszym terminie. Jak się okazuje - jeszcze nie nadszedł.

Jeżeli chodzi o miłość - nie zależy mi na stałych związkach, choć nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zakochać się na zabój. Czasami zastanawiam się, czy to nie przypadkiem moja egocentryczna natura odpowiada za brak szczęścia w poszukiwaniach fajnego faceta. Pewnie umieracie z ciekawości, co dla mnie znaczy określenie „fajny facet". Otóż pod tym słowem skrywa się wiele cech: wysoki, dobrze zbudowany, najlepiej brunet o niebieskich oczach, z idealną twarzą metroseksualisty. Tak musi prezentować się od strony zewnętrznej. Jeżeli zaś chodzi o osobowość - musi być ideałem. Nie ma bata. Jeżeli nie jest ideałem - odpada. Bo z logicznego punktu widzenia- ja jestem doskonała (przynajmniej z mojej perspektywy). Więc po jaka cholerę mi nieidealny facet?

No dobra przesadzam. To, że są idealne kobiety, wcale nie znaczy, że są idealni faceci, prawda? Chociaż moim zdaniem każdy ma w sobie coś z ideału. Trzeba go po prostu odkryć i odpowiednio pielęgnować. Oczywiście: musimy włożyć dużo pracy, żeby być doskonałym. Ale w życiu już tak jest - jeżeli nie włożymy w coś odpowiednio dużo poświęcenia, nie osiągamy tego, czego pragniemy. Wiec pracujemy bezsensownie. Jeżeli nie zamierzamy wygrać, to po jaką cholerę wchodzimy na start? Lepiej w ogóle nie zajmujmy tej pozycji. No, chyba, że chcemy się zbłaźnić. A to oczywiście jest niewskazane. Jeżeli tylko mamy w życiu jakiś cel, jak moglibyśmy nie wykorzystać wszystkich swoich sił, by go zrealizować? Nie wolno nam bagatelizować swoich marzeń. Tak samo jest z osiągnięciem doskonałości - jeżeli bycie ideałem jest celem i sensem naszej egzystencji, to w czym problem? Jedna wskazówka: jeżeli chcecie być doskonałym, nie porównujcie się do ,,innych". Ci ,,inni" mogą nie mieć celu, albo mieć zupełnie inny niż wy. Nawet, jeżeli mają taki sam cel, nie porównujcie się do nich. Musicie porównywać się do najlepszych. Czeka was wiele krytyki, ale nie martwcie się - jeżeli wkładacie w realizację swoich marzeń odpowiednio dużo pracy, krytyka czeka was tylko na początku. Poza tym warto pocierpieć przez krótki okres, by potem wyłącznie zbierać laury na polu chwały. Aha - krytyka jest potrzebna nawet ideałom. Bez niej bowiem stają się próżnymi narcyzami (no dobra, bez komentarza...), a co za tym idzie - przestają być duchowymi ideałami.

Jeżeli chodzi o mnie- zawsze marzyłam, by mieć każdego, którego dusza zapragnie. Miałam marzenia każdego statystycznego playboya z liceum; zaliczyć i olać. W tej kwestii moje poglądy nie uległy jakiejkolwiek, nawet najmniejszej metamorfozie.

Tak więc kończy się na tym, że delikwent pozna mnie, czasami (!) prześpi się ze mną, a po drugiej randce ucieka, czort wie gdzie. Nie żebym po nim płakała, nic z tych rzeczy. Po prostu nie mam pojęcia, czy te ucieczki powoduje moja nieumiejętność rozmawiania z facetami (chociaż ja bynajmniej problemu nie dostrzegam), może to ze jestem dla nich wszystkich za mądra (a przecież każdy głupi wie, że mężczyźni boją się mądrych

kobiet), a może po prostu mniemają, iż każda znajomość mająca swój zalążek w łóżku nie może doprowadzić do miłości. A... cholera jedna to wie...

Podczas, gdy Aśka pogrążała się w płaczu, ja profilaktycznie (żeby nie zwariować) wróciłam do walenia głową o ścianę. Słyszałam, że robiąc to przez godzinę spala się tyle samo kalorii, co jeżdżąc na rowerze przez ok. dwadzieścia minut. Nawet nie uchwyciłam momentu, gdy moja pijana kumpela przyłączyła się do mnie. Tak więc robiłyśmy to razem. Jednak już po chwili Aśka chyba stwierdziła, że to bez sensu, bo stoczyła się na podłogę i, oparłszy się plecami o ścianę, zamknęła oczy, udając, że śpi.

- Nie wytrzymam! - krzyknęłam, przysiadając się do Aśki - Muszę coś zrobić! Przecież muszę coś wymyślić, a nie tylko czekać, aż problem się sam rozwiąże, bo w moim przypadku kłopoty nigdy nie goją się samoistnie! Nigdy nie rozwiązują się same! Nie mogę tak siedzieć z założonymi rękami! Muszę coś wymyślić!

Nagle stałam się świadkiem wzmożonej pracy mej potylicy. Dlaczego - zapytacie. Otóż pod moją czachą zrodziła się cudowna myśl. Bo co może pomóc pięknej, zdegustowanej kobiecie? Zwłaszcza w mojej sytuacji? Naturalnie ZAKUPY! Najlepiej duże! Plus pyszny obiad. Tak, dla przyjemności kubków smakowych. A jak obiad, to tylko z deserem. Szarlotka na ciepło z sosem waniliowym... albo kremówka wiedeńska... tiramisu... napoleonka...

- Aśka, wstawaj! Idziemy na zakupy! Natychmiast! - krzyknęłam optymistycznie, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko podwójne chrapnięcie.

Więc przytaszczyłam ją na kanapę (swoją drogą- dlaczego mężatki tyją?) i napisałam wiadomość na kartce: „Jeżeli się obudzisz podczas mojej nieobecności (w co szczerze wątpię), dowiedz się że jestem na zakupach. *Don't worry*, pamiętam o mineralnej dla ciebie. Całuski. PS - Gdyby dzwonił ktokolwiek, to mnie nie ma, ok.?". Ubrałam się i wyszłam. Na klatce stwierdziłam, że to moje „PS" jest całkowicie pozbawione sensu. Bo to chyba logiczne, że kiedy nie ma mnie w domu, znaczy, że tam nie jestem, a, co za tym idzie, nie mogę podejść do telefonu, by udzielić rozmówcy tego przywileju (ba! przyjemności!) porozmawiania ze mną. Ale pieprzyć to. Teraz idę na zakupy. Muszę skupić się na tym, co zwykle, czyli na moich materialnych potrzebach. Nawiasem mówiąc - nie sposób wymienić je wszystkie, tak więc skupię się na tych najbliższych mojej kieszeni. Od galerii dzieliło mnie trochę czasu, więc zaczęłam oczyma wyobraźni analizować listę zakupów. Jednakże niestety - nie dane mi było skupić się na tym, co istotne. Dlaczegóż to - zapytacie. A jak czulibyście się, idąc (powtarzam: IDĄC) po chodniku, kiedy obok was przejeżdża cała masa luksusowych, ekskluzywnych i potwornie drogich majbachopodobnych (kradzionych i pewnie sprowadzonych z Niemiec) samochodów? Bo ja czuję się beznadziejnie. Z moim budżetem i nieustannym debetem na koncie nie mogę pozwolić sobie na używanego przez trzydzieści lat malucha. No dobra - przesadzam. Na trzydziestoletniego malucha mnie stać. Ale obawiam się, że gdybym go już kupiła:

1. Nie ruszyłby z miejsca
2. Nawet, gdyby ruszył, to bym do niego nie wsiadła
3. Nawet, gdybym do niego wsiadła, nigdzie bym się nim nie ruszyła
4. Nawet, gdybym nim ruszyła, starałabym się jechać nim jak najszybciej, żeby nikt mnie w nim nie rozpoznał, więc doprowadziłabym tylko do wypadku. Z kolei, gdybym w wyniku tego wypadku przeżyła, nie mogłabym spojrzeć nikomu w oczy, bo i jak? Natomiast gdybym zmarła, wspominano by mnie jako „jeżdżącą maluchem". Już widzę te wiszące na słupach klepsydry: „Oliwia Kwiatkowska - zabita przez trzydziestoletniego malucha"

Po dłuższej deliberacji: co z tego, że mam prawko? Widocznie jajco. Wstąpiłam do „Conquistadora" - najfajniejszej knajpy na Nowym Świecie.

- Poproszę ciasto bananowe z syropem karmelowo-pomarańczowym - nie mogłam odrzucić propozycji tego pięknego kelnera - zwłaszcza, że tak seksownie zapytał: „czy coś podać?" Ta nonszlancja...

W oczekiwaniu na przysmaki, rozpoczęłam w głowie gorączkową kontemplację na temat mojej osoby. A konkretnie: osobowości. Muszę się zmienić. Zostawić gdzieś w oddali „starą Oliwię" i zaprosić nową do dożywotniej współpracy. Nigdy nie załapię się na bogatego lekarza, czy właściciela najlepszej firmy komputerowej z moimi narcystycznymi skłonnościami. Najlepszym kandydatem na potencjalnego męża, czy chociaż kochanka byłby jakiś potomek Billa Gatesa. Ale skąd takie ciasteczko w Polsce?

- Proszę bardzo - seksowny glos tego samego kelnera wdarł się w moje ponure rozmyślania w chwili, gdy jego brutalnie owłosiona, przypominająca o naszych małpich genach ręka pieczołowicie układała zamówione przeze mnie kalorie na stoliku.

- Dziękuję bardzo - odparłam zarezerwowanym na tę okazję głosikiem.

- Proszę pani...- zaczął obiecująco.

- Tak? - przerwałam mu ochoczo.

- Tamten pan - wskazał na siedzącego cztery stoliki dalej przystojniaka, który w mgnieniu oka wyciągnął prawą rękę, posłał w moja stronę piękny uśmiech i pomachał. Odpowiedziałam mu tym samym i postawiłam siebie przed trudnym wyborem: kelner czy ten facet? Kelner - odpowiedziałam sobie w duchu - pyta, czy może się do pani dosiąść... ewentualnie o pani numer telefonu...

- Eee hmm... – odparłam zdegustowana - Bardzo mi przykro, ale nie rozdaję numeru...

- Czyli mam przekazać, że „nie"? - zawsze wiedziałam, że uroda niekoniecznie musi iść w parze z inteligencją

- No przecież właśnie panu powiedziałam, że „nie".

- No to ja przekażę, że „nie" - uśmiechnął się czarująco.

- Naprawdę?- wspominałam chyba, że uwielbiam ironizować... - serio?

Niestety, nie wszyscy podzielają moją słabość do ironii, bowiem ów kelner zrzucił z twarzy ten charakterystyczny, kelnerski uśmiech.

- Przepraszam najmocniej, ale, o ile pamiętam, odmówiła pani okazania czegokolwiek tamtemu panu...

- No co pan? - stwierdziłam, iż chęć (która towarzyszyła mi wcześniej) zrobienia wrażenia kobiety niedostępnej nie ma najmniejszego sensu, wzięłam serwetkę i szminkę, po czym wypisałam na niej; najpierw moje piękne (no dobra, wiem - miałam się zmienić...), więc wypisałam najpierw me imię (dla niewtajemniczonych: Oliwia) i numer komórki. Wiedziałam, że ta, noszona „na wszelki wypadek" czerwona pomadka będzie kiedyś prawidłowo wykorzystana. Nigdy nie zużyłabym połowy mojej ulubionej od Channel tylko po to, by jakiś domniemany samiec alfa się podniecił. Dla wzmocnienia efektu erotycznego dorysowałam serduszko i delikatnie je zakratkowałam. Nonszlancko podałam ową kartulkę kelnerowi, bacznie obserwując jego minę.

- Czyli rozumiem, że mam powiedzieć tamtemu panu, że jednak zgodziła się pani obdarować go jej numerem? - myślałam że nie wytrzymam i za chwilę wybuchnę śmiechem, ale się powstrzymałam i dałam mu spokój. Widziałam na jego twarzy taki specyficzny, wymuszony uśmiech, jakby chciał odzwierciedlić swe myśli; „kochanie, uśmiecham się tylko dlatego, że muszę, bo inaczej mnie wyleją", ale i powagę.

- Owszem - odparłam

Po jego odejściu pogrążyłam się w konsumowaniu kolejnej dawki fruktozy, glukozy, laktozy i czort wie, czego jeszcze; w każdym razie były to z pewnością cukry złożone. To znaczy - o ile pamiętam.

Wysunęłam wniosek: Niektórzy faceci nadają się wyłącznie do łóżka.

O matko! Omalże zupełnie zapomniałam o moim adoratorze. Spojrzałam w jego stronę, na co on promiennie się uśmiechnął i ekstatycznie pomachał. Nie mogłam już skupić się wyłącznie na jedzeniu, bowiem wewnętrzny głos uświadomił mi obecność jego gałek ocznych, podczas pochłaniania coraz to nowych kalorii. Nie wiem, po jakie licho (ale może...

czort wie?) odmachałam mu, na co on ruszył tę - jak się później okazało - zgrabną pupcię i podszedł do mojego stolika. Wysunął jedno z krzeseł i usiadł na nim.

- Witaj - powiedział, podając mi dłoń - Jestem Eryk.

„Eryk”... - po głębszej analizie stwierdziłam, iż nijakim cudem nie da się wykrzyczeć namiętnie w łóżku owego imienia.

- Ładne imię - odparłam, jak zawsze udając osobę miłą, dobrze wychowaną i szczerą zarazem. Tylko udając, bo, niestety, żadna z tych cech nie mogła być przypisana mojej osobie - Ja nazywam się Oliwia, ale to już chyba jest ci wiadome.

Zapadła ta przysłowiowa, niezręczna i pieprzona zarazem cisza.

- Dzięki... Tak... Co to ja chciałem? - zaczął równie niezręcznie - jesteś stąd?

- Owszem. A ty?

- Ja również - miałam nadzieje, że chociaż skłamie; wtedy przynajmniej byłoby o czym rozmawiać - Mam tutaj firmę. A ty... czym się zajmujesz?

- Jestem adwokatem - odparłam pełnym wyższości i ostentacji tonem (jak zresztą zawsze w takich i innych sytuacjach).

- Naprawdę? Pracujesz może na własną rękę, czy w jakiejś kancelarii? Nie chcę się chwalić, ale doszły mnie słuchy, że moi adwokaci są najlepsi (!)

To się nie chwal, idioto, pomyślałam. Nie dość, że ma intelektualną przewagę, to w dodatku bratam się z wrogiem! A jeżeli chodzi o odpowiedź, nie było się czym za bardzo chwalić, tak więc postanowiłam skierować sprawę na właściwe (czytaj: inne) tory.

- Och, zapewne... mając takiego szefa trudno być obwołanym najgorszym adwokatem, prawda? - odwracałam kota ogonem, jak zwykle wykorzystując te samą broń, którą stosuję od urodzenia na ten „nieco inny” gatunek (oczywiście mówię tu o mężczyznach); bowiem flirtowałam. Jego reakcja była, delikatnie mówiąc, źle przewidziana, a ów kot nie za bardzo garnął się do odwrócenia. Roześmiał się i już po chwili musiałam zastosować nowy rodzaj strategii, a szczerze powiedziawszy... go po prostu nie miałam. A przyznać się do bolesnej prawdy nie mogłam...

- Masz ochotę na drinka? – zaroponował.

- Nie, nie, dziękuję. mam kawę.

- Taaa... więc gdzie...

- Co robisz dzisiaj wieczorem? - przerwałam mu, choć tak naprawdę wcale mnie to nie interesowało.

- Dzisiaj?

- Tak, dzisiaj.

- Ja... no nie mam dzisiaj żadnych planów, a... ty?

- Yyy... jeszcze nie wiem, co będę robiła dzisiaj wieczorem, ale... najprawdopodobniej... także mam dzisiaj wolny wieczór...

- To może wyjdziemy gdzieś razem... do kin...

- U mnie czy u ciebie? - zapytałam z czystego przyzwyczajenia po to, by zaraz tego pożałować, na co on uniósł lewą brew i znowu posłał mi ten anielski, seksowny uśmiech.

- U ciebie - odpowiedział zdecydowanie, a „szybka jesteś”, dał mi do zrozumienia. Nagle przypomniałam sobie, że przecież to nie możliwe, bo mam w domu i na głowie pijaną Aśkę...

- A czemu nie u ciebie? Wstydzisz się mnie? - musiałam jakoś zainterweniować, nie ujawniając obecności Aśki w „moim mieszkaniu”, także podniosłam jedną brew.

- Czemu? Mieszkam tylko z synem, ale, znając życie, gdzieś go diabli poniosą...

- Masz syna?

- Tak - odparł z dumą w głosie - Mikołaja. Ma siedemnaście lat.

Naprawdę? - udawałam zdziwienie, ale tak naprawdę był to tylko pretekst do upewnienia się w kwestii tzw. czystego terenu - a... jego matka?

- Rozwiedliśmy się zaraz po... to znaczy... rozwiedliśmy się, kiedy Mikołaj miał dziesięć lat... i potem... ona wyjechała do Kanady... teraz praktycznie nie utrzymujemy z sobą kontaktów...

- Ile masz właściwie lat? – zapytałam.

- Trzydzieści sześć. A ty?

- Kobiet nie pyta się o wiek - przypomniałam równie stare, jak beznadziejne powiedzenie.

- A tak naprawdę? - uśmiechnął się.

- Dwadzieścia siedem - odpowiedziałam, kończąc ten jakże wysokokaloryczny posiłek.

Spojrzałam na zegarek, udając zakłopotanie.

- Matko! Ale już późno! Muszę już iść - kiwnęłam ręką na „znajomego" kelnera.

- Poczekaj, dam ci mój adres - obwieścił, wyciągając wizytówkę

- Wiesz... przypomniało mi się, że...

- Że masz cos ważnego do załatwienia? Dzisiaj wieczorem? - przejrzał mnie i uśmiechnął się.

- Dokładnie. Więc może... innym razem? - chciałam w jakiś sposób odkręcić moją niestosowną propozycję.

- Zadzwonię do ciebie, ok? - w tej chwili do naszego stolika przybłąkał się kelner.

- Osiemnaście złotych - rzekł kelner, uśmiechając się żałośnie od ucha do ucha.

- Już, chwileczkę - rzuciłam, kierując wzrok do wnętrza portfela -. Ale... zaraz, zaraz... Ma pan mak między zębami - wybuchnęłam szyderczym śmiechem.

Nagle cała sala zamieniła się w cichy, elegancki cmentarz. Około pięćdziesięciu par gałek ocznych wpatrywało się we mnie z otwartą torebką na kolanach i śmiejącą się w najlepsze z biednego kelnera. Nawet Eryk patrzył na mnie, jak na idiotkę. Cholera, że też nigdy nie mogę się powstrzymać!

– Przepraszam - rzuciłam, po czym położyłam na stoliku dwudziestozłotowy banknot - Naprawdę, bardzo pana przepraszam...

- Nic się nie stało - wypowiedział kelner przez zaciśnięte zęby, szukając przy tym drobniaków.

- Reszty nie trzeba - powiedziałam już odwrócona i gotowa do opuszczenia restauracji i wpatrującego się we mnie towarzystwa. Moje wrodzone, poniekąd odziedziczone po mamie skąpstwo zostało zmuszone przemilczeć kwestię poczekania na resztę - do widzenia.

Miałam ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. Mimo wstydu, jakiego zaznałam z własnoręcznie wyrzeźbionych przyczyn, przez cały czas zachowywałam się, jak typowa angielska lady na meczu polo. Nie miałam wprawdzie tego charakterystycznego kapelusza, ale tak właśnie się czułam. I wiecie co? Fidiaszem to ja nie jestem. Bynajmniej...

Cała społeczność zgromadzona wówczas w „Conquistadorze" wpatrywała się we mnie, jak w „Monę Lisę" Leonarda da Vinci. Poczułam telepatyczną więź łączącą mnie z owym kelnerem; wiedziałam, że cały czas dopinguje moje zgrabne nogi, aby się potknęły.

- Poczekaj! - krzyczał z oddali Eryk.

Wbrew jego rozkazowi, nie zatrzymywałam się. Szłam wyprostowana, stawiając jedną nogę za drugą, jak na wybiegu. Czułam się jak aktorka, udając, że nie słyszę jego głosu. Pierdolę wszystkich. Bo niby dlaczego miałabym przejmować się ludźmi, których widzę pierwszy i zapewne ostatni raz? I tępym jak stara siekiera kelnerem? Po jaką cholerę, ja się pytam?

Wyszłam i zaraz przed drzwiami dobiegł do mnie mój „napalony" adorator.

- Czemu to zrobiłaś? - przez chwilę wydał mi się zadziwiająco podobny do owego kelnera. A może wszyscy mężczyźni są tak samo tępi?

- Czy wy wszyscy musicie być tak tępi? - nie mogłam sobie odpuścić.

- Zawsze jesteś taka bezczelna?

- Co? - udałam zdziwienie - wiesz, co... poczekaj, to chyba bez sensu. Otóż zrobiłam to, gdyż, jak to wybitnie określiłeś, jestem bezczelna. Zawsze – odwróciłam się, po czym ruszyłam przed siebie.

- Poczekaj! - zawołał, chwytając mnie za rękę - zadzwonię do ciebie.

A dzwoń! - pomyślałam sobie - i w ogóle rób, co chcesz!

Koniec końców ruszyłam na zakupowe polowanie.

***

Poza stosem głupich gazet, dokonałam zakupu: spranych jeansów z Lee, oliwkowego sweterka z Lacosty, klapek od Dolce'a & Gabbany. Przyszła pora na bieliznę i dodatki. Padło na różowo-militarny komplet (stanik i majtki) z New Yorkera, różowy gorset z tejże samej firmy, torbę od Marca Jacobsa i kawowej barwy pasek z Colloseum. Wiem, że ryzykuję. Wiem to bardzo dobrze. Wręcz jestem tego świadoma! Ale przecież kiedyś musi stanąć przede mną jakiś szczodry klient (albo najlepiej cała kolejka) i powierzy mi coś więcej aniżeli sprawę rozwodową. Muszę być optymistką! Przechodząc obok Atlantica, dostrzegłam przez witrynę sklepu mój stanik z brokatem. Fe! Tak mówiłam, gdy miałam dziesięć lat! Tak więc widziałam stanik identyczny do tego, który został u Tomka i który ponoć obecnie znajduje się w posiadaniu Przemka. Znowu naszły mnie czarne myśli. I niestety - stało się. Denny nastrój zaowocował wizytą w warzywniaku. Przykro mi, ale nie dosłownie. Bowiem nie dokonałam zakupu ani jednego warzywa. Przeciwnie - same słodycze i cola dietetyczna.

***

Do jasnego czorta; kiedy ja wreszcie zacznę się zdrowo odżywiać?!

***

W „domu" czekała na mnie (no kto? kto może czekać na mnie?) Aśka! Co za niespodzianka! W dodatku nie była sama! Towarzyszył jej - wprawdzie już troszeczkę mniejszy - kac. Jakie szczęście, że mi to już przeszło... Szczerze powiedziawszy zawsze tak jest; szybko mnie łapie i równie szybko przechodzi. Wystarczy godzinka, no - może kilka godzin - snu i tzw. klepa zostaje unicestwiona. Owszem - bywają sytuacje, jak np. teraz, kiedy jestem schlana jak stara stodoła, że nie wiem, co czyniłam w chwili przedawkowania. I powiem wam uczciwie, że, aby je „przegonić", trzeba usłyszeć coś strasznego. Np. coś takiego, jak usłyszałam ja.

- Kupiłaś mi coś?- wbrew mojemu mniemaniu, Aśka przeczytała wiadomość. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, bo zapomniałam o tej pieprzonej mineralnej.

- Jesteś głodna? - „jeżeli tak, to szkoda, a jeśli nie, to... to twoja strata", pomyślałam, ale szybko skarciłam się w myślach.

W końcu to moja przyjaciółka. Nie powinnam zachowywać się egoistycznie w stosunku do mojej najlepszej przyjaciółki! Bo to, że jestem egoistką, wiem bardzo dobrze. Ale nie zamierzam rezygnować z tej postawy. Przynajmniej na razie. Już w gimnazjum dążyłam do tego, by być egoistką. Głupie? Pewnie tak. Ale spójrzcie na to z tej perspektywy: już w samym słowie „egoistka" kryje się coś wspaniałego. Egoistka. Egoista. Ego. E gotyk. Egocentryk. Coś pięknego! Poza tym spodobała mi się filozofia, według której stawia się w centrum samego siebie, wszystko robi się dla tej jednej, wyjątkowej osoby, wszystko zawdzięcza się tylko jej. Postanowiłam więc, że sama przejdę na to „wyznanie". I właśnie z tego względu napisałam wiersz;

****

Zawsze jesteś swego pewna
Gdy Cię nie ma - trwoga rzewna!
Uśmiech twój, jak u gwiazd, biały
Kto nie przytaknie, czyż nie jest wspaniały?
Figura twoja modelkę przypomina,
Kto na cię patrzy, o świecie zapomina!
Włosy masz jak z sennych marzeń...
Rozmowa z tobą dodaje wrażeń!
Czar, urok, inteligencja....
Wszystkich przy tobie ogarnia demencja...
Na twój widok zawłada mną zazdrosne uczucie.
Gdy Bóg cię stworzył, miał piękna poczucie.
Innych stwarzając, nie mając wigoru,
Wykazał, że ma poczucie humoru...!
Gust twój jest wręcz doskonały
Wszyscy przy tobie - krasnale-Hałabały...
Takaś ty mądra i wygadana!
Zawsze każdego powalasz na kolana!
Nie pasują do cię z wyprzedaży ubrania -
A wszędzie słychać ciągle szemrania,
Jakaś ty idealna (!)
Powie to nawet wypowiedź niewerbalna!
Głos twój boginki leśnej, co za Erosem hasa
Warta jest tego każda kasa
A jakaż jest w Tobie gracja!
Tak... co racja, to racja...
I można wychwalać bez opamiętania
Ile jest cech w tobie do pokochania!

Lecz przełożę na potem moje pochwały
Bo mi się zdaje, jakoby ściany uszy miały,
I gdy ktoś usłyszy, że gadam do siebie,
Już nie będę chodziła jak po chmurach w niebie.

[A li zaś do kogoś dojdą o tym słuchy,
Nigdy nie powie, że głupi jest czy głuchy.
Bo zaraz uznają, że kto do siebie mówi,
W szpitalu psychiatrycznym powinien się zagubić.]

Swoją droga - czyż nie jestem genialna?

Wieczorem zauważyłam u Aśki znaczną poprawę, więc wysłałam ją do wypożyczalni po jakieś komedie romantyczne. W końcu ktoś musiał skonsumować moje dzisiejsze zakupy; mowa tu naturalnie o produktach spożywczych. Odważyłam się spojrzeć w ekran mojej K300i. Wyświetlone „Połączenia nieodebrane" zwiastowały co najmniej jednego delikwenta, który chce uświadomić mi wczorajsze przedawkowanie alkoholu. Nie pomyliłam się: Przemek, Beta (co?!), Przemek, Przemek, Tomek, Beta i Fasolka (sekretarka Bety; ochrzczona w ten sposób z kilku przyczyn:

1. Uwielbia tę potrawę;

2. Nie kryje się z tym;

3. Ma dietę tzw. fasolową (śniadanie i obiad stanowi ta właśnie potrawa, kolacji natomiast nie jada);

4. Pierdzi, niczym młody zapaśnik sumo,

5. Jak (chyba) każdy, ma nerki w kształcie tych zacnych warzyw strączkowych).

Ale - wracając do połączeń nieodebranych: po jaka cholerę dzwoniła do mnie szefowa?! Nie mogłam pozwolić sobie na dalszą niewiedzę i czym prędzej do niej oddzwoniłam.

- Co ty, kurwa, znowu wyprawiasz?! - grzecznie mnie przywitała

- Dzień dobry; bardzo panią przepraszam, ale... nie za bardzo... nie rozumiem, o co... pani chodzi? - zapytałam ze szczerą niewiedzą.

- A co, kurwa, robiłaś dzisiaj w „Conquistadorze”?! Wiem, że wzięłaś sobie parę dni urlopu, ale twoje zachowanie w czasie wolnym od pracy także musi być takie, jak w pracy, rozumiesz?! Ma pan mak miedzy zębami! - zacytowała mnie piskliwym głosem - co ty sobie w ogóle wyobrażasz?!

Nic sobie nie wyobrażałam. Po prostu byłam w szoku. Jakby wyparowała ze mnie cala ta pieprzona kupa fałdów, zamieszkująca moja głowę od chwili poczęcia (a może urodzenia?). Nie wiedziałam, co mam jej odpowiedzieć. Skąd ona może o tym wiedzieć?! I to już dzisiaj?! Rozumiem, że poczta pantoflowa działa, nie przeczę, ale z tak niewiarygodną prędkością?! Zdecydowanie przesadza!

- Nie odzywasz się, co? - zauważyła bystrze - w takich sytuacjach najlepszym wyjściem jest milczenie, nieprawdaż?!

- Eee...- Zdążyłam wyjąkać.

- Wyobraź sobie, że siedziałam dzisiaj z właścicielem „Tawerno” (ciut lepsza firma od naszej, a w mniemaniu mojej szefowej: najlepsza firma adwokacka w stolicy). Właśnie mieliśmy podpisać kontrakt, rozumiesz?! Ktoś chciał podpisać z nami cokolwiek! Okazja stulecia! Rozumiesz, kurwa, co do ciebie mówię?! Bo to, że słyszysz, to wiem. Ale nie wiem, czy ta sprawa do ciebie dociera! Rozumiesz, co do ciebie mówię?!

- Eee...

- Powtarzasz się! Powtarzasz się, kurwa!

- Przepraszam – wyjąkałam.

- I wtedy ty, jak zwykle nie w porę, wyskoczyłaś, pojawiłaś się na horyzoncie z tym twoim P R Z E Z A B A W N Y M tekstem! Marek oczywiście cię rozpoznał, pomimo, iż udawałam, że cię nie znam! Bo kto normalny by się do ciebie przyznał?! A wiesz, jaki jest Marek!

Oczywiście wiedziałam; był niezwykle konserwatywny, zaborczy i uparty, jak stara oślica. Poza tym - delikatnie mówiąc, za mną nie przepadał; po tym, gdy w pewnej sprawie stanęłam przeciwko niemu, i to po stronie dwóch gejów.

- Ja naprawdę... tak bardzo mi przykro... - zdołałam wyjąkać.

- Tobie jest przykro?! Tobie?! Ty pierdolona suko! Ty jebana szmato, kurwo, dziwko! Tobie jest, kurwa, przykro?!

- Przysięgam, to był naprawdę mój ostatni raz...

- Wiem. Oczywiście, że ostatni! Jutro przychodzę do pracy o godzinie jedenastej. Do tego czasu mają zniknąć z pracy wszystkie twoje rzeczy. Cały twój pieprzony gabinet i twoje pieprzone biurko mają być oczyszczone z twoich pieprzonych rzeczy, rozumiesz?!

- Chwileczkę, czy... mogłaby mnie pani wysłuchać? - próbowałam podać rękę losowi- Nie może tego pani jeszcze przemyśleć? Błagam... - teraz naprawdę szło mi do płaczu - Niech to pani jeszcze przemyśli, bardzo panią proszę...

„Ty jebana suko, nie masz prawa mnie zwolnić!” - wołałam w duszy.

Odpowiedział mi jednak ten specyficzny dźwięk, jaki wydaje telefon, np. w sytuacjach, gdy rozmówca rzuci słuchawką.

- Ty jebana suko! - krzyknęłam, biorąc z niej przykład - Wal się! - Korzystałam z możliwości wykrzyczenia jej przez telefon tego, co o niej myślę. A co z tego, że i tak tego nie słyszała?!

Muszę coś wymyślić. Przecież nie może mnie, ot tak, z dnia na dzień, ba - z godziny na godzinę! - wyrzucić z pracy, prawda?! Nie z moim debetem!

- Mówiłaś, że zapomniałaś o chipsach, tak? - Aśka wróciła cała w skowronkach i poszła wprost do kuchni (no dobra! Do aneksu kuchennego!). Ja za to byłam w krukach. Czarnych. I to nie tych od biżuterii. W dodatku srały na mnie gołębie. Tak się przynajmniej czułam.

- Nie martw się, kupiłam cebulowe. Pieczywo też... - w tym momencie spostrzegła mnie wegetującą na kanapie, z telefonem w dłoni.

Chciałam krzyczeć. Przeszła mi ochota na cokolwiek.

- Co się stało? - zapytała.

Nie wiem dlaczego, ale nie odpowiedziałam, więc wznowiła pytanie. Ja jednak wciąż milczałam, jak stara mogiła.

- Ej kobieto, odpowiesz mi, czy mam sama zeżreć te chipsy, co?

Rozpłakałam się, na co Aśka zareagowała poprzez podanie mi pudełka Velvetów. Płakałam chyba z piętnaście minut, zapoznając Aśkę ze szczegółami mojej konwersacji z Betą.

- Niech to szlag - sama bym tego lepiej nie skomentowała - Niech to szlag! I wiesz co?

- Nie - odparłam zgodnie z prawdą.

- Chyba wiem, co może ci pomóc.

- Tak? Masz dla mnie pracę? - zapytałam ze szczerą kpiną w głosie, na co ona podeszła do lodówki i wyciągnęła butelkę szampana.

- Nie masz nic innego?! Bo chyba nie mamy czego oblewać, nie? - nie czekając na moją ripostę, grzebała dalej w lodówce.

- E... no nie... jest jeszcze browar... nie! Trzy browary! - komentowała owoce swych alkoholowych poszukiwań.

Szczerze powiedziawszy nie miałam ani siły, ani ochoty odciągać jej od tego pomysłu i jego realizacji.

– Pomyślmy - rzekła, energicznie podając mi puszkę - Pomyślmy logicznie.

- To chyba nie w tym domu

- Słusznie. Bo ty nie masz domu.

- Bardzo śmieszne! Genialne! Po prostu ubaw po pachy!

Wyrwała kartulkę z leżącego na półce zeszytu i wzięła do ręki długopis.

- Co spowodowało, że cię wyrzuciła? - spytała dyplomatycznie.

- Moja głupota?

- Słusznie - nabazgrała coś na kartce - i co jeszcze?

- Moje niepohamowanie (co?).

- Masz coś na koncie?

- Tak. Milion! Aśka, przecież ja mam taki debet, że szkoda gadać!

- A oszczędności? Bo chyba nie wydałaś ich?

- Nie, nie chcę ich na razie wydawać... i jeżeli nie pójdę w ciągu najbliższych tygodni do jakiejś N O R M A L N E J pracy (czyt. w której zarobki byłyby delikatnie mówiąc adekwatne do moich potrzeb) to... to ja po prostu nie wiem!

- A więc: strategia - znowu coś nabazgrała - znaleźć fajną fuchę jak najszybciej. Gdzie?

- Gdziekolwiek!

- Gdziekolwiek - powtórzyła, zapisując - masz jakichś znajomych z twojej branży?

- Tak! I to cholernie dużo! Od zawsze lubiłam kumplować się z konkurencją! (kocham ironizować!).

Nagle coś mi przyszło do głowy. Eryk! Oczywiście zdaję sobie spraw z wielkości szans na to, że on kiedykolwiek do mnie zadzwoni (właściwie to z ich braku). Ale... może to jest jakaś nadzieja?

- Mam!

- No?

- Eryk!

- Kto?

- Eryk! Wiesz, ten facet, który się do mnie przysiadł i w obecności którego wypomniałam kelnerowi, że ma mak w zębach!

- I co ten Eryk? Ożenisz się z nim i nie będziesz musiała pracować?!

- Eryk, proszę ciebie, jest właścicielem „Lattivo".

- I...

- I...proszę ciebie, może znajomość z nim przyniosłaby jakieś większe korzyści, aniżeli siedem orgazmów pod rząd...

- Myślisz, że zatrudni cię u siebie w firmie?

Podniosłam odruchowo jedną brew.

- Kochana... tym to już ja się zajmę...

Aśka podała mi owoc swego myślenia, tzn. kartkę z poniższą treścią;

PRZYCZYNY: głupota i niepohamowanie

SKUTKI: utrata pracy

STRATEGIA: znaleźć fajną fuchę jak najszybciej. Gdziekolwiek. Najlepiej dobrze płatną, jako że na koncie jest nieuregulowany debet. Delikatnie mówiąc - spory.

PLUSY UTRATY PRACY (a więc jednak jakieś są! I to całkiem pozytywne!): koniec wstydu, nawet przed własną matką, koniec wstawania o siódmej rano (przynajmniej na razie)

MINUSY UTRATY PRACY: brak pracy, niemożność otrzymywania jakichkolwiek dochodów.

ROZWIĄZANIE: Eryk!

- Dzięki. To mi pomogło. Naprawdę, wiesz, jak pocieszyć człowieka...

* **

Nie mam pojęcia dlaczego, ale boję się, że Eryk nie zadzwoni. Wiem, że powinnam myśleć optymistycznie i w ogóle, ale on naprawdę może nie zadzwonić! Po tym, co zrobiłam?! Niby wiem, jak mogę zareagować, jako że Aśka uzbroiła mnie w szereg poleceń „do wykonania w razie niepowodzenia na froncie uwodzenia" (może i głupio brzmi, ale co tam...). Po prostu: muszę znaleźć numer do „Lattivo" i poprosić do telefonu Eryka. W razie czego się z nim umówię. Jeśli się nie uda... a co tam! Musi się udać! Po prostu musi! Ja natomiast muszę myśleć optymistycznie! Ostatecznie... większość tych ciuchów mogę zwrócić w przeciągu dziesięciu dni! Nie wiem, czy to Boska Opatrzność, czy moja uroda (z pewnością jedno i drugie) zadecydowały, że tego samego dnia poznałam Eryka. Pewnie myślicie sobie teraz „Tak... zdarza się. Raz na sto lat. W ogóle nie życiowe..." Być może. Ale co ja na to poradzę? Oczywiście nic. Dlatego uznaję sprawę za sprostowaną. Cieszę się i tyle. Czasami odnoszę wrażenie, iż jest to kwestia wspomnianej wcześniej głupoty. Nie od parady wieszcz głosi, że „głupi zawsze ma szczęście", prawda?

Resztę wieczoru spędziłyśmy, oglądając po raz setny „Titanica” Jamesa Camerona. Płakałyśmy jak stare konewki, wlewając w siebie całe zasoby alkoholu zgromadzone w moim „barku” (czyt. lodówce), nie bacząc na cele i zamiary jego przyrządzenia. Naturalnie musiałyśmy ów zapas co pewien czas uzupełniać, ale tym zajmowała się Aśka.

5 czerwca, poniedziałek

Opatrzność skazała nas za to na kolejny dzień próżnowania. Po raz kolejny Aśka musiała zadzwonić do swojego miejsca pracy (wbrew woli męża Aśka jest nauczycielką. Nawiasem mówiąc - nie rozumiem jej; przecież Krzysiek spokojnie mógłby wykarmić ich trzyosobową rodzinę, przyjaciół rodziny i jeszcze by mu zostało, żeby zaspokoić potrzeby potrzebujących) i poinformować, iż nie przyjdzie z powodu grypy, jakiej, jak najbardziej, można nabawić się w lecie. No wiecie - ta temperatura, jedzenie lodów i innych zimnych specyfików (wbrew obiegowej opinii, że „nie ta pora”) powodują rozprzestrzenienie się wirusów, zarazków i bakterii tak, że nawet „Domestos” nie pomoże. A zwolnienie lekarskie? Ach, naturalnie - przyniesie. Oczywiście (w końcu jej operatywny mąż nie odebrał jej karty do bankomatu, ani nie zablokował konta, więc, jeśli użyje jej, by zasilić konto kochanego pana doktora, ten bardzo chętnie wypisze zwolnienie (ba! jeżeli wpłaci odpowiednią sumę, wyryje w Alei Sław złotem albo nawet diamentami!). Boże, co ja gadam?! Idę się przespać. Jutro pójdę do biura po rzeczy.

6 czerwca, wtorek

Obudziłam się o świcie z potwornym bólem głowy. Cholera jasna - spałam cały dzień i całą noc! Muszę iść dzisiaj po rzeczy do pracy. To znaczy do byłej pracy...

Przecież nie mogę tak żyć! To znaczy jak ja teraz będę żyła?! Na koncie nie mam nic, oprócz ogromnego debetu, a oszczędności, choć niemałe - nie do wykorzystania (a może owa „czarna godzina” z myślą, o której posiadam ową dorodną sumę właśnie nadeszła?! Cholera jasn - nie mogę myśleć w ten sposób! Nie nadeszła!), muszę opłacić mieszkanie (wiem, wiem - ale zastanówcie się tak na chłopski (chociaż nie; lepiej na zdrowy) rozum; jak brzmiałoby stwierdzenie: „Muszę opłacić kawalerkę”? Zdecydowanie nijak. Tak więc nie zamierzam bynajmniej określać mojej kawalerki owym wstydliwym mianem. W końcu należy do mnie, a nic, co moje nie jest mi obce. A nazwa „kawalerka” jest mi obca, więc nie należy do mnie.) (no dobra, wiem, że gadam głupoty, ale trudno), telefon, gaz, prąd, wodę i abonament za Internet. Dobrze, że chociaż komórkę mam na kartę. Ale i tak owa kartę będę zmuszona kiedyś zakupić). A co będzie, jeżeli Eryk w ogóle nie zadzwoni?! Co byłoby wręcz normalne. Przecież nie wszystko jest takie proste, jak nam się wydaje.

A może udałoby się mi ubłagać szefową, by pozwoliła mi zostać? Spróbuję. Zebrałam się w sobie i Apapem próbowałam zwalczyć potworny ból głowy, który pocałował mnie na „dzień dobry” w ramach PPdS (tzn. Programu Pocieszenia dla Samotnych) autorstwa Amora. Wiem, że gadam głupoty, ale kto z moimi perspektywami by nie gadał? No kto? Odpowiedź brzmi: Nikt. Tak więc gadam.

Wystrojona w najnowsze fatałaszki, kilka kropli „Chance” Channel, walnęłam sobie kielona (wiecie - żeby dodać sobie otuchy...), po czym wyszłam. „Kielunio” okazał się, jak zwykle, niezastąpiony. W rzeczywistości nie mam ni bladego, ni tym bardziej zielonego pojęcia, czyją zasługą (apapu czy „Soplicy”) było wyzwolenie mnie z „Amorowych objęć”. Kiedy tylko zamknęłam za sobą drzwi mojego mieszkania, zrobiło mi się strasznie wesoło. Na klatce myślałam, że oszaleję z radości, zaś w drodze do przystanku miałam ochotę skakać pod niebo (może powinnam częściej umilać swoje poranki w sposób podobny do dzisiejszego?) Nawet nie spostrzegłam, jak przechodzę obok przystanku i pieszo podążam do mojego (być może, choć mam nadzieję, że się mylę - byłego) miejsca pracy.

Gdy tylko znalazłam się w holu, poczułam ogromną falę (co za debil wymyślił, że tsunami nie występuje w Polsce?!) zabójczych spojrzeń rzucanych w moją lichą stronę. Bynajmniej nie były to spojrzenia miłe, mające zastąpić np. taką słowną treść:

Dzień dobry pani. Udał się pani urlop? Jak pięknie pani dzisiaj wygląda. Mmmm... pewnie przebywała pani w jego czasie w salonie Spa? Zazdrościmy pani. Niemiłosiernie.

Otóż nie. Nic z tych rzeczy. Każda pracownicza gałka miotała moja osobę od stóp (klapek od Dolce & Gabbany) po ciemnobrązowe włosy i ich rozdwojone końcówki. Swoją drogą - muszę je podciąć.

Poczułam, że słyszę myśli tych ludzi. Ludzi, którzy jeszcze tak niedawno podlizywali się i - co chyba najważniejsze - pracowali ze mną. A może już nigdy nie będą mieli tej przyjemności? Nie, nie - o czym ja w ogóle gadam?! Przecież jestem optymistką! Wracając do myśli - bynajmniej nie były one przychylne mojej postaci. Ba! One wręcz krzyczały: „Ty zdziro! Spierdalaj stad! Nie chcemy cię tutaj, nie kapujesz?!". W dodatku nikt się nawet nie wysilił, by powiedzieć mi chociaż „cześć", czy „dzień dobry". Co się z nimi stało?! Czyżby uznano mnie za potencjalnego i groźnego wroga, a Beta zagroziła redukcja etatów za bratanie się z owym wrogiem?

- Strzała everybody! - krzyknęłam na powitanie, jednakże riposta nie przyniosła wielkiego zaskoczenia moim myślom.

Cisza. Jak makiem zasiał. Jak grochem o ścianę. Każda persona przebywająca wówczas w holu raz jeszcze zmierzyła mnie krwiożerczym i wampiro-podobnym spojrzeniem, po czym powróciła do swoich zajęć i rozmów, jakie przerwało im moje przybycie. Przynajmniej nie było cicho. Idąc w kierunku gabinetu Bety patrzyłam na wszystkich z ostentacyjną wyższością (i to dosłowną, jako że byłam najwyższa spośród całego grona kobiet w tej ubogiej dziurze) i z dostateczną prędkością. Jakaż to prędkość jest dostateczna? - zapytacie. Otóż dostateczna prędkość to taka, która pozwala iść na tyle powoli, by dostrzec miny będących obok, ale jednocześnie na tyle szybko, by nikomu nawet przez myśl nie przeszło, jakież to niecne intencje skrywa moja dusza. Tak więc szłam. Niby patrzyłam przed siebie, choć tak naprawdę kątem oka dostrzegałam tę buchającą zazdrość wprost wylewającą się na moją skromną osobę. No i dobrze. Nie mają twarzy, nie mają figury, to i nie mają kasy na takie ciuszki. Myślicie, że ta praca, przynosząca marne grosze, dałaby mi takie ciuchy? W życiu! Oczywiście - nie szaleję z zakupami ciuchów od znanych projektantów za często, ale owszem - nie przeczę, zdarza mi się przeholować. Takie typowe przeholowanie miało miejsce właściwie niedawno, ale mniejsza z tym.

Naturalnie nie omieszkałam po drodze zajrzeć do mojego gabinetu. Drzwi były uchylone, nie - jak w innych firmach - oszklone (bo nas po prostu na to nie stać), więc zrobiłam to bez problemu. Ale... chwileczkę... co w moim brzydkim i brudnym (sprzątaczki przychodziły tylko raz w tygodniu) gabinecie robiła jakaś ruda zapaśniczka sumo?! Sądząc po pozycji - siedziała. Na moim brzydkim, burym fotelu. Pasożyt! To niemożliwe, żeby w tak krótkim czasie zajęła moje miejsce! Moje rzeczy wciąż jednak tkwiły na swoich stałych miejscach. A może ona tam tak tylko chwilowo pracuje? Nie mogłam się powstrzymać od wejścia tam i zadania jej szeregu pytań. Podeszła do półki i zaczęła tam grzebać.

- Pomóc pani w czymś? - zapytałam, a krew wręcz wpraszała się do mózgu.

- Pani Oliwia Kwiatkowska, jak mniemam? - zapytała z wyrazem starego buldoga na twarzy.

- Pani zapewne jest naszą nową sprzątaczką, jak mniemam?

- Nie - odparła spokojnie - Pani Elżbieta czekała wczoraj na panią, więc MILE (co wypowiedziała z widoczną ironią) ją pani zaskoczy...

W oka mgnieniu cudowny nektar bogów stracił na wartości. Zastąpiła go gorycz. Bo, do kurwy nędzy, jak oni mogli mi to zrobić?! Nie oglądając się za siebie, wróciłam na ścieżkę wiodącą do gabinetu królowej Bety.

- Szefowa jest aktualnie bardzo zajęta - skomentowała moje wtargnięcie sekretarka, która jeszcze tydzień temu w podobnej sytuacji odrzekłaby: Beta ma klienta. Jej alfons dzwonił i chciał jej powiedzieć, żeby pracowała wydajniej. Potem obydwie wybuchnęłybyśmy pełnym pogardy dla Bety śmiechem. Ale nie tym razem.- Przepraszam bardzo. Mówiłam pani...

Nie dane jej było dokończyć, bowiem w tym samym momencie wstąpiłam do „Ziemi obiecanej", czyli do gabinetu Bety. Byłam tak zdesperowana, że nawet nie zapukałam.

- Dzień... o, cholera! - w chwili mojego pojawienia się jakaś kobitka gwałtownie odskoczyła od mojej szefowej

Za późno!- dałam swobodę werbalną moim myślom, obserwując zarazem, jak twarz Bety z czerwonej przybiera odcień gorącej purpury. Nawiasem mówiąc nigdy wcześniej nie widziałam mojej zdecydowanej i opanowanej szefowej w takim stanie; jej bordowe policzki wręcz gryzły się z czerwono-krwistymi wargami, w oczach zaś malowały się najprawdziwsze, ludzkie łzy. Nigdy wcześniej też nie podejrzewałam ją o skłonności do bycia wrażliwym człowiekiem, jakie jest w posiadaniu przynajmniej część populacji Homo sapiens sapiens. Ba! Szczerze powiedziawszy nawet nie pomyślałam, iż posiada ona gruczoły łzowe (zawsze byłam przekonana, że jednak poddała się zabiegowi kastracji, acz nie tego, co zwykle), a musicie wiedzieć, że miałam ku temu niezbite dowody. Otóż chodziły słuchy, że nawet cebuli mówi „nie" i nie roni łez, krojąc ją. Ale dosyć tych dygresji. Spójrzmy prawdzie w oczy: Beta jest lesbijką! Podczas, gdy one wydawały z siebie odgłosy przypominające te, jakie wydają płuca starego palacza, ja wpadłam w prawdziwie histeryczny śmiech. Wprost zataczałam się ze śmiechu.

- Pani Elżbieto - durna sekretarka wpadła i usiłowała wcisnąć szefowej jakiś kit o próbie powstrzymania mojego wtargnięcia. Zawsze wiedziałam, że jest tępa. Założę się, że, pomimo rozpiętej bluzki „tej drugiej" i widocznego biustnika Bety Bożena (bo takie właśnie imię nosiła owa sekretarka) źle zinterpretowała owe znaki i nawet przez myśl jej nie przeszło, że jej szefowa może być daleką krewniaczką Safony - Próbowałam ją powstrzymać! Mówiłam, błagałam, a ona nic! Jakby w ogóle mnie nie słyszała! Tylko mnie odepchnęła i WGRAMOLIŁA SIĘ (Co wypowiedziała trochę bardziej wymownie) do pani gabinetu, zupełnie jak jakiś troll!

- Elu...- powiedziała owa „druga" zmysłowym głosem - dziękuję ci. Zadzwonię później, OK? - Beta nic nie odpowiedziała, a panienka posłała jej oczko i wyszła, demonstracyjnie kręcąc tyłkiem.

- Bożenko... Zostaw nas same, dobrze? - w jednej chwili pożałowałam, chyba po raz pierwszy w życiu, że włożyłam bluzeczkę z głębokim dekoltem i (jakąkolwiek) spódnicę.

- Oliwio - wiedziałam, z jakim trudem przechodzi jej to przez gardło - usiądziesz?- ręką wskazała mi krzesło stojące po drugiej stronie jej biurka. Miałam odpowiedzieć, że wolę stać, ale wnet uzmysłowiłam sobie, że wtedy Beta będzie miała wgląd na moje gładkie, opalone nogi.

- Dziękuję - odpowiedziałam, snując w głowie intrygę, dzięki której niekoniecznie musiałam wylecieć z pracy już dzisiaj. Beta, zapiąwszy uprzednio bluzkę, podążyła w stronę swojego fotela, by w końcu złożyć na nim swoje nowo nabyte kilogramy.

- Widzisz... - zaczęła niepewnie, ale jej przerwałam.

- Widziałam. Wiem, że pani chciała powiedzieć „widziałaś". Sądząc po tym, co dane mi było zobaczyć - jest pani lesbijką - Beta lekko wzdrygnęła się na to słowo - I co z tego? Ja na przykład jestem tolerancyjna. Zresztą sama pani wie. Pamięta pani sprawę, w której, no wie pani, broniłam dwóch gejów?

- Oczywiście, że pamiętam - zaśmiała się sztucznie; wiem, bo sama to robię, z tą różnicą, że bardziej umiejętnie i profesjonalnie.

- Przychodzę do pani z pytaniem, czy zwolnienie mnie z tej firmy wciąż jest aktualne? - wiedziałam, że Beta zdaje sobie sprawę, do czego zmierzam - Bywa, że tak różnie reagujemy na tak prostą sytuację pod wpływem emocji, afektu, prawda?

Beta posłała mi nerwowy uśmiech.

***

Z gabinetu Bety wyszłam (chyba po raz pierwszy w życiu) wyjątkowo usatysfakcjonowana.

Beta:

1. Podaruje mi inny, większy oraz bardziej luksusowy (jak na te realia) gabinet
2. Da mi podwyżkę!

Mam nadzieję, iż domyślacie się, za co? Oczywiście nie mogę pisnąć ani słowa o jej nietypowej orientacji.

- Dobrze, nikomu nic nie powiem - Beta szczerze odetchnęła - i zastanowię się nad pani propozycją - powiedziałam to wbrew prawdzie, gdyż w rzeczywistości była to moja propozycja. Zanim jednak opuściłam gabinet szefowej, musiałam przysiąc chyba ze sto razy, że dotrzymam danego jej słowa.

- Wiesz, jak wpłynęłoby to na wizerunek naszej firmy... - Próbowała mi wmówić, że akurat to obchodzi ją najbardziej. Musicie wiedzieć, że Beta była zarazem szczęśliwą mężatką i dochowała się trójki obrzydliwych i rozpieszczonych bachorów.

- Oczywiście. Ale jeszcze raz panią zachęcam; niech się pani niczego nie wstydzi. Biseksualizm jest teraz jak najbardziej trendy. Nie można robić niczego wbrew sobie, wbrew własnej orientacji, bo w efekcie dochodzi do autodestrukcji własnej osoby i osobowości - Delektowałam się każdym słowem. Czułam, jak torturuje mnie i moją osobowość wzrokiem, ale pieprzyłam to - Niech się pani nie poddaje. Ja jestem z panią. Trzymam kciuki (chociaż prawdę powiedziawszy nie wiem, za co). Pani też niech się trzyma. Postaram się dać pani odpowiedź jak najszybciej, dobrze?

- Nie musisz się spieszyć - dała po sobie poznać, jak bardzo za mną tęskni - Jak chcesz. Dostosuję się do ciebie...

Odpowiedź miała być jednoznaczna; tak albo nie. Albo chcę tutaj dalej pracować, albo nie. A ponieważ zwidziało mi się boskie nic-nierobienie, więc obiecałam ową propozycję wziąć pod uwagę.

To było jednak jak ze snu. Nie mam pojęcia, skąd Beta weźmie pieniądze na spłatę efektów swych bezmyślnych igraszek. Zła strona tejże sytuacji to ta, że dobre czasy dla prezentowania mojej cudownej garderoby w pracy się skończyły. Nastał kres dla dużych dekoltów, seksownych spódnic, czy obcisłych dżinsów. Będę także musiała zaprzestać ekstrawaganckiego makijażu i pięknych szpilek. Co z tego, że i tak przebieram się na miejscu? Przecież sokole oczy Bety i tak prędzej, czy później wytropią co atrakcyjniejsze części mojego ciała. Ale pieprzyć to. Przecież nie sama pracą człowiek żyje, a faszystowskie teksty typu „Arbeit macht frei" już dawno zostały zastąpione innymi. Ja mam teraz wolne. Praktycznie ile chcę, bo przecież Becie się nie spieszy. Powiedzmy... miesiąc potrzymam ją w niepewności. A może... wybiorę się w jakąś egzotyczną podróż? Chociaż nie; odpada. Bo i z kim? Poza tym trzeba było pomyśleć wcześniej o kupnie biletu i rezerwacji. Przydałby mi się też samochód. Szłam ulicą, w myślach podziwiając siebie w luksusowym i drogim ferrari. Miałam, jak zwykle, długie i rozpuszczone włosy, które pięknie falowały mi na wietrze (no co? Okna przecież były otwarte). W uszach miałam duże kolczyki-koła, a na nosie ogromne, dwukolorowe muchy. Do tego sexy bluzeczka, obcisłe Levisy i szpilki. Aha - na siedzeniu obok znajdowała się ogromna torba - taka, taka, jakie są teraz modne. O tak! Jak gwiazda

filmowa! Albo Victoria Beckham! No, ostatecznie, jak Paris Hilton. Wracając jednak do samochodu - po prostu mnie na niego nie stać. Ale pomarzyć zawsze można, prawda?

W domu Aśki nie było (cholera, jak zwykle, jej się upiekło!), a ja zmuszona byłam pobawić się w kurę domową, matkę-polkę, sprzątaczkę, pomywaczkę i cholera jedna wie, w co jeszcze, bowiem: zrobiłam pranie, posprzątałam niemalże całe mieszkanie (od A do Z; ba - nawet Ż! Alfa i omega; po prostu wszystko!). W końcu trzeba to robić - powiedzmy raz na miesiąc. Na koniec zaparzyłam sobie przepyszna cappucinko z taaaaką pianką. Włączyłam TV, usadowiłam się wygodnie na kanapie i wzięłam do ręki ów stos gazet, który zakupiłam jako „dodatek" do ciuchów. Za namową jednej z nich wpadłam wprost na genialny pomysł; zostanę żoną piłkarza! Nie martwcie się - nie żadnego, jakiegoś tam Polaka; takiego obciachu to nawet ja bym sobie nie narobiła. Nie chcę być, jak Doda. Chcę być, jak Victoria Beckham. Jak Sylvie van der Vaart. Jak Adriana Shlenankova, czy wreszcie Coleen Mc Loughlin. Przypada)o mi także do gustu spostrzeżenie niejakiego Alana Birchenalla; „Bądźmy szczerzy, oglądamy wielu paskudnych piłkarzy, ale nigdy nie widzieliśmy brzydkiej żony piłkarza". A co to oznacza? Muszę być piękna. I mieć wymiary 90-60-90. Doda ma 90- 63- 88. Swoją drogą lubię ją. Przynajmniej wie, czego chce i stara się do tego dążyć za wszelką cenę. Ja też taka jestem. Teraz. Bo nie zawsze taka byłam. Okres, w którym dane mi było uczęszczać do gimnazjum pozostawił po sobie kilka - delikatnie mówiąc – braków: ogromny tyłek i brak silnej woli. Dopiero w pierwszej klasie liceum powiedziałam sobie „nie" w chwili, gdy konsumowałam frytki. Pierwszą czynnością, jaką wykonałam po tej jakże asertywnej, acz niewerbalnej wypowiedzi było wyrzyganie tego, co dane mi było wcześniej spożyć w najbliższej toalecie. Potem robiłam to coraz częściej, nigdy jednak nie pozwalając wymknąć się sytuacji spod kontroli. Przestałam przed wakacjami, z powodu silnych zawrotów głowy. W wakacje wyrobiłam w sobie silną wolę i jeszcze większą chęć walki. Przestałam kłamać (tzn. kłamałam, ale nie tak często) i pożegnałam się ze „starą Oliwią", a od września zaczęłam się dobrze uczyć. Zmieniłam szkołę na lepszą. Zmieniłam się totalnie. Zaraz po maturze przyszedł czas na decydującą zmianę wyglądu. O operacji nosa chyba już wspominałam, prawda? Jak się później przekonałam, warto było zainwestować w poprawę wyglądu, bowiem już parę miesięcy po operacji przechadzałam się po wybiegu i pozowałam do zdjęć topless. Studiowałam na UW, na trzecim roku biorąc dziekankę i wyjeżdżając do Los Angeles jako au-pair. Skończyłam prawo. Pamiętam, że chlałam i paliłam wtedy trawkę, jak pies. Nie zaprzeczam, że wciąż piję, ale nie tyle, co kiedyś (ale owszem: zdarza mi się przeholować).

Nigdy nie interesowały mnie stałe związki. Zawsze chciałam mieć najfajniejszych chłopaków, bo po prostu potrzebowałam zabawy. Jednonocne romanse od zawsze były moją specjalnością. Miało to jednak swoje konsekwencje; na czwartym roku zaszłam w ciążę z... profesorem. Wiem, że to chore, ale naprawdę nie miałam zbyt wiele czasu, żeby przygotowywać się do kolokwiów. Nie, nie poszłam na skrobankę. Poroniłam...

Ale dosyć o mojej przeszłości. Wróćmy do tematu „żona piłkarza". Zgodnie z artykułem, aby zarwać godnie zarabiającego pogromcę piłki, rozpalić jego zmysły i tyłek, trzeba... znać język. Z tego, co wiem, najlepiej grają: Anglicy, Portugalczycy, Francuzi, Włosi, Brazylijczycy i Niemcy. Ja władam tylko angielskim i niemieckim. Wniosek: od jutra uczę się portugalskiego. Padło na Cristiano Ronaldo. Myślę, że to dobry wybór, jak sądzicie?

Włączyłam „Podróż przedślubną" z Benem Affleckiem i Sandrą Bullock. Zasnęłam dopiero koło północy.

Trrrrr...

Kurwa, kto to może być?! – Zaklęłam w duszy. Była trzecia nad ranem. Aśka jeszcze nie wróciła, więc z naturalnych przyczyn się jej spodziewałam.

- Idę! - krzyknęłam, zmierzając w kierunku drzwi - Gdzie ty się tyle...

Zatkało mnie. Po raz pierwszy w życiu naprawdę mnie zatkało. Owszem - to Aśka wróciła do domu. Z kelnerem. Tak, z tym kelnerem. Od maku. → c.d.n.

Magda Mrugała, Nowy Targ

Bezsens

Zbyt krótkie życie
na miłość
Niewykorzystana okazja
po raz setny
Obrzydliwe hasła
propaganda upadłych aniołów
Smak życia
nie taki słodki
Nienawiść
choroba zbolałej duszy

***

Jeden strzał
Szum pocisku tępo przebijającego czaszkę
Martwy mózg
ale sprawne ciało
Wijące się w agonii
Rwące się do ucieczki
I otwarte oczy
by mógł widzieć swojego oprawcę

Ostatnia myśl – moja
Może kiedyś mi wybaczy…

Wspomnienie Ducha

Uciszony mruk zadowolenia
Zmyte z podłogi ślady brudnych łapek
Pojedyncze włosy
zamiast całego futerka
Porzucone zabawki

Ostatni skok
Zatrzymany w locie
Zastygły w bezruchu
I jęk protestu
Gdy jego dusze porywał szatan -
Dzieciak z osiedla

Przygoda

Wszelkie podobieństwo do osób lub zdarzeń
jest niezamierzone i przypadkowe.

Było ciepłe, sierpniowe popołudnie. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, dzieci biegały po parku wykorzystując każdą wolną od bacznego wzroku rodziców chwilę na psoty. Wiktor wraz z małżonką wychodził już z parku, kiedy z naprzeciwka zaczęła zbliżać się jego znajoma ze swoim chłopakiem.

***

Pierwszy raz zobaczył ją na tegorocznym Jarmarku Podhalańskim. Od razu wpadła mu w oko. Wysoka, szczupła brunetka o pełnych gniewu, niebieskich oczach. *Impulsywna, silna i niebezpieczna* - pomyślał wtedy. I właśnie to pociągało go w tej dziewczynie. Niczym psa, który za kiełbasą trzymaną przed pyskiem pójdzie wszędzie. Kłóciła się ze swoim chłopakiem. W zasadzie nie miał nic przeciwko temu gdyby nie drobny szczegół. Robili to po prostu za głośno, a on jako ochroniarz tej części rynku miał za zadanie pilnować porządku. Chcąc zaoszczędzić widowiska uczestnikom imprezy podszedł do pary i poprosił o uspokojenie się lub opuszczenie tego miejsca.

- W dupie mam to czy przeszkadzam innym! - wybuchnął mężczyzna - W ogóle czego się czepiasz, gościu. Spadaj!

- Proszę opuścić to miejsce albo wyprowadzę pana siłą - odpowiedział stanowczo ochroniarz.

- Przestańcie! - wtrąciła się dziewczyna - Robert, chodź i nie rób większego obciachu.

Pociągnęła za rękę swojego chłopaka i zawstydzona odeszła. Wiktor jeszcze długo za nią patrzył.

Całe szczęście, że do końca dnia nie wydarzyło się nic szczególnego, bo Wiktor był tak zajęty niebieskooką brunetką, że nie zauważyłby nawet gdyby stracił pracę.

Piątek chociaż zapowiadał się ciekawie był strasznie nudny. Roboty było niewiele, więc ochroniarze często porzucali swoje sektory, żeby zapalić i powymieniać się wrażeniami z innymi pracownikami „security". Podczas jednej z takich towarzyskich pogaduch Wiktor zobaczył swoją muzę. Była sama i wyglądała jeszcze piękniej niż wczoraj. Długo się nie zastanawiał, podszedł do niej.

- Czy dzisiaj jest pani w lepszym humorze? - zapytał.

W pierwszej chwili go nie poznała.

- Wczoraj chciałem wyrzucić stąd pani chłopaka.

- Aha - burknęła zakłopotana.

- Proszę się nie martwić, nikomu nie powiedziałem.

- Naprawdę jest mi za niego wstyd - próbowała się wytłumaczyć.

- Zupełnie niepotrzebnie. To on powinien się wstydzić, o ile ma chociaż odrobinę godności. Jednak nie przyszedłem tutaj rozmawiać o pani chłopaku.

Spojrzała mu prosto w oczy nic nie rozumiejąc. Kiedy wytłumaczył, o co chodzi, zmierzyła go od stóp do głów, szczególną uwagę zwracając na złotą obrączkę dumnie zdobiącą palec właściciela.

- Zgoda. O której? - zapytała.

- O dwudziestej, w tym samym miejscu.

- Będę czekać.

Wieczorem spotkali się i spędzili dwie miłe godziny w *Café Déjà Vu*. Te same zainteresowania, silne charaktery i pociąg do trudnych wyzwań połączyły ich. Oczarowani sobą umówili się na kolejne spotkanie, w tym samym miejscu. Zdaniem Wiktora, (choć o tym nie mówił), było to idealne miejsce na delikatny flircik.

Kolejne dwa spotkania były grą przyprawiającą o przyjemny dreszczyk emocji. Kierował nim dziki instynkt wiecznego łowcy i zdobywcy. Nawet wobec żony nigdy tak się nie zachowywał. Przelotne spojrzenie, muśnięcie jego ciała o jej, czy odpowiednie wykorzystanie romantycznej atmosfery panującej w lokalu.

Tego ostatniego dnia z *Déjà Vu* wyszli po niecałej godzinie. Wiktor odwiózł dziewczynę do domu.

- Wejdziesz? - zapytała.

- Nie wiem czy powinienem.

- No, choć przecież cię nie ugryzę - przekonywała.

Zgodził się, bo tak naprawdę, mimo udawanej obojętności chodziło mu tylko o to. Kiedy znaleźli się w mieszkaniu od razu przystąpił do ataku. Przygwoździł ja do zimnej ściany i zaczął namiętnie całować. Nie stawiała żadnego, nawet najmniejszego oporu. To, co nieuniknione musiało się stać. Jej garderoba na podłodze, zabójczo krótki czas całego zdarzenia, kawa na poprawę kondycji i kilka miłych słów na pożegnanie. Tak zakończyła się najkrótsza i zarazem najlepsza przygoda życia małżonka znużonego codziennością i młodej, pięknej dziewczyny. Wciąż uważa ją za niebezpieczną, ale to, co odkrył uprawiając z nią seks, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Do tej pory na samo wspomnienie przechodzi go dreszcz po plecach.

***

Już z daleka poznali się. Mijając się wymienili porozumiewawcze uśmiechy, których nie zauważyli ich partnerzy (a nawet gdyby je spostrzegli nie domyśliliby się, co one oznaczają). Wiktor złapał w nozdrza jej zapach. Niewinny i delikatny. Zupełnie nie podobny do prawdziwej natury tej *femme fatale*.

Sprawa z przeszłości

Późnym wieczorem Marta wracała do domu z IKEI. Zadowolona z zakupów, już nie mogła się doczekać, kiedy wszystkie te bibeloty będą dumnie prezentować się w jej nowym mieszkaniu. Ściszyła radio w samochodzie i zaczęła szukać dzwoniącej komórki. Była gdzieś w pobliżu, ale dziewczyna nie mogła jej zlokalizować. Omiotła wnętrze nerwowym spojrzeniem i nic. Zajrzała do schowka. Zguba leżała tam sobie i wesoło przygrywała. Marta musiała się trochę odchylić, bo jej przyjaciółka była wepchnięta głęboko, do samego końca ciemnej szafeczki. Kiedy z powrotem wróciła na swoje miejsce zobaczyła na swoim pasie TIRa szybko zbliżającego się w jej stronę. Komórka wypadła jej z ręki. Ułamek sekundy, nagły skręt w prawo z nadzieją wyminięcia tej wielkiej przeszkody. Nie zdążyła, lewym bokiem samochód zderzył się z Tirem. Później była już tylko ciemność.

***

Rafał wrócił do domu strasznie zmęczony. Niestety na nikim nie zrobiło to wrażenia. Obiad czekał na stole, córek jak zwykle nie było, a żona siedziała naprzeciwko talerza i gapiła się na to, jak je. Do tego ten jej tajemniczy uśmiech nigdy nie schodzący z twarzy. Czasami miał już go dość, ale nic nie mówił. Nie chciał się kłócić, bo Natalia była ostra w takich małżeńskich potyczkach. Kiedy tylko zjadł poszedł do salonu trochę odsapnąć. Nie mógł zapomnieć o porannej rozmowie z niejakim Karolem, facetem, któremu zachciało się grzebać w pewnych sprawach z przeszłości, a dokładniej w jednej. Na imię jej było Marta. Rafał przez ostatnie osiem lat próbował o tym zapomnieć, ale bezskutecznie. Teraz okazało się, że wszystko będzie musiał przeżywać jeszcze raz. *Ciekawe z jakim skutkiem?* pomyślał. Ale cóż zrobić - może jutrzejsza rozmowa wszystko ostatecznie wyjaśni i zakończy.

Mężczyźni spotkali się w jakimś barze. Karol był narzeczonym Marty. Poznali się jakiś rok temu jeszcze w USA. Marta niedawno przyjechała do Polski, i z pomocą narzeczonego kupiła mieszkanie. Jej syn miał przyjechać kiedy wszystko będzie już urządzone. Ale Marta niczego nie urządziła. Dwa tygodnie temu miała wypadek samochodowy. Zderzenie z Tirem pozbawiło jej życia na miejscu. Kiedy Rafał to usłyszał, poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Niczego nie wiedział. W głowie miał mętlik. A w sercu… Serca nie miał. Przed chwila ktoś bardzo brutalnie pozbawił go serca. Gdyby nie fakt, że był w towarzystwie schowałby się gdzieś i zacząłby płakać jak dziecko.

- Jest jeszcze coś - zagaił Karol - Jak wiesz Marta ma syna. Rafała. Chłopiec nie ma nikogo po śmierci matki.

- A co ja mam do tego?

- Jak to co? Przecież to twoje dziecko.

Rafała sparaliżowało. Jak mógł o tym zapomnieć?

- A co z jego babcią? - zapytał po chwili.

- Zmarła kilka miesięcy temu. Dlatego Marta wróciła. Dziadek Rafała nie może się nim zająć, bo ma poważne problemy finansowe. Choroba żony zrujnowała go, a wiesz jak jest w Ameryce. Za byle głupstwo mogą odebrać ci dziecko. Ale ty jesteś jego ojcem i możesz, a nawet powinieneś się nim zająć.

- Nie mogę jechać do Ameryki.

- Rafał przyjedzie tutaj. Za tydzień przylatuje.

Rafał zaczął się zastanawiać. Oczywiście cieszył go fakt, że ma syna, ale pozostawał inny problem, nieco większy. Jego rodzina. Jak on powie Natalii o tym, że ma dziecko? Jak zareagują córki, kiedy dowiedzą się, że ojciec zdradzał ich matkę? Trzeba było odejść, kiedy Marta powiedziała mu o ciąży. A teraz? Po tylu latach? Nie wiedział co zrobić. Gdyby żyła Marta, wszystko byłoby inaczej. Poprawka. Gdyby żyła, on dalej byłby zwolniony z odpowiedzialności. Karol zauważył jego wahanie. Wyciągnął więc zdjęcie małego i położył przed jego ojcem. Chłopiec był do niego bardzo podobny. Tylko kolor oczu miał po matce. Do tego nagle zauważył, nosi takie samo imię. Rafał. Rafał junior. To zdjęcie ostatecznie rozwiało wszelkie wątpliwości. Rafał postanowił zaopiekować się chłopcem. W końcu to jego krew. A Natalia? Ona już się nie liczy. Od bardzo dawna, chociaż sobie nawet z tego nie zdawała sprawy.

- Opowiesz mi jak to z wami było? - rzucił nagle Karol.

- Marta ci nie powiedziała?

- Tylko trochę. Chcę usłyszeć twoją wersję.

Rafał wziął głęboki oddech.

- Martę poznałem na stoku narciarskim. Mijała jakiegoś faceta i wpadła na mnie. Było dużo śmiechu, miła pogawędka i wspólne szusowanie. Nie wiem, kiedy wylądowałem z nią w łóżku, ale to było jak grom z jasnego nieba. Do tego była idealna. Niczego nie żądała, o nic nie pytała, rozumiała mnie jak nikt. Byliśmy razem dwa miesiące. Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, odeszła. A wiesz dlaczego? Bo nie chciała mi rozbijać rodziny. I jeszcze powiedziała, że kiedyś jej za to podziękuję - spojrzał jeszcze raz na fotografię. - Ależ byłem głupi. Powinienem wtedy z nią zostać. Gdybym mógł cofnąć czas…

Oboje zamilkli. To zabawne. Naprzeciwko siebie siedziało dwóch mężczyzn kochających tę samą kobietę. Silną i pewną siebie. Kobietę tak wyjątkową, że kiedy się ją spotkało nigdy nie można było o niej zapomnieć. Jedyna różnica, która między nimi zachodziła, to fakt, że pierwszy był ojcem jej dziecka, a drugi nawet z nią nie spał. Który wygrał? Oczywiście Rafał. Marta całe życie należała tylko do niego. Szkoda tylko, że to życie tak szybko się skończyło.

***

Dni wlokły się w nieskończoność, a czekanie było nie do zniesienia. Na dodatek Rafał zauważył, że w domu coś się zmieniło. Kiedy wracał obiadu albo nie było, albo musiał go sobie sam odgrzewać. Starsza córka w stosunku do niego zachowywała się niegrzecznie, wręcz ostentacyjnie go ignorowała. Do tego coś dziwnego stało się z Natalią. Całe dnie chodziła naburmuszona, przeprowadzała długie rozmowy telefoniczne nie wiadomo z kim i zmieniła swój stosunek do męża. Prawie z nim nie rozmawiała, nie przytulała się, nie miała ochoty na seks. Prościej mówiąc stała się inną kobietą. W sumie rzecz biorąc nie przeszkadzało mu to, bo już od dłuższego czasu nie czuł się dobrze w tym małżeństwie. Dokładnie od ośmiu lat. Od dnia, w którym poznał Martę. Od tego momentu stała się jego przekleństwem, marzeniem i tęsknotą. Nie było dnia, by o niej nie myślał. To ona pokazała mu, że związek z kimś nie musi skończyć się popadnięciem w rutynę. Uświadomiła mu, że człowiek powinien być zawsze sobą, niezależnie od wieku i stanu cywilnego. Ale pozory albo raczej dobro rodziny zwyciężyły. Poświęcał się dla córek, które tego nie doceniały, i próbował od nowa pokochać swoją żonę. Chciał odnaleźć to co zgubił, znowu poczuć siłę prawdziwego pożądania. Ale mu się nie udało. Czasem miał ochotę spakować się i wyjechać do Ameryki, by odszukać swoją miłość. Jednak były i takie dni kiedy Marty nienawidził. Przeklinał wtedy dzień, w którym wpadła na niego na stoku. Przeklinał tę chwilę, którą leżeli w tym śniegu nie zwracając uwagi na innych narciarzy.

W końcu po ośmiu dniach oczekiwania, telefon Rafała zadzwonił.

- Rafał przylatuje dziś o osiemnastej. Przyjedziesz po niego?

- Oczywiście.

- Jeśli nie dasz rady…

- Będę na pewno.

- W takim razie widzimy się na lotnisku.

„Bez zbędnych formalności" - pomyślał podekscytowany i schował komórkę do kieszeni spodni. Kiedy się odwrócił zobaczył Natalię. Stała w pokoju jak gdyby nigdy nic, i z rękami skrzyżowanymi na piersiach, przyglądała się mężowi.

- Kto dzwonił? - zapytała.

- Kolega. Prosił bym do niego wpadł koło szóstej.

- A kolega sam nie może odebrać dziecka z lotniska?

Rafał zmieszał się.

- Kiedy zamierzałeś mi się pochwalić? W ogóle miałeś zamiar mi powiedzieć czy oddałbyś go koledze? - uśmiechnęła się złośliwie.

Mężczyzna ciągle milczał.

- Nie udawaj zdziwionego. Dobrze wiem, że miałeś kochankę. Przez osiem lat walczyłam z jej duchem, ale on ciągle tu był. Niszczył nasze małżeństwo dzień po dniu, rok po roku. A kiedy miałam nadzieję, że wygrałam, i że uratowałam to co zostało okazało się, że to tylko złudzenia. Jak mogłeś mi to zrobić?! Jak mogłeś być tak podły?! To mnie ślubowałeś! Nie tej wywłoce!

- Nie mów tak o niej.

- Niby dlaczego?

- Bo to matka mojego dziecka.

- A ja kim jestem?

Nie odpowiedział. Spojrzała mu prosto w oczy, jakby szukając w nich odpowiedzi. I po raz pierwszy od wielu lat znalazła ją.

- Rozumiem - powiedziała zrezygnowana - Wreszcie rozumiem.

Skierowała się do wyjścia.

- Jedź po swojego syna, i nigdy nie wracaj - dodała stojąc w drzwiach.

- Natalia...

- To już koniec, Rafał. To już koniec.

Wyszła.

***

O osiemnastej przyleciał samolot z USA. Rafał w napięciu czekał na pasażerów. Obok stał Karol, który co jakiś czas go uspokajał. W końcu w tłumie ludzi zobaczył małego Rafała. Szedł ze stewardessą. Mężczyźni wyszli im na przeciw.

- To mój wujek! - zawołał radośnie chłopiec do stewardessy.

- Dzień dobry - powiedział Karol.

- Dzień dobry. Pan zapewne jest wujkiem Rafała? - zapytała opiekunka

- Tak, a jak sprawował się mój mały podróżnik?

- Był bardzo grzeczny, i nie mógł się doczekać kiedy pana zobaczy.

Chwilę później stewardessa pożegnała się. Chociaż mały Rafał był bardzo podekscytowany podróżą, jego uwadze nie umknęło, że Karol przyszedł z kimś obcym.

- Kim jest ten pan? - zapytał chłopiec wskazując na Rafała.

- To twój tata.

Mały Rafał spojrzał na ojca podejrzliwie. Przez chwilę milczał, a później rzucił się mu na szyję. Duży Rafał spojrzał na Karola. Ten uśmiechnął się do niego. Potem wszyscy razem

pojechali do nowego mieszkania Marty. Kiedy mały Rafał oglądał mieszkanie Karol robił coś do jedzenia. Duży Rafał siedział przy stole.

- Powiedziałeś żonie? - rzucił niedbale Karol.
- Sama się dowiedziała.
- Skąd?
- Nie wiem. Wyrzuciła mnie z domu i pewnie zażąda rozwodu.
- Przykro mi.

Rafał wzruszył ramionami. To już nie miało dla niego żadnego znaczenia. Teraz liczył się tylko mały Rafał. W tej chwili to on potrzebował ojca, a nie jego starsze siostry. Od dzisiaj zaczynał nowe życie.

Przez kolejnych kilka dni Rafał nie rozstawał się ze swoim synkiem i starał się jak najlepiej go poznać. Specjalnie na tę okazję wziął urlop. Zabierał małego do parku, na lody, do kina i pokazywał mu miasto. Chłopcu bardzo się tu podobało, ale jeszcze bardziej cieszył go fakt, że wreszcie poznał swojego prawdziwego tatę. Czekał na to siedem lat. Był bardzo podobny do swego ojca z wyglądu, a do matki z charakteru. Niezwykłe połączenie, o którym wielu mogłoby tylko pomarzyć.

***

- Tato, dokąd jedziemy?- zapytał mały Rafał
- Do mojej żony, muszę zabrać parę rzeczy.
- A dlaczego?
- Bo przestała mnie kochać i rozstaliśmy się.
- I dlatego z nią nie mieszkamy?

Rafał przyjrzał się uważnie chłopcu.

- Tak, ale również dlatego, że twoja mama kupiła nam mieszkanie, zanim zmarła.
- A kiedy poznam moje siostry?
- Nie wiem.
- To co ty wiesz?

Rafał zaskoczony tym pytaniem przez chwilę milczał. Wciąż nie mógł uwierzyć, że ten dzieciak jest taki bystry.

- Wiem, że cię kocham. Wystarczy?
- Tak. Ja też cię kocham, tato.

Rafał nawet nie musiał wchodzić do domu. Walizki stały przed drzwiami. Zabrał je i z uśmiechem na twarzy wrócił do samochodu. Po raz pierwszy w życiu był zadowolony z takiego obrotu spraw. „Jednak Marta miała rację” - pomyślał gdy zapuszczał silnik.

Ewa Oraczko, Nowy Targ

Kobieta

Kobieta
dama wytworna
dama wykwintna
igra z miłością
swego mężczyzny

Kocha go na chwilę,
na chwilę nienawidzi
na chwilę przyciąga
i na chwilę rezygnuje
z jego uczuć i wiernego oddania

Nie wierzy
w jego wiarę w wierność

Pociąga ją świat
inne doznania
inne miłości
inne rozczarowania

Znów rezygnuje
i rozczarowana
wraca do niego

Niebo

Miałeś Niebo w oczach
gdy na mnie patrzyłeś
mając nadzieję
spełnienia

Ten mały ktoś
dałby nam tyle szczęścia
oczekiwany
upragniony
w naszej dojrzałości

Czy Bóg
podaruje nam radość?
Miałeś Niebo w oczach
gdy na mnie patrzyłeś

Światło i wieczność

Światło jest radością
jest naszą nadzieją
jest ufnością i wiarą

Światło jest we mnie
i w tobie jest
i wokół nas
w naszych sercach i oczach
i w naszej miłości

Sprawia, że jest miłość
i samo istnieje
dzięki temu że kochamy

Światło jest
wieczną
wiecznością

Andrzej Pietraszkiewicz, Zakopane

Gwiazdy na śniegu

noc zapala gwiazdy na śniegu,
błyszczące punkciki
wołają cię
jestem
białe płaty śniegu,
drżą z zimna na trawnikach
tęskniąc do ciepła
świątecznego domu
nie wiedzą, że ich losem
jest trwanie w zimowej dekoracji
ogródkowych choinek
a wokół ulicami pędzi zaganiany pośpiech
tyle rzeczy przed świętami,
że na święta ledwo go starcza
nie mam czasu dla ciebie
nie masz czasu dla mnie
nie mamy czasu dla siebie
nie mam czasu dla świąt
bo muszę robić święta
ile gwiazd na śniegu
dzieli nas od prawdziwego
Bożego Narodzenia?

Jesienne sprawy

wiatr piszczałkami
gałęzi
prosi o chwilę
ciszy,
wśród rozrzuconych głazów
osty
zwołują naradę,
natrętna chmura w opasłych kształtach
babskiej melancholii
ociera się o młode świerki,
przepraszam...
znów
te jesienne sprawy

Żuraw

W mojej wsi nie było żurawia. Mieszkałem tam kiedyś ładnych parę lat, to wiem. Co, jak co, ale żurawia to bym pamiętał. Stałby tam przecież, wysoki i nieruchomy, czekający cierpliwie na człowieka z wiadrem...

Pamiętam, że wodę ludzie nosili w wiadrach prosto z potoku. Raz nawet jednemu gospodarzowi podczas nabierania wody już po zmroku, do wiadra wpłynęła żaba, której nie zauważył i przyniósł do domu. Z wiadrem i wodą, oczywiście. Dopiero, gdy zaczął przelewać wodę do garnka, coś nagle chlupnęło. I wtedy zobaczył żabę.

A innym razem mój tata zrobił tamę na potoku i w kilku chłopów szli od góry potokiem i wypłaszali ryby, które chowały się w głębi, albo pod kamieniami. Dużo ryb wtedy schwytali i przenieśli je do stawu. Bo mój tata miał staw. Ten staw to był jak z bajki, jak z poematu, jak na przykład, ten z „Pana Tadeusza". Owszem, czytałem. Dlaczego miałem nie czytać?

Jak chodziłem do szkoły, to musiałem iść przez całą wieś. Podobno taka długa wieś z domami nie po kolei, to nazywa się łańcuchówka. Uczą o tym w szkołach planowania przestrzennego, na ruralistyce. I mnie uczyli na studiach. I jak się już dochodziło do tej szkoły, to po przeciwnej stronie, tuż nad potokiem, było koło młyńskie. Super sprawa. Drewniane ono było i tak sprytnie wymyślone i tak poskładane, że całe te dzisiejsze puzzle i rubiki to przy nim pikuś. Dość powiedzieć, że żadnego gwoździa tam nie widziałem. A wpatrywałem się w to koło godzinami. Z kolegami rzecz jasna, ale nie z tymi ze studiów. Z wiejskimi. Fajne chłopaki były, nie takie, jak te miastowe.

Najbardziej byliśmy ucieszeni, gdy koło się kręciło. Jednak to było bardzo rzadko, bo podobno ten ustrój co to miał być najlepszy i wszystko miało być wspólne, nie pozwalał, żeby takie pojedyncze koło się kręciło. Że podobno to byłby wyzysk, czy jakoś tak. Ale, przed wojną to ono się kręciło i nie był to wyzysk. No, ale ustrój się zmienił, a koło pozostało.

Więc, gdy my, wiejskie chłopaki, wpatrzeni w to nieruchome koło wyobrażaliśmy sobie, że ono się kręci, to gospodarz, który też się kręcił, ale po obejściu, robił nam od czasu do czasu frajdę. Szedł on mianowicie w stronę jazu, gdzie kanał doprowadzający wodę do koła łączył się z potokiem, podnosił drewnianą zasuwę i wpuszczał do kanału wodę, która po niedługiej chwili wpływała na koło. Jaka to była dla nas radocha! I to przez zwykłe, kręcące się koło. Na samym początku, gdy wody było jeszcze mało, to koło nie mogło ruszyć. Woda napełniała jeden lub dwa czerpaki, przelewała się przez nie i bezładnie spadała w dół, do potoku. Ale im więcej wody uderzało o czerpaki i z coraz większą siłą, tym bardziej czuło się, że koło zaraz ruszy. Że ten stan, pomiędzy bezwładnością koła a jego naturalnym, choć wymyślonym podobno przez człowieka kręceniem się, już za moment zniknie. I stawał się cud. Koło ruszało. Najpierw bardzo wolno, jakby namyślało się jeszcze, czy mu wolno, czy ktoś nie zabroni, potem szybciej i jeszcze szybciej, aż wreszcie, gdy już osiągnęło właściwą prędkość, słychać było tylko jednostajny warkot kręcącego się koła. I szum rozbryzgującej na nim, pod nim i obok niego wody. Ta woda była jak z bajki, a gdy jeszcze prześwietlało ją słońce, to jakby ktoś perły, albo paciorki różańca na niewidzialnym sznurku rozwieszał i bez przerwy potrząsał, że aż trudno wyrazić.

A potem ta woda, zmęczona już i niepotrzebna, uderzała w kłębiastą i burą głębię, też wodną, która tańczyła w koło, pod kołem, gdzie tworzył się wir. To jednak było już inne, jak burza, jak gniew samego morza ściśnięty w wiejskim potoku. I ten gniew okrutnie kipiał grozą i śmiał się z nas na całego. Jakby chciał zapytać: no, który z was tu skoczy? Na samą myśl o skoku, aż ciarki szły po plecach, ale przecież nie przyznawaliśmy się jeden przed drugim, że się boimy. Więc każdy mówił, że skoczyłby, że co to dla niego, ale... jakoś nikt nie skakał. I tak było za każdym razem, gdy koło się kręciło.

A ja to nawet wtedy wierzyłem w to, że się nie boję. Bo nie muszę. Bo mam anioła stróża, który mnie ochroni. Tak, jak wtedy, kiedy rozpędzony motor, sam, bez kierowcy jechał na mnie i na moją mamę...

Z tym motorem to było tak.

Idziemy wolno, gościńcem, ja z mamą za rękę, a obok koleżanka mamy. Bo na drogę, to we wsi mówiło się gościniec. Gościniec był wtedy jeszcze bez asfaltu, ale już utwardzony. Gorąco było. I pusto. Żadnego ruchu. I nagle, z przeciwka ktoś jedzie głośno i szybko na motorze. A pomiędzy nim a nami jest betonowy mostek. Mostek zrobiono trochę wyżej, żeby potem asfalt, co go już dawno mieli wylać, spasował do niego i do gościńca. I ten na motorze wjeżdża na mostek z takim pędem, że aż go wyrzuca w powietrze i przez krótką chwilę, motor jedzie sam, prosto na nas a kierowca leci ponad mostkiem, też na nas. Podobno w takiej chwili, kilka sekund potrafi zamienić się w wieczność i wszystko widzi się, jak na zwolnionym filmie. Tak było wtedy. Stoimy, jak sparaliżowani, albo w hipnozie i patrzymy na ten motor, który z wyjącym silnikiem jedzie wprost na nas. Sam jedzie. I dosłownie, kilka metrów przed nami, jakby ktoś niewidzialny zaczął nim kierować, bo zwalnia, pochyla się na prawy bok, wpada do rowu, tam zatrzymuje się, jeszcze przez chwilę gniewnie warczy i gaśnie. A tymczasem kierowca – co też widzimy dokładnie, jakbyśmy potrafili patrzeć w dwa miejsca na raz – leci przez chwilę w powietrzu, głową do przodu, jak skoczek narciarski, upada całym sobą już za mostkiem na gościniec, szoruje po nim brzuchem i twarzą, dwa, trzy metry i niemal natychmiast – będąc chyba w szoku – podnosi się. Ma zakrwawioną twarz, potargane spodnie, kurtkę, rękawiczki, rozbite okulary, ale chyba o tym nie wie, bo wstaje i idzie w stronę motoru. Wyprowadza go z rowu, próbuje uruchomić korbą – bez skutku, próbuje na pych – też nieudanie, więc prowadzi go po gościńcu kilkadziesiąt metrów, do znajdującej się nieopodal kuźni.

Ale kuźnia jest zamknięta, więc stawia motor na podnóżkach i wchodzi wąską ścieżką pomiędzy gęsto rosnące drzewa owocowe. Może chce tam odpocząć. Po chwili słychać stamtąd jakby skrzypnięcie i coś – jak zraniony i spadający ptak – porusza się między gałęziami. Niemal równocześnie, na podwórzu zaczyna szczekać pies, a z pokoju nad kuźnią otwiera się okno, z którego wychyla się żona kowala i pyta głośno, co się stało. Ale nikt nie odpowiada, tylko po chwili, spomiędzy tych drzew wychodzi kierowca, już bez śladów krwi na twarzy. Mówi, że nic się nie stało, podchodzi do motoru, odruchowo naciska korbę i motor… niespodziewanie zapala, więc siada, włącza bieg, dodaje gazu i odjeżdża...

Zaraz, zaraz…o rany! Przecież pomiędzy tymi gęsto rosnącymi i dorodnymi drzewami owocowymi musiała być studnia, a to skrzypnięcie i coś ruszającego się w gałęziach – to był żuraw. Tak, żuraw! Stał tam… wysoki, nieruchomy, schowany za gęstym sadem, w oczekiwaniu na człowieka, któremu poda wodę.

Tylko że w naszej wiosce nie było żurawia.

Piękna w godzinach pracy

To była piękna dziewczyna.

Piękna, ale nie zjawiskowa. Bardzo młoda, niemal nastolatka, chociaż już pełnoletnia. Szczupła szatynka, o spokojnych ruchach, świetnych nogach, wspaniałych biodrach, bardzo małych piersiach (duże byłyby nie na miejscu) i pięknej twarzy. Często poważnej, rzadziej wesołej, najczęściej tajemniczej.

Ubrana odstrzałowo i na granicy prowokacji, zgodnie ze standardami wyznaczanymi przez kolorowe magazyny typu „Bravo Girl" i zjawiskowe piosenkarki jej pokolenia.

A więc dżinsy rurki obowiązkowo zsuwające się na biodra, biała nie dopięta bluzka z dodatkami, tipsy na paznokciach, przerysowany makijaż, koła w uszach, upięte w tył włosy, buty w długi szpic i błyszczące dodatki.

Miała niski, lekko chropowaty głos. Bardzo zmysłowy. Jednak najwspanialsze były jej oczy. Oczami wyrażała siebie i swój stosunek do świata. Mówiła głównie spojrzeniem.

Na początku, onieśmielona w nowym środowisku, do którego trafiła, poruszała się ostrożnie, jak zwierzę w obcym rewirze. Była nieufna. Po raz pierwszy spotkaliśmy się przy kopiarce marki „Ricoh". To dobra marka. Naciskała przyciski uważnie i ostrożnie, aby nie uszkodzić sobie tipsów. Starała się nie popełniać błędów, mimo to kilka razy jej pomogłem, wskazując klawisz Reset. Była mi wdzięczna, wyczytałem to w jej spojrzeniu. Obserwowałem ją uważnie, ale nie natrętnie. Z upływem czasu stawała się coraz bardziej swobodna i naturalna.

Któregoś dnia weszła do mojego pokoju. Podała mi kartkę i bez zbędnych słów wskazała palcem, gdzie mam się podpisać. Chodziło o przyjęcie na stan inwentarzowy dodatkowego kosza na odpadki ekologiczne. Akcja sterowana centralnie. Te kosze się sprawdziły...

Podpisałem – podziękowała spojrzeniem. *Już nas coś łączy…* pomyślałem.

Od tego czasu byliśmy dobrymi znajomymi. Witaliśmy się i żegnali patrząc sobie w oczy. Wytrzymywaliśmy nasze spojrzenia o ułamek sekundy dłużej, niż nakazywała to biurowa norma. Było nam dobrze. Chciałem, aby ten stan trwał jak najdłużej, jednak dla niej i dla budzącej się w niej kobiety, było to już stanowczo za mało... Któregoś dnia nie wytrzymała.

- *No, zrób ten następny krok, nie bój się, daję ci szansę, dla ciebie może ostatnią, zważywszy twój wiek… zaryzykuj…* - zaatakowała mnie spojrzeniem.

- *Chyba nie mogę* - odpowiedziałem tak samo - *przecież wiesz jak wiele nas dzieli, różnica lat, stan posiadania, życiowy bagaż…*

- *Nie bądź głupi, żyje się raz, bierz, to co najlepsze, masz to w zasięgu ręki* – jej spojrzenie było na granicy wybuchu i histerii…

- *Wybacz, naprawdę nie mogę…*

- *Ty śmieszny, sentymentalny staruszku, żal mi ciebie…* - spojrzała ze złością, po czym szybko odeszła.

Przez kilka tygodni unikaliśmy siebie. Ale czas leczy rany, a i jej też się chyba nie do końca układało. Zresztą, czy w tym wieku może się coś układać do końca? To byłoby zbyt proste i nudne… Wróciliśmy więc do siebie, a raczej do naszych spojrzeń. W ten sposób dawałem jej w swoim mniemaniu fundament, na którym mogła i powinna budować marzenia o prawdziwym uczuciu i spełnieniu, jakie na nią gdzieś, być może już nawet czekają...

Któregoś popołudnia, po ciężkim dniu, szedłem zamyślony ulicą. Było gorąco. Przede mną stała grupka wyzywająco ubranych młodych dziewcząt. Rozmawiały, paląc papierosy i bez przerwy chichocząc. Nieopodal, niby przypadkiem przystawali pojedynczo młodzi chłopcy, wyraźnie nimi zainteresowani. W pewnej chwili, przez gwar hałaśliwej rozmowy

przebił się niski, chropowaty głos. Spojrzałem uważniej. To była ona, to był jej głos! Dostrzegła mnie. Najpierw w jej oczach zobaczyłem przerażenie i strach, które natychmiast przerodziły się w dumę i pewność siebie osoby znającej swoją wartość.

- *Widzisz, to jest mój rewir, tu jestem u siebie, popatrz na nich* - wskazała oczami na chłopców - *już się przygotowują, za chwilę zacznie się to, co uwielbiam: tropienie... polowanie... może ucieczka... ale taka, aby zostać schwytaną... przyłącz się do nich... przypadkiem otrzymałeś od losu jeszcze jedną szansę.. no, na co czekasz...*

- *Przykro mi, ale... ja... ja już swoje Safari ... to znaczy swoje polowanie odbyłem* - odpowiedziałem spojrzeniem – *poza tym... to nie moja kategoria wiekowa... nie miałbym szans...*

- *Rób, co chcesz* – jej spojrzenie stało się opryskliwe i nieuważne, a na koniec… obce.

Zrobiło mi się duszno, poczułem zawroty głowy. Musiałem stąd odejść, potrzebowałem chwili spokoju i... chciałem napić się czegoś zimnego.

Wszedłem do pobliskiej kawiarni. Jak na złość, wszystkie miejsca były zajęte, ale kelnerka zaproponowała mi salę na piętrze z tarasem widokowym. Rzeczywiście, było tam niemal pusto, tylko na tarasie siedział samotnie starszy mężczyzna. Usiadłem nieopodal i pijąc powoli mineralną próbowałem się uspokoić i zebrać myśli. Jednak obecność tego człowieka nie działała uspakajająco. Wręcz przeciwnie, powodowała uczucie dziwnego niepokoju. Przypominał mi kogoś, a może tylko tak mi się wydawało. Siedział nieruchomo, ze spojrzeniem utkwionym w oddali, skupiony i zamknięty w sobie, a jednocześnie pełen niepewności i lęku...

Powiodłem wzrokiem za jego spojrzeniem. No tak... mogłem się tego domyślić, obserwował tę samą grupę dziewcząt i otaczających chłopców, na którą przed paroma chwilami się natknąłem, a która właśnie znikała w perspektywie ulicy. W tym samym momencie mężczyzna chciał gwałtownie wstać, jednak zamiast tego, zaplątawszy się w nogi od krzesła i przydługi obrus, stracił równowagę i powoli, jak manekin przewrócił się... Wtedy, a właściwie podczas tego wolnego, charakterystycznego upadania, poznałem go. Był to mój dawny, znacznie starszy ode mnie kolega z zamierzchłej przeszłości. Od dzieciństwa cierpiał na niewielkie, ale dokuczliwe upośledzenie ruchowe objawiające się nieprzewidywalnymi skurczami nóg i rąk, które paraliżowały jego ruchy, a występowały gwałtownie i podstępnie. Tak było i tym razem.

- Witaj, co za spotkanie – powiedziałem nieco zakłopotany próbując mu pomóc wstać – nic ci się nie stało?.... O rany... pistolet? - Na podłodze leżał pistolet, który podczas upadku wysunął się z kieszeni jego marynarki. Poczułem dreszcze.

- Po co ci pistolet? – zapytałem trochę nieswoim głosem.

- To na tego drania, który mi zabrał dziewczynę – odpowiedział, z trudem wstając.

- Jakiego drania, jaką dziewczynę? Wyjaśnij, proszę – i usiądź.

- Przechodziłeś koło niej, nie mogłeś jej nie zauważyć... widziałem cię przez lornetkę, jak tam byłeś w pobliżu... - To była moja prawdziwa i ostatnia miłość – mówił już spokojniej i bez emocji – a zabrał mi ją jakiś inżynier z biura projektów... Podobno zaczarował ją swoim niesamowitym spojrzeniem. Ale dopadnę go i zastrzelę. Nikt i nic mnie od tego nie odwiedzie... – zakończył dobitnie, chociaż słabnącym głosem. Zrobiło mi się dziwnie nieswojo.

- Uspokój się, proszę cię – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem – masz już swoje lata, a takich jak ona jest tu więcej... jest z czego wybierać... – próbowałem obrócić wszystko w żart.

- Ona była dla mnie wszystkim – rozumiesz – dziewczyną, kobietą, kochanką, nawet córką... wszystkim. Bez niej moje życie nie ma już sensu.

- Pomyśl logicznie – zacząłem powoli – gdyby ona naprawdę była z nim, to nie uprawiałaby teraz tego idiotycznego, ulicznego polowania.... więc, tego kogoś... chyba... nie ma.

- Ale był! I to mi w zupełności wystarcza... zabiję drania, zabiję – zaczął powtarzać w kółko.

Niewątpliwie był w stanie miłosnego obłąkania, które z czasem na ogół przechodzi bez większych komplikacji. Tak przynajmniej twierdzą psychoterapeuci. Postanowiłem się wycofać.

- Muszę już iść – powiedziałem wstając – bądź zdrów i znajdź sobie nową miłość, wszak całe życie tylko to robiłeś...

Wyszedłem nie czekając na kelnerkę, a właściwie to uszedłem z życiem i analizując na gorąco to co się wydarzyło, doszedłem do wniosku, że powinienem mojej biurowej miłości podziękować za to, że... że jej nie uległem. Uświadomiłem sobie jednak, że jutro znów jest dzień pracy i znów mamy szansę spotkać się i popatrzyć na siebie koło kopiarki, marki „Ricoh", o której mówią, że jest miss kopiarek.

I wtedy poczułem silne uderzenie w głowę, a przewracając się wolno jak manekin dostrzegłem kątem oka dym, unoszący się z pistoletu, trzymanego przez mężczyznę na tarasie widokowym.

Drzewo umiera wieczorem

To było moje ulubione drzewo. Pochodziło z bardzo szanowanej, chociaż nie arystokratycznej rodziny klonowatych. Odkryłem je kilkanaście lat temu jako bardzo malutką, wegetującą siewkę, ukrytą pomiędzy rozpychającymi się krzakami dzikich malin. Zrobiło mi się jej żal. Była słaba, z trudem rozwijała listki, po których poznałem, że jest jaworem. W tej malinowej głuszy nie mogły dostatecznie się rozprostować. W brutalnej walce biologicznej, gdzie zwycięża silniejszy nie miała większych szans na przeżycie. Nie mogłem jej tak zostawić. Potrzebowała mnie. Musiałem jej pomóc.

Usunąłem przeszkadzające krzaki. Jawor od razu nabrał ochoty do życia. Rósł niemal w oczach i był mi wdzięczny. Gdy przychodziłem do niego, delikatnie muskał moje ręce soczyście zielonymi liśćmi. Z każdym rokiem stawał się coraz większy i silniejszy. Nie obawiał się już krzaków malin ani innych krzewów. Miał nad nimi władzę. Także i mnie zaczynał przerastać. Wchodził w najpiękniejszy swój okres – zaczynał owocować. Najpierw tworzył nasiona, które przeobrażały się w piękne podwójne skrzydlaki, a następnie, już jesienią puszczał je z wiatrem po bliższej i dalszej okolicy. Był szczęśliwy. Ja też. Marzyłem, że niedługo na jego mocnej gałęzi powieszę huśtawkę dla swojego dziecka. Ale szczęście na tym podobno najpiękniejszym ze światów ma niestety czasowy wymiar i prędzej czy później się kończy... A dla mojego jawora, niestety miało zakończyć się przedwcześnie.

Któregoś dnia sąsiad rozpoczął dziwne prace w rejonie przygranicznym, nieopodal mojego drzewa. Najpierw wyciął wszystko co rosło po jego stronie, potem zaczął kopać w ziemi. Gdy następnego dnia spojrzałem w tamto miejsce - w pobliżu ogrodzenia stała już nowa ściana garażu zbudowana z radioaktywnych szarych pustaków. Oczywiście była to samowola budowlana. Zdawałem sobie sprawę, że usunięcie jej jest praktycznie nierealne. Nawet jeśli zgłoszę problem do urzędu, to najpierw nic się nie będzie działo (a w tym czasie sąsiad dokończy rozpoczętą budowę), potem będzie wezwanie o uzupełnienie wniosku, potem urząd „rozpisze” wizję w terenie, następnie sporządzi z niej protokół, potem znowu będzie przerwa (mamy ważniejsze sprawy, niż jakiś garaż), a na koniec sąsiad dostanie postanowienie o obowiązku doprowadzenia nielegalnej budowy do stanu zgodnego z prawem, co w praktyce oznacza legalizację samowoli... Przy okazji zostanie wykopany sąsiedzki topór wojenny, już bez udziału urzędu. W tej sytuacji postanowiłem pogodzić się z istnieniem nielegalnego garażu, ale jego radioaktywne ściany nie dawały mi spokoju. Jaworowi chyba też. Posmutniał jakoś w czasie tej budowy, kilka liści niespodziewanie mu pożółkło, chociaż było piękne lato i stał się dziwnie zadumany.

Lato i jesień szybko minęły. Nastała zima. Jawor jak wszystkie drzewa zasnął. Gdy obudził się na wiosnę i rozpoczął wegetację, przeprowadziłem uważną kontrolę jego stanu zdrowia, ale nic nie wzbudzało moich podejrzeń. Rósł, miał nadal piękne i duże liście, był w dobrej kondycji. Dopiero latem, gdy zaczął wytwarzać nasiona, zauważyłem, że oprócz normalnych podwójnych skrzydlaków, pojawiły się także potrójne. Takie twory, aczkolwiek bardzo interesujące przestrzennie, były mi zupełnie nieznane. Sprawdziłem w fachowej literaturze, ale nic na ten temat nie znalazłem. Dopiero dyrektor placówki badawczo-leśnej wyjaśnił mi tę smutną sprawę.

- No niestety, to zdarza się coraz częściej – powiedział – są to prawdopodobnie wady powstałe na skutek zanieczyszczenia środowiska. W skrajnym przypadku drzewo może umrzeć...

Nogi ugięły się pode mną. A więc te nieszczęsne radioaktywne szare pustaki w ścianach garażu sąsiada są powodem choroby mojego jawora. Nie wiedziałem co robić. Powiedzieć jaworowi, że jest źle a może być jeszcze gorzej, czy też razem z nim cieszyć się każdym przeżytym dniem, tygodniem, miesiącem…

Miałem nadzieję, że mój jawor znajdzie w sobie dość siły, by zaadaptować się do nowych warunków, ale nic z tego! Drzewo wyraźnie słabło. Najpierw, będące dotychczas jego dumą ogromne liście, nie wyrastały już tak okazale i wcześnie, bo już latem żółkły, potem pojedyncze gałęzie stawały się łamliwe, a wreszcie zaczynała odpadać z jego pnia kora. Koniec był bliski. Jawor zdawał się dostrzegać moje przygnębienie, bo podczas któregoś z pobytów u niego powiedział mi:

- Nie martw się, ja, moi bracia i siostry jesteśmy na trwale wpisani do obiegu biologicznego. Rodzimy się z nasion, rośniemy, zakwitamy, owocujemy, a potem umieramy, to znaczy rozkładamy się w próchnicę i wchodzimy w skład łańcuchów pokarmowych innych organizmów ... Owszem, wolałbym jeszcze trochę pożyć, ale trudno, widocznie tak miało być. Poza tym, jeśli mnie usuniesz i potniesz na kawałki, będę ci ogrzewał dom, gdy mnie włożysz do kominka.

Było mi bardzo smutno, gdy słuchałem tej wypowiedzi.

Nastała jesień, a z nią wiatry. Mój jawor, który już od dawna stracił liście, stał w kącie ogrodu jak nieporadny staruszek. Nie mogłem już dłużej czekać. Któregoś wieczoru, gdy zapadał zmierzch przyszedłem do niego z piłą, siekierą i liną.

- A po co ta lina? – zapytał resztkami sił, jakby pozostałe narzędzia były mu znane.

- Przywiążę cię do sąsiedniego świerka, będzie mniej bolało, to tak jakby ktoś bliski trzymał cię za rękę, a mnie pozwoli na skierowanie twego upadku we właściwym kierunku – odpowiedziałem.

- Wolałbym... jodłę – odpowiedział, delikatnie się rumieniąc – jodły są piękne. Ale nie masz tu jodeł...

- Żegnaj.... - powiedziałem zdecydowanie - do zobaczenia w innym wymiarze. Może tam oby nam będzie lepiej…

Naciągnąłem linę, wykonałem klinowate wcięcie w dolnej części jego pnia, a następnie zamachnąłem się z całej siły. Jawor przewrócił się zgodnie z moimi oczekiwaniami, w kierunku świerka, odbił się od twardego podłoża, jakby chciał jeszcze raz powstać, po czym legł nieruchomo. W nocy spadł śnieg, a miejsce po moim jaworze przypominało owalną mogiłę.

Podczas mroźnej zimy drewno z jawora ogrzewało nasze mieszkanie, a mój mały synek z radością bawił się nieopodal kominka, w którym z sykiem niekiedy płonęły kawałki mojego przyjaciela. Z nadejściem wiosny, rozpocząłem ogrodowe porządki, zgrabiłem pozostałe po ścięciu drzewa trociny i zastanawiałem się, jak wykorzystać to miejsce. I wtedy je zobaczyłem - maleńkie siewki. Jaworowe. To było jego potomstwo. Było ich sporo. Mając w pamięci los ich ojca, zastanawiałem się nad ich przesadzeniem w bezpieczne, wolne od radioaktywnych pyłów, miejsce. Ale w tym właśnie czasie, ku memu ogromnemu zdziwieniu sąsiad otrzymał nakaz rozbiórki nielegalnego garażu. Jak się bowiem okazało, unijne przepisy budowlane, które zaczęły obowiązywać w naszym kraju, nakazywały natychmiastowe rozbiórki nielegalnych budynków, do budowy których użyto radioaktywne materiały. Sąsiad do pracy przystąpił bez entuzjazmu, ale szybko, ponieważ za każdy dzień zwłoki groziły finansowe kary. W moje serce wstąpiła nadzieja. Nie szukałem już nowych miejsc dla siewek. Niech rosną tu, gdzie się pojawiły. A gdy będzie im za ciasno, wtedy, zgodnie z odwiecznym prawem przyrody, niech zwycięży osobnik najsilniejszy.

Maciej Pinkwart, Nowy Targ

Jesień późnowiecza

lato
uśmiechami gorące
odleciało
do ciepłych krajów
kolorowe liście
zakładki w książkach
o miłości szczęśliwej
nieprawdziwej
czekają na ostatni powiew
jesiennego realizmu
samotnie
chłodno
deszczowo
sennie
nad drzewem braku dobrych wiadomości
płyną chmury łzawego deszczu
zapomniałem znów parasłowa
i wyrazy które zgubiłaś
wpadają za kołnierz
jesiennej tęsknoty

Prom do Sochaczewa

Gdy pojedziemy promem
do Sochaczewa
by cumy rzucić przed domem
gdzie słowik śpiewa

Gdzie wiatr w garażu mieszka
sam pokryjomu
gdzie łódka z łupki orzeszka
płynie do domu

Tam będziesz bosa, wesoła
moja i trochę niczyja
tam, gdzie dopłynąć zdoła
miłość i przyjaźń

Gdzie powiesimy na drzewie
dawne zmartwienia
będzie nasz port w Sochaczewie
port przeznaczenia

Drogowskazy

Dokąd prowadzi mnie
moja droga z ciemności
w ciemność
gdy idę o lasce zrobionej
z drzewa wiadomości dobrego
i złego
powłócząc nogami
ciężkimi od dawnych przewag
w czarnych okularach ślepca
doświadczonego jasnością rozumu
samotny Odyseusz
nie wierzący w Itakę
pokonany pod Troją
przez własne podstępy...
O, gdybyż życie było kulą
którą obszedłszy
można by zacząć wędrówkę od nowa
ustalając na rozumnym GPS
odmienne cele
ku którym
mógłby dążyć nasz galeon
poszukujący Atlantydy szczęścia
po wciąż tej samej stronie rzeki
pamięci i zapomnienia...
Drogo bezwzględna,
jeśli wciąż nie znam celu
spraw,
niech poznam choć drogowskazy

Odpowiedzi

Pytasz czym jest poezja?

Zielonym słońcem, kładącym słodkie cienie
na twoich drgających powiekach
gdy drżysz
czując ciepło moich dłoni
skradających się do twoich piersi

Wibracją powietrza
poruszanego twoim oddechem
kiedy wzdychasz gwałtownie
gdy wargami dotykam
twojej chłodnej skory

Ciepłem nocnego uśmiechu
gdy czujesz jak na ciebie patrzę
pilnując twoich snów
by nie odeszły zbyt daleko
od moich dobranocnych szeptów

Rozpiętością dłoni
mierzących długość twojego ciała
od włosów rozwichrzonych pocałunkami
do wąskich stóp uciekających
od niespodziewanych dotyków

Spojrzeniem w lusterku samochodu
spotkaniem rąk na pilocie telewizora
kwiatem pozostawionym w wazonie
pamięcią drobiazgów
wybaczaniem błędów

Sam nie wiem..
Tobą?

Potem

Jeśli jest jakieś potem
co może dać nadzieję
to na pewno nie kontynuacja
nie piątek po czwartku
nie pojutrze po wczoraj
nawet nie wiosna po zimie
i nawet nie dobro po złu
bo przecież
tam
to zupełnie
nie tutaj

Jeśli jest jakiś ktoś
kogo spotkamy tam,
o którym nie wiemy czy jest
to na pewno nie będzie to
główny księgowy
podliczający miliony bilansów
bo nie ma wspólnych wartości
wspólnych miar i walut
dobra i zła
szczęścia i nieszczęścia
mnogości i samotności
i nikt nie policzy naszych grzechów
kalkulatorem sprawiedliwej dobroci.

I raczej nie uda się po prostu
przejść do lepiej umeblowanego
pokoju z telewizorem
pokazującym spoty reklamowe
Biura Turystycznego „Wieczność”
z którego tylnim wyjściem
powrócimy tu w postaci
Billa Gatesa
albo jego wyleniałego kota
w zależności od wyroku sędziego
przekupywanego dobrymi uczynkami
bo jednak nie można wykluczyć
że kanałem rozpaczy
spłyniemy do rzeki zapomnienia

Nie będzie sądów doraźnych
nad błądzącymi jednostkami
ani odpowiedzialności zbiorowej
na sądzie ostatecznym
bo nie da się zważyć ciężaru win
bogów wobec ludzi

ludzi wobec siebie
siebie wobec gasnących księżyców
wiary, nadziei i miłości
bo wszystkie orzeczenia
byłyby z zawieszeniem na wieczność
i egzekucją w nieskończoności

Co więc robić z obliczeniami
gdy w równaniach
tak mało wiadomych?
Nie obliczać.
Iść dalej nie myśląc o końcu drogi.
Niewiadome rozwiążą się same
a w przypadku błędu w obliczeniach
nigdy się o nim nie dowiemy
tak jak księżyc nie schowa się
w chmurach
a jedynie będzie przez nie
przesłaniany -
prawda będzie istnieć mimo braku wiedzy

Trzy prawa

Pinkwarta Prawo Postępowania

1. Postępuj zawsze tak, żeby przy patrzeniu w lustro przy porannym makijażu czy goleniu się nie zwymiotować.
2. Jak nie wiesz jak postąpić, postępuj uczciwie.
3. Jak nie wiesz, jak jest uczciwie - postępuj jak chcesz.
4. We wszystkich sprawach z jednym wyjątkiem kieruj się logiką i umysłem.
5. W sprawach miłości kieruj się tylko emocjami.
6. Mimo, że twoje dobre uczynki mogą obrócić się przeciwko tobie, to twoje złe uczynki choć być może wzbudzą szacunek do ciebie, to na pewno wrócą do ciebie jak niebezpieczny bumerang.
7. Choć twoja dobroć będzie uznawana za twoją słabość - bądź dobry: słabość z czasem stanie się twoją siłą.
8. Gdy przygniecie cię nieszczęście - wykorzystaj je w twórczości.
9. Nie szukaj uznania - niech ono szuka ciebie.
10. Jeśli towarzystwo ci nie odpowiada - nigdy się do niego nie naginaj i naucz się być sam z własnego wyboru.

Pinkwarta Prawo Imażu

1. Jest tylko jeden przypadek, kiedy kobieta nie musi być atrakcyjnie ubrana - kiedy jest atrakcyjnie rozebrana.
2. Nie zwracać uwagi na swój wygląd może tylko taka kobieta, na której wygląd nikt nie zwraca uwagi.
3. Ludzie myślą schematami - atrakcyjny wygląd zewnętrzny interpretowany jest jako wizytówka równie atrakcyjnego wnętrza. Cokolwiek byśmy nie powiedzieli o głupich pięknych blondynkach - ludzie wolą piękne od niepięknych.
4. To prawda, że geniusze nie dbają o wygląd zewnętrzny. Ale to również prawda, że ludzie nie dbają o geniuszy, którzy nie dbają o wygląd zewnętrzny.
5. Jeśli w kółko powtarzasz, że jesteś piękna, mądra i uczciwa - nie uwierzy ci nikt. Natomiast uwierzą ci bez wątpienia, jeśli będziesz powtarzać, że jesteś brzydka, głupia i nieuczciwa. Staraj się, żeby to inni mówili o tobie to, co sama chcesz usłyszeć.

Pinkwarta Prawo Negatywu

1. Unikaj ludzi, którzy nienawidzą, bo nienawiść jest chorobą zakaźną. Miłość, niestety, nie.
2. Nie staraj się za wszelką cenę zyskiwać aprobaty - upodabnianie się do większości w konsekwencji prowadzi do nieuleczalnej głupoty.
3. Ukrywaj swoją dobroć, bo wywołasz powszechną irytację.
4. Mówiąc o czymś na czym się świetnie znasz, sprawiaj wrażenie, że nie jesteś pewien tego co mówisz, bo mądrość wywołuje agresję.
5. Nie tłumacz ignorantom tego co wiesz - i tak nie zrozumieją, a jeśli nawet, to natychmiast cię zaatakują.
6. Nie atakuj ignorantów ani za to, że cię nie rozumieją, ani za to że to oni ciebie mają za ignoranta - po prostu rozmawiaj z nimi tylko na temat, na którym wszyscy się znają,

jak np. gospodarka publicznymi funduszami. Hasło „wszyscy kradną” otworzy ci wszystkie drzwi.

7. Nie staraj się jednak być głupcem powszechnie wychwalanym przez narodową większość głupców. W dłuższej perspektywie lepiej być ignorowanym mędrcem, byle się z tym nie obnosić przed 80-ką...

8. Jeśli nawet wiesz, że kobieta kieruje się w swoich wyborach jedynie matematyczną kalkulacją, to musisz też wiedzieć, że dotyczy to tylko zakupu pralki. W wyborze mężczyzny kieruje się tylko emocjami i nie zawsze są to emocje pozytywne. Pozytywne uczucie do jednego mężczyzny ma tu mniejsze znaczenie niż negatywne uczucie do innego, lub do własnej rodziny.

Zapach wigilii

Dla Renaty Piżanowskiej-Zarytkiewicz, z podziękowaniem za inspirację

Te karpie przywieźli zdecydowanie za wcześnie, moim zdaniem. Ale za krótko tam pracowałem i za młody w sumie byłem, żeby się z tym swoim zdaniem pchać przed oczy kierownictwu, tym bardziej, że kierownictwa o jego zdanie też nikt nie pytał, bo decyzje w sprawie zaopatrzenia naszego marketu i tak zapadały w krakowskim kierownictwie, jeśli nie dalej - w Niemczech czy gdzieś, nie pytałem, bo jak kto za dużo gada to mu na zdrowie nie wychodzi. No, ale tak na zdrowy rozum - kto będzie kupował karpia na święta zaraz po Wszystkich Świętych? Chyba do akwarium, jak kto ma duże. Myśmy akurat mieli na sklepie, tuż obok spożywki, więc jak tylko ta pierwsza partia zajechała na parking, to chłopcy przynieśli takie dwa szafliki, gdzie tych karpi było aż gęsto, postawili i patrzą. Komendant zawołał nas, ochroniarzy, zawsze w nas orali przy pracy fizycznej, kazał ubrać rękawice i wszyscy, ilu nas tam było, rzucaliśmy tymi karpiami do akwarium. Mnie akurat taki bardziej żwawy się na początek trafił, wywijał mi się jak ryba, to go i nie utrzymałem w tych służbowych ochronkach, a może się i przestraszyłem, że taki wysportowany, bo ledwo go chwyciłem, a tu dup! - i karp wywija na podłodze. Ale zaraz we dwóch go złapaliśmy, nie miał prawa, no i trafił do swojego basenu olimpijskiego. Dzieciaki z całego sklepu się zleciały, wszystkim się podobało, karpiom też, bo w tych wcześniejszych szaflikach to więcej karpi było niż wody, więc pewno się czuły jak w koncentraku. Nie były za duże, tak do kilograma, ale twardziele, jak się tylko rozeznały co i jak, to przestały zalegać na boku, a co poniektóre do góry brzuchem, tylko mach-mach płetwami i już pływają, ryjki otwierają i za rozrywkę robią.

Ale były atrakcją tylko może przez dwa dni, one dla nas, a my dla nich. Ludzie się szybko przyzwyczaili, bo my tu stałych klientów mamy, z południowej części miasta przychodzą, to znaczy przyjeżdżają, bo na piechotę to tylko zasadniczo z naszego osiedla. Przychodzili, patrzyli, wzruszali ramionami i szli po inne zakupy. No bo kto by sobie łazienkę zapychał karpiem półtora miesiąca przed świętami? Jeden taki starszy gościu, pamiętam go dobrze, bo zawsze z pieskiem takim przychodził, piesek mały, kudłaty, zupełnie jak mój Bari, którego do dziś nie mogę odżałować, tego pieska parkował pod wiatą z koszykami i czasem go opieprzaliśmy, a czasem nie, gościa znaczy się, no ten facio stawał przed akwarium i gębą ruszał jak te karpie, jakby z nimi rozmawiał. Powiedział raz do Hanki z ryb, że upatrzył sobie jednego takiego cwańszego, co najbliżej mu podpływał, no i jak go nikt nie kupi do tego czasu, to na święta go weźmie, bo na razie to ma małe dzieci i one muszą co wieczór do wanny. I na karpia miejsca już nie ma, bo przy trójce drobiazgu, no i piesek był tam jeszcze, to karp jest uciążliwy, tak powiedział, uciążliwy, nie zrozumiała Hanka i zapytała mnie co on chciał przez to powiedzieć, ten gościu. I stąd się to tym dowiedziałem, bo Hanka do mnie zawsze z kłopotami przychodziła, nie żeby coś do mnie miała, ale była z tej samej wsi co ja i ona tak po starej znajomości. Poszedłem zobaczyć tego cwańszego, rzeczywiście trochę odstawał od reszty, bo miał wygryzioną płetwę ogonową, jakby się bił z jakimś drugim. Jak mu wygryźli, to nie mógł być taki cwany, jak ten gostek twierdził, moim zdaniem. Ale znów siedziałem cicho, bo nawet Hance tego nie powiedziałem, żeby ten od psa się nie dowiedział i nie pogniewał, że się z nim nie zgadzał, ludzie są teraz strasznie drażliwi, szczególnie tacy co mają trójkę drobnych dzieci i psa jeszcze takiego fajnego, jak ten mój Bari....

A tego Bariego żal mi do dziś i nawet tak sobie myślę, że jakbym go miał, to by nie porobiło się to co się porobiło, bo Bari zawsze był taki oddany i tak mi w oczy patrzył, jakby chciał powiedzieć: nie martw się, chłopie, wszystko będzie dobrze, kumplujemy się, to cię nie dam skrzywdzić, spoko! No i fakt, wtedy wszystko szło jakby lepiej, weselej i spokojniej i pieprzyć się zaczęło dopiero wtedy, kiedy mama zachorowała na płuca. Kaszlała, kaszlała, aż

przykro było słuchać, lekarze kręcili głowami i zapisywali coraz droższe lekarstwa, kogo by było na to stać! Jak czasem coś jej dawaliśmy, to ani brać nie chciała bo szkoda pieniędzy, mówiła, ani jej nie pomagało, może i przez to, że w łóżku nie leżała, no bo kto by przy gospodarstwie robił. Tatko coraz bardziej ponury chodził, tylko do Bariego się odzywał grzecznie i karmił go, i głaskał, aż mi było dziwne, bo jakoś przedtem wydawało mi się że go nawet nie specjalnie lubił, w końcu to był mój pies, a mnie i całego mojego majdanu tatko też nie lubił. No i po dwóch tygodniach takiej miłości, kiedy mamie się nadal nie poprawiało, to tatko w niedzielę po nabożeństwie wziął siekierę, przywiązał Bariego do jabłonki, co rosła pod stajnią, przeżegnał się i zarąbał go od jednego machu. W zasadzie nie od jednego, bo ta głowa jeszcze się trzymała na takim płatku skóry i oczy miał otwarte i tylko na mnie patrzył, zanim mu zgasły te oczy, i tak mi się wydawało, że mi chciał powiedzieć, że zasadniczo do mnie nie ma pretensji, tak te psie oczy wyrozumiałem, tylko to tak się ułożyło, pieskie życie i pieska śmierć, i już było po Barim, zwłaszcza jak tatko zrobił drugiego macha i głowa Bariego poturlała się od jabłonki, bo tam w dół trochę było. Naturalnie, posunąłem od razu do tatki, w końcu już swoje lata miałem i wojsko odsłużone, ale wziął tę zakrwawioną siekierę i dał mi do zrozumienia, że moje miejsce jest nieco dalej. Obdarł potem Bariego ze skóry, zeskrobał tłuszcz, niewiele tego było, bo co jak co, ale zapasiony to ten mój Bari nie był, ale zawsze na mały garnuszek się uzbierało. Przetopił, karmił matkę tym smalcem, nawet zupę na Bariego kościach ugotował, i sam jadł i matce dawał, a ja pojechałem do ciotki do Wrocławia, bo nie mogłem już tego wytrzymać.

Ale ciotka już od dwóch lat była w Niemczech, więc nie miał mnie kto ugościć, w jej domu mieszkali jacyś obcy, więc zaraz wróciłem, tyle że się przejechałem. No i zdążyłem na pogrzeb matki, bo jej jednak Bari nie pomógł. Po pogrzebie tatko kazał mi iść ze sobą do lasu drzewa nakraść, bo zimno się zaczęło robić, wiadomo, jak to w listopadzie, no i tak się jakoś zrobiło, że sam z tego lasu wróciłem, bo jego drzewo przygniotło, akurat na szyję spadło, a właściwie na to, co z niej zostało po tym, jak mu odebrałem siekierę, tę samą co jej użył na Bariego. Myślę sobie, że jakbym ja jego nie ciupnął, to on by ciupnął mnie, bo się tak zamachnął na mnie zaraz po tym, jak drzewo podcięliśmy. Ale w wojsku byłem w komandosach, więc to ćwiczyłem, no i nie miał szans. Zresztą w zasadzie już i tak był do niczego, bo po tym Barim zupełnie się zmienił. Na niekorzyść, moim zdaniem.

Ten cwaniak od gościa z psem absolutnie nie był wart tego, żeby się nim interesować, zwłaszcza w sprawie jakichś planów świątecznych. To właśnie on pierwszy kipnął z całej tej żwawej początkowo gromadki. W sumie, tośmy się tego w zasadzie spodziewali, przynajmniej ja, ale znów mnie nikt o zdanie nie pytał, więc się z tym nie pchałem do kierownictwa. Nie to, żebym w ogóle się w tej sprawie nie odzywał, bo komendantowi ochrony, jak wypadła nam razem zmiana, powiedziałem, że jakoś tak głupio - karpie przywieźli, a karmy dla karpi nie. I jak ludzie ich nie kupią - a nie kupią jeszcze przez miesiąc bankowo - to nam ta żywina wyzdycha i tylko straty będą. Na to szef mi powiedział, że po pierwsze to nie nasza sprawa, bo my mamy tylko pilnować, żeby nikt ich nie ukradł i sobie nikt nie zrobił przy nich krzywdy, a po drugie, to pewno karp miesiąc bez żarcia wytrzyma, bo w zimę na przykład to pod lodem pewno niczego do jedzenia nie ma. Szef miał rację, tylko karpie o tym nie wiedziały. Pierwszy poddał się cwaniaczek, a po nim seryjnie zaczęły odwracać się brzuchami do góry następne. Weterynarz zbadał wodę, była w porządku, karpie jako zdechłe nie nadawały się do sprzedaży na sklepie, no i pojawił się problem, co zrobić z nieboszczykami.

I wtedy Hania powiedziała swojej szefowej o kotach, szefowa kierownikowi piętra, aż dotarło do centrali w Krakowie, czy może gdzieś w Niemczech, tego mi nie mówili. Potem zeszło w dół do szefa ochrony, a od szefa - do mnie, bo to ja miałem ten Haniny pomysł realizować. Za marketem, przy parkingu dla personelu był śmietnik, w którym gospodarowały koty. I dla tych kotów mieliśmy wykładać te nieżywe karpie. Niech i one mają święta.

Dwa razy w tygodniu robiliśmy im ucztę. Dokładniej - ja robiłem, bo po sporządzeniu komisyjnego protokołu zniszczenia przeterminowanego towaru ja brałem karpie w reklamówki i wynosiłem za market. Nawet nie zdążyły się zaśmiardnąć, jak już ich nie było, koty widać wrąbywały je w całości, bo nigdy nie została nawet ogryziona głowa.

W drugim tygodniu zobaczyłem go pierwszy raz. Musiało to być już po Mikołaju, bo dziewczyny na stoiskach i w kasach nosiły na głowach takie głupie czerwone czapeczki z białymi pomponikami, bez sensu, bo tylko gorąco im było jak fiks, a pożytek żaden, w dodatku włosy się szybko przetłuszczały i na szampon im więcej wychodziło. Od rana do nocy z głośników leciały takie amerykańskie kawałki świąteczne i od tych Łajt Kristmesów można było się porzygać w pierwsze dni, potem to już nie zwracałem uwagi. Było kupa roboty na sali, bo powoli ludzie zaczynali robić zakupy na święta, no i jakoś tak coraz więcej pijaków przychodziło. Kiedyś na Adwent ludzie przestawali pić, przynajmniej u nas na wsi, a tu w mieście to jakby odwrotnie - im bliżej Gwiazdki, tym więcej szło piwa i wódki, wina to nie specjalnie, bo u nas tradycja nie jest winna. Niektórzy wypijali od razu pod marketem i ryzykując masakrę na parkingu szli potem zakosami do domów, gdzieś tam na naszym osiedlu, bo ci z dalsza, samochodziarze, to jednak starali się pić dopiero w domu, bo tu u nas pod marketem często gliniarze łapali na radar i na chuch.

I ten gość, co go wtedy pierwszy raz zobaczyłem, to sprawiał wrażenie, jakby był wypity. To nieprawda, że go wtedy widziałem po raz pierwszy, bo jak podszedłem do niego przy tym śmietniku, z rękami pełnymi tych zdechlaków, to się tak z nagła do mnie obrócił i twarz wydała mi się znajoma. Potem się zorientowałem skąd go znałem, ale to potem, bo wtedy to tylko go jakoś ogólnie kojarzyłem, kiedy go zobaczyłem pierwszy raz. No, nie pierwszy, ale jakby pierwszy z bliska. Szedłem z karpiami, a on klęczał przy tym miejscu, gdzie wykładałem to kotom, obok leżała reklamówka, a on pochylał się tak nisko, że głowę miał jakby na ziemi. Już go chciałem nakrzyczeć, żeby mi tu pod sklepem nie robił dziadostwa i jak chce rzygać, to niech idzie sobie w krzaki, bo tu u nas to zaraz się las zaczynał za budynkiem, ale jak podszedłem bliżej, to zobaczyłem, że jest trzeźwy, tylko po prostu stary i pewno się poślizgnął, no bo to już śnieg spadł, a za sklepem, to nie sprzątali tak, jak na głównym parkingu. Chciałem się go spytać, czy mu coś się złego nie stało, a może zasłabł i trzeba lekarza, mieliśmy na sklepie dyżurkę i ambulatorium na wypadek takich wypadków, ale jak zobaczyłem jego oczy, to od razu mi się odechciało. Świeciły mu jak węgle i nic tylko patrzył na te moje torby z karpiami, najpierw to się przestraszyłem, że wariat jakiś, na wariatów to i komandos może być za mało, ale potem pomyślałem, że po prostu głodny jest, bezdomny i bezrobotny i trzeba mu pomóc. Nie wiedziałem tylko, czy te zdechłe karpie nadają się do jedzenia, sam bym nie wziął do ust. Ale potem doszedłem do wniosku, że komuś, co od paru dni nic nie jadł, to jest tak wszystko jedno, i zje byle co. Najwyżej pójdzie do szpitala, a tam dla bezrobotnego, bezdomnego i głodnego to jakby raj. Albo najwyżej umrze, no i też nic się nie stanie, ten wyglądał, jakby nikt po nim nie miał płakać, to co go żałować.

Spytałem go, czy chce tych karpi. Kiwnął głową parę razy i nadstawił swoją torbę. Jak szalik mu się rozchylił, to zauważyłem że pod spodem miał zupełnie białą koszulę i krawat, zawiązany w taki porządny trójkątny węzeł, jak u nas tylko dyrektor fabryki nosił, jak jeszcze w naszej wsi była fabryka, którą szlag trafił po wybuchu sprężonego tlenu na składzie z butlami. Ten krawat zapamiętałem i ten węzeł, bo po nim poznali ciało dyrektora, który akurat w czasie wybuchu był w pracy. Głowa tak wyglądała, że po niej niczego nie można było poznać, no mówiąc szczerze to w ogóle jej w zasadzie nie było, ale na szyi bez głowy tkwił wciąż ten krawat z węzłem i kierownik szkoły powiedział wtedy do mnie, jakeśmy obaj przybiegli po tym wybuchu: patrz chłopie, z faceta gówno, a krawat się ostał i taka ładna wirdżińja, znaczy się zrozumiałam, że ten krawat wirdżińja się nazywał, dziwnie jakoś. No to teraz, jak pierwszy raz z bliska zobaczyłem tego faceta, to pomyślałem, że bezdomni,

bezrobotni i głodni, to nie noszą białych koszul i krawatów z wirdżińjami. U nas w domu nie było chyba ani jednego krawata, bo ojciec do ślubu szedł w pożyczonych ciuchach, co mu miało podobno przynieść szczęście, ale nie przyniosło, no ale to zupełnie inna i niepotrzebnie tu opowiadana historia. Chcę tylko zaznaczyć, że się tym zdziwiłem, tym krawatem i facetem, co klęczał pod śmietnikiem i wyglądał jakby był ciężko wypitym bezdomnym, któremu przecież krawat z wirdżińją nie przysługuje.

Chciał przekładać te karpie do swojej reklamówki, ale po prostu wcisnąłem mu swoje do ręki, po co by miał się brudzić, zresztą i tak by mu się to nie zmieściło, bo tym razem ze cztery sztuki świeżo kipnęły. Powiedziałem mu, że to zdechłe są karpie, ale jak on chce, to proszę bardzo, tylko niech sprawdzi, czy się nadają, bo ja tam nie wiem, zresztą ja to ryb nie jadam, to i tak się nie znam. Popatrzył na mnie jakoś tak dziwnie, potrząsnął głową, jakby się ze mną w czymś nie zgadzał, ale nic nie powiedział, tylko się uśmiechnął. Zobaczyłem, że nie jest taki okropnie stary, jak myślałem pierwej. Wyciągnął rękę i zobaczyłem, że nosi skórzane rękawiczki, i to nie takie jak lalusie - niedzielni kierowcy, tylko porządne, czarne, jak biznesmeni na filmach. Na biznesmena jednak nie wyglądał, zresztą przestałem się nad tym zastanawiać, bo ten facet, co go wtedy pierwszy raz zobaczyłem, rozejrzał się dokoła czy nikt nie widzi, ja też, bo w zasadzie to te karpie powinny być zniszczone, a nie trafiać do ludzi, dla których się podobno nie nadawały, no i nie chciałem, żeby mnie ktoś przy tych dobrych uczynkach widział, bo wiadomo, że najgorsze świństwo prędzej ci wybaczą, niż dobry uczynek, ale na szczęście na tym naszym parkingu nikogo nie było, tylko koty łaziły pod krzakami, wkurzone, że im się tym razem omsknęło. I jak odwróciłem głowę, to faceta już nie było, musiał być cholernie szybki, co jakby mi znów nie pasowało do obrazka, jaki sobie na jego temat w głowie narysowałem. Gdzieś blisko zapalił silnik jakiegoś dużego samochodu, pomyślałem o moim gościu z moimi reklamówkami pełnymi zdechłych karpi, ale przecież to nie mógł być on, bo facet z samochodem, wirdżińją i w czarnych rękawiczkach nie grzebie po sklepowych śmietnikach za żarciem, tylko wchodzi do marketu od frontu, wszyscy mu się kłaniają, a takie leszcze jak ja to im pomagają układać paczki w tych ich luksuśnych taksówkach.

Potem już go więcej nie widziałem, znaczy tutaj, przy śmietniku, bo albo przestał przychodzić, albo bywał nie na mojej zmianie, albo się rozchorował po tych rybich trupach. Nawet sobie pomyślałem, że może umarł i przez chwilę było mi żal, ale w końcu ostrzegałem go, no i jak chciał ryzykować, to jego sprawa, końcu ani mi on swat ani brat, a jakby umarł to też by się nic wielkiego nie stało. Ale nie umarł, wręcz przeciwnie, tylko że to wyszło na jaw trochę później.

Do świąt już było całkiem blisko, jak zrobiłem sobie krzywdę choinką. W zasadzie nic wielkiego, ale któregoś dnia nawieźli nam całego tira drzewek i trzeba było je oprawiać w krzyżaki, bo teraz ludzie się strasznie wygodni zrobili i sami niczego nie umieją, więc jak idą do marketu, to by najchętniej wszystko gotowe wzięli. Pomyślałem sobie nawet, że moim zdaniem to powinni od razu sprzedawać te choinki nie tylko oprawione, ale nawet ubrane i może z prezentami na takim stelażu pod spodem, no ale znów się opamiętałem, że jak na swoje zdanie to za krótko tu pracuję i za bardzo zależy mi na mojej pracy. Tylko Hani powiedziałem, jak czekała na swój bus do naszej wsi po robocie, a późno już było i choć kto mógł ją tu zaczepić na pustym przystanku, w tym naszym blokowisku to meneli nie brakuje, więc pomagałem jej czekać, no i jakby ją ochraniałem, w końcu jako ochroniarz umiałem to robić, z tym że jakby społecznie, bo służbę już właśnie skończyłem, a z Hanką jeszcze chodzić nie zacząłem. No więc powiedziałem jej o tym moim pomyśle na choinkę, ale jej się chyba nie spodobał, bo najpierw się z tego śmiała, a potem powiedziała, że nikt by takiej choinki nie kupił, bo by trzeba mieć specjalne samochody dostawcze, żeby je rozwozić, takie wysokie, i że na szczęście to nie jest nasz kłopot, bo i tak ona robi w rybach, a ja w ochronie. Wtedy mi się bardzo spodobała po raz pierwszy, że taka jest praktyczna i stanowcza i tak się

ładnie śmieje, choć mi się nie podobało, że śmieje się mojego zdania. Bus zresztą zaraz przyjechał i Hanka tak fajnie na mnie popatrzyła i powiedziała, dziękuję ci mój rycerzu ochrony. Szkoda, że z nią wtedy nie pojechałem, no ale jak miałem pojechać, kiedy w mojej wsi w zasadzie nie mogłem się pokazywać, bo za tamtą historię z ojcem to kilku jego kumpli obiecało mi, że jeszcze zobaczę, no i nie jeździłem.

Szkoda, że nie pojechałem, bo jakbym pojechał, to na pewno by na nią tych dwóch nie napadło, co wyciągnęli Hanusię z busu zaraz przy przystanku nad rzeką i zepsuli ją po kolei, a potem, żeby nie chciała na nich mówić, to wybili jej wszystkie zęby, zresztą tym samym kluczem francuskim, z którym rzucił się na nich kierowca busa, ale go mu odebrali, a Hanusi wybili zaraz po tym, jak go utopili w rzece, bo im chciał przeszkadzać, a oni nie byli z tych, co to dają sobie przeszkadzać. Hania przeżyła i nawet dość szybko odzyskała przytomność w szpitalu, bo szpital był niedaleko i jak tylko rano ludzie szli do pracy to zobaczyli zamarzniętą prawie na kość dziewczynę w kałuży krwi bez ubrania. Ale jak musiała najpierw lekarzowi, potem pielęgniarkom, potem policji, potem kobietom na sali, a na koniec rodzinie wszystko opowiadać, a nie mogła opowiadać bez tych zębów, to nie mogła już tego wytrzymać i podjęła decyzję, żeby już nigdy nikomu nic nie mówić. Zwłaszcza, że matka jak się dowiedziała, że ją ci dwaj bandyci zepsuli, to rzuciła się na nią z pięściami i ledwo ją pielęgniarki odciągnęły, lekarze tej mamie dali zastrzyk i zawieźli do wariatkowa. I jak tylko Hanka zaczęła móc chodzić i odłączyli ją od tych wszystkich kroplówek, to poszła do łazienki żeby się umyć, popatrzyła do lustra i potem zaraz siadła na kibelku, żeby sobie podciąć żyły nożem od śniadania, co sobie go zachowała, trochę wbrew przepisom. Ale krwi miała mało, i siły też niewiele, więc żeby wytrwać w tej swojej decyzji wyskoczyła oknem prosto na śnieg, a było to z piątego piętra, bo u nas szpital jest najwyższym budynkiem w mieście. I jak przyjechałem do tego szpitala zaraz po służbie następnego dnia, to akurat trafiłem na ten moment, kiedy wokół Hani na zaspie śnieżnej robiło się takie czerwone koło krwi, no i było mi okropnie przykro, że to zrobiła, zwłaszcza, że mi potem wszystko opowiedział jej brat, jak przyszedł do mnie się rozliczyć z tego, co Hania mu opowiedziała o nas, a czego ja nie zdążyłem się dowiedzieć, przez tę jej decyzję. Moim zdaniem to była niesłuszna decyzja, ale z moim zdaniem siedziałem cicho, bo już jak Hanusi nie było, to zupełnie nie miał kto tego słuchać, choćby nawet po to, żeby się z tego pośmiać. Brat Hani mi powiedział, kim byli ci faceci, no i dobrze to sobie zapamiętałem, no i oni też potem, ale w sumie pamiętali krótko, bo mówią, że człowiek po śmierci to pamięta już same dobre rzeczy, których tu na ziemi doświadczył, a to, czego oni doświadczyli, jak już mi się noga naprawiła, to na pewno dobre nie było. Ale to było później, sporo po tym, jak Hania podjęła tę niesłuszną decyzję, i po tym, jak zrobiłem sobie krzywdę choinką.

Szef wyznaczył mnie i jeszcze takiego jednego z naszej zmiany do oprawiania tych choinek. Dokładniej, ja miałem drzewka od spodu ociosywać delikatnie, a on, taki Jerzyk z miasta, co mu się w policji nie powiodło i musiał zmienić pracę, on tylko wsadzał je w krzyżaki i oprawiał takimi klinikami. Ciemno się zrobiło, za marketem nie oświetlają tak jak z przodu, moim zdaniem niesłusznie, bo z przodu na parkingu to nawet samochody świecą, a z tyłu nic i złodziej tylko mógłby na to czekać, ale od swojego zdania to już zacząłem się odzwyczajać, raz je powiedziałem głośno i proszę, co się porobiło. Więc tak w półmroku ciupałem tą siekierą, myśląc o Hani i o tym niefarcie, który wyraźnie mnie zaczął otaczać po tym, jak mama zaczęła kaszleć i tatko ugotował Bariego. I jak człowiek tak w półmroku myśli sobie niedobrze, to coraz gorzej myśli i gorzej i w końcu to już by sobie tą siekierą sam walnął w łeb, gdyby nie to, że to jakoś tak niewygodnie jest, jeszcze z byłym policjantem Jerzykiem obok. No bo pomyślałem, że w gruncie rzeczy to ja jestem wszystkiemu winien, nawet nie dlatego, że z Hanią wtedy nie pojechałem, tylko że się do sprawy zabierałem, jak pies do jeża, i w zasadzie to Hania mogłaby wcale do tej naszej swojej wsi nie jechać, tylko pójść ze mną do mojego naszego domu, i to nie żeby koniecznie dopiero wtedy po tym, jak

powiedziałem to moje zdanie z choinką, tylko znacznie wcześniej, bo mi ten jej braciacho powiedział, to według niej to myśmy się mieli ku sobie już dobre pół roku, na długo jeszcze przed pierwszymi karpiami. Tyle, że o tym to ja nawet się nie domyślałem i to było jej zdanie w tej sprawie, i ona też mogła, do cholery, te swoje zdanie powiedzieć głośno, do mnie rzecz jasna, a nie tylko wyśmiewać się z mojego. I przypomniałem sobie ten jej śmiech śmieszny, ale śliczny i mi się w środku coś skręciło, podniosłem tę siekierę, żeby choć choinkę ciupnąć z całej siły i wtedy zobaczyłem, jak pod śmietnikiem siedzi wielgaśny kot z rybią głową na szyi.

Oczywiście nie uwierzyłem w to co zobaczyłem, tylko pomyślałem, że po prostu zwariowałem, bo za dużo już się pozwalało na moją biedną głowę, albo że mi to się wszystko śni i nie ma żadnego kota-niekota, że Hanusi nie zepsuli i nie podjęła tej niedobrej decyzji, a ja nie stoję tu na mrozie przed kupą choinek do oprawiania, tylko może śpię sobie w domciu, i zaraz usłyszę jak mamcia kaszle i tatko klnie na nią, że mu spać nie daje, i że Bari bawi się pod domem starą piłką, co to ją jeszcze kopał mój starszy brat, tuż przed tym jak pobiegł za nią przez jezdnię, i wtedy już nic nie mógł zrobić ani on, ani kierowca tego autobusu, ani nawet Bari, który chciał polecieć za piłką, ale siedział jak zaczarowany, słuchając tego krzyku ostatniego i ostatniego pisku hamulców, zanim autobus z kierowcą i wszystkimi dziećmi jadącymi do gimnazjum w mieście nie skatulał się w przepaść.... Ale Bari nie bawił się piłką, tatko nie klął, mama nie kaszlała, a ja nie spałem w domciu, tylko właśnie otworzyłem oczy i ręce, a siekiera wypadła mi z dłoni i trafiła prosto w nogę, rozcinając dżinsy, skarpetę, skórę i kość. Wierzgnąłem nogą, niepotrzebnie moim zdaniem, ale człowiek nie zawsze panuje nad odruchami, nawet w zasadzie rzadko, moim zdaniem, no i siekiera poleciała jak na skrzydłach prosto do Jerzyka. I odwieźli nas razem, jedną karetką, nawet dość ciasno było, bo te karetki to robią jednoosobowe, ale Jerzykowi było wszystko jedno, bo w ogóle nic nie czuł, a ja nie byłem w sytuacji, w której mogłem narzekać.

Trudno było wytłumaczyć cokolwiek lekarzom i policji, ale na szczęście właśnie z marketu wychodził komendant i wszystko widział, więc zaświadczył, że nie rzuciłem się na Jerzyka z siekierą po tym, jak on mi rozwalił nogę. Powiedziałem, że wyślizgnęła mi się z rąk, bo nigdy w życiu nie robiłem niczego siekierą. Uwierzyli mi, więc tylko skończyło się na zwolnieniu lekarskim L-4. Jerzyk też pewno nie ma do mnie pretensji, zwłaszcza, że jeszcze się ze śpiączki nie obudził i pewno nie będzie wiele pamiętał, jeśli w ogóle coś, tak mi powiedzieli na intensywnej terapii, kiedy tam zaszedłem wychodząc ze szpitala.

Więc siedziałem w domu na zwolnieniu i przeglądałem te kolorowe pisemka, które mi dziewczyny z kiosku w naszym markecie przyniosły, żebym się nie nudził. Nawet nie wiedziałem, że są takie fajne rzeczy w tych gazetach, i to całkiem za darmo, bo jak nikt nie kupi takiej gazety, to można ją za darmo dostać, jak się ma dobry układ, a one miały. Rozglądały się po moim pokoju, nawet wydawało mi się to dość mało grzeczne, ale one też ze wsi są i takie bardziej bezpośrednie, więc pośmialiśmy się trochę i obiecały, że w święta przyjdą, żeby mi się nie nudziło i żebym nie był sam, bo człowiek nie może być sam, tak powiedziały i moim zdaniem jest w tym dużo racji. Ale ja się już przyzwyczaiłem do bycia samemu i nawet mi głupio było, że one tak przyszły, i u mnie taki badziewny bardak zastały, niepozprzątane, niewywietrzone, a ja nie ubrany i nie ogolony, mama zawsze mówiła, że jakie pierwsze wrażenie takie całe życie, no i wydawało mi się, że pierwsze wrażenie musiały mieć fatalne, ale obydwie się tylko śmiały i mówiły, że przyjdą, posprzątają i nawet winko przyniosą, a potem będzie nam bardzo dobrze, żebym tylko sobie te pisemka spokojnie czytał i uczył się jak to państwo na świecie się zabawia, jak ma czas. A ja czasu miałem teraz kilka dni, żadnych obowiązków i nawet nie najgorzej się czułem, tylko tak siebie uważnie obserwowałem, czy wszystko jest mniej więcej w porządku. Kuśtykałem trochę i nogę miałem w takim gipsowym bandażu, ale poza tym nie mogłem narzekać, zdecydowanie kilka osób z mojego otoczenia miało gorzej, i nic nie mówiły.

I wtedy zobaczyłem go drugi raz. To znaczy przed tym pierwszym razem musiałem go kiedyś widzieć, ale nie zwróciłem uwagi. Teraz już bym go nie przegapił. Miał znów tę swoją wirdżińję na szyi, sweter w serek i był bez rękawiczek, ale poza tym nie różnił się od tego obrazka, jaki sobie zapamiętałem pod marketowym śmietnikiem. Zadzwonił, a kiedy przykuśtykałem i otworzyłem - stanął w korytarzu, było słabo oświetlone, bo ja tam mam taką słabą żarówkę, po co świecić za bardzo, jak mnie nikt nie odwiedza, a ja każdą rzecz na pamięć znam i wiem gdzie leży, więc tylko domyśliłem się, że się uśmiecha, bo tak jakoś przez uśmiech powiedział czy mogę wejść, no i wszedł, proszę bardzo, powiedziałem kiedy już był w pokoju, bo ja tylko pokój z kuchnią mam. Nie było powodu się starać o większe, byłem sam, no i dość pośpiesznie wynosiłem się z tej naszej wsi, po tej historii nieszczęśliwej z tatką pod drzewem, jeszcze mi żywica na dżinsach nie obeschła po tym, jak ciągnąłem ten pień, żeby go przywalić na tatkę. Nasze gospodarstwo kupił szybko wujo, który z nami sąsiadował i już dawno ostrzył sobie zęby na te nasze grunty i chałupinkę. Wiem, że mnie oszukał, ale jak człowiek wie, że go oszukują, to nie daje dupy, tak sobie pomyślałem i dałem się oszukać, żeby tylko jak najszybciej z tamtej wsi wyjechać, co to i tak jej tylko pół zostało po tych wszystkich wypadkach, i z fabryką i z autobusem, bo i po tym, jak tatko pozbawił mnie Bariego, czyli ostatniego dobrego kumpla przed Hanusią, z którą nie zdążyłem się nawet zaprzyjaźnić. To osiedle w mieście to na dobrą sprawę wybudowano przy okazji budowy tego marketu, ta firma z Niemiec czy może z Krakowa podpisała takie porozumienie z burmistrzem miasta, że on się zgodzi na ten krakowski czy niemiecki market, a oni miastu po sobie zostawią te kilka bloków, gdzie najpierw mieszkali budowniczowie, a potem taka miejska biedota, no i ja, przy okazji. Było nas tu może 50 rodzin wszystkiego, część pracowała w markecie, część w mieście i w gruncie rzeczy niewiele osób się znało. Przynajmniej ja niewiele znałem, bo jak przychodziłem po służbie, to waliłem się spać, nawet w domu nie jadłem, nikt do mnie nie przychodzi, bo niby kto miałby? Rodziny już nie miałem, chyba tego wuja co mnie oszukał na domu, dziewczyn żadnych, bo Hania nie zdążyła być dla mnie moją dziewczyną, zanim podjęła tę niesłuszną decyzję, a dziewczyny z marketowego kiosku jeszcze mnie nie znalazły wtedy.

Miał na sobie taką niby marynarkę miękką, a w zasadzie krótki szlafrok, przewiązany sznurkiem grubym jak lina, a pod nim białą koszulę z krawatem, no i spodnie czarne, zaprasowane w kantkę i co najdziwniejsze - skórzane kapcie. Znalazł sobie krzesło, ja przycupnąłem na łóżku i wtedy mi powiedział, że my się już znamy. Pokiwałem głową, ale jakoś mi tak było głupio wspomnieć mu o tym spotkaniu pod śmietnikiem, zupełnie nie pasował do tego co myślałem dotąd o bezrobotnych, bezdomnych i głodnych, ale on w ogóle nie o tym powiedział, tylko o mieszkaniu w bloku, i że mimo że od kilku miesięcy blok jest zasiedlony, to ludzie się w zasadzie nie znają i my jesteśmy najlepszym przykładem, bo przecież od prawie roku mieszkamy drzwi w drzwi, wizawi - powiedział - i dopiero pierwszy raz z sobą rozmawiamy. Chciałem sprostować, że drugi, ale w tym momencie uświadomiłem sobie, że po pierwsze jest on o wiele ode mnie starszy, więc zwracać mu uwagi nie powinienem, a po drugie - że on mnie nie poznaje, nie kojarzy z tym facetem spod marketu. I bardzo dobrze, pomyślałem, to musiał być dla niego trudny okres. Ale i tak jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, że taki elegancki starszy pan chodzi po śmietnikach i wybiera z nich resztki...

Zaproponowałem herbatę, on najpierw jakby się spłoszył, spojrzał na zegarek, ale to go widać uspokoiło, bo powiedział, że ma jeszcze pół godziny do zabiegu i jeśli mi to nie zrobi kłopotu, to chętnie. I że przeprasza, że przyszedł w bążurce, ale to tak po domowemu, a do mnie to ma jak do drugiego pokoju, więc czy wybaczę. Wybaczyłem, było mi dość obojętne jak taki stary dziad jest ubrany, ale zastanawiałem się przez chwilę, jaki to zabieg mają mu robić o 9 wieczór i gdzie. Potem popatrzył na moją nogę i zapytał co mi się stało i czy może mi pomóc z tą herbatą. Podziękowałem, bo w kuchni miałem jeszcze większy

bałagan niż w pokoju, no i kiedy wróciłem ze szklanką dla niego i kubkiem dla siebie, zobaczyłem, że ze wściekłą miną przegląda te babskie gazetki, co to mi je dziewczyny zostawiły. Przyjrzałem mu się uważnie i pomyślałem, czy aby nie jest to taki homo- niewiadomo, co to go nawet panienki w bieliźnie wkurzają. Trochę się nawet przestraszyłem, ale potem pomyślałem, że przecież taki pięćdziesięcioletni na oko staruch nie przeleci o połowę młodszego od siebie komandosa-ochroniarza. Nawet ze zranioną nogą wciąż jeszcze miałem wszystko w miarę w porządku, refleks też, a na stole leżał bagnet, co go kiedyś na jarmarku w mieście od ruskich kupiłem. Stawiając herbatę - jakoś tak nie wypadało mi zaproponować sąsiadowi piwa, choć sam chętnie bym się napił - zauważyłem że nie ogląda panienek, tylko przepisy, jakieś „Na świątecznym stole", czy coś takiego. Nie mogę na to patrzeć, powiedział i przetarł czoło, co roku ta sama tragedia, no niech pan patrzy na tego karpia, nie dość na tym, że go zabili, to jeszcze po śmierci się bawią jego trupem. Już nawet nie mówię o tym ćwiartowaniu, ale tu, proszę, w usta mu wetknęli marchew, na pewno z ołowiem i innymi ciężkimi metalami, a tu zaraz jakiś idiota w czerwonej czapeczce Mikołaja wetknął mu na głowę taką samą czapeczkę... Potem usiadł i zapytał mnie, czy chciałbym widzieć, jak trupa mojego ojca ktoś ubiera w czapeczkę świętego Mikołaja, a potem go kroi na dzwonka i rozkoszuje się jego smakiem.

Przypomniałem sobie, jak mój tatko kroił Bariego, a potem i to, że na tatki głowę w trumnie zupełnie nie dałoby się założyć Mikołajkowej czapki, ani niczego innego, bo nie było na co, ale nie chciałem się wdawać przy obcym w takie szczegóły, tym bardziej, że w końcu przeprowadziłem się tutaj po to, żeby przestać widywać w snach tatkę bez głowy z Barim na ręku, też bez głowy, co mi się zdarzało noc w noc, póki jeszcze mieszkałem u nas na wsi. Tu, na osiedlu marketowym przeszło mi, jak nożem uciął i nie miałem ochoty na replay tego filmu. Poprosiłem, żeby usiadł i się nie denerwował, no i powiedziałem zupełnie szczerze, że ja w ogóle nie lubię ryb. On powiedział, że lubi i dlatego go ta masakra denerwuje. Wydało mi się to logiczne, choć nijak nie mogłem tego spasować z obrazkiem spod marketowego śmietnika, ale jakoś tak uznałem, że lepiej będzie nie pytać.

Podziękował za cukier i nagle złapał się za głowę, co było dość śmieszne u tak starego faceta, i powiedział, że popełnił niewybaczalne fopa i powinien się wstydzić. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że się autentycznie zarumienił, po czym wstał, obciągnął tę śmieszną bążurkę i powiedział, że się nazywa Fisztain, czy coś takiego, niewyraźnie usłyszałem. Pomyślałem, że pewno jest Żydem albo Niemcem, co zresztą na jedno wychodzi, ale nic nie powiedziałem, to znaczy powiedziałem jak ja się nazywam, ale on już nie słuchał, pewno wiedział jak się nazywam, w końcu nazwisko jest na liście lokatorów, a on na pewno sobie dobrze sprawdził, do kogo idzie na herbatkę. Podejrzewałem, że nie przyszedł tylko na herbatkę. Zwlekał jeszcze chwilę, popatrzył znów na zegarek i powiedział, że ma do mnie wielką prośbę, żebym poświęcił trochę czasu, ale się nie zdziwi, jak odmówię i nie będzie miał żalu, po prostu zmieni wtedy plany. Powiedziałem, że na razie jestem w domu, więc nie ma sprawy, mogę mu się przysłużyć, bo i tak nie mam co robić specjalnie, ale za kilka dni wracam do pracy i 12 godzin na dobę będę zajęty.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się. Miał miły uśmiech, nigdy takiego nie widziałem, ani u tatki, ani u wuja, czy kogokolwiek z rodziny. No i wreszcie mi powiedział, że na święta wyjeżdża do starej matki nad morze, ma tam jeszcze kilka interesów do załatwienia, bo jego sytuacja finansowa jest nie najlepsza. Moja sytuacja finansowa jest, hm, nienajlepsza, powiedział i przypomniał mi się śmietnik i on, jak wyrywał kotom z gęby te karpie. No, wyrywać nie wyrywał, ale kto wie, co tam było zanim przyszedłem, w końcu to co mi się zwidziało wtedy przy tych choinkach to mogło być jakieś takie połączenie w mózgu dwóch różnych obrazów, z dwóch różnych planów czasowych czy jak... A potem powiedział, że jego prośba polega na tym, żebym miał oko na jego mieszkanie i raz dziennie tam poszedł i nakarmił zwierzątko, które pływa w wannie. Karma stoi obok, trzeba sypnąć tylko dwie łyżki,

kwiatów do podlewania zasadniczo nie ma, bo podlewają się same, he, he, sprzątać też nie trzeba, a jego nie będzie najwyżej parę dni, to zależy od stanu zdrowia matki. A jak wróci, to mi się postara odwdzięczyć.

Spojrzał na moją nogę i powiedział, że da mi taką maść, po której rana zagoi mi się w 24 godziny, choć będą przez jakiś czas pewne sajdefekts, tak powiedział, ale nie wypadało mi się pytać co to znaczy, no bo jak ci ktoś robi prezent, to się mu nie wygląda w zęby, czy jakoś tak się mówi. Niech pan raczej w dzień tam chodzi, bo, wie pan, prąd mi wyłączyli, zalegałem z opłatami, u mnie dużo się zużywa, miałem sporo wydatków w ostatnim czasie, a przerwałem praktykę teraz, bo mam dużo pracy i tak wyszło, powiedział, ale koło drzwi po prawej stronie od wejścia leży bardzo silna latarka, więc jakby wieczorem, to z nią może.

Wstał. Tak sobie pomyślałem, że rzeczywiście człowiek o człowieku to naprawdę mało wie i jak go ocenia po pozorach, to się może omylić, jak ja w wypadku tego sąsiada. Podał mi rękę, była mała, miękka i ciepła, jak ręka kobiety, tak sobie przynajmniej wyobrażałem, bo nigdy żadna kobieta nie podawała mi ręki, jakoś tak w naszej wsi nie było przyjęte, rękę podawało się mężczyznom, zaraz przyniosę klucz i maść, powiedział i rzeczywiście zaraz przyniósł. Patrzyłem za nim jak odchodził, naprzeciwko były te jego drzwi, wyglądały solidnie, przeciwwłamaniowe, z kilkoma zamkami. Ja miałem zwykłe, jeden w zasuwie, drugi pod klamką, dziecko by otworzyło patykiem, ale w końcu nie było u mnie niczego, co by takie dziecko chciało ukraść, ani komputera, ani kina domowego, co to teraz głównie kradną. Wrócił zaraz, zatrzymał się w progu i podał mi słoiczek, ale jednak zdecydował się i wszedł do przedpokoju, starannie zamknął drzwi i wyciągnął z kieszeni plik kluczy. Było ich znacznie więcej niż u mnie. Ciemno było i mało go widziałem, ale znów się chyba zarumienił, jak mi powiedział, że po tej maści skóra się na jakiś czas zmieni w taką bardziej twardą, ale pod tą osłona rana się zagoi w dzień, góra dwa, potem łuska ochronna zniknie. I miał jeszcze jedną prośbę, żeby nie wchodzić do jego gabinetu, to taki przepis, powiedział, bo on jest lekarzem - genetykiem i musi zapewnić brak dostępu do jego lekarstw i próbek, jako że w Polsce badania genetyczne są jeszcze ciągle ograniczane, no i tak mnie bardzo prosi, żeby tam nie wchodzić, zresztą tak jak w całym mieszkaniu, tak i w gabinecie nie ma nic ciekawego. Wesołych świąt, powiedział, i teraz już całkiem się zabierał wyjść, kiedy coś mi się przypomniało.

Przepraszam pana doktora, powiedziałem, bo uważam, że jak ktoś ma taki tytuł, to trzeba go uszanować i nazywać tym tytułem, a właściwie to jakie to zwierzątko ja mam u pana w tej wannie karmić, spytałem. Znów się uśmiechnął i poklepał mnie po ramieniu, a ja pomyślałem, że może on jednak jest tym pedziem, ale co mi tam, nie mój biznes, a on rozłożył ręce i powiedział, no proszę pana, co za pytanie, jakie zwierzątko pływa w wannie przed świętami, przecież karp, prawda? Prawda, powiedziałem i wtedy on sobie poszedł całkiem, a ja zostałem z tym pustym mieszkaniem i taką myślą niedobrą, że coś nie jest tak, no bo jak on jedzie na święta do matki, to tego karpia powinien z sobą zabrać, albo go w ogóle nie kupować, a poza tym jak był taki oburzony tym świątecznym karpiowaniem, to po co mu ten karp na święta, do towarzystwa czy jak, ale jakie to towarzystwo, on z mamusią nad morzem, a karp ze mną tutaj, na marketowym osiedlu. Ale to nie moja sprawa, pomyślałem, choć coś tu nie gra, moim zdaniem, pomyślałem i poszedłem do swojej łazienki bezkarpiowej, bo późno się zrobiło, więc zdjąłem opatrunek, posmarowałem sobie nogę tym mazidłem i zasnąłem jak kamień. Przed zaśnięciem tylko słyszałem, jak doktor zamykał starannie drzwi na trzy zamki, potem trzasnęły drzwi samochodu i odjechał. Chciałem zobaczyć, jaką ma taksówkę, ale zanim z tą moją nogą doszedłem do okna, to już nawet spalin nie było, tylko ciemność było widać i góry co świeciły daleko na horyzoncie.

A rano się obudziłem i nogę jak ręką odjął, doszedłem do kibla i tam sobie dopiero przypomniałem, że do tej pory kulałem, a teraz nie. Obejrzałem sobie ranę i rzeczywiście jakieś twarde się na niej zrobiło, taka łuska jakby ochronna, no ale nie przejmowałem się, bo

doktor uprzedzał, że to jest ten sajdefekt, no rzeczywiście, defekt był, ale pod spodniami niewidoczny, a poza tym rzeczywiście pomogło. Ponieważ i tak musiałem zrobić zakupy, to wybrałem się do naszego marketu, a tam najpierw spotkałem komendanta ochrony, który mnie się spytał jak noga, a ja powiedziałem, że zupełnie dobrze i już zapomniałem o tej siekierze. Na co komendant posmutniał i powiedział, że biedny Jerzyk to nie tylko że nie zapomniał, ale nawet sobie nie przypomniał, bo co prawda już nie jest w śpiączce, ale za to stracił pamięć i nie wie, co się w ogóle stało i jak się znalazł w szpitalu. Pomyślałem, że to może i dobrze, bo po co pamiętać takie złe rzeczy tym bardziej, że ja do Jerzyka nic nie miałem, nawet go lubiłem i to wszystko wyszło takim przypadkiem nieszczęśliwym. Ale z tym swoim zdaniem się do komendanta nie pchałem, tylko czekałem, co powie dalej, a on zaproponował, żebym przyszedł do pracy już w Wigilię, bo ma mało ludzi, ci co mają rodziny to się zwalniają wcześniej, a ja nie mam i mi pewno wszystko jedno, a nawet lepiej w pracy niż samemu w domu siedzieć. Miał rację, jasne, ale zabrzmiało to tak jakoś, że mi się smutno zrobiło, jakby mnie ktoś skreślił z jakiejś fajnej listy. Ale się zgodziłem, bo w zasadzie, jak powiedziałem, miał rację.

Zaszedłem do dziewczyn do kiosku, bo to była akurat ich zmiana i oddałem przeczytane gazety, żeby sobie oddały na makulaturę. Ucieszyły się moim widokiem, co mnie zaskoczyło, bo tak na ogół to nikt się tym nie cieszył i powiedziały, że im smutno. Zawsze mnie dziwi, że dziewczyny tak jakoś inaczej myślą, bo tu mówią, że się cieszą, a tu, że im smutno, i nawet wyraziłem taką wątpliwość wobec nich, no i wtedy się dowiedziałem, że im też wypadł dyżur w Wigilię, dlatego że są najmłodsze, nie żeniate, no i dzieci w domu nie płaczą. I może by nawet by to było słuszne, tylko w Wigilię busy jeżdżą jak w święto, więc jak wrócą do domu do swojej wsi, będą musiały wziąć taksówkę i tylko stratne będą przez tę pracę, choć w Wigilię to podwójnie płacą, a za taksówkę tylko raz, to jednak nie wyjdą na swoje. Moim zdaniem by wyszły, ale tego nie powiedziałem, tylko żeby je pocieszyć jakoś to powiedziałem, że ja też pracuję w Wigilię. To mamy przejebane, powiedziała ta wyższa, blondynka Beata, a ta niższa, brunetka, nawet nie wiedziałem jak ma na imię, pomyślała przez chwilę, popatrzyła na Beatę i powiedziała, że w zasadzie jeśli tak, to może by one nie jechały tą taksówką, tylko przyszły ze mną po pracy do mnie i żebyśmy sobie zrobili razem Wigilię, a rano się zobaczy. Zresztą i tak się umawialiśmy, że przyjdą w święta, no a Wigilia to przecież najważniejsze święto jest.

Teraz Beata pomyślała chwilę, popatrzyła na tę drugą, potem na mnie i wreszcie powiedziała, że to w dupę pomysł jest. Wyrozumiałem jasno, że jej się spodobało to myślenie jej koleżanki, ja też tak uważałem i to im powiedziałem, i byliśmy umówieni, co było dla mnie zupełnie wygodne, bo one powiedziały, że wszystko urządzą, żeby mi było dobrze, żeby nam było dobrze, poprawiła Beata, i jedzenie przyniosą i picie, byleby tylko choinka była. I prezenty naturalnie, dodała ta druga i tu mnie postawiła w prawdziwym kłopocie, bo jeszcze nigdy nie kupowałem nikomu prezentu, ale pomyślałem sobie, że do Wigilii jest jeszcze parę dni i na pewno coś wymyślę, bo jeszcze się nigdy tak nie zdarzyło, żebym czegoś nie wymyślił, jeśli naprawdę musiałem. I wtedy ta druga, co to nie wiedziałem jak ma na imię, powiedziała, żebym z nimi jutro poszedł do kina na fajny film. To się umówiliśmy i poczułem się dumny, że wreszcie ktoś się ze mną umówił do kina i to od razu dwie takie fajne dziewczyny, bo one naprawdę fajne były. Tymczasowo jednak poszedłem na spożywkę, kupiłem co miałem kupić do jedzenia, wracając jeszcze wstąpiłem po następną porcję gazet; to pa, nasz ochroniarzu, zawołała za mną Beata, do jutra; do jutra, powiedziałem i obejrzałem się dookoła, ale nikt tego nie słyszał, bo wszyscy tłoczyli się przy kasach na sali głównej, a gazety przed świętami to mało kogo obchodzą w zasadzie, choć takie grube wychodzą, wszystkie z choinkami i świętymi Mikołajami, a w niektórych to zamiast świętego pokazują takie panny tylko w czapeczkach, moim zdaniem nie za bardzo święte, choć może jeśli ktoś wygląda tak jak go Pan Bóg stworzył, to jednak trochę świętości w sobie ma, mnie tam to nie

przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Ale teraz miałem ważną misję, bo musiałem iść nakarmić zwierzątko sąsiada.

Nasz bloki są niskie, dwupiętrowe zaledwie, a na każdej klatce są po dwa mieszkania na piętrze. Jedne są takie jak moje, takie więcej małe, pokój z kuchnią, dla kawalerów raczej, no i ja byłem kawalerem, więc wszystko było w porządku. Po drugiej stronie klatki były duże, trzypokojowe mieszkania i tam mieszkały rodziny. No i doktor Fisztajn, który na pewno nie miał rodziny, bo by nie wybierał karpi ze śmietnika i by nie prosił mnie o opiekę nad zwierzątkiem. Jak zauważyłem, doktor na tych swoich wypasionych drzwiach nie miał ani godzin, kiedy przyjmuje, jak inni lekarze, ani nawet tabliczki złotej z nazwiskiem, nic nie miał, tylko metalowe okucia i sztaby, wpuszczane w ścianę, przeciwwłamaniowe. Szybko dobrałem klucze, zamki były niedawno widać oliwione, bo otworzyły się leciutko i wszedłem do przedpokoju. Był duży, ale dość ciemny, tak jak u mnie, tylko tu się światło w ogóle nie paliło, pstrykałem i pstrykałem, aż wreszcie sobie przypomniałem, że doktor za prąd nie płacił i go odłączyli. Latarka rzeczywiście leżała na stoliku przy drzwiach, ale za oknem jeszcze był dzień, więc pomyślałem co będę baterie wypalał, baterie też kosztują, więc załatwię to przy tym co jest i zmykam do domu, oglądać te gazetki. Łazienka była oczywiście bez okna, ale oczy się przyzwyczaiły i zaraz go zobaczyłem.

Pływał sobie spokojnie, jak to karp, w prawo i w lewo, tylko duży był, sporo większy od tych, co je mieliśmy w markecie i pomyślałem sobie, że jednak doktor powinien był go wziąć do mamusi, tam by mu się dało w łeb i ludzie by sobie przynajmniej pojedli, a taki doktor co to nie ma na prąd, to pewno i z jedzeniem krucho stoi. Ledwie tak sobie pomyślałem, to zobaczyłem, że karp stanął w tej wodzie, odwrócił się do mnie i gapi się, jak sroka w kość. Jakby usłyszał te moje myśli i chciał sprawdzić co ja jeszcze wykombinuję i jak on na to będzie mógł zareagować. Uczyli mnie w komandosach - zawsze patrz w oczy przeciwnika, nie na jego ręce, nóż czy karabin, z oczu wyczytasz wszystko, co ci grozi. Ale karp z pewnością nie był w komandosach, pomyślałem żartem, a potem doszedłem do wniosku, że jeszcze nie wyzdrowiałem całkiem, jeśli tak głupio gadam w myślach. Pucha z żarciem stała rzeczywiście obok, w niej łyżka, a w puszce takie kawałki jak w kitikecie, sprzedawali takie na spożywce, tylko tu były jakieś większe, od razu pomyślałem, że pewnie sam to robił i są genetycznie zmodyfikowane. Nabrałem starannie na dużą łychę i sypnąłem do wody, jedną, a potem drugą. Nasze karpie, jak im ktoś tam w markecie wrzucał bułkę, to w ogóle nie reagowały. Ten tu łypnął wzrokiem, ale najpierw opłynął te kawałki z drugiej strony i stanął tak, żeby mieć w zasięgu wzroku i mnie i tę karmę. Potem nie spuszczając ze mnie wzroku spróbował jednego, wziął do gęby, połknął, a następnie patrzył na mnie i wyraźnie dawał mi do zrozumienia, żebym już sobie poszedł. Dobrze to rozumiałem, też nie lubię jeść, jak mi ktoś się gapi w talerz. Zamknąłem drzwi i wróciłem do siebie do domu.

To kino nie było cudowne, do którego żeśmy się umówili z dziewczynami z kiosku. Znałem je, bo jak nie miałem służby, to sobie czasem tam chodziłem, żeby jakoś zabić wolny czas, co go zwykle miewałem za dużo na tym osiedlu. Najlepszy w nim był popkorn, zawsze kupowałem dużą porcję, wszyscy kupowali, niektórzy z kokakolą, i potem przez cały seans słychać było to popkornowe chrupanie i kokakolowe bekanie, aż niekiedy tekstu nie było słychać w dabingach, no bo ja na dabingi przeważnie chodziłem, żeby się nie męczyć czytaniem. Ten popkorn czasem się rozsypywał przy śmieszniejszych scenach, i potem chrupał pod nogami jak się wychodziło i to było fajne, ale niektórym kokakola się rozlewała na siedzenia i na drugim seansie można sobie było spodnie wybrudzić i potem pół kina wyglądało tak, jakby się ufajdało w dresy albo i w dżinsy. Na to, że ogólnie był syf i siedziało się jak na wysypisku, to mało kto zwracał uwagę, no bo ludzie przeważnie na ekran patrzyli. Ale nie wszyscy, na takich co poważniejszych filmach, jak „Terminator”, na którym byłem trzy razy czy „Kiler” to ludzie się nudzili i cały czas pisali esemesy, aż oczy bolały, tak błyskało. Mnie to się wydawało strasznie niekulturalne, więc jeśli ktoś taki siedział koło mnie

z tymi esemesami, to mu grzecznie zwracałem uwagę, a potem rozbijałem mu telefon o łeb, żeby się nauczył, że nie wolno robić drugiemu co temu drugiemu nie jest miło, jak uczy pismo święte. Potem to już mnie znali i nikt nie siadał bliżej mniej niż na 3 rzędy, bo w tym kinie zawsze było kupę miejsca.

Tym razem przyszedłem może z 15 minut wcześniej, żeby się aby nie spóźnić, no i przyjemnie było tak czekać na kogoś, a zwłaszcza na dwie osoby, to przyjemność była jakby podwójna. Jak przyszły, bo akurat tuż przed piątą miały busa ze swojej wsi, to mało że ich nie przegapiłem, bo były zupełnie niepodobne do tych, które znałem ze sklepu. Ubrane były elegancko do tego kina jakby do teatru czy kościoła, no kościoła może nie, bo takie miały krótkie spódniczki i bluzki, te nasze wiejskie dziewczyny zawsze ubierają się jakby były siostrami, posadziły mnie między sobą w środku i przez cały film się tak do mnie przytulały, że raz mi się mało kokakola nie wylała, a popkorn się wysypał mi na spodnie, i one wciąż tam sięgały i chichotały tak, że nie mogłem się na filmie skupić. A to horror był tym razem i z napisami, więc wymagał uwagi, zwłaszcza, że te ożywające trupy wszystkie były do siebie dość podobne, bo przecież taki trup po roku w ziemi to swoje osobiste rysy jakby traci, a tu one były bohaterami, te żywe trupy. Ale ogólnie było przyjemnie, choć raczej z powodu tego, że byliśmy razem we trójkę, w tym kinie, a nie z powodu tego co działo się na ekranie, na co zresztą po jakiejś godzinie przestaliśmy w ogóle zwracać uwagę.

Odprowadziłem je potem do busa, co przypomniało mi o mojej koleżance Hani, więc zanim odjechały do tej swojej wsi, starannie sprawdziłem, kto z nimi jedzie. Bardzo się śmiały z tego mojego opiekuństwa, ale widać było, że im się to podoba, zwłaszcza jak się okazało, że jest tam kilku chłopaków ich znajomych. Pomyślałem sobie najpierw, żeby z nimi jechać na tę ich wieś, ale to wcześniejsze przypomnienie o Hani przypomniało mi o tym, że mam jeszcze coś do zrobienia przed świętami, bo przed świętami się wszystko sprząta, a ja nie miałem uprzątniętej jeszcze jednej sprawy. Więc skoro byłem zajęty, a tym moim nowym koleżankom chciałem zapewnić bezpieczeństwo, to zastosowałem stary tryk komandoski, polegający na zdobyciu sojusznika na tyłach wroga. Sojusznika zdobywa się zakupieniem jego przychylności lub zastraszeniem siłą albo groźbą jej użycia. Znalazłem tam takiego jednego większego i poprosiłem go, żeby wyszedł ze mną za przystanek, bo ten bus miał jeszcze kilka minut do odjazdu, i powiedziałem mu, że może zarobić dychę, jeśli bezpiecznie odprowadzi obie dziewczyny do domu, albo w michę, jeśli tego nie zrobi, a gdyby im się coś stało, to zarobi kulkę. Uśmiechałem się przy tym przyjaźnie, bo to nawet tak dowcipnie wyszło, dychę w michę, ale na wszelki wypadek rozpiąłem kurtkę, żeby zobaczył napis sekjurity i przypiętą przy pasie kaburę. Była pusta, bo broń zdawaliśmy po służbie, ale o tym mu nie mówiłem ze względów taktycznych. Zgodził się, wybrał dychę i jak potem się dowiedziałem, wywiązał się ze swych obowiązków znakomicie, nawet zakochał się w Beacie podobno, ale był dla niej za młody i ona w ogóle na niego patrzyła.

Stałem i machałem, jak odjeżdżały, a potem przystąpiłem do sprzątania. Wyjąłem z portfela trochę pomiętą kartkę, na której Haniny brat zapisał mi nazwiska tych dwóch gości, którzy byli podejrzani o to, że jechali z moją koleżanką tym fatalnym busem wtedy, co ją zepsuli. Jeszcze w tej sprawie nie mieli procesu, ale się przyznali i teraz czekali na sąd, mogli dostać z pięć lat w zawieszeniu, tak ten brat powiedział, to znaczy w sumie nic nie mogli dostać, nawet w mordę. Moim zdaniem to nie było sprawiedliwe, żeby Hani już nie było, a tacy faceci byli, mieli się dobrze i nic im nie groziło, bo takie zawieszenie to jest nic. Ale jeśli oni tak myśleli, to się grubo mylili. W zawieszeniu to sobie mogli dostać od sądu, ale ode mnie to musieli dostać konkretnie. Mieszkali w naszym mieście i to dość niedaleko od siebie, niestety natomiast daleko i ode mnie i od tego kina, więc musiałem się trochę przespacerować, co z uwagi na tę zranioną nogę mogło być trudne i uciążliwe, ale nie było, bo noga nie bolała mnie wcale, a jak zdziwiony tym nieboleniem podwinąłem spodnie, to okazało się, że rany już całkiem nie ma, bo cała łydka pokryta jest łuską, jak jakaś zbroja

średniowieczna. Ale ponieważ doktor mi o tym powiedział, więc się nie przejmowałem, spuściłem nogawkę i pomaszerowałem dalej. Tego pierwszego, co mieszkał bliżej wyciągnąłem z domu pod pretekstem, że mam mu coś do powiedzenia od tego drugiego, wyszedł przed dom, ale długo nam nie zeszło, bo cherlawy był strasznie, choć niby bysior, i aż mi było przykro na niego patrzeć, jak się po jednym uderzeniu zwinął jak robak na wędce i pomyślałem sobie, że to niesprawiedliwe dla Hanusi, żeby taki gnój co ją zepsuł i spowodował tę jej fatalną decyzję - umarł tak luksusowo od jednego kopa, tak nie powinno być w danym przypadku.

Ten drugi jakiś ostrożniejszy był, bo jak zadzwoniłem, to wysłał najpierw dziecko, synka czy brata, nie przyglądałem się, ale przecież z dzieckiem, nawet nie wiem czy w sumie synkiem, czy bratem, nie będę o takich poważnych sprawach rozmawiał, więc poprosiłem, żeby tego pana poprosił do mnie. Potem przysłał jakąś starszą kobietę, matkę pewno i uśmiechałem się do niej jeszcze grzeczniej, ale nie chciała go poprosić, więc musiałem załatwić sprawę sam, naprawdę, jak przychodzi do trudniejszej sprawy to człowiek jest jak samotna wyspa na oceanie. Kobietę i dziecko zamknąłem w łazience, sprawdziwszy czy okna w niej nie ma, nie było, tylko dwa karpie pływały w wannie i to mi przypomniało, że mam jeszcze jeden dziś obowiązek do spełnienia, ale te tutaj nie był takie cwane, bo ani na mnie ani na tę kobietę i dziecko nie zwróciły uwagi, inna rzecz, że nie było na co zwracać uwagi, bo oni byli nieprzytomni, a ja się zaczynałem spieszyć. Pomyślałem sobie, że zanurzenie ich w wannie albo ich ocuci, albo utopi, albo dokarmi karpie, w każdym razie jakoś posunie sprawę naprzód, ubrałem służbowe rękawice ochronne, żeby się nie dotknąć któregoś karpia przypadkiem i tak zrobiłem, że one nie miały już wiele swobody w tej wannie, w większości zajętej przez te dwie osoby, mimo że w zasadzie drobnej budowy, ale jednak wanny teraz małe robią, nie to co kiedyś, w takich królewskich pałacach, to cała rodzina mogła się kąpać i byłoby jeszcze miejsce na stado karpi. Ale zdaje się w wannach królewskich pałaców nie trzymali karpi przed Bożym Narodzeniem. Karpiami jednak się nie przejmowałem, bo miałem coś ważniejszego do roboty, zresztą nie przepadam za rybami.

Ten drugi facet co zepsuł Hanię zabarykadował się na piętrze, co mi przysporzyło trochę więcej roboty, ale i satysfakcji, bo gdy odsuwałem tę szafę, co nią zastawił drzwi, to przewróciła się i strzaskała mu obie nogi, tak że leżał w kałuży krwi i strasznie jęczał, żeby mu pomóc i że on jest niewinny. Kłamał, bo był winny, ale mu pomogłem, podniosłem szafę, wyciągnąłem go spod niej, po czym prosząc, żeby nie krzyczał, powiedziałem, że wszystko będzie dobrze. Zawsze nas uczyli, żeby nie być nadmiernie okrutnym i dawać duchową pociechę. Więc się zamknął w zasadzie i tylko trochę jęczał, bo te nogi musiały go bardzo boleć, i krew z nich płynęła. Więc go podniosłem ostrożnie, żeby się nie pobrudzić i wyrzuciłem przez okno na zalodzone podwórko. A potem spokojnie wyszedłem. Gdy go mijałem, poza tymi połamanymi nogami miał rozbitą głowę i był nieprzytomny, na wszelki wypadek jeszcze mu połamałem ręce, ale zostawiłem go przy życiu, no bo Hania też jeszcze żyła kilka dni po tym, jak ją zepsuli.

Słońce już dawno zaszło, jeszcze w zasadzie przed kinem, no i w sumie ciemno było jak u Murzyna, tylko w co poniektórych oknach łyskało niebieskawo-zielono od telewizorów. Do mojego osiedla był dość spory kawałek drogi, ale przez dochodzący do granic miasta las wiodła ścieżka na skróty, którą czasami biegałem jak sobie robiłem trening kondycyjny, o czym zawsze nasz komendant przypominał nam na odprawach, żeby nie ustawać w doskonaleniu się. Zwykle doskonalenie się na trasie z domu do miasta zajmowało mi 18 minut, ale w przeciwną stronę było trochę pod górę, bo nasz market i okoliczne osiedle było na górce takiej, więc mogło mi nawet zejść do 25 minut. W zasadzie nie spieszyło mi się, zwierzątko sąsiada nie wyglądało na zabiedzone do tego stopnia, żeby nie wytrzymać jeszcze pół godzinki bez kolacji, a od razu wiedziałem, że przez to kino będę musiał go karmić przy latarce. Ruszyłem drobnym truchtem i na pierwszej polance zobaczyłem konia. Konie w

ogóle były już u nas rzadkością, a w tym lesie to prędzej można było zobaczyć porzucony wrak malucha niż jakiekolwiek zwierzę. Zresztą tu przy mieście koń nie miałby wiele do roboty, zwłaszcza zimą. Ten jednak stał przy drodze i patrzył na mnie uważnie. U nas na wsi konie były często hodowane i wydawało mi się, że nawet patrząc poprzez skrót perspektywiczny koń powinien mieć dłuższą głowę. Kiedy ruszył w moją stronę, przyspieszyłem kroku i przebiegłem obok niego w pełnym pędzie, nie dość szybko jednak by nie zauważyć, że w miejscu końskiej głowy ma coś dziwnego, co przypominało ludzką czaszkę z płetwami.

Pomyślałem, że to znów przywidzenie; jak tylko myślałem o Hani to mi się coś z głową robiło, tym razem jednak postanowiłem na siebie uważać i biegłem sobie dalej spokojnie, patrząc, żeby mi nic na głowę nie spadło i żeby się nie przewrócić. Noga nic a nic mnie nie bolała i doszedłem do wniosku, że ten doktor to jest dobry fachowiec, bez dwóch zdań, choć akurat genetyk to może maściami się nie powinien zajmować, ale znam się na tym za mało, żeby się tak stanowczo wypowiadać. Doleciałem tak do drugiej polanki, już całkiem blisko domu, kiedy drogę zagrodziła mi krowa. Dokładniej - ciało krowy, leżące w poprzek mojego toru treningowego. Zatrzymałem się, bo z nią też coś było nie tak. Sam fakt, że krowy zimą rzadko bardzo łażą po lesie miał jakby mniejsze znaczenie, bo ta akurat wcale nie łaziła. Leżała sobie jak flak, dyszała ciężko, jakby chora była, a ciało miała jakby poskładane z kilku kawałków. Widać było na niej jakieś blizny i szwy, nie wiedziałem czy krowy też przechodzą operacje. Tradycyjnie już zamiast głowy krowiej miała rybi pyszczek, ale z boków coś jej się robiło nad przednimi łopatkami, jakieś gule szybko rosły, przy mnie jedna przebiła skórę i pokazało się takie niewielkie skrzydełko, jakby w KFC podawali, tylko zamiast panierki była świeża krew. Doszedłem do wniosku, że jak tylko doktor przyjedzie opowiem mu o tym i może znajdzie mi jakąś maść na głowę, albo oczy, bo pewnie po tej historii z Hanusią coś mi się porobiło z myśleniem albo z widzeniem, albo jednym i drugim.

W domu trochę odpocząłem i gdzieś tak koło 22 wybrałem się do sąsiada. Na klatce panowała już cisza, bo tu u mnie wszyscy dość wcześnie kładą się spać, więc cicho wszedłem do korytarza naprzeciwko, wymacałem latarkę i puściłem strumień światła na mieszkanie. Łazienka była naprzeciwko wejścia, więc udałem się tam od razu i nieco się zdziwiłem. Karp pływał z trudem, bo ciężko mu było brać zakręty, jako że od wczoraj urósł może o 20 centymetrów, ta pasza doktora musiała być na jakichś hormonach i na pewno zawierała to samo świństwo jakim faszerują się pakerzy w fitnesach, zawsze uważałem, i tak nam mówił nasz dowódca, że normalne, zdrowe odżywianie się, jak najbardziej naturalne, jest dla komandosa o wiele właściwsze, niż cokolwiek medycznego. Ale w końcu to nie był mój problem, ani nawet nie mój karp, więc sięgnąłem po łyżkę i nasypałem karpiowi do wody. Prowadził moją rękę wzrokiem, i było to dość nieprzyjemne, bo gdy pochyliłem się po drugą porcję, wystawił łeb z wody, jakby sprawdzał, czy go nie oszukuję. Gdy podniosłem głowę, napotkałem jego oczy na wysokości moich. Świeciły na czerwono. Ciepnąłem kitiketa i wyszedłem z łazienki. Nawet za drzwiami słyszałem, że chlusta wodą, jakby polował na te kawałki mięsa czy co to tam było w tej karmie i pomyślałem sobie, że wychlapie wodę i zdechnie, ale to był problem ewentualnie na jutro. Coś błysnęło w świetle latarki po lewej stronie korytarza. Przesunąłem się tak, żeby zasłaniał mnie kant szafy na ubrania i jeszcze raz skierowałem promień w tamtą stronę.

Z korytarza prowadziły tam uchylone drzwi i za nimi coś połyskiwało. Pomyślałem, że to może jakieś zwarcie elektryczne, grożące pożarem, ale po chwili przypomniałem sobie, że nie ma prądu. Jednak jak mawiał nasz dowódca - gdy w nieznanym terenie coś nas zaniepokoi, musimy to wyjaśnić, bo jest 80 procent prawdopodobieństwa, że jak tego nie zrobimy, to nie będziemy nawet wiedzieć co nas zabiło. Kryjąc się za futryną otworzyłem drzwi i skierowałem do pokoju światło latarki. Błyszczały srebrne bombki na choince. Wszedłem głębiej. Cały pokój wyglądał jak las po kwaśnych deszczach - stało w nim może z

dziesięć rudych choinek, niektóre zupełnie bez ozdób, inne z pojedynczymi bombkami i skrawkami waty, jeszcze inne z cynfolią i kolorowymi łańcuchami, ale za to kompletnie bez szpilek. Były powsadzane w kubły i donice do których jakimś zmyślnym rurociągiem kapała po kropelce jakaś ciecz z pojemnika, stojącego wysoko na szafie. Najpierw pomyślałem, że doktor jest sentymentalny i gromadzi w domu choinki, które przypominają mu minione lata młodości, potem dostrzegłem na jednej z gałązek zieloną odrostkę. Niemniej wydało mi się to okropnym dziwactwem i bałaganiarstwem, żeby hodować w bloku takie dziadostwo zamiast iść do sklepu i kupić, a wobec braku pieniędzy - iść do lasu i ukraść świeże drzewko.

Wróciłem do swojego mieszkania i zacząłem sprzątać przed Świętami. Po tym wszystkim byłem zmęczony i spałem jak zabity prawie do południa. Zjadłem coś i poszedłem do marketu, dziewczyn nie było, komendanta też nie zauważyłem. Na stoisku z warzywami stały ubrane choinki. Wdałem się w rozmowę ze sprzedawczynią, nowa była, więc się nie znaliśmy, i okazało się, że sprzedawane na placu choinki nie szły, klienci przyzwyczajeni do kupowania w marketach nastawiali się na to, że zakupy zrobią wszystkie na raz, po jednym dachem. Więc zrealizowano mój pomysł, oprawione choinki poubierano i teraz sklep nawet na życzenie dostarczał je do domów klientów, niektórzy ostrożnie brali je sami do samochodów, bo tak było taniej, a najgorszy problem był z pakowaniem tak niemiarowego towaru. Wybrałem sobie taką mniejszą, owinęli mi półsztywnym papierem i zatargałem do domu, ustawiłem na stole przed telewizorem i święta miałem przygotowane. Potem przypomniałem sobie o jedzeniu, niby dziewczyny miały to przynieść, ale komandos zawsze musi liczyć przede wszystkim na siebie, a nie na formacje wsparcia. No i trzeba było jakieś prezenty wymyślić. Pomaszerowałem do sklepu jeszcze raz, napchałem dwie reklamówki, na Gwiazdkę kupiłem im takie zwierzaki pluszowe, dla każdej innego i dezodoranty, co najmocniej pachniały. Na holu tym razem spotkałem komendanta. Zaczął mnie wypytywać o wczorajszy wieczór, a ja powiedziałem, że byłem z koleżankami w kinie, a na dowód tego pokazałem bilety i opowiedziałem mu film, przynajmniej tyle ile pamiętałem. Niby udawałem, że nie wiem, o co mu chodzi, ale w lot wykombinowałem, że ktoś musiał widzieć faceta rozprawiającego się z tymi bandziorami, może nawet w kamizelce sekjurity, no i potrzebowałem alibi. W sumie to słabe ono dość było, ale liczyłem na to, że o mnie i Hanusi to niewiele osób wie, bo i nie bardzo było o czym. Poza tym Komendant był przekonany, że ja ledwo chodzę, no bo od razu jak go zobaczyłem to zacząłem utykać. Że to niby taki słaby i chory jestem, i że nie ma mowy, żeby mnie takich dwóch bysiorów jednym palcem nie przewróciło.

Tak sobie gadaliśmy, aż się zorientowałem, że noc się zrobiła, więc była pora wracać do domu i zająć się przygotowaniami do Świąt, jako że następnego dnia szykowała mi się pracowita dniówka. Komendant zresztą uprzedzał, że w wigilię ochrona ma mnóstwo pracy, bo to ludzie przy zakupach na ostatnią chwilę nerwowi są strasznie, roztargnieni, złodzieje to wykorzystują, a i ludzie sami z siebie skłonni są do awantur. Jakaś magiczna ta Wigilia jest, bo wszyscy przywiązują do tego okropnie dużą wagę. Samotni mniej. To znaczy starzy, którzy żałują tego, że ich rodziny wyrzuciły albo odumarły, to tak, ale ja od śmierci mamy to w zasadzie cały czas byłem sam, i nie żałowałem nikogo, to i w Wigilię nie bywałem ani przesądny, ani smutny. Ale teraz to nie wiedziałem czy jeszcze jestem samotny czy nie. Miałem, chyba miałem, dwie dziewczyny na raz, podobało mi się to, choć jeszcze wspominałem Hanię i myślałem sobie, że jakbym miał jedną dziewczynę, to bym był mniej samotny, niż z dwiema.

No i miałem jeszcze karpia pod opieką. Przyspieszyłem kroku jak tylko komendant zniknął w markecie, do domu miałem z pięć minut, ale już na osiedlu stanąłem jak wryty: po chodniku skakał gołąb. To się zdarza, choć zimą rzadko. Ale gołąb skakał, odbijając się nogami i opadał na skrzydła, jak żaba. Bo i nie bez powodu: na wysmukłej szyi tkwiła wyraźnie żabia głowa. Miałem dość tych omamów, więc postanowiłem zmierzyć się z

przeciwnikiem jak na komandosa przystało: położyłem zakupy na ziemi, zdjąłem ostrożnie kurtkę, rzuciłem się na gołębia tygrysim skokiem i już go miałem. Przyklęknąłem i ostrożnie odwinąłem kurtkę. Smutnym wzrokiem popatrzyła na mnie mordka żaby, osadzona na gołębiej szyi. Popatrzyłem dalej. Na końcach skrzydeł były małe pazurki, nogi kończyły się płetwami. Dotknąłem. Były ostre. Usiłował mnie dziobnąć, co wobec braku dzioba zakończyło się żałosnym plaśnięciem mordką o moją rękę. Usłyszałem z tyłu szelest, odwróciłem się szybko i zdążyłem jeszcze podstawić nogę kilkunastoletniemu złodziejowi, który usiłował uciec z moimi zakupami. Torba wraz z małolatem prasnęła o ziemię, usłyszałem brzęk tłuczonego szkła, na ziemię polało się moje wino zmieszane z krwią złodzieja, który upadłszy na butelkę przeciął sobie rękę. Wziąłem go za kołnierz, jednocześnie przytrzymując krwawiącą tętnicę. Nie bronił się, tylko lekko się szamotał jak ten gołąb z głową żaby, nadal okutany moją kurtką. Zaczynało mi się robić zimno. Kazałem mu nieść resztę zakupów, jedną ręką trzymałem go za kołnierz, drugą niosłem gołębia i tak doszliśmy do domu.

Wepchnąłem go do korytarza, szarpał się trochę, więc odłożyłem gołębia i trzasnąłem gnoja po ryju. Zmiękł w nogach, więc spokojnie mu zdezynfekowałem ranę, zatamowałem krew, po czym posmarowałem rękę maścią doktora. Natychmiast pokryła się drobną łuską. No co pan, żachnął się, ale widząc moją minę i swoją rękę, zamilkł, niech pan nie dzwoni po policję, ja z głodu. Dałem mu kawałek kiełbasy świątecznej i zrobiło mi się go żal. Poza tym był mi potrzebny jako obiektywny świadek. Powiedziałem mu, że ta rana mu się za dwa dni zagoi, a jak łuska odpadnie to jedynym skutkiem będzie to, że ni z tego ni z owego zrobi się trochę mądrzejszy, nieco bardziej kulturalny i może nie będzie kradł, ale niewykluczone, że działanie maści w tej mierze będzie również przejściowe. Pod moją kurtką zaskrzeczało. Wyciągnąłem gołębia i podetknąłem mu przed oczy. Otworzył usta, żeby wrzasnąć, ale przypomniał sobie swoją sytuację, więc nie wrzasnął. A teraz słuchaj, młody człowieku, powiedziałem, co tu widzisz. No niby ptaka, powiedział, ale jakiś taki dziwny on, ptak-nieptak. A jak nieptak, to co, spytałem. No niby żaba trochę, ale w zasadzie to tylko częściowo. Dobra, wstałem i podałem mu gołębia, to teraz sobie idź, ptaszka-nieptaszka wypuść wolno i żebyś mi się nie rzucał na mienie dobrych ludzi, bo możesz w przyszłości trafić na kogoś bardziej nerwowego, co ci zęby powybija, nogi połamie i jaja urwie, więc spadaj gnoju, pókim dobry.

Za Boga nie chciał straszydła wziąć do ręki, więc kazałem mu uciekać, prawie zakrętu nie mógł złapać, a ja otworzyłem okno i postawiłem na nim ptaka. Nie bardzo wiedział co miał robić, gwałtem pchał mi się z powrotem do mieszkania, trochę się mu nie dziwiłem, na gołębia było za ciemno, a na żabę za zimno. Miałem go już dość, w zasadzie już byłem pewien, że drań istnieje naprawdę, a jeśli tak, to i ryba kocia, i koń rybi, i krowa kurczakowa też istnieją, no oczywiście mogłem to sobie dalej roić, i gołębia, i złodzieja i wszystkie te dziwadła, ale prawdopodobieństwo, że to wszystko jest w realu było znacznie wyższe od zera, przekalkulowałem. Z otwartego okna leciał ziąb, odruchowo wziąłem kurtkę, zobaczyłem, że ptaszek mi się w nią ufajdał i wyglądała fatalnie, moja najlepsza puchówka, więc wkurzyłem się na niego okropnie. Odłożyłem kurtkę, wziąłem gołębia i w pierwszej chwili chciałem mu ukręcić łepek, ale najpierw pomyślałem, że to za surowa kara jak za jedną kupę, pewno ze strachu się zesrał, a po drugie brzydziło mnie trochę urywać żabią głowę, ptak to jednak trochę bliższe człowiekowi i zabić jest przyjemniej. Więc po prostu wyrzuciłem go wysoko w powietrze, żeby sobie odleciał. Ale nie odleciał, gmerał trochę tymi skrzydłami - łapkami, ale tak bez ładu i składu, jakby zapomniał, że umie latać i jak już skończył się wznosić siłą, którą nadał mu mój wyrzut, to zaczął spadać jak kamień i tak go straciłem z oczu, nawet nie słysząc jak pacnął o ziemię, może zresztą wpadł w kupę śniegu, co ją pod garażami pług usypał.

Uprałem kurtkę, powiesiłem w łazience nad wanną i wtedy przypomniałem sobie o tej wannie sąsiada, i że pora najwyższa paszę karpiowi podać. Włożyłem sweter, bo jednak

wychłodziło się w mieszkaniu, wziąłem klucze i poszedłem na drugą stronę. Zaraz w korytarzu, jeszcze latarki nie zapaliłem, usłyszałem, jak się tapla w tej wannie, musiał być wkurzony, że się pan kelner z kolacyjką spóźnił, idę już, idę szanowny kliencie, co pan dziś zamawia, to co zwykle, zażartowałem sobie, ale jak wszedłem do łazienki to mi się śmiać odechciało, bo zwierzątko miało dobrze ponad metr długości, na szerokość zajmowało pół wanny i prawie że siedziało w resztce wody na podwiniętym pod siebie ogonie, gapiąc się na mnie z wyraźną pretensją. Przestraszyłem się w pierwszej chwili, ale zaraz sobie pomyślałem, że to tylko głupia ryba jest i do tego karp a nie żaden rekin i do mnie przecież nie strzeli, ani nie rzuci się z nożem, zresztą na nóż to byłem szkolony. Pomyślałem sobie, że wodę wychlapał tak rosnąc, im większy jest, tym więcej miejsca potrzebuje, a ta wanna przecież nie rośnie razem z nim i jak tak dalej pójdzie to nie wiem co to będzie. Na początek jednak pomyślałem, że wody koniecznie trzeba by dolać, bo przecież tylko część ciała ryby była pod wodą, a łeb unosił w powietrzu i śledził każdy mój ruch, przesuwając nie tylko oczy, ale i pysk za mną, jakby mu trochę szyja urosła, pierwszy raz widziałem takiego karpia. Inna rzecz, że nie znam się na rybach, tylko kiedyś czytałem, że karpie to rosną przez całe życie, ale ten to stary nie był, bo ledwie parę dni temu był prawie jak normalny, a teraz nie przymierzając jak świnia urósł. Ale żeby wodę odkręcić, to bym musiał rękę przełożyć koło jego pyska, a ryj miał taki, że spokojnie mógłby mi chapnąć całą dłoń, nie wiedziałem czy karpie mają zęby, ale wolałem nie sprawdzać na własnej ręce. Poza tym nabrudzone było w tej wodzie, więc w zasadzie najpierw powinienem ją spuścić, a potem napełnić, a leżał drań na korku od odpływu i jakoś tak nie chciałem go przesuwać. Ale po chwili karp sam odsunął się od kurków, robiąc mi miejsce, jakby czytał w moich myślach, ale nadal nie wiedziałem co robić, nawet kitiketa mu nie zadałem, bo po co bym mu miał wrzucać, jeśli wodę miałem zmienić.

I wtedy zadzwonił telefon. Wiedziałem, że nie mój, no bo ja telefonu nie miałem, tylko komórkę, a ją zostawiłem w swoim mieszkaniu, zresztą u nas na całym osiedlu, a nawet w markecie nie było zasięgu i to żadnej sieci. Więc na pewno to był telefon do doktora, ale tak dzwonił i dzwonił, że w końcu poszedłem go poszukać. Na słuch był w salonie z tymi choinkami i rzeczywiście znalazłem go na biurku, którego przedtem nie zauważyłem. Położyłem latarkę na jakiejś starej gazecie i podniosłem słuchawkę. Fisztajn mówi, usłyszałem, co pan tak długo nie odbierał, bałem się, że pan tego telefonu nie znajdzie, a mam ważną sprawę. No słucham, powiedziałem, ale skąd pan wiedział, że teraz jestem u pana, przecież miałem być przed południem. A jakoś tak się domyśliłem, powiedział, czy pan mógłby zmienić w wannie wodę mojemu zwierzątku, spytał; pomyślałem, że on jednak jest genialny. Tyle mu miałem do powiedzenia, ale jakoś tak przez telefon w tej ciemności było mi głupio, więc tylko powiedziałem, że się trochę boję, bo rybka zrobiła się ociupinkę spora, ale on zapewnił, że nikt mi krzywdy nie zrobi, na co ja się z grzeczności zapytałem o jego starą matkę, do której pojechał nad morze. No, niestety, powiedział, za późno przyjechałem, już się nic nie dało zrobić, dopiero teraz się nią zajmę, ale muszę szybko wracać, bo mam coś ważnego do roboty i w ogóle sprawy idą nie najlepiej, ale już z góry panu dziękuję i wesołych świąt.

Postanowiłem na wszelki wypadek wrócić do swojego mieszkania po rękawice ochronne, więc wziąłem latarkę z biurka i wtedy światło padło na choinkę, tę najbliższą mnie. To była ta sama, na której wczoraj dostrzegłem zieloną odrostkę, ale poznałem tylko po dwóch gilach, wiszących jak bombki prawie na samym czubku. Wczorajszej odrostki nie było, bo cała choinka pięknie się zieleniła, a dwa gile zwisały głowami na dół i na przemian otwierały dzióbki i zamykały oczy, poza tym były bez ruchu, jakie to zmyślne ozdoby teraz robią.

Karp nie przeszkadzał, jak mu czyściłem wannę, posunął się nawet jak mógł najbardziej do przodu i udawał, że wcale na mnie nie patrzy, tylko szybko otwierał i zamykał

ten swój pysk, pewno żebym mógł zobaczyć, że nie ma zębów tylko jakby same dziąsła stwardniałe, pomyślałem sobie, że wygląda jak dziadek, który w kiblu zgubił sztuczną szczękę. Jak woda wylała się całkiem, przestał nagle poruszać skrzelami i został z otwartym pyskiem i przysiągłbym, że oddycha ustami, gdyby nie to, że jakoś tak by to było bez sensu, bo karpie przecież płuc nie mają. Zatkałem odpływ i puściłem wodę, dźwignął się jakoś nieporadnie na boku i zobaczyłem że płetwy ma na takich jakby krótkich piszczelach, przypadkiem z jakiegoś filmu wiedziałem, że takie ryby nazywają się trzonopłetwe i że taka latimeria to potrafi i w wodzie i po lądzie się poruszać, a oddycha i skrzelami i płucami, woda leciała, a karpisko dało nurka i odsunęło się ode mnie najdalej, jak mu tylko wanna pozwalała i wtedy zegar wybił północ i zaczęła się wigilia, co to ją mieliśmy spędzać w miłym trzyosobowym gronie, obie dziewczyny z kiosku i ja.

Wesołych świąt, mówili wszyscy na ulicy i jak tylko wszedłem do marketu, wszyscy składali sobie życzenia, każda kasjerka już po kilku godzinach była zachrypnięta, bo każdy tak do niej jechał, co się należy, już pani daję drobne, nie, nie mam, mogę kartą, dziękuję, wesołych świat, nawzajem, wesołych. Ale w pracy czas szybko mija, i rzeczywiście było wesoło, bo koło południa przestali grać te łajt krismesy i zaczęli takie nasze, o stajenkach i pasterzach i trzejkrólach, głupio trochę, Bóg się rodzi, nie ma pan drobnych, wesołych świąt, mizerna cicha, do widzenia. Organista ustawił sobie stolik przed punktem promocyjnym z karpiami, teraz je wszystkie masowo zabijali, bo to nikt już do wanny nie brał, a brać żeby sobie samemu zabić to mało kto miał odwagę się przyznać, że mu to sprawia przyjemność, tak, trzy paczki opłatków proszę, co cię należy, co łaska, i tego mi proszę zabić, dziękuję, wesołych i spokojnych.

O ósmej zamknęli i poszliśmy do domu. Dowiedziałem się, że ta druga dziewczyna miała na imię Ania, taka drobna, brunetka, ale to ona rządziła wysoką Beatą, pomagałem im nieść siatki, które postawiły w kuchni i powiedziały, że w tej większej to jedzenie jest i winko, trzy flaszki to nam może wystarczy na razie pod humorek, a w tej mniejszej są prezenty, więc odwróć się teraz, bo musimy je popakować i zanieść pod choinkę, a potem będziemy się przebierać. A jak, zapytałem, bo jakoś nie przewidziałem dla siebie żadnego kostiumu, nawet garnituru z krawatem nie miałem. Ale zabrałem się do łazienki, ogoliłem się porządnie i włożyłem białą koszulę do jasnych dżinsów, uważam, że było elegancko, a one tam w kuchni chichotały i szeleściły papierami, włączyłem telewizję, żeby puścić kolędy, ale na naszej tylko przemówienia szły, więc dałem chwilowo na program przyrodniczy, gdzie było akurat o myszoskoczkach. Uważam, że jak na święta, to głupio dobrali, bo na święta to pasują owieczki, woły i wielbłądy, no może karpie jeszcze, ale takie to już na pewno nie. Weszły dziewczyny, też w białych bluzkach, wypuszczonych na wierzch, z gołymi nogami i nawet bez spodni, faktycznie, było gorąco, ale tak się jakoś nie wigilijnie zrobiło, no ale ja się nie specjalnie znałem na tych babskich zwyczajach wigilijnych. Położyły paczuszki pod choinką, obok tych moich pluszaków i dezodorantów i zaczęły ustawiać talerze z jedzeniem. Beata przyniosła opłatek i ustawiła na środku. Otworzyłem wino, nie miałem kieliszków, to dałem szklanki. Ania wyłączyła myszoskoczki, przełamaliśmy się opłatkiem, po czym ja się zabrałem za pierogi, a dziewczęta za wino. Zauważyłem, że na stole nie ma karpia. Wypiłem cały kieliszek, było jakieś cierpkie i mocne, jak na wino, nie byłem przyzwyczajony.

Sam tu mieszkasz, zapytała Ania i przysunęła krzesło bliżej mnie, ale jeszcze nie zjadła widać wszystkiego, bo równocześnie z tym przysuwaniem nakładała sobie sałatkę i nie wszystko trafiło na talerz, nie szkodzi, posprząta się, powiedziała Beata i też się przysunęła, poczułem się jak w pułapce, ale w końcu mi nic nie groziło od tych fajnych moich koleżanek. Opowiedziałem im ni z tego ni z owego o mamie i o tym, że w ciągu paru tygodni zostałem sam na świecie, bez brata, Bariego, mamy i tatki, tak bardzo chciałem im powiedzieć wszystko, nawet o Hani i tych jej niedobrych ostatnich znajomych, ale jakoś to nie mogło wyjść ze mnie i nie wyszło. Zasmuciły się i zaczęły się do mnie przytulać, ale jakoś tak sobie

nawzajem przeszkadzały, że Beata się jakby obraziła i powiedziała, że idzie na papierosa na korytarz i poszła tak jak stała, a Ania powiedziała, jak chcesz to cię pocieszę, chodź do łóżka. I poszliśmy, ale mnie się zrobiło żal Beaty i powiedziałem, fajnie ale niech Beata też już przyjdzie, bo się przeziębi, pójdę po nią, jak chcesz, może być, powiedziała Ania. Nalała sobie następny kieliszek, z drugiej butelki, co to ją musiałem otworzyć i wtedy coś zaczęło pukać do okna. Zasadniczo nie boję się złodziei, bo jak się mieszka na drugim piętrze, to raczej oni przez okna nie wchodzą, no i była Wigilia, choć wczoraj w telewizji mówili, że w święta to najwięcej włamań jest oprócz wakacji. Ania krzyknęła i przykryła się kołdrą, razem z głową i kieliszkiem z winem.

Na parapecie leżał wczorajszy gołąb, ale nie miał już głowy żaby, tylko ryby, za dużo tych ryb, przypomniałem sobie o moim sąsiedzkim obowiązku, więc wyrzuciłem gołębia i powiedziałem do Ani, muszę jeszcze coś zrobić dzisiaj, ale to tylko chwilę potrwa, nie bój się, to tylko ptak, nie wdawałem się szczegóły, bo by się mogła Ania spłoszyć. Wyszedłem na klatkę po Beatę, a ona stała w tej bluzce z gołymi nogami pod drzwiami doktora i słuchała, co tam się dzieje, ale jak zwykle nic się nie działo, przecież doktora nie było, tylko karp w łazience i choinki w pokoju. Kto tam mieszka, zapytała, ale poprosiłem, żeby weszła do domu, bo nie chciałem, żeby ktoś ją w takim stroju na klatce zobaczył, a poza tym zdrowo ciągnęło z dołu, pewno dzieciaki z parteru znowu zostawiły otwarte, a w Wigilię to zamykać trzeba bardziej niż w inne dni, bo złodzieje tylko czekają, kiedy ludzie wyjdą na pasterkę, a pewno już niedługo właśnie wyjdą.

Powiedziałem dziewczynom, że muszę iść nakarmić karpia do sąsiadów; chyba zabić karpia, zaśmiała się Ania, prędzej pewno on by mnie zabił, zażartowałem, a Beata pocałowała mnie w szyję i powiedziała, że takiemu mięśniakowi z ochrony to nawet rekin nie da rady, no chyba że dziewczyna; albo lepiej dwie, powiedziała Ania i też się zaśmiała, posuwając się na łóżku. Ale chciałem najpierw załatwić swoje sprawy, zanim zabierzemy się do tych świątecznych zabaw, więc odpowiedziałem im kto tam mieszka, bez zbędnych szczegółów, bo też mogłyby się wystraszyć. Ale Beata jakoś słabo słuchała, bo się podczas tego mojego opowiadania rozglądała po pokoju, jakby czegoś szukała, więc spytałem, czego szukasz, Beatko, a Ania się zaśmiała i powiedziała, że ona pewno szuka jakichś zabezpieczeń przed skutkami miłości. Nie ma takich zabezpieczeń, powiedziała Beata, a ja się z tym zgodziłem, choć zasadniczo to jeszcze nie do końca wiedziałem czym jest miłość; szukam telefonu. Okazało się, że nie powiedziała w domu, że nie wróci na noc. No i życzenia trzeba było poskładać i była w kłopocie. My też, bo komórki nie miały zasięgu, a stacjonarnego nie miałem. I wtedy przypomniałem sobie o doktorze, jego telefonie i jego karpiu. I powiedziałem Beacie, że pójdziemy do sąsiada i stamtąd będzie mogła zadzwonić, podczas gdy ja będę karmił rybkę, tylko tam nie ma światła, więc wymyśliłem, że ona weźmie latarkę, a mnie do wsypania kitiketa do wanny wystarczy światło zapalniczki, którą od niej wziąłem. A Ania powiedziała, że się tymczasowo sama prześpi.

Uprzedziłem Beatę, że w dużym pokoju, gdzie na biurku stoi telefon, rosną sobie choinki, na co ona powiedziała, że bardzo dobry pomysł jak na święta. Zaświeciła latarkę i poszła w lewo do pokoju, a ja pstryknąłem zapalniczkę i wszedłem do łazienki.

Wanna była pusta. Nie było w niej nawet wody. Rozejrzałem się, czy nie wypadł na podłogę, ale podłoga też była pusta, nawet nie było na niej mokro. Znikła także puszka karmy. Pomyślałem o wigilijnych złodziejach i zrobiło mi się gorąco na myśl o tym, co pomyśli o mnie doktor Fisztajn. I wtedy usłyszałem krzyk Beaty, ale zanim zerwałem się do biegu, zrobiła się cisza. Wpadłem do pokoju, było ciemno i nic nie widziałem. Nie wyhamowałem za drzwiami i władowałem się prosto w choinkę. Zanim zwaliła się na ziemię, pociągając za sobą inne, poczułem na twarzy igły i świeży, świąteczno-leśny zapach i przez moment zastanowiłem się, skąd to się wzięło na tych osypanych, wyschniętych habaziach, ale zaraz zacząłem wołać Beatę, bo właśnie sobie pomyślałem, że ona też wpadła na choinkę i

przestraszyła się, może się przewróciła i gdzieś tu leży, ale przecież ją uprzedzałem, no i miała latarkę, a teraz ciemno było okropnie, pachniało choinką i była taka cisza, w której czuło się, że ona nie jest cicha bezosobowo, tylko ktoś w pokoju jest, ale powstrzymuje się nawet od oddychania. Naturalnie, skojarzyłem sobie to z brakiem karpia w wannie i od razu pomyślałem o tym złodzieju, i że to dobrze, bo go złapię i doktor nie będzie stratny, a ja nie wyjdę na ofiarę, której nie można nawet powierzyć opieki nad głupią rybą. I wtedy dostałem w łeb czymś oślizgłym i ocknąłem się dopiero, jak już byłem przywiązany do fotela bandażem elastycznym, pewno z tego gabinetu doktora, do którego nie można było wchodzić. Obok siedziała Beata, dotykała mnie ramieniem i czułem, że drży. Nadal było cicho i ciemno, ale oczy powoli zaczynały mi się przyzwyczajać do mroku, zresztą przez nie zasłonięte okna wpadało trochę światła z ulicy. Bandaż nie był zaciągnięty mocno i powinienem sobie z nim poradzić, nie martw się, szepnąłem do Beaty, nie wiem czemu nadal chciałem, żeby było cicho, będzie dobrze Beatko.

Bez słowa pokręciła głową, wpatrując się przed siebie. Spojrzałem za jej wzrokiem. Po drugiej stronie biurka doktora siedział karp wielkości człowieka, karp-niekarp, bo głowę miał ryby, a resztę ciała prawie ludzką, tułów okrywała ta bążurka doktora, a na biurku leżały wielkie zielone ręce, w prawej, tej bliższej mnie połyskiwał chirurgiczny skalpel. Pomyślałem, że zaraz mu go odbiorę, jak tylko uda mi się wyrwać z bandaża choć jedną rękę. W tym momencie, jakby słyszał to co powiedziałem, cofnął się nieco i skierował ostrze w moją stronę. Coś poruszyło się za nami, karp popatrzył ponad mną w głąb pokoju, ja też odwróciłem głowę i zobaczyłem przelatującego gila, który jeszcze dwa dni temu był całkiem martwy, a wczoraj ledwo poruszał dziubkiem. Odwróciłem się z powrotem, ze strony gila, a nawet dwóch nie powinienem się zasadniczo spodziewać niczego złego, a ten skalpel jednak to było konkretne niebezpieczeństwo, z którym umiałbym sobie poradzić, gdybym miał choć jedną rękę wolną, ale karp znów jakby to usłyszał, popatrzył na mnie uważnie, pysk skrzywił mu się w czymś w rodzaju nieprzyjemnego uśmiechu i zacisnął mocniej dłoń na rękojeści. Zrozumiałem, że on umie czytać w myślach, nie wiem jak, ale umie i przypomniał mi się taki trening w jednostce przeciwko próbom ataku telepatycznego. Myśl o czymś, intensywnie myśl, co byś chciała zrobić, gdybyś mogła, odwracaj jego uwagę, myśl szybko o czymś skomplikowanym, szepnąłem do Beaty i sam też usiłowałem myśleć o czymś innym, o Hanusi spróbowałem, ale przy Beacie jakoś mi nie szło, więc zacząłem sobie przypominać, jak tata robił z Barim. Nie umiem o niczym myśleć, tylko o nim, jęknęła Beata, pomyśl o tym, co mieliśmy zamiar robić zanim tu przyszliśmy, podpowiedziałem, aha, dobrze, powiedziała, chętnie, i pomału odsuńmy się od siebie.

Nogi mieliśmy w miarę wolne, to po trochu się odległość między nami zaczęła powiększać tak, że już nie mógł nas widzieć jednym spojrzeniem, głowa mu zaczęła tak latać, ale że nie miał jednak zasadniczo szyi, to musiał się z całym korpusem przekręcać, raz na mnie, raz na Beatę i poczułem, że już nie umie się tak skoncentrować. Intensywnie myślałem o Barim i to mu sprawiało wyraźną przykrość, a jak patrzył na Beatę, to znów się wykrzywiał w tym głupim uśmiechu, tak trwało przez chwilę, wyrwałem w pewnym momencie prawą rękę, ale nadal trzymałem ją pod poręczą fotela, chyba nie zauważył, po chwili i druga się rozluźniła, mogłem już wyciągnąć ją spod bandaża, ale nie wyciągałem, czekając na dogodny moment, kiedy będę mógł zaatakować. Wolałbym wiedzieć, jak on ma z nogami, ale nie widziałem, były – jeśli w ogóle były – ukryte pod biurkiem.

I w tym momencie zapaliło się światło, normalne, elektryczne i do pokoju wszedł doktor Fisztajn, ciągnąc za sobą wielki podłużny pakunek. Zupełnie dobrze, panie sąsiedzie, już by się panu prawie udało, powiedział i błyskawicznie zaciągnął mi z powrotem bandaż na prawej ręce, ale tego, że lewa jest w rozluźnionym węźle nie zauważył. Uregulowałem wczoraj rachunek, powiedział, ale jakoś tak zapomniałem panu powiedzieć, że mi włączyli, może i dobrze. Pilnuj ich dalej, braciszku, poklepał karpia po karku i wtedy pomyślałem, że

na pewno to wszystko nie może istnieć i że jestem ciężko chory i to od dłuższego czasu, uszczypnij mnie powiedziałem do Beaty, nie mogę, mam związane ręce i w ogóle nie wierzę, że tu jestem, po co mi był ten dyżur w Wigilię. Poczułem się jakby winny, zawsze wszystko spada na moją głowę, i nawet jak coś zaczyna u mnie iść dobrze, to zaraz musi koniecznie się spieprzyć, co za życie.

Doktor otworzył drzwi do zamkniętego dotąd pokoju, to musiał być ten niedostępny gabinet, zapalił tam światło i dopiero mnie zatkało. Na wysokim łóżku, jakby ortopedycznym, przywiązana bandażami, leżała kobieta. Wyglądała jakby umarła już dawno temu, przypominała mi mamę, jak jej Bari nie pomógł, miała woskową twarz, zapadłe policzki, wpadnięte oczy, i odruchowo pociągnąłem nosem czy nie śmierdzi, ale niczego nie było czuć, a potem zauważyłem jak ten rzekomy trup miarowo porusza palcami obu rąk, splecionymi na piersi. Moja żona, powiedział doktor, jakby nas przedstawiał, zmarła trzy miesiące temu i jeszcze nie doszła do siebie, to kwestia czasu, nie miałem odpowiedniego materiału, ale teraz widzę, że jest, i to w jak najlepszej formie, zaraz się do tego weźmiemy, a i pan sąsiad nam się przyda, nie martwcie się, nic lepszego się nie może człowiekowi zdarzyć, jak oddać swój materiał genetyczny drugiemu człowiekowi. Braciszku, poproszę...

Karp odłożył skalpel i wstał zza biurka. Typowy błąd, szkolny można powiedzieć: wartownik prawie zawsze zwalnia się z wartowania, gdy na jego posterunek przychodzi dowódca warty, jego własny rozum usypia. A dowódca myśli, że nie musi uważać, bo przecież jego żołnierz pełni wartę. Naturalnie, bałem się dalej jak cholera i byłem ciekaw, czym to nam z Beatą grozi, ale zmusiłem się, żeby myśleć tylko o uwolnieniu się. Doktor przesunął w naszą stronę łóżko ze zmarłą żoną, po czym pochylił się nad podłużnym pakunkiem, a gdy rozwinął papier pakowy, zobaczyliśmy zupełnie szarego trupa starej kobiety. Beata wrzasnęła ze strachu i zemdlała. Obaj podskoczyli w jej stronę, a ja w tym samym momencie wyrwałem lewą rękę z bandaża, porwałem ze stołu skalpel i razem z ręką schowałem pod biurkiem, odwracając się jednocześnie w stronę Beaty. Nic nie zauważyli, widać myśli doktora całkiem zagłuszyły moje. Czekałem na sposobność. Komandos nigdy nie rezygnuje, dopóki żyje.

Doktor popatrzył na swojego koszmarnego brata, który wyszedł zza biurka i sięgnął poza łóżko zmarłej żony i czegoś tam szukał. Wyglądał jak normalny, trochę gruby człowiek, był ubrany w dresowe spodnie i tę bążurkę, ręce i nogi miał jak człowiek, tylko ta rybia głowa jakoś się nie zamieniła w ludzką. Od wczoraj urósł ze 70 centymetrów i teraz był wyższy od doktora, i wcale go nie przypominał. I nie tylko przez tę głowę, bo cała figura była taka nieproporcjonalna. Nie widziałem tego, ale tak sobie pomyślałem, że w jednaj z nogawek musi chować jeszcze nie odpadnięty ogon i to go z pewnością mocno ogranicza w ruchach. Znalazł za łóżkiem jakieś kable i przyniósł je doktorowi. Ten pochylił się nad jedną, potem nad drugą leżącą kobietą, jakby im wkłuwał końcówki kabla, po czym podszedł do Beaty, nadal była nieprzytomna, odgarnął jej włosy z karku i pochylił się nad nią. Zacisnąłem rękę na skalpelu, ale w tym momencie przykuśtykał do mnie braciszek i położył mi obie ręce na ramionach. Silny jak cholera, czułem to, był twardy jak lokomotywa i składał się z żelaznych mięśni. Ani nie drgnąłem, kiedy Fisztain wbił jej w kark cienką igłę, sprawdził połączenia i wytarł ręce w serwetkę. Z drugim kablem podszedł do mnie, po czym wbił sobie igłę w szyję, a drugą końcówkę zbliżył do mojego karku. Obliczyłem szanse ataku, były niewielkie. Potwór, pewno wyczuwając moją determinację, zacisnął mi ręce na ramionach. Szanse spadły do zera.

Pewno się zastanawiasz, po co mi ta transfuzja od ciebie, młody przyjacielu? Hm, przyznam, że w zasadzie ma ona motywacje pozanaukowe, po prostu spojrzałem na tę młodą damę, która ci towarzyszy w tych nieciekawych dla was okolicznościach wizyty w moim mieszkaniu, no i doszedłem do wniosku, że pewne cechy twojej osoby są lepsze niż te same cechy mojej osoby, normalne, to zużycie materiału, poza tym ja jako pokolenie powojenne

nie miałem szans tak się dobrze rozwijać jak ty, choć wyczuwam w tobie trudne dzieciństwo i niełatwą młodość. Toteż transfuzja nie będzie pełna, po prostu wszystkiego nie chcę. Bo co do kobiety to oczywiste – jej komórki, a właściwie zawarty w nich materiał genetyczny posłużą do regeneracji mojej żony i matki, zapomniałem powiedzieć, że to po jej ciało właśnie pojechałem nad morze. Jestem ci wdzięczny za opiekę nad moim bratem, bo dzięki temu mogłem mieć szansę wykraść zwłoki jeszcze przed pogrzebem, to znacznie upraszcza wszystko, a jego ewolucja mogła przebiegać bez zakłóceń. To jasne, że to nie jest mój brat, to mój klon, który został stworzony przy pomocy materiału genetycznego wyhodowanego w tkankach ryb, które zdobywałem dzięki tobie. Ja tak samo jak ty nie lubię karpi, ale co zrobić – ryby są w dolnych częściach naszej ewolucyjnej drabiny i z nich najłatwiej jest wyhodować ludzki organizm, przyspieszając chemicznie to, co naturze zajęło kilkaset milionów lat i dzięki zaprogramowaniu genetycznemu tego procesu opuszczając etapy pośrednie, wszystkie te płazy, gady, ptaki, ssaki małe i większe, w końcu naczelne. Musiałem, naturalnie, eksperymentować, sporo egzemplarzy innych zwierząt wymknęło się spod kontroli, ale wymrą, zanim ludzie się dowiedzą, a ty im nie powiesz, już o to się postaram.

Pamiętasz co się stało ze sklonowaną owcą Dolly? Zdechła na sklerozę... Wyhodowano ją z komórki dorosłej sztuki, więc musiała się błyskawicznie zestarzeć, nie odbyła całego procesu ewolucyjnego i jej mózg nie nadążał za jej ciałem, a dokładniej to je wyprzedzał. Ja klonowałem nie tylko ciało, ale i psychoenergię. Temu tu osobnikowi, który jest moim biologicznym i psychicznym bratem, klonowałem własne neurony i wbudowałem własną psychikę. Dlatego porozumiewamy się telepatycznie na dowolną odległość, bez żadnych ograniczeń. To nie jest moja kopia, on naturalnie wciąż ma ograniczenia wynikające z jego pochodzenia, może to ustąpi, a może nie, tego jeszcze nie wiem. Ma też plusy w stosunku do człowieka – jest diabelnie silny, uparty i doskonale odbiera impulsy elektryczne mózgu, czyli mówiąc prosto, czyta w myślach. Wszystko to jednak jest tylko etapem przejściowym do tego, co tutaj właśnie robimy. Nie chcę bynajmniej być doktorem Frankensteinem dla ryb, i wcale się nie nazywam Fishstein, tak sobie wobec ciebie zażartowałem, bo już wtedy pod śmietnikiem wybrałem cię na partnera tego eksperymentu. Nieważne, jak się nazywam, ta wiedza jest dla ciebie zbędna, nigdy zresztą nie zdążysz jej wykorzystać. Chodzi o to, żeby w martwe, choć tylko w sensie biologicznym, komórki przywrócić życie, żeby dać im z powrotem duszę, którą straciły. Dusza to jest energetyka mózgu, z której buduje się pamięć i uczucia, miłość i nienawiść, wiarę w Boga i niewiarę w ludzi. Na niższym etapie rozwoju, jak w roślinach, wystarczyło opracować odpowiednią substancję chemiczną, jak nawóz, która przywróciła życie w tych uschniętych choinkach, które teraz są zielone i pięknie pachną, i pewno je wyniosę z czasem do lasu, tworząc prywatny zagajnik doktora, powiedzmy, Fischsteina. Rozwój ryby stymulował pokarm chemiczny i chemicznie zmieniona woda. Ożywić człowieka, jak dotąd może tylko drugi człowiek. Niestety, na obecnym etapie rozwoju, najczęściej po prostu oddając mu swoje życie. Dlatego ku wielkiemu mojemu żalowi, będę musiał stracić sąsiada, a sąsiadka także zasili energetykę moich bliskich. Będziecie po prostu nawozem dla psychiki mojej rodziny, no i mojej przy okazji też...

Ktoś wszedł? Popatrz kto to, ostrożnie, uważaj, kable...

Igła wyskoczyła mi z szyi, ciachnąłem skalpelem po bandażu wiążącym mi prawą rękę, dwoma cięciami uwolniłem Beatę i zanim się zorientowali, kantem dłoni uderzyłem doktora w bok szyi tak, że błyskawicznie stracił przytomność i runął na ziemię, a ja wyrwałem Beacie z szyi końcówkę kabla i wbiłem ją głęboko w tchawicę doktora. Charknął głośno, ale potem zaczął oddychać miarowo, choć coraz wolniej. Chciałem patrzyć jak jego gasnące życie uchodzi do nieruchomych ciał jego żony i matki, ale nie było czasu na takie rozrywki: brat Karpowicz zawrócił z korytarza i brnął teraz między choinkami, które zwaliłem wchodząc po ciemku do pokoju. Miałem może jeszcze ze trzy metry przewagi,

kiedy Beata się ocknęła i zaczęła krzyczeć. Uciekaj, wrzasnąłem, do drzwi, kątem oka zauważyłem w korytarzu przerażoną twarz chłopaka, który wczoraj chciał mi ukraść zakupy i nie wybudzoną dobrze ze snu Ankę. Beata przemknęła obok potwora, który obrócił się powoli jak dźwig i wyciągnął łapy, żeby ją zatrzymać, ale nie zdążył, a ja rzuciłem się na niego jak szczupak i wbiłem skalpel w miejsce, gdzie człowiek ma serce, dopiero poniewczasie orientując się, że to nie jest człowiek. Na poprawkę już za tym razem nie było czasu, skalpel wypadł i zniknął gdzieś w cetynie, a on złapał mnie obydwiema rękami za szyję i pomyślałem, że już po mnie. Jakaś resztka mojej świadomości przypomniała mi, że mam w kieszeni jeszcze jedną broń. Traciłem już świadomość, gdy zdołałem wyciągnąć zapalniczkę Beaty. Zamknąłem oczy i pstryknąłem, zapalniczka wypadła mi ze słabnących rąk, jednak płomień błyskawicznie objął bonżurkę doktora i, niestety, także moją koszulę. Zapiekło mnie okropnie, ale puścił mnie zaskoczony i niezdarnie zaczął się oganiać od płomieni. Upadłem na podłogę i przeturlałem się po niej, jednym ruchem zdarłem z siebie koszulę i odrzuciłem w jego stronę. Odprowadził lecący płomień wzrokiem. Zapaliła się sterta choinek na podłodze, rzuciłem w tę stronę fotel, usiłował się osłonić, ale grube cielsko straciło równowagę i runął z trzaskiem na podłogę. Nie czekałem na efekty, tylko wyprysnąłem do korytarza, gdzie całe towarzystwo stało jak widzowie na pokazie ogni sztucznych, w czasie którego ja, człowiek, niemal nagi walczyłem z ubraną w szlafrok rybą. Otworzyłem drzwi, porwałem z szafki pęk kluczy, który tam zostawiłem wchodząc, przekręciłem tylko jeden zamek i wpadliśmy do mojego mieszkania.

Ogłupiały chłopak wskazał ręką stojącą w korytarzu reklamówkę. Wino panu odkupiłem, wczoraj stłukłem, przepraszam, no i tak wyszło, powiedział, wszyscy patrzyli w stronę płonącego za drzwiami mieszkania doktora. Mamy jakieś dwadzieścia minut, powiedziałem, zanim albo zapali się cały dom, albo ten płomień sam się zdusi. Więc spokojnie ubierać się, brać żarcie i winko i uciekamy. W łazience szybko się umyłem, żeby nie straszyć ludzi i po chwili wahania wtarłem w siebie maść regenerującą doktora Fisztajna. Przestało boleć natychmiast. Wziąłem tylko pieniądze i dokumenty, i ciepły sweter. I puchówkę. Wyszliśmy przed blok. W oknach na drugim piętrze widziałem płomień.

Stanęliśmy na chodniku. Grupki ludzi wychodziły z klatek, okutani szalami, w czapkach, bo mróz był spory. Dokoła rozbrzmiewały życzenia Wesołych Świat. Pachniało pieczoną rybą. Od strony marketu rozbłyskiwały sztuczne ognie, błyskało też w naszym domu. Dokąd teraz, zapytała Ania, obejmująca mnie z prawej strony, tam gdzie miałem mniejsze oparzenia, może do ciebie, powiedziała do chłopaka, który szedł przodem, nie bardzo, powiedział, my teraz idziemy na pasterkę, to ja się pożegnam i jeszcze raz przepraszam, co złego to nie ja. To i my chodźmy, powiedziała Beata, potem wrócimy z wszystkimi ludźmi i tak będziemy mieć jakieś alibi, pamiętajcie, nas tam w ogóle nie było, no nie, siedzieliśmy najpierw u ciebie, a potem przyszedł ten mały i poszliśmy na Pasterkę. Nie jestem mały, proszę pani, mam już 16 lat i nazywam się Wiktor. A jak ręka, już nie boli, zagoiło się, spytałem. Tak, wszystko jest super, powiedział, trochę tylko swędzi. To ja lecę po rodziców i spotkamy się w kościele. Albo po kościele, powiedziała Ania. Wiktor podniósł na pożegnanie rękę i w świetle latarni zobaczyliśmy przeświturającą między palcami błonę płetwy. Z sąsiedniej klatki doleciał zapach sernika. Dzwony biły na Pasterkę.

Bajka wigilijna

- Chcecie bajki? oto bajka... Była sobie...

Głos mamy dobiegał z drugiego pokoju, gdzie 4-letnie dziecko znów nie chciało zasnąć. Był wieczór przed Wigilią, w salonie świeciły się lampki na choince, z kuchni dobiegały odgłosy krzątaniny babci i jej monolog, wygłaszany do taty, który prawdopodobnie usiłował w tym rozgardiaszu znaleźć chwilkę spokoju. Mógłby, oczywiście, przyjść tutaj i usiąść w swoim ulubionym fotelu, pamiętającym lepsze czasy, może nawet poczytać „Politykę", której najnowszy numer poświęcony był Świętom, a który zaczął oglądać wczoraj, ale naturalnie zaraz mu to wytknięto. Mógłby, ale tego nie zrobi, bo przecież idą Święta, jutro Wigilia, jest tyle do roboty, a on sobie czyta... Nie pozwalają mu się bezpośrednio włączyć do przedświątecznych przygotowań, jasne, przecież on i tak się na niczym nie zna i niczego nie umie zrobić, ale nie może być tak, że one tak ciężko pracują, a on siedzi i czyta gazetę. Tak dobrze nie ma, i już! Święta to święta, to sprawa rodzinna, wszyscy się muszą męczyć. Odpoczną po świętach.

Skąd to wszystko wiem? Nie wiem skąd. Mój związek z tą rodziną trwa już tak długo, że pewno wiem o nich znacznie więcej, niż oni o sobie nawzajem czy o sobie samych. Nawet wiekowa babcia, będąca skarbnicą informacji o sprawach rodzinnych, odkurzaczem wchłaniającym plotki i najbardziej lokalną gazetą, pełną bardzo drobnych ogłoszeń – tyle nie wie o tym domu, co ja. Babcia, w końcu, od czasu do czasu wychodzi – na zakupy, do kościoła, czy ostatnio coraz częściej – do lekarza. A ja jestem tu cały czas, wszystko widzę i wszystko słyszę. Mam wrażenie, że jestem tu znacznie dłużej, niż wszyscy ci obecni, nawet niż babcia, która kiedyś – pamiętam to dobrze – była młodą i podobno piękną kobietą. Podobno, mówię, bo wydaje mi się, że moje poczucie estetyki dość znacznie różni się nie tylko od babci, ale od wszystkich obecnych. No ale, jak to mówią – nie to ładne, co ładne, tylko co się komu podoba...

I każdy ma swój styl, a co styl – to człowiek.

Tylko ja nie jestem człowiekiem.

Nie pytajcie mnie tylko, kim jestem, bo sam nie wiem.

Sama nie wiem?

Samo nie wiem?

Tego też nie wiem.

Oczywiście, stwierdzenie braku wiedzy nie czyni ze mnie Sokratesa, filozofia jest mi całkowicie obca, jestem po prostu dość precyzyjnym obserwatorem tej ograniczonej przestrzeni, w jakiej przyszło mi bytować w ostatnim czasie, nie do końca mam świadomość – jak długim. Mam doskonałą pamięć i świetnie wszystko rejestruję w czymś, co gospodarze tego domu nazwaliby „umysłem", a ja nie całkiem się orientuję co to w zasadzie jest. Pamiętam, jak babcia obecnej babci była młodą kobietą i przychodził do niej w konkury równie młody malarz, obdarzony średnim talentem, ale bardzo w niej zakochany. Namalował wtedy jej portret. Pozowała mu w długiej sukni przez kilka wieczorów i udało mi się spostrzegać ją coraz wyraźniej, z każdą chwilą coraz wyraźniej i wyraźniej... Podobała mi się bardzo, tak jak malarzowi i nawet był czas, gdy różnice między mną a malarzem zacierały mi się do tego stopnia, że nie było dla mnie pewne, czy to nie ja ją maluję i nie ja mówię do niej coraz śmielej aż do momentu, gdy malarz podszedł do panny, umazany farbą, pamiętam taką zielonkawo-brązową plamę na prawej dłoni, pochylił się nad nią i powiedział:

- Jak się lepiej poznamy, zdejmiesz tę suknię i wtedy cię namaluję taką, jak sobie teraz muszę tylko wyobrażać.

Panna zerwała się, uderzyła go, niemocno jak sądzę, w twarz, i uciekła do drugiego pokoju, w którym teraz mieszka jej wnuczka, sama będąca już babcią i z którego od czasu do czasu słyszę jej płacz. Jakoś bardzo osobiście dotknęła mnie ta sprzeczka i choć nie było moim zadaniem jej rozstrzyganie – wydawało mi się, że oboje mają rację i powinni się pogodzić. W końcu to chyba dobrze, kiedy młody mężczyzna myśli o pięknie ciała młodej kobiety i jej – jak dotarło do mnie znacznie później – pragnie, a ona przecież tylko udaje, że się tego boi czy wstydzi. Zresztą tak było i tym razem, następnego wieczoru pozowanie do portretu odbywało się jak zawsze i kiedy obraz został ukończony, młody malarz przyszedł z kwiatami do mamy babci babci, oświadczył się o jej rękę, został jej mężem i mógł próbować ją namalować tak, jak ją sobie wyobrażał.

Ale nie namalował, bo wybuchła wojna i zastrzelili go zanim zdołał nabić płótno na blejtram. Babcia wkrótce też zmarła i został tylko jej portret na tym narzeczeńskim obrazie.

To ja.

Nie do końca tak. Nie jestem, w końcu, obrazem. Mogę myśleć, pamiętać, czasem nawet udaje mi się czegoś dotknąć i coś zrobić konkretnego, poza tym trwaniem w martwym polu, ograniczonym przez złocone, dziwnie powyginane ramy. Ja w zasadzie tylko tu JESTEM. Raz na kilka miesięcy – kilka lat – nie wiem, pojecie czasu w tym tutejszym rozumieniu jest dla mnie mało jasne – coś pozwala mi opuścić obraz i przechadzam się po pokojach domu. Jakiś niezrozumiały imperatyw każe mi sprzątać, pomagać, pocieszać, uśmiechać się na widok słodkich twarzyczek dzieci, posapujących przez sen. Zwykle mnie nikt nie widzi. Ale bywało i tak przez te nieskończenie długie lata i dziesiątki lat, że ktoś nagle wszedł do pokoju, w którym akurat wymiatało się kurze spod szafy – ta robota była jak dla mnie, z powodu wzrostu – i zanim udało mi się zniknąć, ten ktoś spostrzegał mój niemodny, czerwony – albo jak mówiono kiedyś: krasny kubrak, czapkę z pomponem, długą siwą brodę, zawsze mnie wkurzała, bo jakoś zbyt jednoznacznie determinowała moją płeć, jakby nawet wbrew moim intencjom.

Zazwyczaj widywały mnie małe dzieci, im łatwiej było uwierzyć w istnienie istoty, zbliżonej do nich wzrostem i takiej nierzeczywistej, jak wszystko to, co im wieczorami opowiadano w nasennych bajkach. One też były mi najbliższe, bo nie bały się mnie, nie dziwiły nawet specjalnie, tylko przemawiały do mnie niezbyt zrozumiałym gaworzeniem, wyciągały pulchne łapki i chciały się mną bawić, tak jak jedną ze swych lalek.

Do tego nie można było dopuścić. Kontakt fizyczny z żywą istotą był dla mnie zakazany. Kto, kiedy i dlaczego mi tego zakazał – nie było jasne, ale była we mnie jakaś straszliwa moc, która w takim kontakcie mogła wyrządzić wielkie szkody i jak sądzę to było przyczyną, dla której nie wolno mi było dotykać nikogo żywego. Przedmioty martwe w moich rękach dawały się dowolnie kształtować, przenosić i naprawiać, nie całkiem było nawet pewne, czy trzeba było ich dotykać, czy wystarczyło tylko się do nich zbliżyć.

Dorośli zwykle mnie nie widywali. A jeśli nawet, to brali mnie za wytwór swojej wyobraźni, za przejaw nadużycia alkoholu czy wreszcie za porzuconą zabawkę dziecinną. Kiedy jednak już się to zdarzyło, jakiś czas tłumili to w sobie, ale zazwyczaj po paru godzinach, tak – niby-żartem rzucali przy kolacji do innych:

- Ale śmieszne, wydawało mi się dziś po południu, że w kuchni widziałem krasnoludka, taki był, o...

I sięgali gestem aż pod stół, tam gdzie zwykle leżały domowe psy, czekając na resztki ze stołu. Psów nie dało się specjalnie lubić, bo widziały mnie oczywiście i wyczuwały najlepiej, ale próbowały mnie gonić i ugryźć, a może tylko się ze mną pobawić, no ale były żywe, a z żywymi kontakt był zabroniony. Raz jeden mnie dotknął. Tylko raz. Płakali po nim długo, zwłaszcza dzieci, mnie też było go żal, jednak to nie była moja wina.

Potem, naturalnie znów następował powrót do portretu młodej kobiety i mijały długie miesiące, może lata, nie bardzo orientuję się w czasie, do momentu, kiedy to jakaś nieznana

siła wyganiała mnie ze złoconych ram i znów imperatyw czynienia dobra przenosił mnie do kuchni czy spiżarni, raz czy dwa nawet dalej, do przydomowego ogrodu, gdzie trzeba było naprawiać kosiarki, przekopywać grządki czy przenosić gniazda pszczół do brzęczących słodkim słońcem uli. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie było jak tego przewidzieć, kiedy i jak to nastąpi. Bo przecież przychodziło mi się materializować nie tylko jako karzeł w czerwonym. Niekiedy była to zwiewna rusałka nad brzegiem ogrodowego basenu, czasami zaś po prostu bliżej nieokreślone światła, powiewy chłodnego powietrza, nie dające się zidentyfikować dźwięki czy zapachy. Moim życiem – nie, to zdecydowanie nie jest dobre słowo! – kierowała jakaś nieznana mi siła, której trzeba było się całkowicie podporządkować i która traktowała mnie czysto mechanistycznie, jakbym nie był – nie była – nie było – całkowicie odmaterializowanym duchem.

Nie, nie był to duch prababki, zaklęty w starym portrecie, który za grzechy młodości pokutuje w złoconych ramach i od czasu do czasu, by dać upust nadmiarowi energii, wychyla się z obrazu i pokrzykując dziarsko: HU HA! – straszy gołowąsych młodzieńców i eteryczne panienki. Z biegiem czasu – lat? stuleci? – jakoś udawało mi się oswoić z tym stanem, i nawet zyskiwać coś w rodzaju samoświadomości, wiedzy o własnej osobie. Nikt mnie, rzecz jasna, o tym nie pouczał, nie wzywał do gabinetu jakiegoś szefa mojego losu, który by prosił siadać i mówił:

- No, pora aby się dowiedzieć prawdy o sobie...

A więc po pierwsze było zupełnym przypadkiem, że przyszło mi trafić do tego akurat domu i do tej rodziny. Przed portretem w tym domu jako mieszkania były jakieś inne budowle, zamki, rudery i luksusowe pałace. Niejasno pamiętam wygodny – wygodniejszy od portretu – związek z jakimś starym sprzętem, naczyniem czy kielichem. Ale to wszystko były byty przejściowe, nietrwale i mocno niematerialne. Odnoszę wrażenie, że kiedyś już raz zdarzyło mi się być dłużej całkiem fizycznie w postaci mężczyzny, pamiętam, że byłem, że kochałem i cierpiałem, byłem dobry, ale nie doceniono tego, a ja jakoś nie umiałem się przystosować i moja kariera nauczyciela – bo chyba byłem nauczycielem? a może lekarzem? królem może? zakończyła się szybko i dość dramatycznie. Ale to tylko takie niejasne przebłyski, takie *dèja vu* jak coś widzę w telewizji, lub przemknie do mnie strzępek jakich niedzielnych opowieści babci. Chyba czas i miejsce, w którym zdarzyło mi się być wcześniej, było bardzo odległe od wszystkiego tego, co otacza mnie tutaj, i w ogóle nie porównywalne, a jedynym łącznikiem między tymi światami było to, co wiązało się ze mną. Ale nie mną z teraz, z portretu, nie mną z czerwonych kubraków, zwiewnych welonów i skrzypiących szaf, nawet nie mną z tamtej długiej materializacji – tylko z mną z daleka i wysoka, z rejonów tak odległych, że nie ogarnionych nawet dla mnie, a co dopiero dla tych, którzy tu, czy gdziekolwiek indziej ze mną mieszkali, ani wiedząc o mojej wszechobecności. Każdy z nich jakoś ją wyczuwał, ale oczywiście nie był w stanie jej doświadczyć bardziej, niż te chcące się mną pobawić dzieci, polujące na mnie psy czy też patrzące na mnie – a niewidzące – oczy.

Ale istoty tego wszystkiego nie mógł poznać nikt. Nawet ja. Bardzo mi zależało – to oczywiste – na poznaniu swojej przeszłości, swego pochodzenia i przede wszystkim celu, dla jakiego jestem i robię to co robię, ale gdy już-już wydawało mi się, że wiem – wszystko odpływało dalej, w mgłę domysłów, a istota mojej misji niewątpliwie ważna i świetnie znana mocodawcom, miała być skryta nawet dla mnie – wysłannika. Jakby cel był tak ważny, tak tajny, że bali się, iż w krótkich momentach materializacji mogłoby zdarzyć się coś, co unicestwiłoby ich kunsztownie skonstruowany plan.

I tego właśnie planu poznać się nie udawało.

Obserwując, można było sporo się dowiedzieć, a nawet nauczyć zwyczajów ludzi, zwierząt, czy roli mnóstwa sprzętów, którymi się otaczali. Dominujące wrażenie, jakie mnie przenikało w pierwszych okresach mojej tu obecności to nadmiarowość wszystkiego: ludzie mieli mnóstwo niepotrzebnych części ciała, ubrań, rzeczy i zachowań, które były całkowicie

dysfunkcyjne, niekiedy autodestrukcyjne. Ubierali się w kilka warstw odzieży, którą niekiedy zrzucali wcale nie dlatego, że była im niepotrzebna, tylko w celach – jak to udało się pojąć – poprawienia komunikacji między nimi, przy czym traktowali to jako niezwykłe wyrzeczenie ze swojej strony. A jednocześnie sami codziennie stawali bez odzieży przed lustrami i przyglądali się sobie.

Rodzili się nadzy i pierwsze ubrania traktowali wyłącznie jako osłonę przed chłodem. A potem robili z tym zupełnie niezrozumiałe dla mnie ceregiele. Ubierali się też w domy, które były zarazem składami mnóstwa zapasowych rzeczy i części do rozmaitych urządzeń, ale i wyznacznikami standardu. Właśnie to dążenie do wyrównania poziomu między poszczególnymi osobnikami gatunku, połączone z przeciwstawnym dążeniem do wyróżnienia się było dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Z punktu widzenia zachowania gatunku były to wszystko działania niecelowe i szkodliwe. Ale gatunek trwał.

Moim zdaniem wszystko to, włącznie z samoprogramowaniem czy reprodukcją osobników było powierzone przypadkowi i to w moim świecie – którego intuicyjnie można było się domyślić gdzieś tam, przed epoką obrazu i tej pierwszej materializacji – byłoby niedopuszczalne. Jednak żyjąc długo wśród ludzi, czy może powiedzmy – długo tu bytując – jest się ogarniętym w coraz większym stopniu przez tę zasadę częściowo kontrolowanego chaosu, której oksymoroniczność wydaje się odrażająca komuś tak precyzyjnemu jak ja.

Ale, jak to już było wspomniane, moje ja w sumie nie należało do mnie i ten ktoś – coś? – kto? co? tym wszystkim sterował, sprawiał wrażenie, że już też się pogubił.

Święta, obchodzone w tym domu zawsze bardzo uroczyście, były co roku dla mnie okresem bardzo trudnym, żeby nie powiedzieć - niemiłym. Wtedy najbardziej odczuwało się swoją inność, obcość wobec gospodarzy. W tym roku wydawało mi się, że zajdzie coś szczególnego. Być może były to przewidywania kolejnej transmaterializacji, które zdarzały się nieregularnie, przypadkowo i zupełnie poza mną, jednak im bliżej było do Wigilii, tym w coraz większy stopniu pojawiało się u mnie coś, co niewątpliwie było wpływem ludzi na mój rozwój – poczucie nieokreślonego niepokoju.

W wigilijny ranek poczucie to stało się tak dojmujące, że udało mi się skupić myśli szczególnie mocno i coś mi powiedziało, że ten dzień będzie przełomowy w moim życiu. Że moje związki z postacią z obrazu się skończą. Nie powiem, żeby mnie to szczególnie ucieszyło.

Jednak przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, i nie tylko człowieka... Choinka i nastrój świąteczny zawsze wzmagały to irytujące poczucie *dèja vu*, ale w tym roku szczególnie silnie dało się je odczuć. Jakby coś mi mówiło: to już koniec oczekiwania. Wracaj, wysłanniku nieudanej misji niemożliwej....

Wigilia w tym roku wypadała w niedzielę, więc tato nie poszedł rano do firmy i chyba ostatecznie wygoniony z kuchni, nie potrafił znaleźć sobie miejsca, wytrącony z normalnego rytmu, który mu wyznaczała praca, dom i sen. Siadł na fotelu, rozłożył wreszcie tę „Politykę” i zaczął czytać, ale po kilku chwilach gazeta opadła mu na kolana, a on sam pogrążył się w myślach.

Jakoś to mnie niewiele obchodziło. Nikt nie zaobserwowałby u mnie sentymentalnego podejścia do moich gospodarzy, których życie i postępowanie było dla mnie niezrozumiałe. Dawali się lubić, to pewne, ale te ich problemy i problemiki, wywołujące nieistotne kłótnie i nieuzasadnione radości nie stwarzały dla mnie żadnej perspektywy porozumienia, przez swoją nielogiczność i niepewność co do konsekwencji. Jednak – jak to tu mówią – kto z kim przestaje, takim się staje i poczucie niepewności ogarnęło mnie od samego rana. Nie można było tego zrozumieć. Co może być niepewnego w Wigilię? Tyle ich już tu było... Ludzie się zmieniali, potrawy się zmieniały – choć w niewielkim stopniu, bo przywiązanie do tradycji kazało im powtarzać co roku te same schematy – zmieniały się stroje i moda, ale zasada była zawsze taka sama: kupowanie, szykowanie, gotowanie, pakowanie prezentów, światła na

choince, nakrywanie do stołu, jedno dodatkowe nakrycie dla kogoś z drogi, rytualne jedzenie, rozdawanie prezentów, kolędy, odsypianie przedświątecznego zmęczenia... Ale jednak...

Z mojego stanowiska obserwacyjnego widać było tylko salon i kawałek korytarza, prowadzącego do kuchni. Za oknami słońce skrzyło na ośnieżonych gałęziach. Do domu prowadziła droga, którą można było dojść na przystanek autobusowy, nieco dalej był postój taksówek i to w zasadzie wszystko, co dawało się zobaczyć z salonu. Kiedyś, podczas kolejnej materializacji, po skończeniu pracy w ogrodzie przyszedł mi do głowy pomysł, by podejść do furtki i obejrzeć większy kawałek miasta. Nie udało się. Po jej otwarciu – przeniosło mnie znów do obrazu, a czerwony kostium, śmieszna czapeczka i mocno mnie irytująca siwa broda, jak zwykle, gdzieś znikły.

Dziecko co chwila zaglądało do salonu, bo mu kiedyś powiedzieli, że święty Mikołaj wejdzie przez kominek, żeby podrzucić pod choinkę prezenty. Tłumaczyli, że nikt nie może go zobaczyć, bo inaczej prezenty znikną, a taki zobaczony Mikołaj może zrobić krzywdę. Choć nigdy nie przychodził żaden święty Mikołaj, było to dla mnie jasne i zrozumiałe, bo ze mną było to samo, ale dziecko było jeszcze mniej logiczne niż dorośli, więc marząc o prezentach, marzyło o świętym Mikołaju i o przechytrzeniu losu. Dorośli, oczywiście, jak co roku go oszukali, bo wygoniwszy do kuchni, gdzie rzekomo z okna było widać lepiej, podrzucili prezenty pod choinkę, otwarli okno, jakby je pozostawił uciekający w popłochu Mikołaj i narobili rumoru, który miał zrobić na dziecku wrażenie. Najpierw mnie to irytowało, potem śmieszyło, ale zawsze pozostawiało pewien niesmak, że jedna z najtrwalej kultywowanych tradycji ludzi oparta jest w pewnej mierze na oszustwie.

Okno pozostało jednak otwarte i zimny wiatr poruszał obrusem wigilijnego stołu, na którym stały już półmiski z potrawami, a wokół było pięć krzeseł i pięć nakryć – o jedno więcej, niż liczba domowników. Zawsze mnie to trochę śmieszyło – to zostawianie wolnego miejsca dla niespodziewanego gościa, który może nadejść i może być przedstawicielem Boga czy nawet samym Bogiem. Postawiali te wolne miejsce od setek lat. Bóg nie nadszedł nigdy. To zrozumiałe – w końcu, takich stołów i takich rodzin były setki milionów. A święta były tylko raz w roku. Gdyby nawet Bóg pojawiał się co roku, i w każdym z oczekujących nań domów spędził tylko chwilę, potrzebną do połamania się opłatkiem, musiałby odwiedzać ludzi przez czas dłuższy, niż ludzie istnieli na tej planecie...

Było mi zimno. To uczucie było mi w zasadzie zupełnie obce, przecież nie było we mnie komórek, w których płyny ustrojowe z powodu mrozu krążyłyby wolniej, ożywiająca mnie energia nie zmniejszała się przez wychłodzenie, przeciwnie – było oczywiste, że gdyby tylko mi pozwolono – wszystkie zimy na wszystkich światach mogłyby się dzięki mnie zamienić w tropikalne upały, albo przynajmniej w klimat śródziemnomorski, gdzie nawet w środku zimy rośnie trawa i pasterze wypasają trzody. Takie zimno to coś tak ludzkiego, zwierzęcego nawet, coś co mi się w zasadzie nie powinno dawać odczuć.

Ale było mi zimno. Jak przychodzącemu człowiekowi. Miałem znów pójść jak wysłannik, człowiek do ludzi?

*

Szła od przystanku już dobrą chwilę, a furtka przybliżała się bardzo powoli. Widziała nad sobą niebo, rozjaśnione poświatą wielkiego miasta, i myślała sobie, że trudno będzie ludziom wypatrzyć pierwszą gwiazdkę. Płaszczyk był zdecydowanie za cienki, jak na tę porę roku. W zasadzie mówiono jej, że to będzie lato, co najwyżej późna wiosna, no i klimat miał być zupełnie inny, cieplejszy, ale pewno się pomylili w obliczeniach, to się zdarza, zresztą pewno w domu będzie ciepło, według informacji miał być kominek, no i centralne ogrzewanie. Nie do końca wiedziała, kim jest, ale to miało przyjść trochę później, jak receptory wychwycą więcej informacji. Stanęła przed furtką, nacisnęła dzwonek, poprawiła

włosy. Gdzieś za domem zaszczekał pies, podbiegł do furtki, zaskomlił i uciekł. Zmartwiła się, czy może źle wygląda, psy tak podobno reagowały na kogoś, kto im się nie podobał, ale jakoś tak nie wypadało jej wyciągać lusterka i sprawdzać. Była dość gruba, to pewne, ale z pewnością nie powinno to straszyć, zwłaszcza zwierząt... Styliści bardzo się starali, żeby wyglądała w miarę atrakcyjnie. Jak obrazek, mówili, jak obrazek...

Na ganek wyszła starsza kobieta, za nią młody mężczyzna.

- Pani do kogo?

- Nie wiem – rozłożyła ręce – przechodziłam... Chyba się zgubiłam, zimno mi, głodna jestem, w moim stanie nie mogę dużo chodzić, szukałam hotelu, ale nie było miejsca więc tak się rozglądam po okolicy...

Popatrzyli na siebie, on postąpił krok do przodu. Poczuła, że jej się przygląda.

- Pani poczeka chwilę.

Weszli do domu. Marzła. Musiała tam wejść, ale nie mogła zrobić tego siłą. Powinni ją zaprosić. Nie wiedziała dlaczego tak to zostało ustalone, ale jakby ten fakt miał zrekompensować jakieś niedostatki pierwszego projektu. Słyszała, że wtedy nie było miejsca, nikt nie chciał pomóc, już na początku pojawiły się trudności, autorzy projekty powinni wyciągnąć wnioski i jakoś korelować realizację, ale tego nie zrobili, poszli na żywioł, no i wyszło jak wyszło. Miejsce nie było wybrane przypadkowo, w końcu tu, a nie gdzie indziej od dziesiątków lat mieli rozpoznanie, a wysłannik, spokojny teraz i zadowolony, też się tu czuł jak u siebie, ale ludzie zachowywali się nieprzewidywalnie. Zawsze się tak zachowują i dlatego tak trudno jest z nimi cokolwiek zrobić.

Jednak wiedziała, że się dostanie do środka. Tak czy inaczej. Plan „B” przewidywał oczyszczenie pola operacyjnego już na samym początku. Z jakichś względów to miało być gorsze, ale alternatywa taka niewątpliwie istniała. Miała aż nadto energii. Ale było jej zimno – ludzkie ciało jest takie słabe...

Wrócił tylko mężczyzna.

- Zje pani z nami Wigilię, a potem się zobaczy. Mamy przecież przygotowane wolne miejsce. Jak co roku.

Powiesiła płaszcz w korytarzu, została w nieco zniszczonych butach na obcasach. Styliści projektu opracowali kostium typu „dziewczyna z sąsiedztwa”, atrakcyjna, ale mniej, ładna, ale trochę, zawsze pół kroku z tyłu niż każdy inny, ale wzbudzająca zaufanie i chęć niesienia pomocy. Młoda kobieta uśmiechnęła się na jej widok, musiała wyglądać na mocno zabiedzoną, bezradną, a przez to bezpieczną. Jej matka też ją zaakceptowała, nie wiadomo czemu, bo według przewidywań i planów powinien pierwszy to zrobić mężczyzna. Tymczasem i on, i dziecko trzymali się na dystans. Ludzie są nieprzewidywalni.

Gdy weszli do salonu, dziecko rzuciło się w stronę góry prezentów, ale powstrzymali go uwagą, że jeśli dotknie się któregoś z nich przed zjedzeniem kolacji – to wszystko zniknie. Uśmiechnęła się. Nawet nie wiedzieli, jacy są bliscy prawdy. Rozmowa przy stole była nieco wymuszona, wydawało jej się, że są niezbyt zadowoleni z jej nieobecności. Zabawne. W projekcie nr 2 wiedziano dobrze, że do tradycji świątecznej należy ustawianie dodatkowego nakrycia dla nieoczekiwanego gościa, ale jak on już przychodzi – to najchętniej albo by go poszczuli psami, albo przynajmniej nie wpuścili do domu. Tu, naturalnie, taki przypadek nie mógł mieć miejsca, ale sympatycznie też nie było. No, ale w końcu nie miało być sympatycznie, tylko skutecznie.

Nikt nie zapytał jej o nazwisko, ale ona i tak nie mogła ujawnić, kim jest. Wysłannicy nigdy się nie ujawniają. Ci którzy pomagają wysłannikom – tym bardziej. Naturalnie, kiedyś miało nastąpić przemienienie i ujawnienie zewnętrznego projektu, ale co było ostatecznym celem misji, nie wiedziała ani ona, ani wysłannik, który podobno tak długo się do niej przygotowywał, że wszystko musiał pójść jak z płatka. Liczyła na to, że sytuacja w miarę rozwoju pokieruje nią odpowiednio, no i nie zawiodła się. Mężczyzna przyglądał jej się

dłuższą chwilę, jak jej się wydało – dość natarczywie, no i zaczerwieniła się, zgodnie ze wszystkimi regułami podręcznikowymi. Spuściła oczy, potem je podniosła i zadbała o to, by trzymać je przez dłuższą chwilę szeroko otwarte. Były wielkie i niebieskie, co w połączeniu z długimi, prostymi włosami blond powinno odnieść oczekiwany skutek. Odniosło.

- Przyglądam się pani i chciałbym o coś zapytać...

- Proszę, teraz pierogi z kapustą i grzybami – kobieta podsunęła mu półmisek, jakby chcąc mężowi przerwać. Przesunął go w jej stronę. Zmusiła się do nałożenia jednego. Śmieszyło ją trochę to napychanie sobie wnętrzności takimi paskudztwami. Już i tak była gruba.

- Przypomina mi pani kogoś, nie wiem czy nie pomylę nazwiska... Znam w zasadzie tylko z jakiejś książki, z obrazków... Czy dobrze kojarzę nazwisko, bodaj Joachimowicz? Bo mi się tak coś głowie plącze...

Znów podniosła oczy, poprawiła włosy. Co miała powiedzieć? Czy rozszyfrowanie pierwszej powłoki może zaszkodzić projektowi na kilka godzin przed jego rozpoczęciem?

- Nie, nie przypominam sobie... Może ktoś podobny, może z dalszej rodziny...

Żona przysunęła jej przyprawy, posoliła barszcz.

- Nie, nie, na pewno już kiedyś się widzieliśmy...

Teściowa popatrzyła na niego.

- Och, to nieważne... Pani na pewno jest zmęczona, prawda? W pani stanie powinna pani dużo odpoczywać. Może przenocuje pani u nas, mamy taki niewielki i skromny pokój gościnny, a jutro poszukamy pani czegoś odpowiedniejszego. Pani tu w interesach, czy prywatnie?

Spuściła głowę.

- Zostałam wezwana do sadu, wie pani... Do ewidencji ludności. Mój..., no, ktoś z kim byłam, tu kiedyś mieszkał i teraz są potrzebne takie różne dokumenty. Przykra sprawa, chodzi o ustalenie ojcostwa...

Kobieta poruszyła się, spojrzała na dziecko.

- Jedz szybciutko, pewno chcesz zobaczyć prezenty, prawda?

Dziecko ochlapało się barszczem. Wyglądało jakby wpadło w ręce czarnych rycerzy Króla. Uśmiechnęła się. Reminiscencje poprzedniej akcji. Mężczyzna nie ustępował.

- Jest pani córką Anny?

Pokręciła głową, a potem pokiwała. Doszła do wniosku, że nie ma co brnąć dalej w tę dyskusję.

- Nie chciałabym o tym mówić, może później. Jest Wigilia, państwo tacy uprzejmi, a maleństwo czeka na prezenty.

Kobieta odsunęła krzesło i wzięła dziecko za rękę, tłumacząc mu, że musi się przebrać. Gdy wrócili, oczywiście zauważyła, gospodyni dorzuciła coś do stosiku pod choinką, skończyli kolację już bez słowa, jeśli nie liczyć coraz bardziej podekscytowanego paplania dziecka. Irytowało ją. Wreszcie prezenty zostały rozdane. Dostała ładną szminkę. Zaśpiewali kolędę i aż się sama zdziwiła, skąd ją tak dobrze zna, choć przysięgłaby, że słyszała ją pierwszy raz.

- *Wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi...*

Pościelili jej na maleńkim łóżku, w którym ledwie się zmieściła z jej brzuchem. Mężczyzna chciał jeszcze pytać o jej rodzinę, ale powstrzymany wzrokiem żony, pożegnał się pod drzwiami pokoju gościnnego. Zamknęła drzwi i otworzyła okno. Byli już niedaleko, sądząc po coraz szybciej powiększających się światłach pozycyjnych. Po północy, którą wybił stary zegar w salonie, nadszedł czas. Przeszła bezszelestnie przez wszystkie pokoje i każdego dotknęła tylko raz. Tylko raz. Wyglądali na szczęśliwych, cokolwiek to znaczy. Pole było oczyszczone. Wróciła do salonu, zrzuciła kostium, rozprostowała skrzydła, z niepotrzebnego już brzucha wyjęła dziecko i trzymając je w objęciach usiadła w fotelu.

Światła na choince przygasły, gałązki drzewka poruszyły się, jakby ktoś między nimi przeszedł, a wśród nocnej ciszy rozszedł się głos.

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz, Nowy Targ

Życie

nie uniesiesz w dłoniach wody
bo palce patrząc otwierają się tak szeroko
jak oczy,
które chcą pokazać światu
co widziały

tylko studnia w ogrodzie przed domem
tętni życiem
zamkniętym zimnym kręgiem

możesz zaczerpnąć wodę,
zanurzyć dłonie
i spróbować zacisnąć powieki

****

wieczność by się urodzić najpierw umarła w chwili
poczęta z życia i śmierci
zaistniała
palcami kołysze drzewa nad swoim grobem
i podąża śladami krótkich postojów
tam pozostajesz samotny
tylko z zapachem mchów
z zimna przykrywasz się metalową bramą
napisałeś już to co miałeś powiedzieć
teraz tylko halny przerzuca kartki w twojej kamiennej książce
i chociaż pachniesz nocą
to właśnie dzień jest dla ciebie nieskończonością

Chwile

błyskawica rozdarła niebo nad nami…
zerwałeś wstyd z mojego ciała
i rzuciłeś w kąt pokoju
gdzie klęczał mój cień
krzyczący do rozszalałego nieba…
anielskie diabły
i my
unoszeni w narkotycznej ekstazie
zapominamy
że trwa to tylko chwilę

Jałmużna

zatrzymać czas
powiedzieć myślom żeby zwolniły
nakazać słowom –
grzesznie milczcie -
zamknąć oczy i splatać rzęsy
aż warkocz ich zakryje ślady czułości
nie słyszeć cichych wrzasków żebraków
i wyblakłych jaskrawości naszego uczucia
a my choć jakże bogaci
to jednak prosimy Boga o jałmużnę

Kiedy potłukły się moje okulary

wypił trzy hausty zimnego browaru
brudnym palcem objechał wzdłuż krawędzi kufla
mętnie spojrzał na rozesłane łóżko
i krzywym szpalerem zębów
zepsuł mi popołudniówkę
zaszczycił kanapę swoją obecnością
następnie trzy razy podrapał się po gębie
po czym klepnął mnie w tyłek
jak kelnerkę z baru naprzeciwko

i wtedy potłukły się moje okulary…

Mgły jesienne

biały welon na polanie
twarz murawy skryta we mgle
na policzku źdźbła od trawy
łza poranna…
osmagane wiatrem dłonie
góry w sobie zatrzymały
między palcem pozmarszczanym
przemknął halny …
niczym nuty z górskich turni
dźwięk kamienia znad przełęczy
zaczepiony o pagórki
dziwnie cichy -
wspomnieniami panny młodej
co góralskim lasom rzekła
za woalem mgły porannej
młoda jesień

Morze wiersz napisało…

piasek między palcami
ze ściśniętej dłoni muszla stara się wyzwolić
biała mozaika z soli na skórze
morze wiersz napisało
usta spierzchnięte
wiatr przecwałował obok niespodziewanie
zaciskam w ręce nasze marzenia
i chowam ostatni bilet z wejścia na molo

Niestrawność poetycka

odbiło mi się wczorajszą strofą
trzy małe wersy
a jednak leżały na żołądku
kroplami zganiałam wymioty sylab
męczące torsje nocnej poezji
i jakby niby nic
wirus jakiś
zwykły brak rymów jelitowych
- enzymy krytyki dawno strawiły już własną materię -
nocny ból głowy w lirycznej migrenie
i zapaść słowna
jeszcze teraz pewnie mnie czeka
biegunka poetycka

Oczekiwanie

zamiotłam z posadzki ostatni okruch lata
wytarłam szmatą jesienne dni
pomalowałam szminką metalowe barierki ust
jakże teraz zimne
promyk słońca przypięłam żabką do karnisza
zatańczyłam z pająkiem na linie
przytuliłam się do pierzastego obłoku
i zasnęłam w oczekiwaniu na wiosnę

Kiedy łza...

gdy łza spadnie na kafelki w kuchni
wtedy
jak już cebuli nie będzie na desce
to odpryśnie od niej tylko kawałek nas
na politurze mebli w salonie
odbite ślady dłoni
- jeszcze z wczoraj
ciepłe miejsce w fotelu
krawat przytrzaśnięty drzwiami czasu
nie założona koszula,
zmięta przyszłość pozostała w szafie na wieszaku…
kiedy łza spadnie na dywan w pokoju
nawet gdy zabraknie siły na melodramat
to schowa się w nim tylko kawałek nas
na pilocie od telewizora wyprężony grzbiet dłoni
czerwony guzik wciśnięty do końca
i mój palec usilnie naciskający zielony

Pełnia

dlaczego pan mi zagląda do okna?
uśmiecha się ironicznie
ciągle tak samo
dwie poduszki obok siebie zasnęły wtulone
wczoraj zmieniłam na nich obłoczki
senna droga z zamkniętą furtką
czy ma pan do niej klucz?

Jak tumany kurzu…

jak tumany kurzu
unoszą się słowa nad chodnikiem
omiecionym wiatrem zabłąkanym z innej ulicy

jak bezpańskie psy
wyjące do księżyca w trwodze
by jutro nie poznały rakarza

jak motyle na swych skrzydłach
niosące znaczenia wyrazów
które umrą gdy skrzydła zostaną dotknięte

stracone w drodze rozmowy
gdy krok był za szybki
a cel podróży – za daleki

perpetuum mobile zaginionych słów

Przemijanie

pożółkłe paznokcie – mówili nie palić -
suchy motyl na parapecie
- czas powyginał konary dłoni -
zeschnięte liście opadłe spod paznokci
zdrapałam ostatnie strupy z zaschniętą krwią po twoich słowach
a kilometry korytarzy po których zbiegły myśli
utworzyły rozlewisko na mojej twarzy
lata przygarbiły mnie w hołdzie do ziemi
kłaniam się jej teraz jakby niżej

Tak daleko jak blisko

zaraz
padną słowa,
wylecą jak ptak
z klatki, w której zostawiono otwarte drzwi

zaraz
moje ręce podniosą się
by bezsilnie opaść
powodując tylko wzruszenie powietrza

zaraz
moje łzy wskutek grawitacji
przyciągnie ziemia

zaraz
będziemy tak daleko jak dotąd byliśmy blisko

Tryptyk

umierające pod śniegiem zapomnienia
zatęchłe liście kolorowych chwil
libretto marzeń wspólnych wieczorów
z szelestem odleciało do ciepłych krajów
nagie drzewa złamały ostatnie błękity
w palcach pajęcza nić zawiesiła roztargnienie
babie lato –
kobieca kibić jesieni
ściśnięta mrozem…
nikomu teraz już nie są potrzebne
wczorajsze krokusy z polany miłości
zasypane płatkami słów w zimowej zawierusze
zostały zastąpione
przebi-słowem wspomnienia

*

umierające pod śniegiem zapomnienia
zimne spojrzenie
cień w przedpokoju rzucony
chłodna zupa na stole z wystygłych uczuć
i wczorajsze drugie niedojedzone
jedno nakrycie –
porcelanowy single -
nasze dobranoc
za wcześnie chyba poszło spać

*

umierające pod śniegiem zapomnienia
wyblakłe wspomnień fotografie
pożółkłe myśli z pamiętnika
opadłe z papieru, wyczerpane
promyki słońca niezapisane w kalendarzu
i te dni deszczowe z podartą parasolką
myśli rozczochrane –
wydarte kołtuny refleksji

zawsze jednak gdzieś będą

zawsze
jednak
gdy my będziemy

Tylko sny

przy mojej głowie tylko sny
ułożone bezpiecznie w pościeli
wciśnięte w śpiwór oczekiwania
na noc zaplotłam je w warkocze
by nie splątały się od mojego rzucania w bezradności

Wymagasz ode mnie pokory

wymagasz ode mnie pokory
za słowa, których jeszcze nie zdążyłam powiedzieć
a spadły myślami na moje rzęsy
i wiszą na nich niczym rosa na pajęczynie.
bym słuchała żalów codzienności
wycieranych chusteczką i wyrzucanych higienicznie do kosza,
przesiąknięte katarem z urazu
wypełniają po brzegi kubły z odpadkami.
by kamień, który minęłam
zapłakał grysowymi łzami
a zlany zimnym potem
skruszał z zatwardziałej pychy.
i zabijając muchę mam mówić przepraszam
tak głośno by owad ożył od mojego wzruszenia
wybaczając mi podłość z jaką klepnęłam jego życie -
oczywiście gdybym zabijała muchę -
prostego zachowania chłopki,
bezlitośnie uderzającej w owada,
który właśnie przeleciał koło jej twarzy
i strącił myśl - choć może sama spadła -
która jeszcze nie została przemyślana…
wraz z brakiem hamulców w emocjonalnym pojeździe
gdzie zmiana biegów zależy od tempa życia
a prędkość narzucana jest znakami warunkującymi bezpieczeństwo
ona, ubrana w suknię z krynoliny
ściśle krępuje w gorsecie wulgaryzm braku wykształcenia,
kapeluszem przysłania wizerunek damy…
czy taka mam być?
stworzyłeś mnie kiedy przemknąłeś przez mój sen
jadąc z niedozwoloną dla snów prędkością,
kradzionym pojazdem, bez prawa jazdy-
przecież nie masz prawa jeździć po moich snach?
przemykając zgubiłeś uśmiech i oczy…
czy coś powiedziałeś?
we śnie się głośno milczy, bezsennie śpi, jawnie śni…
nie możesz wymagać zbyt wiele…
możesz zawsze kazać się obudzić…

Za myśli

upartość moja
za dwanaście euro, które rzuciłeś mi do stóp
i sztywna tekturowa cena
z rozpiętym stanikiem
rozmiar jej przewyższył objętość twoich dłoni
palcami trzymasz mnie za myśli
i wplatasz czerwoną wstążkę
a one tylko nadgryzają linie papilarne

Zapach wiosny

spod rzęs drapiących sennie okulary
spadła ostatnia kartka
z godziną
paznokciami zaciskam w dłoni twój zapach
by nie przeniknął do butelki z perfumami
szklanym korkiem wytyczam dwa światy
twoja wolność oparła się o karafkę
i przeszła korytarzem…
wylałam na siebie zapach wiosny
do pierwszego wiatru tylko on będzie właściwym

Zgubione słowo

w biurze rzeczy znalezionych
do odbioru są słowa
na półkach posegregowano
dobre i złe
grzeczne - niegrzeczne
ładne - niełądne
normalne
nienormalne
wszystkie bezpańskie – bezzdaniowe
bez kropki, przecinka
bez sensu
nonsensu

uszkodzone i chore…

miła pani zapyta –
- szukasz czegoś?
zwykłego przepraszam,
nie macie?
zgubiło mi się
kiedyś…
w trakcie…

najczęściej gubione
najrzadziej znajdowane
najbardziej poszukiwane

produktu nie ma na stanie,
dostawa będzie za tydzień

****

znalazłam cię w śnie na teraz
nie było cię w nim przedtem
zostań na potem…

*
w mglistym dzisiaj
błysnąłeś wczorajszym marzeniem
rozświetlając wyobrażenie jutra…

*
na drodze teraźniejszości
wbiegłeś w przyszłość
targając bagaż przeszłości…

*
w kalendarz wpisałeś plany niedzieli
wydarłeś kartkę z poniedziałku
przecież dopiero jest środa…

*
pozostałam tymczasem samotna
w oczekiwaniu na jeszcze
wspominam poprzednie chwile…

Alter ego

Bo cóż bardziej zmysłowego nad ciało kobiety tak ubrane w pocałunki, że brak ich powoduje uczucie wstydu? Mgłą poranną położone na trawie nagie chwile przykryte źdźbłem niczym listkiem figowym, raz po raz błyskają nagością w porannych promieniach słońca. Gładkość skóry mieni się odcieniem zachodzącego dnia. Jeszcze biała po zimie, spękana mrozem zapomina powoli o długich wieczorach. Nic bardziej grzesznego niż kradzież pocałunku z owych ust piękna, dodatkowo z nawiązką słów i uczuć. Spienione w czarze najwspanialszego wina podanego jako dodatek do wykwintnego obiadu stanowią poczęstunek iście królewski. Spożyte w nadmiarze dają poczucie upojenia, regularne uzależniają. Brak ichdoprowadza do szaleństwa i obłędu z niedosytu, jakiego doświadczamy, a nadmiar pozwala wymazać trudne chwile. Bo czy można żyć bez piękna i codziennej zmysłowości? Dlatego kradzież ta pozostaje bezkarna, a śmiałkowi można jedynie wyrwać serce...

Komu potrzebne freudowskie poczucie estetyki, kiedy urealnienie daje niedosyt, a wręcz zaprzecza jego teorii… Jak można kochać kobiecą stopę i uważać za szalenie erotyczną, jeżeli w dzisiejszych czasach jej wymiary są tak ogromne, a sam wygląd nie ma nic wspólnego z rozbudzeniem żądzy… Erotyzm ciała, niestety wbrew powszechnemu mniemaniu, nie polega na uzewnętrznieniu. To efekt uboczny, pierwsze wrażenie, opakowanie... To jak z mieszkaniem: widzimy, podoba nam się, chcemy tam być, a dopiero potem sami oceniamy, czy jesteśmy szczęśliwi. Nie można się więc uzależnić od freudowskiej symboliki, gdyż jest ona trochę zbyt przestarzała, a wręcz niemodna. Bo tak właściwie, kim jest ta kobieta? Ciałem? Jej bogactwo tak naprawdę tkwi w duszy, bo *animus est, qui dívites facit.*… A kobieta? Jest po prostu facetem wywróconym na drugą stronę…

Bo cóż bardziej tajemniczego niż chwila, która daje poczucie spełnienia a marzenia przybliżają się do nas tak szybko, że wręcz zapominamy o ich istnieniu gdyż pozostają już tylko przeżytkiem… A czy warte jest coś, gdy zostanie spełnione? Bo czy można marzyć o czymś by stało się raz jeszcze, jeśli poznaliśmy już jego smak? Spełnienie jest następstwem i dokonaniem. Marzenie było czymś tajemniczym, ucieczką, poszukiwaniem, tęsknotą... Czy dobra jest więc ta chwila, która wypełnia do końca nasze oczekiwania lub została dokonana… Tak naprawdę właściwą wartość posiada wtedy, kiedy czekając na najbliższą okazję, daje poczucie tęsknoty i upragnienia. Bo doceniane jest tylko to, czego nie znamy i nie doświadczyliśmy…

Gdy chwila zamyka w sobie rozważanie nad sobą, staje się momentem istotnym, bo docenionym. Zastanawiamy się nad jej urokiem, pięknem, porównujemy do poprzedniej. Chociaż często zestawiana z przeszłością to jednak oceniana jako teraźniejsza, w głębszym, rzeczywistym kontekście. Piękno przyciąga, a chwile z nim uspokajają. A marzenia? One były i są, a czy pozostaną… Zależy tylko od tego jak stworzymy te właściwe chwile… Każda bowiem zrodziła się z marzeń, a każde marzenie kiedyś miało swój czas…

Bo cóż jest bardziej miłosnego od gry karcianej, gdzie tasowanie miłosnych pików jest jak przerzucanie uczuć między palcami rąk… Kobieta niczym karta w rękach mężczyzny staje się zależna i zarazem wiodąca … W talii życia jako dominująca, a posiadanie jej warunkuje wygraną. Nie do końca daje się poznać jej naturę, gdyż sama w sobie stanowi fizyczną niemożliwość. Nałogowo, w chroniczny sposób uzależnia tworząc sytuacje, w których zaprzecza podstawowym prawom fizyki, choć przecież wiadomo, że dla reguły najważniejsze są właśnie wyjątki… Dama Pik prawem karcianym, *alter ego* karcianego króla,

zapewnia sobie bytność zarówno w grze jak i w życiu. Piękno bowiem, tworzy chwile, chwila zapomnienie, a reszta pozostanie grą… Nie ma już innej możliwości.

Bo dzieckiem jest się tylko do zimy

Poczekam aż spadnie śnieg. Przykryje jesienne liście w agonalnym stanie, posprząta zszarzałe zmierzchy, zapali światła na naszej ulicy. W nocnej bieliźnie bez czarnej poświaty ułoży się na posłaniu, by zasnąć zimowym snem i obudzić w gorączce wiosny. Nieskazitelnie czysty z braku grzechów poczeka do wigilii, by w jego bezgrzeszności pierwsza gwiazdka niczym słońce wspięła się na nieboskłon. Ona bowiem pierwsza zapuka do twojego okna i odsuwając pomarszczoną firankę przywoła życzenia, których boimy się wypowiedzieć! Ogarnie ciepłem dom, nadgryzie świeży sernik i poleci przywitać się z sąsiadami.

Bo betlejemska gwiazda nigdy nie zgaśnie…

Na metalowym łóżku leży kostucha. Położyli ją, przykryli kołdrą i zostawili. Schowana przed światem, żeby nikt nie spojrzał prawdzie w oczy. Z domu wygnana zimnym porankiem z oddechem umierających świąt, by wigilijna noc śmierci do domu nie przyniosła. Machało jej Wesołych Świąt lampką oświetlając drogę. U obcych schowana. A niech tam. Niech innych śmiercią straszy. Oni też ją schowali. Od czasu do czasu zaglądają czy przywykła do towarzystwa śmierci. W ciemnościach trzymana, bo ślepa z przejaskrawienia własnych marzeń. W ciszy, bo głucha od wymówek na swoje prośby. W głodzie – dawno przestała łaknąć jakiejkolwiek pomocy. Nasycona jedynie samotnością, która w nadmiarze odurzyła niczym alkohol. Dla jej dobra to wszystko, dla jej dobra… Za ścianą trzask. Przełamane życzenia uderzają w mur, po którym z drugiej strony płynie łza. Wydrążona szczelina na zimnym tynku zapisała linię życia. Wigilijna noc taka długa... Powoli kapią krople jej wieczerzy wpadające do ciała. Jedna, druga, trzecia…

Bo człowiekiem jest się tylko do śmierci…

Śniegowy bałwan zadziornie marszczy czoło pociągając marchewką. Uwielbiam kolor pomarańczy!!! Czarne ślepia wlepione w biały śnieg. Negatywny *ice man* postawiony tutaj na stałe bez możliwości poruszania. Skazany na samotność.

Szalikiem otulony, żeby nie zachorował. Bo kto poda syrop na łyżeczce. W ręce (przecież bałwan nie ma rąk) miotła do wymiatania złych snów z głowy, jeżeli tylko ona się nie rozpuściła. Obok wydeptane ślady. Na nich myśli położone. Prowadzą pewno do marzeń. Ktoś przyszedł, ktoś odszedł… Dziecko marchewkę zmieniło, bo tamta pomarszczona była. I pies nogę podniósł… Taka jest właśnie bezdomność. Tylko zimą jakby mniej śmierdzi.

Bo dzieckiem jest się tylko do zimy…

Dzwonek do drzwi. Nerwowo poprawiam szlafrok, szczelnie zakrywam każdy centymetr nagiego ciała. Podchodzę i przekręcam klucz. Klamka opada pod naciskiem dłoni. Przez szparę w drzwiach wsuwa się ręka trzymająca kartkę z jednej strony kolorową od życzeń, z drugiej realnie biało-czarną, zimną. Strach paraliżuje ciało. Zastanawiam się czy warto, czy trzeba. Czy wyjść naprzeciw z ręką w gonitwie za marzenio-życzeniami często zbyt odrealnionymi, żeby mogły być kiedykolwiek spełnione? Czy podporządkować się brutalności korespondencji pokazującej, od kogo i dla kogo są życzenia, w telegraficznym skrócie dając do zrozumienia, że masz być zdrowy, uśmiechać się i mieć kasę? Czy po prostu zapomnieć… I nie idąc do drzwi, nie poprawiać szlafroka, nie zasłaniać nagości, nie odebrać myśli do przekazania, pozostać sobą…

Bo pamięć jest tylko do zapomnienia…

Bocca chiusa

Czy słyszysz, jak w oddali mruczy kot, który właśnie wstał z pieca, by upolować jedyną mysz, jaka pozostała w starej chałupie? Deska skrzypi ze starości, zbutwiały próg jęknął, bo ktoś na nim stanął. Czyjeś kroki raz po raz rytmicznie wystukują rytm. Pisk złapanej myszy. O jeden dźwięk mniej do usłyszenia. Zapada cisza. Trzask wypalanego drewna rozdziera zasłonę spokoju. Za oknem pada śnieg. Bezgłośne upadki miliona śnieżynek. Mroźnie zaskrzypiały ślady na śniegu. Zostały… Nie przykrył ich puch milczenia. Zimowa etiuda na skrzypce.

Nie umiem grać na skrzypcach.

W rękach trzymasz książkę, tę którą lubisz najbardziej. Strony pożółkłe od czytania, zagięte rogi… Lubisz powroty. Odstawiona na chwilę, sama przerzuciła kartki i otworzyła się tam gdzie chciała… Jakaś czarno-biała ilustracja przypomniała czas, kiedy była czytana wspólnie. Czy trwanie można zatrzymać? Brakujące słowa wyrwane z tekstu uleciały z motylem i gdzieś umarły… jak motyl. *Piano…* Muzyczna czytanka na cztery ręce. Niedokończona, bo umarł motyl…

Fly away butterfly.

Na trawie róże, niczym nuty na pięciolinii tworzą kwiatową sonatę *a capriccio*. Widzisz? Płatki rozchylane porankiem układają pół-kwiatki i ćwierć-kwiatki... Rosa akcentuje dźwięki. *Staccato* otwiera różaną paradę nut. Dotykając pąk jednej, rozchylasz płatki drugiej, by w końcu muskając trzecią zakończyć wszystko przed zmierzchem… Kwiatowa gama niczym dywan królewski, czerwona, długa, ważna.... Uważaj, one mają kolce…

U mnie w ogrodzie są tylko czerwone róże.

Gdzieś w kominie zagubił się wiatr. Targa włosy ze zmartwienia, jęczy przerażony, boi się… Słyszysz jak płacze? Bezłzowe, suche łkanie, może lament…

Zaplątał się wiatr we flecie, jak w kominie. Opowiada jak ciemno, jak źle, jak smutno… *bocca chiusa.* Posłuchaj, do ciebie ta skarga…

Nie lubisz wiatru?

Cicho szemrze strumień w lesie. Obijając się o skalne występy rozbryzguje utopione smutki, wcześniej delikatnie zwalniając. Takie drobne *ritenuto* w przedtakcie ballady. *Crescendo* pozwoli wpłynąć do rzeki na wielki finał.

Błękitna rapsodia…

Nocą świerszcze do snu kołysankę ci grają, trochę altówki, harfy pajęczej, gdzieś może dzwoneczki… Śpij słodko, muzyka duszy zamknęła się w nocnej rosie, a klucz porzuciła w trawie… Nie bój się, odnajdziemy… Ona będzie trwać.

Przez zaciśnięte usta płynie śpiew. Bocca chiusa krzykliwej natury, której czas zacisnął wargi.

Nie ma kota - stary był, nie ma domu – stary był, nie ma komina – stary był, nie ma… Jest muzyka, która pozostała w śladach na śniegu, w suchej róży z pięciolinii, na pajęczej harfie, w strumieniu…w nas… Przytrzaśnięta odłożoną książką… niezamknięta… niezakurzona…

Może kiedyś, jak będą motyle, zagramy na cztery ręce?

Czarownica

Pokonując szczelnie zamknięte okiennice do izby wtargnął natarczywy dźwięk dzwonu z pobliskiego kościoła. Głęboki ton zabrzmiał echem brukowanych uliczek wpadając do każdego z domostw. Miasteczko budziło się do życia. Pomimo listopadowego chłodu, który ściskał kości niczym metalowe kleszcze, wśród szumu siąpiącego jeszcze deszczu i odgłosów dzwonu dobiegały kroki śpieszących się gdzieś ludzi. Mieszczki uchylały okiennice z głośnym trzaskiem uderzając o kamienne ściany. Otwierano bramy. Straż nocna opuszczała nocne posterunki, a zaczynający służbę halabardnicy nadzorowali przemarsz. Tak - już czas, już czas. Rytmiczny dźwięk potwierdzał poranne przebudzenie… Już czas.

Opornie otworzyłam oczy, ze trzy razy ziewając, naciągnęłam się leniwie. Nienawidzę porannego wstawania, upewniałam się po raz kolejny. Wzrokiem, jeszcze ślepym po nocy, omiotłam izbę szukając swojego ubioru. Ciemno było, bo okiennice dość szczelnie broniły dostępu światła, którego akurat w tym dniu też niewiele. Przysunęłam leniwie krzesło, na którym wisiał przyodziewek i ospale zaczęłam się ubierać. Szum deszczu za oknem raczej przysposabiał do dalszego snu, niż porannego wstawania. Włożyłam stosowną, ciemną szatę… Stosowną raczej do dzisiejszej pogody, a może i nastroju… Bo dzień nie zapowiadał się zbyt wesoły. A może?

Kiedy nadszedł czas modlitwy tłum ludzi zaczął iść w kierunku cmentarza. Wszelkie stany w nabożnym skupieniu podążały, aby wysłuchać mowy wielkiego brata kaznodziei. Bramy cmentarne otworzono zapewne dużo wcześniej. Wędrowni klerycy wpuszczali poszczególne grupy, udzielając niezbędnych wskazówek gdzie należy usiąść lub stanąć. Milkły rozmowy i wtrącane szeptem uwagi. Jedynie obok jakaś dama lamentowała przymuszona do nakrycia głowy. Przeżegnawszy się zajęłam miejsca przy okalających cmentarz galeriach. Wschodzący świt wolno oświetlał kolejne ich partie. Drgnęłam, ujrzawszy wymalowaną kostuchę i na wszelki wypadek przesunęłam się nieco do przodu stając za kolumną krypty jakiegoś dostojnika. Wszedł mistrz. Mówił głośno i wyraźnie. Słyszałam o karze, nagrodzie, sądzie ostatecznym i piekle. Dreszcz przeszedł mi po plecach. I choć siedział na podwyższeniu drewniana barierka, która odgradzała go od ludzi nie wytrzymała naporu tłumu pragnącego ucałować ręce i szaty świątobliwego męża. Runęła wraz z ludźmi. Dzwon wybił przedpołudnie, gdy brat opuścił podium. Ludzie zaczęli rozchodzić się do domów jeszcze pogrążeni w religijnej ekstazie.

Ospałe miasto nagle jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczynało gwałtownie żyć, nadrabiając kilkugodzinne opóźnienie. Kramarze otwierali stoiska, wytaczano wózki, drzwi karczmy znajomym skrzypem zachęcały do wstępu. Nieopodal rogatek halabardnicy godzili zwaśnione strony jakiejś bijatyki przy wtórze licznie zgromadzonych gapiów. Urzędnik sądownictwa ogłaszał wszem i wobec o południowej egzekucji, do której poczyniono już przygotowania. Nagle równocześnie z biciem katedralnych dzwonów obwieszczających miastu południe rozległ się głos trąb wzywających ludzi na rynek. Ciekawa i żądna wrażeń pospiesznie podążyłam w owym kierunku. Miejsca najbliżej podium były już pozajmowane. Przyglądałam się ludziom. Możni panowie w strojnych przyodziewkach, zakochani w barwach swoich dam. Jakże kolorowo było i bogato, wręcz niestosownie do sytuacji, która miała zaistnieć.

Wreszcie wśród skrzypu kół i wrzasku tłumu na rynek wtoczył się wielki drabiniasty wóz otoczony halabardnikami. Pośrodku, przymocowana łańcuchami do belkowania stałam… stałam ja. Byłam blada, rozczochrana, miotająca się wśród łańcuchów. Podarte szaty zwisały niczym łachmany. Rzucałam pogardliwe spojrzenia na tych, którzy wydali na mnie wyrok. Splunęłam w kierunku tłumów, demonstrując swoją wyższość i pogardę. Kiedy wóz zbliżył się do drewnianej sceny omiotłam wzrokiem ludzi i zatrzymałam spojrzenie…

Poczułam lekkie ukłucie w sercu. Dreszcz obawy przeszył moje ciało. Czarownica – szepnęłam. Jakaś dama stojąca obok mnie zaczęła przyglądać mi się podejrzliwie. Ludzie ucichli, gdy warkot bębnów zażądał spokoju. Sędzia odczytał oskarżenie: Czarownica - zginie spalona. Drgnęłam. W uszach brzmiało mi słowo – czarownica, czarownica…

Czterech strażników uwolniło mnie z łańcuchów i miotającą się powlekło na podium. Wiłam się w strachu, panice i złości. Kowalscy pachołkowie zręcznymi ruchami przymocowali okowy do młyńskiego koła, obłożonego wiązkami chrustu. Bębny zagrzmiały ponownie. Tłum ucichł na chwilę, by dać mi szansę ostatniego słowa. To spowodowało ponowny zgiełk. Na stos!!! - wołano. Ludzie zaczęli skandować i wymachiwać pięściami. Okuty szkarłatną opończą kat podszedł z rozpaloną pochodnią. Szmer uznania dla egzekucji poprzedził połączenie głowni z drewnem. Poczułam jak pali… Płomienie kąśliwymi językami smagały ciało, na którym szat dawno już nie było. Panicznym gestem zerwałam z szyi medalion z wygrawerowanym moim imieniem... Wypadł mi z dłoni między deskowania i zniknął. Ogień coraz bardziej pochłaniał ciało… Zaczęłam krzyczeć. Krzyk zagłuszyły dzwony z pobliskiej katedry ogłaszające miastu popołudnie.

Podniosłam rękę – była blada, na niej ślad. Sino - czerwony ślad po jakiejś bransoletce. Leżałam naga. W powietrzu unosił się zapach lekkiej spalenizny. Przez uchylone okno wdzierał się głos dzwonu z pobliskiego kościoła. Słychać było kroki śpieszących się gdzieś ludzi. W oddali przejechał samochód. Odsunęłam storę w sypialni. Dżdżysty poranek usposabiał jednak do dalszego snu. Spięłam podarty szlafrok agrafką, przeczesałam palcami rozwichrzone włosy i w przydeptanych kapciach poczłapałam do kuchni. Na stole leżał list. Różowa koperta dziwnie kusiła... Wzięłam do ręki i zaczęłam się przyglądać. Ciekawe. Nie było adresu, nie było nadawcy, nie było nic. Tylko ten dziwny zapach… Jednym ruchem rozerwałam bok koperty. Na podłogę coś spadło i zabrzęczało metalicznie. Przedmiot potoczył się pod szafkę. Schyliłam się, aby go wydostać. Nie sięgałam. Spod szafki widać było jedynie blask medalionu. W kuchni zaczął unosić się coraz mocniejszy zapach spalenizny, a dziwny niepokój ogarnął całe mieszkanie… Już czas, już czas…

Jednorazowa łza

Wybiegła. Umknęła. Sama wypadła. Mimo zaciśniętych powiek, mimo rozrzewnienia… A ja? Ja nie mogłam jej schwytać. Zakręciła się tak szybko, zawirowała i pomknęła z prędkością światła. Krzyknęłam: gdzie idziesz? a ona nic i nic, leciała. Pognała przed siebie. I jeszcze wołała inne, by poszły z nią… Podła łza, niezdyscyplinowana. Ukarzę ją. Jak mogła tak bez mojej wiedzy sama wypaść mi z oka? Jak mogła? Nie zdążyłam jej ubrać, nie zdążyłam okiełznać. Nie pozwoliła mi. A takie szaty jej przygotowałam. Chciałam okryć obojętnością, nauczyć wyczekiwania, chciałam wyszlifować zaostrzony kant łzawego wzruszenia… A ona, ona sama zdecydowała, kiedy i jak... Nie powinna tak bez mojej zgody. To była moja łza. Złapana nawet się nie tłumaczyła. Po prostu wsiąkła w chusteczkę… Zmiętam ją więc i wyrzuciłam do śmieci… Bo to taka jednorazowa łza…

I dlatego, że bóg przestał dla mnie być bogiem, że niebo nie jest już niebem, a piekło piekłem jest bądź nie, moja łza, samotna łza, pozostała naga. Obnażona sentymentem, wprost obdarta z szat hipokryzji, nieokiełznana, zieje nagością. Akt woli niepohamowany dłonią, emocjonalny striptiz duszy…

Zamknięto powiekę dla rewii łez, a samotną zepchnięto w piekielną otchłań za samowolę…

Piekło dla niej jest zimne… Piekło dla niej jest ciemne… I choć żalem poczęta, piekło jej nie zasmuci… Bo nie ma ciemności, gdy bóg zapala i gasi lampy… Bo nie jest zimno, choć wygasło palenisko dusz zalane łzami… A może i też dlatego, że te łzy są tylko jednorazowe? A melancholia? Tak naprawdę, to chyba tylko ta pierwsza łza jest smutna…

Dusza moja zapłakała. Oko zawilgotniało. Zęby zagryzły wargi. Dłonie zacisnęły się w pięść. Mój rozum mnie nie słucha… Ogłuchł od krzyku rzeczywistości. Ale dusza mi wierzy… Ona nie zamknęła oczu… To, co przeminęło, odeszło milcząc, bezgłośnie… Usta jeszcze drżą od wczorajszej poezji… Nie ma ciszy, gdy coś przemija… Mrok rozrzedza gasnące światło… Zaświeciłam lampę, by w świetle płomienia widać było drogę powrotu, chodź wiem, że i tak powrotu nie ma. Rozżarzyłam chwilę, by samotna łza zawisła na niej i zastygła nie opadając z żalu… Zapaliłam życie, by nadal istniało, chodź z niepokornym wnętrzem… Dodałam oliwy, by lampa dłużej żyła… Osłoniłam kloszem cenne życie…

W dłoniach tlące języki całują palce, przeciekając cieniem padają na ścianę, na okno, na drzewo… Uciekają przed mokrą łzą… Trwanie… Potem cisza… Normalna, jak zawsze… Ale czy chcemy tej ciszy?

Zatrzepotały powieki. Naga łza zrodzona w rozpaczy, spłynęła po kamiennej twarzy… Na policzku zaznaczyła drogę swojej śmierci… Wyryła bruzdę rozpaczy… Spadała w niepamięć… Zapomniała o jednorazowej chusteczce. Zapomniała o pierwszej łzie… Zapomniała o wstydzie… Dusza łkając rozchyliła powieki, łzom otworzyła drzwi lampy, za rękę poprowadziła do światła. Zanim ucichła, wyschła…

W okno drzewo zapukało. Zgrabiałe palce trzymały korale z jarzębiny. Zmurszały pień pochylił czoło nad fajansem lampy, kształtem przypominającej kobietę… Świeciła życiem, dłonie całowały istnienie… Ktoś kiedyś zapalił w niej płomień… Pokłon szacunku wieku - antyczna lampa i stare drzewo… Kiedyś nie będzie już lampy na stole, kiedyś nie będzie już drzewa… Tylko cisza zaśpiewa w gałęziach wiatrem schylanych w kierunku okna ze starą lampą… Tylko płomień zgaszony przemijaniem pochyli się na fotografii… Tylko korale z jarzębiny, jak łzy jednorazowe, codziennie jedna, zgubiona, nawleczone na nić przypominają różaniec. Uschnięte, zawieszone na szybie, zamknęły w sobie czas, kiedy człowiek naprawdę potrafił płakać…

Krzyk (wariacja na temat ślepców)

Zamknij oczy, ściśnij mocno powieki, tak mocno jakby stanowiło to siłę, z jaką się połączą, ta górna z tą dolną… A kiedy będziesz je chciał potem otworzyć, już się nie dadzą... Otoczy cię ciemność taka jaka do tej pory panowała tylko głęboką nocą, kiedy księżyc chował się za chmurami, a światła lamp dawno powygasały, albo ty chowałeś się pod kołdrą, gdy strach za plecami szeptał słowa pocieszenia. Staraj się potem poruszać. Idź przed siebie tam, gdzie myślisz, że jest przed tobą, tam gdzie myślisz, że twoja droga prowadzi, tam gdzie myślisz, że dojdziesz… Kierunek wyznaczy ci zapach. Będzie nęcił i pociągał za nozdrza niczym pies na smyczy. A głos, za którym będziesz chciał iść stanie się zbawieniem…

*Bo idziemy nie tylko przed siebie, ale także w tę i we w tę, i nie tylko naprzód, ale również z powrotem albo w kółko.**

Stąpaj uważnie, bo każda najmniejsza przeszkoda stanowi barierę, a wszelkie nieudolne jej ominięcie powoduje upadki bolesne wpierw dla ciała, z czasem i dla duszy… Tylko to, na ile twoje ciało jest twarde, a psychika odporna na porażki pozwoli ci wstać i iść dalej… Będziesz kręcił się w kółko, jak na karuzeli, nie wiedząc czy jest dzień czy noc, zawieszony niczym marionetka na linie, poruszany przez każdego, kto pojawi się, no i przez samego siebie… Noc połączy się z dniem i stanowić będzie jedność. Twoja droga stanie się drogą bez celu, a dom, w którym żyłeś pozostanie opuszczony. Zamieszkasz sam ze sobą w sobie i jak ślimak poniesiesz siebie, przed siebie. Zamknij oczy, ściśnij mocno powieki…

*Myślimy sobie: tak, to chyba noc, ta prawdziwa nie tylko ta druga. I mamy nadzieję, że nikt nie przyjdzie rozmawiać z nami o gwiazdach.**

Ludzie będą od ciebie stronić. Brzydota ciała, być może inność spowoduje wyobcowanie. Śmiesznością twoją bawić się będą inni, niczym piłką raz do siebie, raz od siebie rzucając. Inni, a przecież to ty będziesz inny… Znienawidzisz siebie, choć siebie kochać musisz. Twoje ciało przestanie być ciałem, bo nie zobaczysz czy masz w ogóle jakieś ciało. Tylko ból nie pozwoli zapomnieć o jego bytności. Oczy twoje przestaną widzieć, a otworzą się dłonie. Będziesz bogatszy od innych, choć jednak jakże biedny. To, co stracisz podwójnie zyskasz dziesięciokrotnie. Zobaczysz to, czego nie widzą inni, nie kształty rzeczy, ale ich ciepło i własne piękno. Dłonie staną się twoimi oczami… Będziesz nimi żył, z nich czerpał wiedzę i nimi utrwalał życie. Zamknij oczy, ściśnij mocno powieki…

*…prawdopodobnie lepiej jest żyć, przeżyć niż utrwalać życie.**

Twoje wnętrze będzie krzyczeć drżąc z przerażenia. Staniesz się biednym ślepcem bez wyraźnego przejawu uczuć, bo pozbawionym możliwości ich wyrażania. Zostały wydłubane, zaklejone lub nigdy się nie otworzyły. Dusza pozostanie własną, a emocje nie znajdą upustu zewnętrznego. Nikt więcej nie dowie się, co czujesz i jak czujesz. Będziesz płakał do środka… Łzy pozostaną suche, by nie utopić w smutku wszystkich radości. Świat, który sobie stworzysz zamknie cię samego ze sobą. Krzyk rozpaczy, bo będzie już za późno na coś innego, wpierw będzie długo błąkał się po twoim ciele zanim znajdzie furtkę, którą się wymknie. I jeszcze pozostawi ją niedomkniętą… Z krzyku nie zostanie nic. Rozrzedzony mgłą z łąki, na której wydeptałeś trawę, utopiony w stawie, do którego zmierzasz, by wylać z siebie swoje łzy, uleciały z wiatrem, który jeszcze wie, dokąd powinien lecieć. Tylko grymas na woskowej twarzy zastanowi na chwilę, czy to był krzyk czy może uśmiech… Tylko życie namaluje na obliczu te emocje, jakie samo ci podaruje …

*A chcąc namalować krzyk, czyli przerażenie, namaluje to, co jest z niego widoczne.**

Pozostaniesz samotny wśród ludzi. I tylko tacy jak ty pozostaną twoimi przyjaciółmi, i tylko z nimi będziesz stanowić jedność, choć jakże złożoną… Jednostkowo stworzycie całość, a liczba mnoga stanowić będzie pojedynczą. Myśleć, czuć i pragnąć będziesz tak samo jak

oni. Oni też będą płakać do środka, ponieważ ślepy los zamknął drogę ich łez… Nie mając oczu nie mają okien, przez które ludzie zwykli podglądać wnętrze. A ich myśli jak i twoje pozostaną waszymi… Idąc przed siebie wspólnie będziecie upadać na przeszkodach, które ktoś przed wami położy. Nigdy nie będziecie wiedzieć czy cel został osiągnięty, bo ziemia jest za duża dla tych, którzy są inni…

*Ziemia Boża, bowiem, która dla wszystkich jest nieskończona, dla nas jest jeszcze o wiele większa.**

Zamknij oczy, ściśnij mocno powieki…To dopiero pozwoli zrozumieć ci, jakie jest życie i jacy są w nim ludzie…

*A krzyk, czym jest krzyk?**

Tylko grymasem zaplątanym w pędzel malarza, po to tylko, by zaznaczyć swoje istnienie...

* Gert Hofmann, „Upadek ślepców”, PIW, Warszawa 2005

Perpetuum mobile

Jeszcze półmrok roztaczał się dookoła i gdzieniegdzie słychać było ciche cykania świerszczy. Słońce powoli zaczynało wyłaniać się spoza chmur, choć jeszcze nie miało na tyle sił, by wstać tak wcześnie. Z trawy wyglądały wystraszone oczy rosy, przerażone, że niedługo zginą... Cisza, jaka panowała, była pozorna. Jeszcze chwila i wszystko zacznie tętnić swoim życiem obudzonym pierwszym dotknięciem promyka. Nad drzewami niebo przechodziło metamorfozę barw. Panujący dookoła nastrój stanowił doskonałe tło dla horroru. Sceneria z odgłosami wziętymi wprost z filmu wzmacniała emocje doprowadzając moje serce do szybszego bicia, a umysł do obłędu. Wyobraźnia pracowała na wzmożonych obrotach.

Mimo wczesnej pory ubrana byłam tylko w letnią sukienkę, nieco już zwilgotniałą, na nogach sandały z rzemieniem obwiązującym łydkę, który odcisnął mocny ślad wrzynając się nie tylko w skórę, ale jakby i w moje życie. Tak odziana miałam wejść tam i znaleźć tam. Tam, gdzie kierowało mnie pragnienie…

Podążałam w nieznanym mi kierunku. Jakaś podświadomość czy sama żądza prowadziła mnie za rękę. Posuwałam się szybko, raz po raz zerkając do tyłu, by upewnić się czy nikt za mną nie idzie. Czasami wydawało mi się, że słyszę za sobą czyjś oddech, czułam obecność. Chyba nie byłam sama… Przyspieszyłam kroku by zostawić w tyle to coś, co siedziało mi na plecach. Sama siebie uspokajałam wmawiając sobie wyobrażenie. Ale przecież było tak wcześnie…

Kiedy słońce w pełni wyłoniło swoją twarz stanęłam przed wysokim parkanem. Wzrokiem omiotłam bluszcz, który oplatał płot tak szczelnie, jak szalik szyję zimowego dnia. Pędy wiły się martwo osłaniając nagość ogrodzenia. Nie wiedząc gdzie, po omacku zaczęłam szukać furtki lub innego wejścia. Wiedziałam tylko, że mam tam wejść, cały czas czułam, że muszę…

Znalazłam. Zardzewiała furtka ze starą klamką. Nacisnęłam mocno. Nie drgnęła. Zaparłam się by otworzyć to żelastwo. Szarpałam zupełnie zapominając o tym, że potrzebny jest klucz. Po chwili odsunęłam się na pewną odległość, by spokojnie ocenić wysokość płotu, jakby przymierzając się do zupełnie innego rodzaju wejścia. Nagle promyk słońca położył się na trawie. Coś błysnęło. Schyliłam się i podniosłam. W ręku trzymałam kluczyk, błyszczący, taki śliczny jak nowy. Zupełnie nie pasował do tej furtki, gdzie rdza kapała niczym biżuteria z szyi, a klamka była pochylona ze starości. Jednak nie namyślając się wiele wsadziłam, pasował, delikatnie przekręciłam…

Biegłam przed siebie ścieżką, jedyną w tym ogrodzie, raz po raz potykając się o wystające kamienie. Ciekawe, czy ktoś tutaj już był przede mną? Pajęczyny łączące paprocie stanowiły naturalną przeszkodę, która była dla mnie obrzydzeniem… Nie znoszę pająków. Tutaj musiałam zamknąć oczy i rękami zrywać siatkę. W sumie nic nie musiałam, chciałam. Czasami wystający konar podstawiał mi nogę i od czasu do czasu mogłam posłuchać z bliska bicia serca ziemi. Nie zniechęciło mnie to. Uroki tego skrytego ogrodu były mocniejsze, a zakamarki, których jeszcze nie znałam zionęły tajemniczością. Było to jak czasowe perpetuum mobile, gdzie czas pozostawał w ciągłym ruchu dookoła mnie. Rytmiczny krok wystukiwał minuty tak monotonnie jak antyczny zegar na ścianie, jednak dawał mi czas na kontemplację w tym urzekającym miejscu. Dziwne, że nie było słychać bicia godzin…

Nogi powoli zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa. Powłóczyłam nimi po murawie. Coraz częściej przystawałam. Opierałam się o drzewa, żeby złapać odrobinę powietrza. Kiedy odzyskiwałam siły, dalej podążałam do celu, choć w sumie nie do końca wiadomego. Jedyne co wiedziałam, to to, że zatrzymałam siebie w czasie. A może nie? A może to ja byłam jak perpetuum mobile, a czas dla mnie stanął? A jednak szłam dalej…

Nagle droga zaczęła się dziwnie zwężać i zrobiła się kręta. Drzewa gałęziami łapały mnie za włosy jakby chciały zatrzymać. Pająki szybko naprawiały zerwane pajęczyny zamykając drogę powrotu. Konary wystawiały kolana utrudniając ucieczkę. Potargana, bez grama szminki na ustach dobiegłam wreszcie do końca ogrodu…

Stanęłam przy parkanie. Zupełnie takim samym jak przy wejściu. Bluszcz dalej wił się wokół niego. Nie widać było wejścia. Wzrokiem omiotłam trawę. Wiedziałam teraz, czego mam szukać. Ostatnie promienie słońca posłużyły za latarnię. Bezskutecznie. Zaczęło się ściemniać. W panice i rozpaczy zrywałam palcami bluszcz rzucając go na murawę, nie patrzyłam na to, że niszczę to, co było pięknem, tajemniczością. Poszukiwałam przecież furtki.

Osunęłam się powoli wzdłuż płotu. Siadłam na ziemi i wyrwałam kępkę trawy. Rozrzuciłam dookoła z wielkim krzykiem, skargą w przestrzeń na to, że nic nie mogę zrobić. Skończyła się moja droga? To, do czego dążyłam było zamknięte, zapanował zmrok. Ciemność otuliła wszystkie drzewa kołysząc je do snu delikatnym wietrzykiem. Leżałam na trawie zmęczona i zrozpaczona… Włosy rozrzucone dookoła stanowiły lustrzane odbicie księżyca, który właśnie wyszedł na codzienny spacer. Dłonie zasypiając trzymały resztki trawy, a źdźbła wychodziły pomiędzy palcami. Przy prawej ręce coś leżało…

Furtka cicho zaskrzypiała jakby ze strachu, by nikogo nie obudzić. Klamka schyliła czoło i na chwilę błysnęła metalicznie. Przedmiot leżący w trawie zaświecił się, po czym znikł… Perpetuum mobile zatrzymało się…

Zamknęłam książkę. Ściśnięte kartki jękły żałośnie. Na stole stała kawa, już zimna… Niedopita… W popielniczce dogasał papieros… Chyba zaczynało świtać. Popatrzyłam w okno. Biegła dziewczyna w zwiewnej sukience, biegła szybko jakby przerażona, raz po raz oglądając się za siebie. Popatrzyłam na zegar i ponownie wzrok skierowałam do okna. Nie było jej. Tylko na pobliskim drzewie kosmyk blond włosów tańczył perpetuum mobile do wietrznej muzyki, tylko słońce za chmurami robiło poranny rozświetlający makijaż…

Śpij, Mirabelle

„Dzieło miłości, miłości do Paryża, miłości do Mirabelle”

- William Wharton

Takie chwile nie mają wstępu. Zwykle są początkiem końca, choć koniec ich rozpoczyna trwanie tego, co umrze szybciej niż się tak naprawdę zacznie. I chociaż początek zazwyczaj radosny to zakończenie tego bywa smutne, bo postawienie kropki za jednym z nawiasów życia jest zamknięciem jakiegoś zdania w opowiadaniu o nim. Takie momenty nie inspirowane niczym i nikim bywają spontaniczne i mimo swej krótkodystansowości nie zasługują na miano chwilowej dziwki. Brak w nich bowiem typowego wyuzdania i kupiectwa, a niewinność z jaką tryskają pozostawia cnotliwy posmak. I chociaż zawsze ulatują w chwili, gdy zasypiamy zmęczeni tymże szczęściem, to jednak warte są pamiętania. Pomnożone sekundy tworzą minuty, zwielokrotnione godziny - dni, potem tylko tygodnie, miesiące… A potem? Nieskończoność to tylko falująca kreska…

Nie pamiętam ani daty, ani godziny, ani chwili… Tylko te momenty. Jakieś ptaki z puchem pisklęcym unoszące się nad placem Furstenberg jakby zwiastowały nadchodzący nowy dzień, dzisiaj chyba słoneczny. Sekwana przesunęła szal z wody, kiedy przejechał *bateau-mouche*, nastroszyła włosy, potem przeczesując z gładka na prawo oparła się o wybrzeże. Malarze niewzruszenie łaskotali swe płócienne kobiety szczeciniastym pędzlem. Gdzieś dobiegał nierówny dźwięk katarynki. Zaskrzypiały drewniane okiennice, kiedy jakaś kobieta chciała do domu wpuścić promyk porannego słońca. Nad głowami spacerujących ludzi przeleciało stado gołębi. Dzwony z pobliskiego Saint-Germain-des-Prés przesunęły wskazówkę zegara.

Kiedy biegałem dookoła słupa, w kółko, żeby zobaczyć niebo jak z karuzeli, obłoki ułożyły mi się w portret Mirabelle. Ptaki, które rano przeleciały nad nadbrzeżem teraz tańczyły obok niej roztrzepując po placu swoje pióra, a te niczym płatki śniegu, kołysząc się z lekka opadały na betonowy chodnik. Cicho i bezszelestnie. Zupełnie jak moje uczucia. Widziałem jak były z nią blisko. I te ptaki, i te uczucia… Zatrzepotały. Rzęsy rozgoniły poranne promyki słońca, które czochrały jej oczy. Oczy nie oczy, lusterka, fotografie… Jakieś myśli patrzące… Lekko spłoszone ptactwo rozpierzchło się po niebie i zamarło na nim w gwiezdnej konstelacji. Czas przepłynął obok twarzy chmurą, rzucając cień, którego nie dostrzegła. Nie zobaczyła… Nie widziała… I może dobrze, gdyż przesunął się tak szybko, że sam nie zauważyłem, kiedy zbliżył się w kierunku zachodu. Dostrzegłem łzę. Może jakiś malarz zbyt energicznie strzepnął pędzel? Trzymałem się słupa oburącz i powoli opuszczałem na ziemię. W końcu przysiadłem, dalej trzymając metalową powierzchnię. Nie widziałem, kiedy uliczna latarnia rozbłysła własnym światłem.

Jacques, powiedz… Powiedz, dlaczego ten czas płynie szybciej niż chmury wietrznego dnia. Boję się. Boję się, że kiedyś się obudzimy i zobaczymy, że na tym niebie, na naszym niebie nie ma chmur. Nagle się skończą. Nie będzie wtedy nas? Co zrobimy Jacques? Czy nasze niebo to to, co widzimy nad sobą jak leżymy? Zachowaj dla mnie jego kawałek. Proszę. Podasz mi go na talerzyku jak porannego croissanta. I tylko ta żółta gruszka pozostanie na wieki utopiona w szklanej karafce na drewnianym stole…

Spojrzałem na pobliski posąg Diderota. On też zamarł wpatrzony w gwiezdne gołębie, które teraz świeciły na wieczornym niebie. Patrzył na nie chyba zupełnie tak samo jak ja. Jakiś malarz oparł o jego stopy niedokończony obraz. Kobieta w czerwieni z

gołębiem na dłoni. Brakowało twarzy. Brudne pędzle spakowane w plastikowy worek mają poczekać do jutra. Twarz kobiety chyba też.

Z mieszkania na piętrze dobiegł dźwięk klawesynu. Preludium Bacha deszczem zapłakało nad pobliskim placem rozmywając tajemniczą postać z obrazu. Wśród mokrych pocałunków poczułem na dłoni lekki dotyk motyla. Zupełnie dziwne uczucie. Tym bardziej, że nocą tylko ćmy usiłują popełnić samobójstwo w pobliskiej kawiarence i to jeszcze na oczach zakochanej pary. Jak mgła, która strzepywała pyłek z pręciku kwiatowego spadały na moją rękę resztki delikatności bibułkowego owada. Wszystko było ponad mną, ponad normalnością człowieka. Bałem się, iż każde moje drgnięcie zabije to uczucie, uczucie z jakim motyl przenikał moje ciało. Tylko Mirabelle potrafiła tak całować rzęsami…

Pocałowałaś mnie wtedy jakoś inaczej, jakbyś wiedziałaś, że będzie to pożegnanie? Uśmiechnęłaś się i wtuliłaś w moje ciało. Trzymałem cię mocno. Tylko w ten sposób mogłem zatrzymać taką tajemnicę i strzec, choć wiedziałem dobrze, że wtedy trudno utrzymać przy życiu miłość.

Kiedy zamilkłaś, poczułem się ślepy. Wieża Saint-Germain-des-Prés zamknęła na wieki moje uczucie. Niczego nie mogłem wymusić, zwłaszcza tego, co dotyczyło miłości i śmierci. Te kobiety nigdy nie odrzucają. Pierwsza prawdziwa miota w bezwstydnym szale pożądania zamykając drzwi rozsądku, włącza w siebie wszystko, druga obłapia nie zważając na protesty, przydusza ułomność. Nie płacz gołębiu nad uśpionym sercem. Teraz samotne, zaklęte w kościelnym dzwonie ogłasza światu rytmicznie czas bezwzględności. Wszystko ma swoje miejsce i swój czas. Mój zegarek spóźnił się o pół wieku. A mój fotel został obrócony do tyłu i położono na nim kartkę z napisem *zarezerwowano*.

Paryż zawsze uśmiecha się porankiem. Słychać jak z trzaskiem opadają na ziemię poranne brukowe wiadomości. Ktoś pospiesznie biegnie. Malarze dalej bezwstydnie rozkładają nogi sztalugom. Tylko Sekwana jakby dzisiaj nadzwyczaj spokojna. I te gołębie… Śpij, Mirabelle.

A wiesz, dzisiaj dzwony jakby biły trochę później…

Tipsy

Ośmielam się stwierdzić, że jest Pani czarującą Kobietą!

Na klawiaturę upadł tips i odskakując od klawisza „enter” zsunął się na podłogę. Zawsze wydawało mi się, że „enter” jest za bardzo wciśnięty w klawiaturę. Poszło - pomyślałam. Cholera, poszło! Drogo kosztuje mnie wysłanie tego zasranego maila.

- Ale lakoniczna odpowiedź! I to od poetki? Przecież kobieta o takiej wrażliwości i wyobraźni z pewnością jest lekko zaintrygowana…

Jak kupuję w Quellu paczkę-niespodziankę to wtedy jestem zaintrygowana. No a potem wściekła, bo to faktycznie jest niespodzianka. Jest to 1359. mail, który otworzyłam, a następne trzy pchają mi się na pocztę tak, że mój program antywirusowy woła o autoszczepionkę. Dobijają się w poczekalni na zasadzie wpuść mnie, wpuść mnie…

- Oczywiście jestem facetem. Z równie oczywistych względów wolę pozostać anonimowy. Wyjaśniam: adres mailowy znalazłem tutaj, trochę twórczości tutaj, no i czasem zerkam na Panią tutaj. Proste - prawda? Spóźnione życzenia z okazji Dnia Kobiet!

Proste? Głupie chyba. Nerwowo usiłuję wydobyć dwucentymetrowy paznokieć, który przed chwilą podniosłam z podłogi i przy ponownym naklejaniu odpadł mi znowu na klawiaturę i leży obecnie za przyciskiem spacji. Teraz cokolwiek napiszę ma wielkie przerwy i akapity, bo lewą ręką przytrzymuję ten nieszczęsny przycisk, a prawym wskazującym, tym pozbawionym paznokcia, usiłuję wydobyć drogi plastik.

- No niezupełnie. Wygląda na to, że czyta Pan moja prozę (zdziwił mnie zatem fakt nazwania mnie poetką). I do tego podgląda mnie Pan! Czy zaintrygowana? Nie, raczej nie... Zdziwiona. Takie maile nie należą bowiem do codzienności. Podziwiam za odwagę!!!

No wreszcie. Przeźroczysta końcówka z mojego paznokcia wydostała się na zewnątrz. Trochę wyglądała jakby wyszła spod cyrkularki, ale pomyślałam o jej lekkiej reanimacji. Prozak. Tak, to świetna nazwa dla tego sentymentalnego podglądacza, szczególnie o samozwańczym imieniu Nemo. Kurczę, gdzie ja położyłam ten pilniczek drobnoziarnisty. Jak go nie znajdę to trzeba będzie resztę paznokci poobgryzać żeby w miarę równo to wyglądało.

- Pisząc „poetka” raczej miałem na myśli „duszę”, a nie rodzaj uprawianej, (co za słowo) twórczości. Stronę oglądam, żeby sobie popatrzeć na... Panią. Najbardziej oczywista jest chyba anonimowość. Najchętniej zaprosiłbym Panią na kawę, ale się lękam. Wobec powyższego przysługuje mi, co najwyżej, status cichego wielbiciela.

No tak. Jeszcze do tego wszystkiego potrzebny jest mi teraz Prozak–Kozak. Przegrzebałam całą szufladę, żeby znaleźć nieszczęsny przybornik. Wiadomo bowiem, że tylko wysoce inteligentne kobiety miewają estetyczny bałagan zarówno na biurku jak i w torebce. No i oczywiście jest, i ten bałagan, no i ten pilniczek. Ale nie ten tylko tamten, a tamtego nie chcę bo chciałam ten, a tego nie ma, bo nie pamiętam, gdzie go położyłam.

- Słowo poeta czy poetka źle mi się kojarzy. W dzisiejszych czasach jest to jedynie tytuł samozwańczy. Zawsze zastanawiam się, kiedy zostaje się poetą?

Cały czas patrzyłam na oderwany paznokieć, który martwy, o jakże martwy i biały leżał teraz przede mną na szklanym biurku. Taki biedny, nic nie znaczący paznokieć, zupełnie teraz nie przydatny nikomu. I taka chwila, chwila nieuwagi pozbawiła go życia, miejsca zamieszkania (stałego). Wszystko przez ten głupi „enter”.

- Podoba mi się Pani. Kiedy ujrzałem Panią na żywo, coś mnie piknęło i postanowiłem ustalić - z czystej ciekawości - kim Pani jest? W google'u wyskoczył mi adres mailowy, więc napisałem (a co mi szkodzi?).

Kiedy leżał tak blady, aż przezroczysty zrobiło mi się go żal. A właściwie z racji własnego egoizmu to siebie żal. Wystukałam numer konta, hasło i weszłam na polisę

ubezpieczeniową. No tak, niestety nie należy mi się odszkodowanie. Nie przewidziano w ubezpieczeniu takiego uszczerbku na zdrowiu jak odpryśnięty tips. Co innego, gdyby mi palce urwało w jakiejś pralce wirnikowej, albo zmielił je mikser na wysokich obrotach.

- Kiedy na żywo? W jakich okolicznościach?

- Proszę się nie gniewać, ale - przynajmniej na razie - nie powiem gdzie, bo najzwyczajniej w świecie mogłoby mnie to (troszkę) zdekonspirować i ułatwić Pani rozszyfrowanie tajemniczego, cichego wielbiciela. Na razie muszę być anonimowy tak jak bohater J.Verne'a.

Wpadłam na genialny pomysł. Zrobiłam sobie filiżankę dobrej kawy, z cynamonem i usiadłam luzacko w fotelu. Byliśmy we dwoje. On i ja. Znaczy mój tips i ja. Patrzyłam raz na niego, raz na palce, raz na niego, raz na palce i obmyślałam plan działania. Niczego nie musiałam. Moje zmagania skierowane były wyłącznie w stronę estetyki powierzchni płaskiej drugiego palce prawej ręki.

- Zaiste dzisiejszy dzień jest paskudny! A jeszcze denerwuje mnie moja poczta - znowu piszę 2. raz to samo, bo coś szwankuje... Jestem właśnie po lekturze. Przez chwilę poczułem się jakbym był w Paryżu... Znowu roznosił się zapach maleńkiej kawiarenki w Quartier Latin. Kawa z croissantami... Przypomniałem sobie miłe (wprawdzie krótkie) chwile, które tam spędziłem. Chciałbym być jeszcze raz na Avenue des Champs-Élysées. Chciałbym też być po uszy zakochanym.. O ile dobrze pamiętam to takie sympatyczne uczucie. Często za nim tęsknię. I za Paryżem oczywiście też! Gratuluję lekkości pióra. Chapeau bas!

Usiłowałam teraz wycisnąć z zaschniętej i skurczonej tubki kleju „Kropelka", kropelkę. Nie sądziłam, że na małą trzycentymetrową tubkę potrzeba włożyć cały zapas zgromadzonej przez dzień energii. Najpierw sądząc, iż wyjdzie po dobroci subtelnie ścisnęłam ją w dwóch palcach. Nic. Na czubeczku nie pojawiła się ani odrobinka. Wtedy położyłam ją na biurko i docisnęłam do niego kciukiem. Dalej nic. Ale kiedy chciałam ów kciuk oderwać od tubki żeby zmienić taktykę działania wtedy jakby się trochę już nie dało. Wyglądało na to, że klej z boku zrobił sobie szczelinę i kropelka związała się z moim kciukiem na stałe. Byłam przerażona!!!

- Uwielbiam Paryż! Obok Rzymu to chyba jedno z miejsc, gdzie chętnie przeniósłbym się na stałe... Najlepiej kochać Paryż i zakochać się (w kimś oczywiście) w Paryżu... Nie do wiary, że Pani pisze: ja to raczej chyba już nie te czasy miłosnych uniesień, nie ten wiek, nie ten status... Na miłość nigdy nie jest za późno. Śmiem przypuszczać, że będąc zakochaną pisałaby Pani jeszcze piękniej... Ach, ten Paryż... Można się rozmarzyć....

Wyciągnęłam z apteczki całą apteczkę. Wszystkie buteleczki, jakie mogły być przydatne w ratowaniu mojego palca stały teraz w szeregu na kuchennym stole. Najpierw spróbowałam siłą oderwać tubkę, ale wydawało się, że opakowanie zaczyna wyglądać trochę zbyt podobnie do mojej skóry. Nic nie czułam. Nawet nie bolało. Trochę oderwałam, ale tylko trochę. Poszukałam spirytusu. Lewą ręką trzymałam buteleczkę, którą odkręciłam zębami, a następnie polałam zawartością po palcu. I nic. Dalej było tak samo. Nie bawiłam się już w estetyczne zakręcanie korka, ale nachyliłam się nad następną, tym razem z benzyną. Ją również potraktowałam zębami. Lewą ręką ponownie chwyciłam butelkę i wylałam na złączony palec i tubkę… Trochę jakby popuściło. Jeszcze lekkie szarpnięcie i byłam wolna.

- Jeśli na spokojnie się nad tym zastanowić to należałoby stwierdzić, że chciałem (chcę) Panią uwieść (nie napiszę przecież, że poderwać). Pomysł lekko szalony, ale może czasem warto. Tylko tyle, i aż tyle... Może jestem lekko szalony, ale na pewno nie niebezpieczny!

Na moim palcu pysznił się teraz świeżo przyklejony tips. Jeszcze 15 minut i zwiąże się z podłożem na stałe. Tak przynajmniej zapewnia producent. Patrzę na zegarek, żeby ani minuty mniej. Kiedy wskazówka mija piętnastą minutę oddycham głęboko, prostuję się w fotelu i podnoszę dłoń ze złączonymi palcami. Tak, nareszcie jest… Jeszcze tylko odrobina

lakieru… Sięgam dłonią po stojący obok korektor i jednym pociągnięciem pędzelka maluję na końcu paznokcia jednolitą kreskę. No, teraz zupełnie francuski….

- Dopiero, co napisałem o swojej zasadzie odpisywania na maile, a już ją muszę złamać bo jestem zaniepokojony:

1. albo nie dostała Pani mojego maila z godz. 00:36,

2. albo to Pani postanowiła przystopować,

3. albo ma mnie Pani dość,

4. albo po prostu nie ma Pani dla mnie dziś czasu..... Wolałbym wiedzieć, która wersja jest prawdziwa. Naprawdę jakoś pusto zrobiło się bez Pani.... Pozdrawiam, oczekuję w niepewności na kolejny list!

Poczułam, że kilkugodzinne zmagania z tipsem osiągnęły swój punkt kulminacyjny. Nawet teraz „enter” przestał się tak wciskać w tę klawiaturę. Położyłam dłoń przed sobą i pyszniłam się widokiem sfałszowanego paznokcia. Niby oryginalny a jaki sztuczny, niby naturalny, a plastikowy, niby trwały, a odpada. I ta wieczysta gwarancja. Teraz znowu położony na swoim miejscu, równy w rzędzie, nawet nie odstaje. Ale postanowiłam, postanowiłam, że następnym razem „enter” zastąpię lewym klawiszem myszki.

Elżbieta Plewa, Nowy Targ

Dopóki los nam pozwoli...

Zmęczenie tak dawało mu się we znaki, że zupełnie nie zwracał uwagi na mijany krajobraz. Zielone wzgórze usłane mnóstwem kolorowych kwiatków, dołem z cichym pluskiem płynąca rzeka, wzdłuż jej brzegu, rząd malowniczych willi, zbudowanych wg kanonów nowoczesnej architektury. Po drugiej stronie drogi, rozciągały się daleko gaje cytrusowe.

Było skwarne południe. Nawet najmniejszy powiew wiatru nie chłodził nieznośnego upału. W cieniu drzew odpoczywali spaleni słońcem pracownicy.

Razem z przyjacielem, do którego domu właśnie zmierzał, kontynuując tradycje rodzinne, ukończyli studia historyczne, by następnie poświecić się archeologii.

Już niedaleko - pocieszył się, wściekły na siebie, że zamiast wynająć w mieście samochód i wygodnie przed upałem dotrzeć na miejsce, zdecydował się na samotną pieszą wędrówkę.

Marco podczas generalnego remontu rodzinnego domu znalazł schowek, a w nim kasetkę z tekowego drzewa, w której znajdowały się dziwne przedmioty. Mogły mieć powiązanie z ukrywanym od wielu lat tajemniczym zdarzeniem w jego rodzinie. Swoim odkryciem zainteresował Juliusza, który powiadomił go, że w bliskim ich sąsiedztwie mieszka wiekowy staruszek, który może coś wiedzieć, lub nawet pamiętać czasy świetności jego rodu.

Za zakrętem ukazała się posiadłość do której zmierzał. Serdecznie witany przez przyjaciół, po krótkim odpoczynku, rozlokował się w wygodnym pokoju i natychmiast zasnął kamiennym snem.

Przednia ściana domu znikła z trzaskiem, który jednak nie zwrócił niczyjej uwagi; jakieś 200 metrów dalej na zboczu góry otworzył się nowy krater i zaczęła się z niego wylewać lawa. Spływała w dół, wypełniła koryto rzeki Sarnus, której woda w jednym momencie wyparowała i w ogłuszającym syku pary i wyciu wiatru podążała do morza, mijając pobliskie miasteczko. Patrzył jak jego sąsiedzi, nagle pozbawieni intymności, na jego oczach pojawili się pół leżąc, przy suto zastawionym stole. Bawił go widok półnagiej Daenii.

Szary na co dzień gaj oliwek stał się niemal zupełnie biały, pokryty sypiącym się z nieba gorącym śniegiem. Z domu Fauna wyszło dwóch mężczyzn, przyciskając do twarzy wilgotne chusty.

Zerwał się nieprzytomny i usiadł na łóżku rozglądając się dokoła.

- Wstawaj, śpiochu - obudził go wesoły głos Juliusza, który wszedł do pokoju z filiżanką pachnącej kawy. Jesteś taki blady, Marco - źle się czujesz?

- Nie, powrócił ten koszmarny sen, o którym ci pisałem. Dręczy mnie od dawna, szczególnie po odkryciu schowka. Niczego więcej tam nie było, tylko ta skrzynka, trzeba przyznać doskonale ukryta i zabezpieczona.

- Nie martw się. Jutro spotkamy się z Faunem, poznasz staruszka, żywą skarbnicę dawnych legend, mitów i zdarzeń. Teraz pokażę ci moje gospodarstwo i najbliższą okolicę, jej czarowne zakątki, a wieczorem zajmiemy się tajemniczą skrzynką...

W czasie spaceru Marco opowiadał o swoich podróżach i pracy naukowej. Żartowali wspominając dawne czasy, wspólne wyprawy archeologiczne. W czasie jednej z takich wypraw Juliusz poznał swoją żonę i wkrótce założył rodzinę. Pochłonięty nowymi obowiązkami nie mógł już poświęcać archeologii tyle czasu co dawniej, dlatego uważnie słuchał opowiadań Marka, snując nieśmiałe plany na przyszłość. Wieczorem usiedli w

spokoju na tarasie, przeglądając przywiezione przez niego dokumenty, notatki i pamiątki rodzinne, próbowali połączyć je w całość i rozszyfrować znaczenie zawartości szkatułki.

Nazajutrz po spokojnie przespanej nocy poszli na spotkanie przeszłości. Zatrzymali się przed niewielkim domkiem z ładnie utrzymanym ogródkiem, w którym rosły warzywa, kwiaty i kolorowo kwitnące krzewy. W ich cieniu, na wygodnym fotelu drzemał starzec.

Siwa broda nadawała jego twarzy wyraz dostojeństwa i tajemniczości. Przy nogach pana leżał duży pies łypiąc złowrogo na przybyszów. Wizyta była umówiona, więc obeszło się bez dodatkowych wyjaśnień. Na gości czekał dzban chłodnego wina i kosz owoców. Starzec wskazał ławkę by usiedli, a Juliusz, który dobrze znał Fauna wyjaśnił co ich sprowadza, Marco zaś pokazał mu skrzynkę z jej zawartością. Starzec zamyślił się, a po chwili rozpoczął opowiadanie:

- Pamiętam z dzieciństwa przekazywaną historię o wykopaliskach na miejscu antycznych miast zniszczonych przed wiekami przez wybuch wulkanu. Prowadzone tam prace wykopaliskowe i sensacyjne odkrycia ściągały pod stoki Wezuwiusza uczonych, naukowców i bogatych podróżnych ze wszystkich zakątków świata.

Podczas jednej z takich wypraw, młody uczony zakochał się w pięknej mieszkance Civita, postanowił osiedlić się tam i założyć rodzinę. Młodzi spotykali się ukradkiem, bo ojciec dziewczyny nie zgadzał się na małżeństwo. Pewnego dnia dziewczyna zaginęła bez śladu. Zrozpaczony kochanek szukał jej wszędzie, obiecał wysokie nagrody za wiadomość o niej, ale bez skutku.

Nieszczęśliwy powrócił w swoje strony. Po latach, nad brzegiem morza znaleziono zwłoki starej kobiety. Nikt jej nie znał, nie wiadomo było kim jest i skąd pochodzi...

Zmęczony starzec zamilkł. Po chwili, na nowo zaczął swoje opowiadanie.

- Byłem już dużo starszy i często wędrowałem z ojcem w poszukiwaniu pracy. W Neapolu żyła rodzina bogatego kupca i tam najczęściej znajdowaliśmy zajęcie. Jedna z jego córek wyszła za mąż za dużo starszego od siebie smutnego mężczyznę. Był bogatym i bardzo mądrym człowiekiem. Zajmował się historią, opowiadał o swoich podróżach na inne kontynenty, ale najchętniej przebywał w okolicy Wezuwiusza. Mówiono, że szuka wspomnień, że w młodości przeżył nieszczęśliwą miłość i nigdy nie odnalazł ukochanej, którą ojciec wysłał gdzieś daleko.

Starzec znów zamyślił się głęboko. Nikt nie śmiał przerwać tej ciszy, choć pytania cisnęły się na usta. Faun wziął do ręki skrzynkę, wyjął z niej coś i długo oglądał… Spojrzał na Marco i zaczął mówić:

- Małżeństwo w Neapolu żyło spokojnie i szczęśliwie. Mieli dwóch synów, wykształconych i dobrze zabezpieczonych na dalsze życie. Jeden z nich podążając śladami ojca poświęcił się archeologii.

Przerwał... Znów spojrzał i powiedział:

- To był twój dziadek, Marco, o czym świadczy ten pierścień, z takim samym znakiem jaki widziałem w domu kupca.

Do siedzących w ogrodzie podeszła młoda dziewczyna z naręczem świeżo zerwanych kwiatów. Uśmiechem powitała gości, zabrała pusty dzban i weszła do domku. Jej niespotykana uroda, smagła cera, duże zielone oczy i miękką falą spływające na plecy czarne włosy poruszyły Marco do głębi. Na przegubie jej ręki pyszniła się piękna bransoleta z drobnych kamieni, które w słońcu migotały jasnozielonym światłem. Marco siedział sztywno na ławce i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła piękna dziewczyna.

Myśli szalały mu w głowie, bo gdzieś widział już tę twarz, ale niczego nie pamiętał.

Starzec uśmiechnął się i powiedział:

- To moja wychowanica. Wziąłem ją do siebie małym dzieckiem i tak zostało. Przed laty, wracając z targu, zauważyłem siedzącą w cieniu drzewa niemłodą kobietę, która

tuliła w ramionach małą dziewczynkę. Obie były skrajnie wyczerpane. Wziąłem je do wozu i przywiozłem do domu. Kobieta była bardzo chora. Przed śmiercią opowiedziała mi, że jest opiekunką dziecka, a w ich rodzinie pracowała od wielu lat. Ojciec dziewczynki był złotnikiem, a matka opiekowała się ogrodem, w którym hodowano piękne, rzadko spotykane kwiaty. Od ich nazwy pochodzi imię dziewczynki - Orchis. Pewnego dnia bandyci napadli na dom. Wszyscy zginęli, a dom spłonął, tylko pani, dziecko i ona ocalały, bo w tym czasie nie było ich w domu.

Po tragedii pani straciła rozum. Dała służącej swoją biżuterię, pieniądze, adres do swoich przyjaciół w Neapolu. Przysięgła jej, że dziecko bezpiecznie odwiezie gdzie kazała. Gdy statek z nami odpływał pani rzuciła się do morza. Powiedziała mi jeszcze: ja nie mam już sił, nie dotrzymam przysięgi... Po tych słowach zmarła.

Faun opuścił głowę i chwilę milczał... Po chwili dziarsko podniósł ją i powiedział z uśmiechem – I tak Orchis została ze mną. Teraz jest mi podporą i promykiem słońca na starość...

Zapadła cisza, starzec zakończył opowiadanie. Marco i Juliusz bez słowa pożegnali się z nim i poszli do domu. W drodze nie padło ani jedno słowo. Każdy myślał o czymś innym. W domu długo rozmawiali o tej wizycie, wszyscy poruszeni niezwykłą historią, a szczególnie jej zakończeniem. Marco i Juliusz wyszli na taras. Była ciepła noc. Milczeli, tylko duży księżyc świecił na niebie. Nagle Marco uświadomił sobie, że Orchis to dziewczyna z jego snów. Uśmiechnął się, bo zrozumiał o kim teraz będzie śnił co noc. Jutro wybierze się do Fauna porozmawiać o tym. Poszedł do swojego pokoju, ze skrzynki wyjął rodowy pierścień i wpatrywał się w niego długo, marząc o szczęściu.

Nazajutrz poszedł z wizytą. Starzec przyjął go z zagadkowym uśmiechem na twarzy, jakby znał już powód odwiedzin. Długo rozmawiali.

Po chwili zjawiła się Orchis, wezwana przez Fauna, a Marco podszedł do niej ze słowami:

- *Dum nos fata simunt oculas satiemus amore* - dopóki los nam pozwala nasyćmy oczy miłością**...**

Jakub Ptaś, Nowy Targ

Twórczość pisana krwią

A słowa bez muzyki
jak miedź brzęcząca;
choć wydawałoby się,
że to właśnie brzęczenie
jest wydawanym dźwiękiem duszy słów.
Każde tchnienie zbliża nas
do czegoś innego, niż życie;
zbliża nas coraz to bliżej do śmierci.

Wydawać się mogło,
że podróż czyni głupszym,
albo mądrzejszym –
ale podróż tylko dowodzi,
że wciąż nasz spokój zawarty jest w ruchu,
a ruch w spokoju. Niech każdy powie prawdę,
w obliczu śmierci, która skryje się przed nimi.

Rozpięci na krzyżu samotności

Gdybyśmy mogli
przytulić się i zamknąć oczy
tak by zapomnieć o pożądaniu
zapomnieć o złu
zapomnieć o raju,
o wężu, o owocu

Gdy opowieści przechodzą
z ust do ust, ta jedna, wielka,
zawsze pozostanie cicha
wyryta w powietrzu
wyryta w sercach,
w duszy, w gwiazdach

Reflektowany obraz

Przede mną – ona lub ja,
za mną – nicość z nas,
na lewo noc, śmierć,
na prawo dzień, życie,
nasze obie strony,
nasze jedyne wybawienie.

Patrzenie w niebo jest
jak szukanie doskonałości
na ziemi; gdyby smutek
mógł rodzić skrzydła,
sprawiłyby one, że zdołać
moglibyśmy dolecieć tam.

Odejście

Komu-to dasz, co dane odebrane zostało,
jak nie cieniowi w jego minionym świetle.

Przekażesz-to pośrednikom niewiadomym,
co zrobili użytek z łańcucha pokarmowego?

Poznasz-to, co raz wzięte zostało, znów,
ponownie podarowane ma być?
Czym-to może być, jak świetlikiem w dzień.

Świecidełko-to, może raz, może dwa,
co trzecim nie może być; a jest.

Wiersze słowotwórcze

Mini-Mani-Zoo wokołopuszce wpokoju kołopiwnicy

Wielkachna kalarucha
kladwiatury wylękana
zewszystkości możnich
nadlęków, zapoprzestaje
napogrywce napodschodach
ciemnosieni.

Dobrorower obokościany,
muroid pasyatakujący,
nawertekach stretwy kurzoksiążek
koniomrówki naliniach wywziętych
wklęsłopodobnych airanimacjach.

Oczopiwne dziurowłazy jakna
pacierkach odunikając kleczenia
grawitologii opepchanej
nawylotozwrotach myśposobów,
wiernowolnie
podudają merków.

Logolotem wokółmiastoskrońca

Myślinielka napolotworze
zapróbowała wyeksperymentów
wnaworze cielakoluda.
Kołoprzecząc nawzięcie
lisinka owracała mętowym
togonem wniweczotę
genidzieła wysokostojów.

Kaosolus remobilizacji
dotargnął subterenów
niebopłaszcza. Tokręcił
swesowe militki uliconów,
takując dostanowisz bulgarny
zważytą wokołochroną.

Pokrojochleby wyżywane
wlokach blokokopów jakdo
wprowadzacze hedonistanu.
Pełzozacze kronologii
wynękają spluwacza królowanego
nawazowianki, plenując
stogonogi wczasolatach.

Kochanka

Gdzie twój czas?
Gdzie podziała się twoja gwiazda?
Co będzie twoim domem?

Ucieka goniąc przestrzenie
zapełnionego planu
być może zbawienia
to znaczy uwolnienia od
ciężaru zajęć
Leci dalej niż widać spada niewidzialnie
i powtarza swój ruch

Spadła daleko poza mną,
lecz ciągle miga tu na ziemi
czeka na działanie, na odnalezienie
ona nie myśli do mnie iść
poznając typ mej istoty potrzebę dialogów
mniejszą od pragnienia czynów i stoi, i leży,
i wie i udaje, że zamyka swoją otwartość

Tutaj, teraz, jest wszystkim
ma inny przejaw, ubiór dla każdego
przebiera swoją fizyczną skórę, jest wieloma
osobami, myślisz że dwoma? Trzema? Czteroma?
Jest wszędzie, znajdując ją pośród tłumu
doznajesz olśnienia objawienia czego tam chcesz będzie
zagubioną owcą którą musisz zaprowadzić z powrotem

Ziemia

Kto płacze o swoje dzieci?
Osoba kobieca, która szuka sprawiedliwości,
czy w końcu znajdzie?
W jaki kolor jest ubrana?

Ona, ta, która płacze o swe pociechy,
czując w sobie gorycz, gorąc, rozżarzony kawałek
wołając o pomoc o odszukanie korzeni
lejąc łzy z wysoka
wypływają z niej jej czerwone złamane uczucia
na porąbanym drewnie iluzji
a zegar powierzchni życia tyka niemiłosiernie
wyznaczając granice palców

Tną jakby była z żelazu,
jak z słońca, wody, powietrza
odnawialna, lecz to trwa latami, wiekami
ciągle im mało, mało, mało
to za dużo
Dostrzeże przegraną przeciwnika
a wygra wybór

Pięknie, bo brązowo, zielono,
nawet przepaski robi sobie żółte
a tak cera karnacja skóra błękitna
wymieniać można do wymiany barw,
aż do skończoności świata.
Świata?
To ona,
prawdziwa,
zepchnięta przez telewizję przez
małe ludziki
małe bezszlachetne
tekturki z betonu

Czasy się czasem zmieniają

Widać - czas się
zmienia, to znaczy
czas się zmieniać

strząsnąć dreszcze zimna
wstrząsające ciało w końcu
na podobieństwo
ciepłego chłodu umysłu.

Przydrożny wybór oraz struktura następstw

Przymusem stworzyć doskonałość,
czy talentem targać się na niezdobyte,
co lepsze?

Zwycięzcy oddać najwyższe honory,
czy przegranemu jego wielką nadzieję,
co bardziej moralne?

Szyk wielkiej fety w
sali obiadów literatury
ustanawia się sam
wraz z piszącą się listą
podpisowiczów z bieżącej wody.

Próba malutkiej groty
i jej skał warsztatu
cierpliwie gości w sobie
mroki prawdziwego znaczenia wiersza,
gdzie interpretacje są jak pochodnie.

*** * ***

Jak nami będą rządzić rzędy umyślnie postawionych krzeseł

Podjęły decyzje wybory
w prostokątnym kole
ludzkich uprzedzeń.

Nagrały ostateczną płytę
nagrobkową z 5 ścieżkami:
plotka, rozpowiadanie,
niechęć, spotkanie, powtórka.

Stałość to zawsze
zamknięte w
odrzuconym nigdy.

Sposób na metodę życia

Tępa kosa ostro tnie
przedziurawione bukłaki
na błoto egzystencji.

Tak naprawdę to
woda leje się strumieniami
z naszych oczu
przemywając bagna
wyrastająca z ekwipunku doświadczeń.

Jak do jutra,
to do wczoraj,
innego czasu nie ma.

Przecinki szczęścia

zobaczyć zorzę polarną na równiku
między biegunami wschodu i zachodu
linię oplatająca ziemską kulę
jak księżyc przestrzeń ludzką
a na dnie morza głębinę
prądu powietrznego
niespełnionych marzeń

słońce wstawało leniwie
pracowicie jak białe mrówki działać
na korzyść swojej własności
ale okazało się ta sprawa
jest z góry przegrana
kazania z TV
wszystko dla dobra ogółu

od jednej kropki do
drugiej po przecinkach
raz jako kamieniach
drugi jako trawie
po ulicach słowach
znanych nieznanych
lecz utrwalonych z betonu

Słońce

Marszem czerwony,
wzbijana jaskółka,
mimowolnie lotna,
jak dnie w dniu nocy.
Żółtawy środkiem i
korą pomiędzy raną,
a ciętym podpisem
na ramieniu szczyci.

Błękitem welonu,
tonicznie tonąc tu,
życia orzeźwienia,
świadectwem losu.
Staje się ona jak
przejrzysta toń,
srebrzącą się
złota uniżeniem.

Pismo

Podróż pustynna,
wydmami czarnymi,
suchości pragnieniami,
efektów daremna.
Nizinami brzemienna,
morzem płynąca,
lecz płomieniem płonna,
biczem ostygająca.

Spojrzeniem warta,
barką drzemania i
kosmykiem zaklęta,
zegara momentami.
Wspomnienie przyszłe,
niszczenia zawiły lok,
uczciwi ugryźli potok,
by znaleźć rzeczy przeszłe.

Kwietniowy maj

Każdemu przytrafia się być w porę
gdzie indziej, w nie miejscu
jak skowronkowi
zupełnie niepotrzebnie
przepłynąć morze
między lądami liści.

Mieszaninę można zrozumieć
byleby tylko prosta była,
bez mącenia ważności
poszczególnych składników.

Jeśli styl jest jak gałązki,
pień jak autor, jak poeta,
to czym są słowa
jak nie udekorowaniem
drzewa życia? Jednak w
kwiecie wiosny
chrześcijanin liryk
zostanie przybity
do własnego drewna.

Bajka o Życiu

***Catagusie** za wsparcie duchowe*

Pewnego razu, gdy deszcz nieustannie padał, a wszystkie chmury były ciemne – daleko, za wielkim lasem, w nieznanej nikomu chatce, urodziło się jaśniejące dziecko. Miało dziwne znamiona, rodzice się przestraszyli i zostawili je gdzieś na poboczu drogi, koło lasu. Odeszli, nie myśląc o tym, że zostawili je na pewną śmierć. Jednak znalazł się człowiek, który zbierając grzyby, zauważył je i zabrał do swojego domku w lesie. Karmił i uczył, nie wspominał mu jednak o jego pochodzeniu, nawet gdy stało się już dość dorosłe, by samo zadawać pytania.

Wiedział o wszystkim, podczas gdy dziecko nie wiedziało nic o sobie. I tak trwało życie – aż do czasu, kiedy pewnego razu człowiek zniknął. Dziecko było już na tyle dorosłe, by sobie poradzić, w jak się później okazało, wielkim świecie. Ale bało się zrobić pierwszy krok. Wyjść z lasu.

Pewnej nocy domek został otoczony przez watahę wilków. Dziecko nigdy nie bało się tak bardzo, jak wtedy. Wilki warczały i bluźniły przez calutką noc. Rano dziecko postanowiło niezwłocznie wyjść z lasu. Przełamało swój strach.

Zaczęło szukać drogi. Ciągnęło je do pewnego miejsca, miało dziwne przeczucia. W tym miejscu znalazło tylko strzępy jasno-żółtego ręcznika. Zabierając ze sobą jak się wydawało pamiątkę własnego pochodzenia, poszło dalej, w poszukiwaniu źródeł. Po drodze spotkało samotnego wilka, czającego się po lewej stronie, który spytał je zajadliwie:

- Czy chcesz posiadać tarczę, która obroni Cię przed wszystkim?

Dziecko zastanowiło się chwilę, po czym odpowiedziało:

- Czy tarcza, która obroni mnie przed wszystkim, da mi wystarczającą ochronę, bym wiedziało, co jest dla mnie dobre, a co złe?

Wilk warknął i zniknął w lesie.

Dziecko poszło dalej – miało przed sobą coraz jaśniejsze niebo, a po bokach otchłanie lasu. Uznało, że nadszedł czas na odpoczynek. Usłyszało pochlipywanie i zobaczyło mysz polną. Zapytało:

- Czemu płaczesz?

Mysz przetarła oczka, i odpowiedziała:

- Bo nie potrafię sobie poradzić w tym wielkim świecie. Jestem taka mała, nie mam siły. Chcę umrzeć. Kogo obchodzi mój los…

- Nie martw się, każdy walczy, bez zwycięstw czy porażek. W końcu wszyscy zginiemy – w końcu wszyscy nie będziemy mieli siły, by powstrzymać śmierć. Jedyne, co możemy zrobić, to przyjąć los – i coś z nim zrobić. Nie tylko Ty jesteś mała. Każdy jest za mały – i każdy jest nieważny, wszystko jest sobie równe. Ale Ty jesteś potrzebna, ja także. Wszyscy jesteśmy – czyli nikt nie jest tak naprawdę nie ważny. Chodź, wezmę Cię na swoje ramię.

Poszli razem dalej, a droga w lesie wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Po pewnym czasie zwolnili kroku i poczuli słodką woń dobiegającą gdzieś z prawej strony, z lasu, coś takiego słodkiego, w czym można się zakochać, co pragnęło się nieprzerwanie wąchać. Dziecko otumanione zapachem podeszło na skraj lasu, ale mysz ostrzegła:

- Uważaj, zbaczamy z drogi. Czy po to wychodziłeś z lasu, by do niego wrócić? – zapytała zatroskana, ale dziecko uznało tą uwagę za niepotrzebną, bo chciało sprawdzić, co tak ładnie pachnie.

Weszło z powrotem do lasu. Skuszone zapachami parło coraz głębiej, i dalej, szukając miejsca, z którego pochodziły. Mysz już nic nie mówiła. Wreszcie dziecko przystanęło

znajdując piękne miejsce, pełne kwiatów, bujnej i przyjaznej roślinności. Zanurzyło się nich, chciało zostać w tej przyjemności na wieki. Zostawiło mysz obok tej krainy i samo odczuwało to wszystko, z wyższym natężeniem, aż padło z wygód w miły odpoczynek na świeżej trawie – na małej wyspie, miejscu, gdzie nie ma strasznych drzew i ich gałęzi. Cieszyło się, pewnie robiłoby to wiecznie, gdyby nie natarczywa mysz, która ciągle pytała:

- Co z Twoim pochodzeniem? Co z Twoim prawdziwym domem? Co z poszukiwaniami?

A dziecko odpowiadało to samo:

- Później.

Mysz zrezygnowana poczekała, aż dziecko otrzeźwieje. Dziecku jednak nie nudziły się wygody tego raju, pragnęło zapomnieć o reszcie świata. Wydawało się, że znalazło to, czego szukało.

Ale w pewnej chwili, gdy patrzyło na piękny kwiat, uświadomiło sobie, że kiedyś nie było tutaj niczego, oprócz pustej polanki, porośniętej mchami i zwykłą, suchą trawą. Uświadomiło sobie, że to miejsce zostało założone przez kogoś, kto znalazł tutaj żyzną ziemię, wtedy gdy było suchym i nieurodzajnym gruntem, bo uwierzył w to, że może sprawić, by było dobre, by mogło dawać owoce. Zastanowiło to dziecko. Teraz popatrzyło z dystansem na miejsce szczęśliwości. Zobaczyło cały obraz – jedno małe miejsce, na tle okropnego lasu. Uświadomiło sobie, że to miejsce jest jednym z wielu takich malutkich wysepek – na które niektórzy tracą całe życie, zaślepieni widząc tylko je. Zrozumiało, że jeśli nie wyruszy i zacznie szukać swojego pochodzenia, nigdy nie założy krainy takiej jak ta – nigdy nie sprawi, że coś pozornie nie nadającego się na nic stanie się dobre i piękne.

Wstało i zapytało mysz:

- Czy chcesz iść ze mną, czy może wolisz zostać tutaj? Byłoby Ci tutaj dobrze, byłabyś bezpieczna.

Mysz została, a dziecko poszło dalej wierząc, że będzie jej dobrze, zasłużyła na mieszkanie w pięknym miejscu, mimo że nie dała się uwieść jego urokowi.

Dziecko poczuło trud jak za pierwszym wyjściem z lasu, lecz w końcu dotarło bez większych przeszkód z powrotem do drogi. Samotnie zaczęło przebywać następny odcinek swojej ścieżki. Przystanęło, by odpocząć na pobliskim kamieniu. Zastanawiało się nad swoim życiem, nad tym, co z nim zrobi, gdy dotrze do celu. Wtem usłyszało piękny śpiew ptaka – śpiew, który poruszył dziecko do głębi, wywołując nieopisane zdumienie i milczenie. Biały ptak przemówił czystym, mocnym głosem:

- Dokąd zmierzasz?

Zmieszane, nie odpowiadało przez krótką chwilę.

- Do swoich korzeni, o piękny, biały ptaku.

Ptak zerwał się, podnosząc dziecko do nieba, pokazując mu z oddali – las, drogę, samotny domek na wzgórzu, do którego prowadziła droga.

- Widzisz to wszystko? - zapytał ptak nie oczekując odpowiedzi - Wszystko jest dla Ciebie. Las, droga, cel przeznaczenia – domek. Prawda? Chodzisz po ziemi, szukając na niej raju! Spójrz przed siebie, w górę, na boki! To nieważne, czy widzisz! Czujesz, czujesz powietrze, ten poziom, który jest nieosiągalny dla tych, którzy zmagają się z losem na dole. Przywiązują się do swoich podróży, do swoich pragnień – i pozostają pod kontrolą ziemi. Poczuj powietrze, ciesz się nim, unieś! Oczyść… to, czego szukasz, jest tak naprawdę tutaj – na wysokości. Masz cząstkę powietrza w sobie: to Twój oddech. Jedyne, co pozostało po okresie prawdziwej wolności. Kiedyś znowu ją odzyskasz. Teraz, wybacz mi, ale musisz dokończyć swoje zadanie.

Ptak zrobił jeszcze jedno kółko w powietrzu, i zanurkował w dół, miękko lądując, zostawiając dziecko same sobie i życząc powodzenia. Dziecko mimowolnie popatrzyło na kamień. Czyżbym było tak przywiązane jak ono, do tej ziemi, do tego miejsca? Porzuciło

jednak rozważania, kamień nie miał czegoś, co ono miało: oddech, ślad nieba, w którym przez chwilę było. Dziecku zrobiło się smutno, ponieważ wszystko, co do tej pory robiło, stało się takie nieważne i nieistotne. Krępowały je czyny, i dobre, i złe. Co się stało z moimi marzeniami? Czy one nie są nic nie warte? - pytało.

W pewnym momencie zauważyło muchomora na skraju lasu. Podeszło bliżej, oglądając go, wiedząc, że jest trujący, że je uśmierci, gdy go zje. Z łzami napływającymi do oczu przyglądało się ziemi, myślało jedynie o straconych latach, latach błądzenia, nie robienia niczego, by pomóc wszystkim.

Dziecko wzięło muchomora do ręki i poczuło ból w swoim sercu. Naokoło były tylko drzewa, niebo zostało zasłonięte przez ciemne chmury, a ziemia dopiero teraz pokazała, jak bardzo jest ciemna. Wrona przyleciała na pobliskie gałęzie, kracząc, i po chwili odleciała.

Płakało, myśląc o tym, czego nie zrobiło, co pominęło, jak tkwiło i jak tkwi w iluzji, uznając w boleści wszystko za złudzenia, i marzenia spełnione i niespełnione, uświadamiając sobie coraz bardziej, ile straciło okazji do nauki. Świat stał się na chwilę zasłoną przed czymś, czego nie mogło, a chciało dotknąć, co zostało wydarte z życia, będąc gdzieś obok, kryjąc się za drzewami, trawą, ziemią, niebem, zwierzętami, i przed samym dzieckiem.

Popatrzyło uważnie na muchomora. Wzięło głęboki oddech, czując tchnienie powietrza w sobie. Nagle wszystko stało się jasne – nic nie było, ani nie będzie, ani nie jest ważne, albo nieważne. Nic nie jest istotne, albo nieistotne.

Wstało, układając muchomora na boku. Ujrzało bezchmurne niebo i promieniujące słońce. Ziemia znowu stała się jasnobrązowa, droga stała się żywa, ruch wszystkiego dało się wyczuć. Teraz już, bez konkretnego celu, mając jedynie swoje serce, podróżowało. Nie czuło bólu, ani zmęczenia.

Las nagle się skończył. Dziecko przystanęło, by objąć wzrokiem pagórki, wzgórza, pola, góry znajdujące się daleko, ale jako pomniki ukazujące nieskończoność i niesamowity widok. Świat ukazał inne swe oblicze – piękno. Piękno zamknięte w jednym momencie, jak ruchome obrazy, życie, zamknięte w zdjęciach. Czystość myśli przyniosło ukojenie, które mówiło: płynęłoś z prądem rzeki, której nie znałoś. Rzeka nie pozwalała ci wyjść na brzegi, zobaczyć jej życie. Teraz je widzisz, teraz i tu, nigdzie zmierzając.

Poszło dalej drogą, przed siebie. Życie, które kiedyś było udręką, kajdanami, stało się skrzydłami, niosącymi nie wiadomo gdzie, unoszącymi każdego, kto je posiada.

Łapało spokojnie powietrze, oddech życia, przynoszący życie. Nagle zauważyło, że droga stała się węższa, prowadziła na wzgórze, do samotnej i dziwnie znajomej chatki. Niebo pociemniało, okolica stała się mniej przyjazna, ponura.

Ni stąd, ni zowąd, usłyszało pohukiwanie sowy.

- Hu-hu, czego chcesz tu, bracie?

- Szukam… swoich korzeni, miejsca, skąd przybyłem.

- Chcesz znaleźć miejsce, z którego pochodzisz? Znam zagadkę, która wskaże drogę dla Twych poszukiwań. Jest daleko, ale blisko. Jest na wyciągnięcie ręki, chociaż ręka niesprawna i nie może po nie sięgnąć. Jest tam, lecz możesz zdobyć je tylko będąc tutaj. Gdzie nie spojrzysz, jest wszędzie wokół Ciebie, odbija się od wszystkiego i od wszystkich. Znajdziesz je na czterech stronach świata, w centrum, na niebie, poza nim, i poza wszystkim. Jest zbyt wielkie, by skromnie wyrazić ją słowami. Przychodzi i odchodzi, rodzi i zabiera.

Gdy raz Cię dotknie, nie wypuści. Stajesz się nią po swojej śmierci. Jesteś nią przed swoimi narodzinami. Dzięki niej wiesz, a bez niej nie wiesz, gdy rodzisz się, tracisz chwilowo wiedzę, ale nie tracisz jej nie wiedząc, dopiero gdy dowiadujesz się, zyskujesz ją naprawdę, wiesz, że jest przy Tobie. Szukasz jej nie tam, gdzie trzeba. Sięgasz wzrokiem daleko: nie znajdujesz jej. Sięgasz wzrokiem blisko: nie dostrzegasz jej, bo jest zbyt odległa. Nie możesz wyjść poza to, co znasz, co myślisz, że widzisz.

Dopiero gdy pozbędziesz się wzroku, zobaczysz ją, ponieważ nie będzie niczego, co ma Ci dyktować, co masz widzieć. Nie będzie niczego, co przeszkodzi Ci w widzeniu, a widzenie przyniesie wiedzę… Jednak wiedza to nie wszystko. Często traci ktoś na chwilę Nią, ponieważ czyni z częściowej wiedzy wzrok. Pamiętaj, że na świecie nie ma nic, co by nie było ujawnione przez Nią, ponieważ to właśnie Ona tworzy tajemnice, które bezskutecznie chcesz poznać.

Nie staraj się na nią patrzeć. Staraj się widzieć, staraj się czuć. Co pragniesz, spełni się: ponieważ ona wchodzi w grę. Pamiętaj, że stworzyła Cię na Tutaj i Teraz. Tylko w Tutaj i Teraz możesz ją widzieć i czuć. To cała zagadka… Rozwiążesz ją w odpowiednim czasie.

Po czym sowa zamilkła, na koniec cicho życząc powodzenia.

Dziecko stanęło przed drzwiami chatki, robiąc głębokie oddechy, jakby zastanawiając się, czy iść dalej. Nie miało wątpliwości, lecz jedynie dziwne uczucie strachu. Postanowiło wejść i przekonać się, czy podróż okazała się owocna. Całe życie spędziło w lesie, jedynie po to, by tu przybyć.

I przeszło przez magiczne drzwi…

Przez drzwi nazwane na końcu Śmiercią, w które weszło z Życiem, danym na początku zwanym Narodzinami…

Komentarz autora: bohater (główna postać) i odbiorca (czytelnik) są utożsamiani. Dlatego zaimki oraz rzeczowniki, na które kładzie się akcent/nacisk fabularny są napisane z dużej litery. Ta bajka, niby to opowiadanie, niby moralitet, jest jak list. Oczywiście, ironicznie rzecz kategoryzowania (tzw. szufladkowania) biorąc.

Prawda subiektywna a prawda obiektywna

Często mamy problem z rozróżnieniem dobra i zła, prawdy i fałszu. Często posądzamy innych o fałsz, gdy sami jesteśmy fałszywi, albo co gorsza, trzymamy się swoich racji razem z kimś, z kim rozmawiamy i dyskutujemy. Doprowadza to do utwierdzenia się w swojej racji bez spojrzenia na rację drugiego.

Powyższe sytuacje wydawałby się normalne i przyjęte potocznie, gdyby nie to, że istnieje pewne wyjaśnienie, które odróżnia prawdę subiektywną od prawdy obiektywnej, a co za tym idzie, jest o niebo lepszym „wykrywaczem kłamstw", niż większość chwilowych środków.

Faktem nazywamy to, co zostało zaobserwowane, stwierdzone i opisane.

Racja opiera się na faktach. Racja to przefiltrowane fakty. Dlaczego przefiltrowane? Wyobraź sobie, że każdy człowiek przyjmuje sobie właściwie nastawienie i filozofię życia. Każdy, na miarę swojego bogactwa języka i kreatywności. Co zauważasz? Ano, wielkie różnice w sposobie wyrażania się, nawet wśród ludzi, którzy podobno posługują się jednym i tym samym językiem.

Tak naprawdę, to posługują się różnymi językami, bo trzymają się swoich racji, swoich punktów widzenia. Mogą się właściwie porozumieć z osobami drugimi, o ile uda im się znaleźć tzw. „wspólny język", wspólne słowa i wspólne punkty poglądowe.

Prawda subiektywna to prawda mówiona z jednego punktu widzenia – naszego własnego.

Przyjmując wyjaśnienie Biblii, „kto mówi od siebie, jest kłamcą i oszustem": kto używa własnej racji, używa jej do zysku. Chociaż różne może być wykorzystanie zysku (racjonalne i irracjonalne, potrzebne i przesadzone), to jednak to postronny obserwator może mieć problem z tym, kto mówi od siebie, kto ciągle trzyma się swojej racji.

Trzymanie się swojej racji do przywiązywanie wagi do tego, co się mówi, tak jak naprawdę byłoby ważniejsze od tego, co mówią inni. Oczywiście jest zupełnie inaczej. Każdy ma swoją mowę i każda jest potrzebna, wyjaśnia pewną sytuację na swój sposób. Gdy dochodzi do połączenia racji, nagle otrzymujemy pełen obraz rzeczywistości.

Połączenie dwóch racji, dwóch subiektywnych racji, czy też racja, która obejmuje wszystkie racje, jest połączeniem wszystkich racji i w rzeczywistości porozumieniem nazywa się prawdą obiektywną. Co więcej, na prawdę obiektywną można patrzeć poprzez pryzmat prawdy subiektywnej, swojego własnego punktu widzenia, przez co ją zafałszować i zablokować sobie do niej dostęp (chociaż chwilowy).

Posługiwanie się wspólnym językiem to słuchanie języków innych, słuchanie swojego języka i wyrażanie się za pomocą połączenia, jakie występuje pomiędzy naszym, a językami innych.

Wtedy mówimy prawdą obiektywną, precyzyjniej: wskazujemy na nią.

Przykłady:

Prawda subiektywną będzie:

- Sam doszedłem do sukcesów w swoim życiu.

Prawdą obiektywną będzie:

- Doszedłem do swoich sukcesów dzięki swojej wytrwałej pracy, dzięki temu, że inni pomogli mi, wspierali mnie, abym się nauczył się tego, co mi potrzebne, bym mógł robić to, co robię. Wszyscy mi pomagali, byli mi potrzebni i przydatni w tym, co robię, abym mógł to zrobić. Wiem też, że i ja byłem im potrzebny i dałem to wszystko, co miałem, co było dla mnie cenne – jednak dałem im, by i oni mogli robić to, co robią. Razem doszliśmy do sukcesów, ale są to nasze wspólne sukcesy, bo bez wszystkich – dosłownie wszystkich i

wszystkiego – byłyby jak marzenia bez możliwości spełnienia. Dlatego im bardzo dziękuję, również w innej formie

Pięć lekcji nauki

Miałem 5 lekcji. Wydaje się, czasami nawet całkiem prawdziwie, że z tych 5 godzin lekcyjnych można wyciągnąć więcej nauki, niż to wszystko, co zostało powiedziane lub co zostało uczynione.

Trening czyni mistrza, a mistrz tworzy trening. Każdy dzień inny, jak wieczny student nie chce, a szuka nauki, ale tak naprawdę, to dostaje jedną wielką przygodę, nowe doświadczenia decydujące o jego wykształceniu i kształcie jego osobowości.

30 uciśnięć, 2 oddechy... „Co się stało?”, „Otwórz oczy!” Czasami rzeczywiście przydałoby się zapytać, co się stało. Jeszcze częściej, niż te 30 uciśnięć w 18 sekund nakazać, by ktoś otworzył oczy.

Zasady. Po co? W jakim celu? Przekonuje się ten, kto wpierw odczuł konsekwencje ich braku. Lekcja prawa jednak pozwala się zadumać. Całe szczęście, że zawsze się uda załapać ostatnie, bieżące fragmenty rzeczywistości przed brutalnym ściągnięciem z chmur na dół. Lepiej z własnej winy spadać, niż z czyjejś.

Zmysły. Tak często ograniczamy się w pisaniu posługując się tylko jednym lub dwoma zmysłami. Wzrok lub słuch. Gdzie węch, dotyk, intuicja i cała reszta? „In the picture there are three people...” etc.

Nauka języka. Lektury. Ile z lektur, tzw. książek zadanych, przeczytaliśmy? Powiedzmy szczerze, duża większość lub duża mniejszość przeczytała ich zaledwie kilka. O niebo, a nawet o dwa nieba, lepsze są tzw. książki polecone.

20 minut przerwy. W tym czasie czytam, jeśli mogę. W tym czasie piszę, jeśli pomyślę. Snuje się i wędruje, szukając czegoś, albo kogoś - tak, „kogoś” to dobre określenie, bo zawiera wszystkie te elementy, które są potrzebne i odsuwają zbędność: osobowość, określoność, smak, zapach, mowę, śmiech, słuch, dotyk, intuicję. Ktoś to ma, ponieważ jest kimś, a to oznacza, że posiada kształt i swój smak.

Rachunkowość. Sprawy rachunkowe sprawami ciekawymi lub nudnymi. W każdej rzeczy można znaleźć azyl od nudy: wystarczy być ciekawym. Ciekawość leczy chorobę nudy. Na ciekawość brak jest lekarstwa. Z nią się rodzi i ona zawsze gdzieś tam pozostaje. „Jak to działa?”, „Jak to się nazywa?” - albo po prostu zainteresowanie, pchające do dziecinnych pytań. Dziecinnych, bo pytania należą do dzieci.

Te 5 lekcji. Z jednej strony szkoła naprawdę jest jaka jest; większość nie chce i nie lubi, zapominając lub będąc bez wiedzy, że „nie” umysł wyrzuca i to tak, jakby mówili „chce mi się”, „lubię szkołę”. Po prostu bez świadomości, że lubią i chcą.

Szkoła to miejsce prób, szkoła to właśnie miejsce - miejsce nauki. Byle tylko pamiętać, że nabyta tam wiedza ma się przydać zwłaszcza poza nią.

Jakby nauka kończyła się na nauce, lecz nauka to dopiero początek. Nowej nauki.

(Było to 5 lekcji: PO (Przysposobienie Obronne), Elementy Prawa, J. Angielski, J. Polski oraz Rachunkowość.)

Truiczny wywód

Na początek, zaczniemy od zasady buddystycznej lub po prostu wschodniej: jeśli coś spotykamy po raz kolejny, oznacza to, że tego czegoś powinniśmy się jeszcze nauczyć. Czym jest nauka? Jest zrozumieniem. Gdy rozumiesz, potrzeba Ci tylko uczyć i wspomagać innych w zrozumieniu. Jesteśmy bezmocni w rozumieniu za innych – lecz to inni mogą sami zrozumieć, widząc nasz przykład lub świadectwo.

Teraz przyjrzyjmy się tym, którym wszyscy zazdroszczą, czasami odzywając się i szemrząc przeciwko nim. Kim oni są? Tym razem będą to… naukowcy. Geniusze. Jednostki indywidualne i intelektualne.

Ale tu mamy dwa typy ludzi. Geniusze, czyli ludzie z gruntu dobrzy, bo istnieją tylko dobrzy geniusze; źli ludzie mogą być co najwyżej sprytni, intelektualni. Dobrzy zawsze są inteligentni, biorą każdy przykład na inny sposób i próbują zrozumieć, przestrzegają, nawet nieświadomie, zasady: „mędrzec pierwszy jest w uczeniu siebie, głupiec pierwszy w uczeniu innych", uosabiając rolę mędrca. Najpierw siebie uczą, później innych, a nawet, gdy coś wiedzą, starają się zrozumieć to, co przekazują inni.

Są jeszcze ci źli. Nauczyli się czegoś i teraz szczekają na innych.

Jest tak dokładnie. Po prostu – wykształceni, ale ci źli, jedyne, co robią, to uprzykrzają innym życie, czasami także informując innych w taki sposób, by chełpić się tym, co robią.

Uczyć się dla chwały? Uczymy się dla rozwoju. A poszukiwanie własnej chwały do tzw. paradoksalne i być może błędne (językowo) „cofnięcie się w rozwoju".

Filozofowie, jeśli dość uniżeni, są w miarę dobrzy, lecz czasami naprawdę ich twierdzenia są utrudnione; mimo to, można ich zrozumieć, chociaż trzeba trochę pogryźć to, co podają.

Poeci za to, jeśli są dość uczeni, ich forma jest łatwa i przyswajalna, lecz przekaz niejasny. Jeśli zbyt mało wykształceni, to kształt ich wierszy uniemożliwia odczytanie ich, lecz, po odczytaniu, przekaz jest bardzo prosty i jasny.

Jednak intelektualiści, samozwańczy, oczywiście skrytykują to lub tamto, dla zaspokojenia własnej dumy i potrzeby przedstawienia racji.

Są tu też, odmienna, malutka grupa, intelektualistów dobrych. Którzy mimo, że skrytykują, to zrobią to w miarę humorystyczny sposób, tak, że stają się przez to niewinni, ich wina całkowicie zostaje zmazana – są niemalże jak dzieci.

Jednak są intelektualiści, naukowcy, źli, tacy, którzy rzucają się o coś, krytykując to w dziwny, pseudo-intelektualny sposób. Jeszcze jest druga strona barykady: ci, którzy odpowiadają na wywody, jakby nagle ogłupieli i byli kompletnie bez pojęcia o danej rzeczy, co tylko ujawnia ich niekompetencję – są tak samo źli jak ci pierwsi.

Dobrzy? Dobrzy to tylko ci, którzy są skromni. Którzy krytykując ujmując łagodzą swoją krytykę, albo robią to w sposób iście nauczycielski: by karcąc, nauczyć oraz złagodzić skarcenie by przestało boleć zaraz po tym.

Dlatego mówię wam, chociaż jestem bez daru prorokowania: strzeżcie się złych wykształconych! Oni się uczą, by pouczać innych. Dobrzy to tylko ci, którzy uczą się, by nauczyć siebie, a później uczyć innych.

Dobrze jest, gdy pragniesz talentów, by przekazywać je dalej lub wykorzystać je do pomocy innym – ale źle, gdy pragniesz talentów by się nimi chełpić i wywyższać nad ludźmi.

Wywyższanie i pesymistyczna krytyka jest typowa dla źle wykształconych, chorych w swej dumie; oni muszą pokazać rację, swoją wiedzę, której w rzeczywistości są bez posiadania; gdyż każda wiedza lub znajomość wprawia nas w milczenie, poskramia nas, uniża. Brak wiedzy zaś zmierza do kreatywności, zaś częściowa często prowadzi do dumy, krytyki innych i rzucania się o wszystko inne – bezpodstawnie.

Źle wykształceni tak naprawdę są bez wykształcenia, a raczej - bez mądrości. Są intelektualnymi marionetkami krytykującymi innych, bez własnego komentarza – komentarza mądrości, która odrzuca na tyle poprzednią wiedzę, by stworzyć z własnej krytyki równie wielkie dzieło, co twórczość krytykowana.

Strzeżcie się takich! Prowadzą tacy na manowce; oszukując, oczerniając lub próbując zwieść dziełami innych, jakoby to były ich własne lub były ważniejsze od tego, co się aktualnie tworzy, w dzisiejszych czasach.

Paweł Ryś, Biały Dunajec

Kain i Abel

No cóż historia ich ładna
spójna
nawet pouczająca
Ale patrząc tak bardziej pod
kątem artystycznym
to muszę przyznać że
aż roi się w niej od błędów
No bo co to w ogóle ma być
żeby dobro tak po prostu
wygrywało
zło było ukarane
to przerażające
to nie do pomyślenia
no jak można
w ogóle coś takiego
napisać

tryumf sprawiedliwości
to nie jest zakończenie
dla utworu literackiego

no może jeszcze w Harlequinie
by to przeszło
ale toposu to już nikt z tego nie
zrobi
przecież to
wszystko tak beznadziejnie proste
tak okropnie jednoznaczne
tak ohydnie niepodważalne
nie można do tego podejść z ironią
nie ma nawet gdzie błysnąć metaforą

Tak więc z punktu widzenia artystycznego
Kain i Abel nie nadają się na
motyw literacki

i dlatego żaden dobry wiersz
na ten temat
nie powstanie

Sodoma i Gomora

Bóg od zawsze informował Abrahama
o wszystkich swoich decyzjach krwi
Abraham zawsze targował się co do liczby ofiar
Był nieugięty w swej pokornej prośbie
byle tylko przemycić grzeszne życia
przez granice wyroku
(nie miał bowiem bożego wyczucia)
Wszechwiedza Stwórcy mówi że
i tym razem nie będzie inaczej
Zresztą już niejedną Sodomę i Gomorę
przerabiali
Bóg lubi to przekomarzanie się
Wymyśla coraz to nowe sposoby
i nadaje im formę gry:
Boska licytacja
Niebieska ruletka
Anielski pasjans
Ziemskie tasowanie
Podnosi tylko i obniża stawkę
Ciekawa forma rozrywki
kto by przypuszczał że w Raju
hazard zdobędzie taką popularność

Dziś odbędzie się licytacja
Obiekt: kulka ulepiona z gliny wody
ognia i powietrza
pusta w środku
jej nazwa „Sodoma i Gomora”
(historia lubi się powtarzać)

Abraham szuka argumentów
gładząc białe chmury swojej brody
Rozmywa sny o nieskazitelnych
i sprawiedliwych
Stawka początkowa:
Ocalenie za pięćdziesięciu

Jehowa robi grzmiący grymas
Zbyt mało jak na największe mrowisko
Bierze jednak pod uwagę miłosierdzie
które przypisują mu w większości teologowie
po raz pierwszy
po raz drugi
po raz trzeci
(zdając sobie sprawę że nikt nie przelicytuje męża Sary)
przyjmuje propozycję

Ale nogi Abrahama nie uginają się jeszcze od ugody

przechodzi do dalszych negocjacji
Dyplomacja jego jest jasna a argumenty w kolorze pokory
Jehowa z boską cierpliwością
wysłuchuje kolejnych
niekorzystnych propozycji

Stawka końcowa:
Ocalenie za Dziesięciu
(I ani jednego człowieka mniej)
Na twarzy Abrahama pojawia się zmarszczka zadowolenia
Licytacja zakończona
Stwórca powoli uderza młotkiem
pieczętując chwilę

I nagle martwa rzeczywistość wyszyta Bogiem
W haft życia wszywa się nitka która
nie zna początku i końca
Nitka która wlecze się i pląta w wieczności
w supełki chwil
Pląta tworząc wzór ostateczny
I jedyny

I pali się wrzask i pali się wrzask
bez cienia odpoczynku płomieni

Jeszcze bardziej posiwiały Abraham myśli:
Bóg zawsze ma asa w rękawie

Koziołek o imieniu Judasz

Powiesił się Judasz nie nad przepaścią
ale na sznurze utkanym z przepaści
przeplatanym ludzkim włóknem

Wina cięższa niż ciężka decyzja
Świadomości często nie da się udźwignąć
Jej ciężar obrywa ręce sumienia
uginają się nogi życia
i kamyk wgryza się w sen

Lekki trzepot konsekwencji i,
i nogi już wiszą wyprostowane
ręce elegancko opadnięte
i głowa słusznie wpatrzona w dół
Przewracają się w niej
resztki snów
i strzępki
już
milczącego sumienia

Winny winny winny
bez odwołania
legenda skazana na
gnicie w lochach
wiecznej pamięci
wina skazana na historię
imię skazane na symbol
powtarzane w kaleczących chórach przekleństw
bez ostrza argumentu
Wina za najsłynniejszą śmierć
imię zamiast imion

(oto ofiara za ofiarę)

Ludzkość z ulgą
zgarnia spleśniały pot z czoła
Głośno odetchnęły głosy wewnętrzne
lekkie bez żadnych obciążających wyrzutów
Za plecami faktów świat zmywa z rąk
tłustą odpowiedzialność
i nagle cud
woda w misie zamienia się w krew

Monolog przed powieszeniem się

Jezusie udało się
Powoli litera po literze dopełniają się pisma
Jeszcze kilka bolesnych chwil i obaj będziemy mieli święty spokój
No a potem to się dopiero zacznie
Ty będziesz taki jak byłeś
a ja słusznie przeklęty
Dopełnia się historia
Zakreśla swój krwawy krąg
Opowieść brzmi przekonywująco
choć będzie miała 4 wersje
Trochę odmienne
Wspólnik św.Pawła napisze że tak miało się stać
Ale już Łukasz że wstąpił we mnie szatan
Za to twój umiłowany uczeń zwyzywa mnie
od złodziei i podłych żydowskich materialistów
A ja przecież oddałem tym łotrom srebrniki co do srebrnika
żeby mogli jak to wcześniej przepowiedziano
kupić to pole od garncarza
Akcent na moje pochodzenie
nie przejdzie bez echa w historii
I będzie przez to niezła apokalipsa
W końcu autor wiedział co pisze

No właśnie a propos pisania tak myślę czy dużo by
ucierpiała autentyczność
gdybym jednak poprosił o
przebaczenie i nie nakładał naszyjnika z sznura i czarnych myśli?
Czy czytelnik nie zaczął by wietrzyć podstępu?
Co by się stało gdyby nie dostał mojej krwi?
Gdyby nie mógł cieszyć się
z mojego
obsmażania się w czerwonych niebiosach
Ewangelie nie byłyby już tak pociągające
Symbol stałby się matowy
autorytet zdrady zostałby poważnie
nadszarpnięty
Poeta nie miałby kogo
umieścić w paszczy samego środka
Brutus i Kasjusz to nie to samo
No a przecież ktoś winny być musi
Zło bez jasnej skazy podnosi atrakcyjność

Próbowałeś oszlifować czarny diament
Ale wiadomo było że brylantu z niego nie będzie
No i warto Ci umierać dla takiego świata?
Zbawiać coś na co czeka
przepowiedziany już koniec?
Chociaż biorąc pod uwagę Twoją filozofię życiową

rzeczywiście śmierć to zbawienie

No cóż kości zostały rzucone
Słowa zostaną napisane
Jednak wiele je czeka
zanim staną się ciałem i zamieszkają
miedzy nami

Golgota

Na Golgocie jest ściana

Ściana która kiedyś płakała obficie
czerwonymi łzami
nieczystych
ras
Tu ludzi rzetelnie obdzierano z życia
Obdzierano do ostatniego
naskórka
krzyku
Obłupiano z wolności
Dokładnie
strzyżono z
nadziei
(włosy wspomnień
też same nie
wypadały)
Zabierano im ciała
Z duszą było gorzej
Ale i tak kąpano w śmierci
częstowano
głodem
Zwęglano przeszłość
w popiół zabranych chwil
(nie da się z niego odtworzyć drzewa
genealogicznego śmierci ale można rozpoznać
jego czarny kwiat)
Tysiące twarzy którym zabrano twarz
patrzą na nas oczyma z dymu
Dym ten to ich przyszłość
pomieszany z ostrym powietrzem
ówcześnie spalonej teraźniejszości

Był piec i prąd i tłuszcz
bo była to fabryka mydła

Teraz mydła już się tam nie produkuje
są za to gabloty i eksponaty rupieci

Teraz przychodzą tu wycieczki szkolne
Każda wycieczka jest dniem wolnym
od lekcji

Teraz na Golgocie jest także mini kino
Trochę dziwne kino – przed seansem
nie sprzedają w nim popcornu

Rozkaz (Jedna z wielu wersji)

Wieczność przecięta słowem
rozkazem powietrza
Czerwone tło stwierdzeń przywalone
głazem przedawnień z szorstkiego milczenia

Gałęzie zapomnienia obrastają niedojrzałą pamięć

Ocenzurowano przeszłość
ocenzurowano żal rodzin
ocenzurowano rozstrzelane wspomnienia
ocenzurowano wszelką cenzurę
Zbrodnia nie wydaje się już teraz aż tak okrutna
wypadałoby nadać jej jakieś subtelniejsze imię
„nieszczęśliwy wypadek" „brak jednoznaczności"
„niewyjaśnione okoliczności"
I tylko wrosłe w ziemię krople krwi kwitną deszczem krzyku
Z każdym kolejnym dniem krzyk jest coraz bardziej głośny
coraz bardziej dojrzały
O coś się dopomina
uparcie nie chce przejść bez echa
To nienaturalne
Czyżby wszystkie zabiegi były niewystarczające?
Tyle lat przecież
już ust zwiędnięty wrzask
już przepaść dawno dojrzała a jej owoc
tak samo gorzki
nawet bezsilność nie ma siły być bezsilną
Fakt tylko bez dyskusji o autentyczności
Najbardziej przytłaczająca jest oczywistość
bo nie może być już bardziej oczywista:
Ołowiane sekundy wbijające się w głowę
sekundy przekreślające lata nadzieje szczęście bliskich
Kurz wyżerający źrenice życia wyżerający do dna
Trumny zbijane z mgieł zabranych marzeń
Krzyże złożone ze świtu który
nie przerywa snu
Wschód okrucieństwa
Zachód obojętności
a słońce za cieniem słowa
Rude łąki argumentów zardzewiałe dowody
potwierdzają
ludobójstwo ubrane w ciszę
potwierdzają
zdarzenia zawinięte w pustkę
.....
Żaden krzyk nie przechodzi bez echa
Woła o pamięć

Rehabilitacja Nienawiści

Trzeba w końcu przyznać że ona jako jedyna (nie licząc śmierci)
towarzyszy człowiekowi od początku
Trzeba wreszcie docenić jej wierność i oddanie
Trzeba w końcu powiedzieć że
była z nami pomimo głodu wojen zarazy
pomimo wszelkich pomimo
nigdy nie opuściła człowieka
zawsze służyła radą
dawała nadzieje
dawała chęć do życia

Pierwsze wzmianki o niej pojawiły się
w księdze Rodzaju
od tego czasu oficjalnie sprawuje
urząd Pierwszej Przyczyny
Nie ma bowiem chwili w której nie brałaby udziału
Można wręcz rzec: od niej wszystko się zaczyna
i wszystko w niej ma swe spełnienie
Niewyczerpalny jest zakres jej zasług
Przyczyniła się do powstania tylu dzieł literackich
Co by to było gdyby Kapuletti i i Monteki się lubili?
Co by to było gdyby Romeo i Julia byli broń Boże szczęśliwi?
Żadnych spotkań na balkonie konspiracji łez samobójstw
I gdzież byłby cały tragizm ?

Gdzież bez niej komizm Cześnika i Rejenta?
Gdzież motywacje Achillesa?
Gdzież konsekwencja grzechu pierworodnego?
Jakże ubodzy bylibyśmy bez nienawiści

Bez niej na nic religie
wartości zasady
Na nic cała filozofia i poezja
O jakże wiele jej zawdzięczamy
To ona stworzyła naszych bohaterów
Stworzyła naszą kulturę
Stworzyła naszą cywilizacje
I stwarza nas

Jej jedynie naprawdę warto zaufać:
Umarł Bóg
Umarł Człowiek
A ona jest
Jest i będzie z nami
będzie aż do
skończenia świata

Pustka

Spod ładnego sweterka
na którym kwitną rozmaite motywy
niezgrabnie wystaje pustka

Radzono mi bym włożył ją do spodni
ale ona uciążliwie wychodzi na zewnątrz
(Początkowo czułem się tym
trochę dotknięty)
Mówiono mi że po praniu na pewno się
skurczy a ona się tylko rozciągnęła
Wyrzucić szkoda
Zresztą nie lubię jej zdejmować
Może to głupie
ale
bez niej nie czuję się już sobą
Oplata mnie swoimi włóknami
Bardzo zaprzyjaźniła się z moją skórą
nie mogę się jej teraz tak
po prostu pozbyć
Saint-Exupery grozi literackim palcem

To takie urocze gdy zawija rękawy
gestykulując mi swoje obrażenie
kiedy wkładam ją do kosza z brudnymi
rzeczami
Nie znosi też gdy ktoś ciągnąc ją
pyta mnie po ile gazeta
Robi się wtedy szorstka ze złości
szczerzy białe kosmyki i zaczyna gryźć

Na początku denerwowało mnie to
że ciągle nią gdzieś zahaczałem
O klamkę
O jakieś wystające życie
O spiczastą nieskończoność
Czy o ostro zakończony temat
Rwała się wtedy biedna
wydając jedwabny krzyk
Teraz robię wszystko tak by ją na nic
nie narażać

A ona ślicznie nad-targana
wystaje coraz bardziej
i coraz dłuższe
snują się z niej nitki

Miłość?

Zaczyna się zawsze pięknie
I zawsze ma trwać wiecznie

Zaczyna się zawsze standardowo
Te same banalne formuły
które jeszcze wydają
się im magiczne

Obietnice przysięgi słowa
których teraz sobie nie szczędzą
a których oboje będą później
żałować

Do tego jednak zbliżają się powoli
nic o tym nie wiedząc
ciągle jeszcze zapatrzeni w siebie
Naiwnie wierzący że im się uda
że z nimi będzie inaczej

Ziarenko

Po gładkim osuwisku filiżanki, w czarną słodką przepaść kawy złośliwie runęło ziarenko soli. Było małe, inne, dziwne i nijak nie mogło dogadać się z rozpuszczonymi, szlachetnymi kamykami cukru. Gdy ciągnięta za ucho filiżanka ponownie zbliżyła się do stromej krawędzi ust, gniazdo smaku znowu znalazło się na samym szczycie mięsistej góry języka.
Wtedy to zrozumiałem, że jedno ziarenko soli nie jest w stanie nic zmienić.

Żebrak

Żebrak to ktoś, kto wytarzał się w nędzy.
Ktoś, kto wymalował twarz biedą,
zrzucił buty godności i bezczelnie pokazuje
swe chude nogi pokryte grubą warstwą lenistwa.
Ubranie jak na prawdziwego żebraka przystało
bujnie obrasta brudem.
Z punktu widzenia ekonomicznego
to najbardziej opłacalny zawód.
Nie wymagający żadnego wykształcenia,
żadnych wyższych umiejętności, prócz umiejętności
wzbudzania litości i żerowania na niej.
Jest to zawód wolny, niezależny,
głównie dla indywidualistów,
nie podlega żadnemu opodatkowaniu,
nie podlega nawet ZUS-owi. (każdy by tak chciał!)
Żebrak to zawód, w którym trzeba pokochać
chłód bruku, zimną tajemnicę ulicy, niewzruszenie ścian.
Oraz rzęsiste deszcze spojrzeń - wzrok posągów.

A więc

Otwieram oczy. Chwila ciszy.
Pustka
I nagle z (nazwijmy to) przerażeniem
uświadamiam sobie że moje oczy
są otwarte
A wiec to tak a więc jednak żyję
Znowu żyję
Znowu muszę żyć
Tyle rzeczy mogło zdarzyć się tej
tej (jak każdej) nocy
Śmierć przez uduszenie
Śmierć przez przepicie
Śmierć tak po prostu
Każdy kataklizm którego nie będę
z imienia wymieniał
każdy przypadek
(którego nie będę ustalał)
mógł stać się przyczyną
Ale nie
Znowu nie
Nie dzisiaj
Jeszcze nie
Nie nie tym razem

łaskawie
przesunięto nieodwracalne
przełożono konieczność
na inną datę
przełożono wyrok

Pozwolono mi na razie
sadzić drzewa budować dom
płodzić dzieci
uczyć
pracować
starać się
Dano mi wspaniałą szansę
męczenia się
na czas nieokreślony

Dla mnie
specjalnie dla mnie
zawieszono śmierć w czynnościach
zawieszono
do odwołania

Akt współczesny

Deux artifex
i powstał pierwszy nagi obraz

Potem
klasyczne dłuto Fidiasza
surowość Myrona
kontrapost Praksytelesa

Dalej ciemny myślnik
wlokący się przez starannie
ubraną epokę

W końcu odrodzona boskość
w dłoniach Bounarrotiego

I wtedy człowiek zaczął ewoluować:

Za Rubensa akty nabrały ciała

W czasach Goyi najwierniejsze
były kolory nieartykułowane
jak przerażenie
i dziki instynkt szkicu

Modigliani zarejestrował smukłą namiętność
z wydłużoną szyją
i zupełnie pustymi oczami

Dalej Picasso i ludzka geometria
sześciany człowieka w konturze proporcji

Jak cię widzą tak cię malują

Ewolucja trwa nadal

A obecnie powstałe akty to już
czarne plamy
bez kształtu

Wspomnienia człowieka szczęśliwego

Nie dożyłem wprawdzie setnych urodzin
Moje życie było jednak szczęśliwe
Gdyż szczęście umiałem znaleźć w rzeczach małych

Potrafiłem się cieszyć dosłownie wszystkim:

przyłączeniem mego kraju
do wielkiego mocarstwa

postępem w fizyce jądrowej

śpiewem słowika na
na szarej gałęzi stycznia

Już jako dziecko pojąłem
maksymę Sokratesa
i nie stawiałem głupich pytań
nie gapiłem się w czaszkę
nie przeciągałem ostrej liny argumentów

Nie organizowałem też żadnych
powstań
buntów
znajomość rachunku prawdopodobieństwa

Opowiadałem się za akceptacją
Opowiadałem się za tolerancją
Opowiadałem się za rozsądkiem
No bo
życie jest po prostu życie
Nie ma się co oszukiwać
Urojeń złotych myśli i snów jeść się nie da
Nie warto być bohaterem tragicznym
Im szybciej to zrozumiecie
tym szybciej będziecie szczęśliwi

Mnie to nawet śmierć nie zdołała zasmucić
O godzinie w której miała przyjść
dowiedziałem się w ostatniej chwili

ale jestem z tego zadowolony
przynajmniej nie unieszczęśliwiłem nikogo
wszystko skończyło się dobrze
Łzy które płynęły też były łzami radości

Recenzja z „Pryncypatu”

Gatunek: komedia intryg
Scenariusz i reżyseria: Oktawian August
W roli głównej: Caius Octavius
Reszta aktorów postanowiła zachować anonimowość

Arcydzieło pod każdym względem
Pełne humoru i ironii przerastające wszystkie
dotychczasowo powstałe utwory
Po Arystofanesie pozostanie tylko pusty śmiech
Geniusz reżyserii objawia się tu na każdym kroku
Najsugestywniejsza pełna rozmachu scena kiedy
Octawius zamyka drzwi świątyni Janusa dopracowana jest
w każdym najdrobniejszym szczególe
Wyrafinowana plastyka podczas złożenia władzy senatowi
z wręcz nierealnie pięknym krajobrazem
Niecodzienna poetyka i płynność towarzysząca przyjęciu
tytułu princeps senatus
I Republika pozostaje republiką
Niepowtarzalny komizm sytuacji
Naprawdę scena ta bawi do łez

Z woli bogów Oktawian genialny aktor
świetnie sprawdził się też jako animator
Jestem pod wrażeniem dynamizmu
pozostałych postaci
Ich ruchy nigdy nie spóźnione nadają
lekkość akcji A co najważniejsze druty i nitki
rewelacyjnie wkomponowane w scenografię
są nie widoczne
Kurtyna zaś nie opada

Taka kompilacja zapowiada wiek w kolorze słońca
(słońca z termoregulacją)

Najlepsze w swoim gatunku
Bez eksodosu
Bez zakończenia
Dzieło od którego wszystko się zacznie

Wojna bogów

Zeus wypowiedział Thorowi wojnę, za to, że ten porysował mu nowiutką chmurkę. Oczywiście w wersji oficjalnej przyczyny dotyczą dogmatów religijnych, honoru, ojczyzny i są przekonywująco sformułowane. Atena od razu wyjechała na urlop. Czym zajmuje się Freya, wiadomo. Apollo z Odynem grają w szachy. Postanowili być neutralni. Reszta bogów z nowiutkim szalikami zasiadła wygodnie na trybunach. Wyją, gwiżdżą i rzucają w siebie musztardą jak przystało na prawdziwych kibiców.
Hermes, jak zwykle robi za chłopca na posyłki: piwo, chipsy, popcorn. Widowisko, trzeba przyznać, przednie: gromy, latający młot, języki ognia.
W dodatku, jak podaje napis na telebimie liczba ofiar ciągle mieści się w granicach błędu krytycznego. Tymczasem ziemia nasiąka krwią. Krew nie jest niebieska.

Poprawiona i uzupełniona notatka o wojnie trojańskiej

W zaginionych, zniszczonych pismach Etrusków znajdował się klucz do „Iliady”.
Etruskowie z wątroby ptaka odczytali, iż epopeja nie mówi wcale o triumfach Greków, ale jest tylko metaforą odnoszącą się do przyszłości. Grecy za to odkrycie z pomocą Rzymian starli z powierzchni świata zbyt dużo wiedzącą cywilizację (nie od dziś wiadomo, że wiedza jest bardzo niebezpieczna). Przyjęty w starożytności model wróżbity-ślepca pokrywałby się niejako z biografią Homera, potwierdzając tezę mówiącą o tym, że ten zajmował się głównie przepowiadaniem przyszłości. Homer pisząc swoje dzieło brał jednak za pewnik przyjęte wtedy wzorce. I stąd wynikają pewne nieścisłości. Dotyczą choćby przyczyn (wojny, jak wiadomo handlowej). Sformułowanie ich, jako chlubne i wzniosłe miało na celu wprowadzenie dramaturgii (bo miłość), podkreślenie patetyczności historii (bo heroizm), a nie odzwierciedlenie rzeczywistości (no cóż, mimesis jest koncepcją nieco późniejszą).
W odległych czasach król, który wypowiadał wojnę sam w niej uczestniczył, stąd opis męstwa i waleczności Agamemnona, które w rzeczywistości okazały się tylko poetycką fantazją. Przywódca greckich państw, po wysłaniu żołnierzy do Troi udał się na urlop (jak widać podejmowanie decyzji jest bardzo męczące). Homer natomiast perfekcyjnie oddał charakter mykeńskiego króla, któremu w żyłach zamiast krwi płynie tłusta duma. Co do bohaterstwa walczących nie można mieć wątpliwości. Dziś pomija się je, ze względu na nieatrakcyjność w oczach odbiorców. Z Ilionu zrobiono miazgę – to nie ulega korekcie. Zapachu i koloru krwi nie zmieni ani czas, ani obyczaje.

Mój potwór

Mój potwór jest inny

w niczym nie przypomina
przerośniętego gada z bajek
ani gumowej lalki
z tandetnych horrorów

nie jest potworem z mitologii
nie jest potworem z powieści Stokera
nie jest też potworem Pana Cogito

Mój potwór jest jak powódź
nieposkromiony żywioł
który każdy kształt
zamienia w płatek mułu

przed nim nie da się uciec
uciążliwy jak cień
wierny jak zaraza
pójdzie ze mną wszędzie

mój potwór
nie gra w dodatku uczciwie
nie wypowiada otwarcie wojen
nie daje ostrzeżeń
atakuje znienacka
każda więc chwila pod ostrzałem
każda chwila pod znakiem zapytania

mój potwór
nie zna też słowa kompromis
nie można go przekupić
nie można z nim współżyć
jakoś się tam dogadać
czy choćby zawrzeć pokój
na niekorzystnych warunkach

wreszcie nie można nawet
oddać się w niewolę
jest konsekwentny w swoim celu
cel ten to moja śmierć

no cóż
jest jaki jest
nikt nie wybiera sobie potwora

zatem staję do walki
choć moje szanse są nikłe

(dobrze będę szczery:
nie mam żadnych szans)

jak Leonidas
(choć Symonides nie napisze epigramatu
na moim grobie)

jak Roland
(choć nie zejdą po mnie opierzone anioły)

(albo bardziej skromnie)
jak kociątko stające do walki z lwem
(choć nade mną nikt nie będzie się tak rozczulał)

Buntuję się więc jestem

Buntuję się ale się nie oszukuję
wiem dobrze
że kiedyś prędzej czy później
po prostu
przegram

Banalne rady

Nie używaj wielkich słów. Nie wymagaj za wiele.
To czasy, w których żyjesz mają wymagać od ciebie.
Nie wypominaj światu okropności, ale naucz się jej wiernie
służyć, by twoje życie okropne być nie musiało.
Daj sobie spokój z sentencjami, hierarchiami,
świętościami, one są tylko po to, aby utrudnić ci życie.
Nie rób z siebie pośmiewiska szyjąc sztandary, rzucając
się po podłodze, wrzeszcząc, że to wszystko nie tak.
Błogosławieni, którzy wiedząc, co jest złe
potrafią z tego skorzystać.
Nie mów, że nie pasujesz do tego świata,
bo to ani oryginalne, ani urocze nie jest
i nie cieszy się już popularnością.
Pamiętaj zawsze o asertywności.
Pielęgnuj w sobie elastyczność,
byś każdą wartość w razie potrzeby mógł wziąć za swoją.
Brak jakichkolwiek wartości będzie twoją najmocniejszą stroną.
W żadnego więc boga wierzyć nie musisz.
Pokłonów jednak bogom nie żałuj.
Przyda ci się łaska ludzi, którzy naiwni,
słabi pokładają w nich nadzieję.
Mów zawsze to, co spotyka się z największym uznaniem,
odwołuj się do najpiękniejszych idei, nawet jeśli uważałbyś
je za najśmieszniejsze. Teoria zawsze ma być chlubna,
z praktyką jednak nie musi mieć nic wspólnego.
Postępuj w zgodzie z trzema starymi zasadami:
wypada, trzeba, należy.
Publicznie pogardzaj tylko tymi,
którzy w opinii większości zasługują na pogardę.
Okazuj szacunek temu, co powszechnie szanowane, nawet
jeśli niegodne jest szacunku.
Uśmiechaj się życzliwie do ludzi,
jakkolwiek bardzo byś ich nienawidził.
Nie znasz bowiem dnia, ani godziny,
w której będziesz mógł ich wykorzystać.
Łam normy, ale tak by widać było,
że jesteś ich najgorliwszym wyznawcą.
Protestuj przeciw aborcji, której w najbliższych dniach dokonasz.
Składaj najszczersze kondolencje rodzinie swojej ofiary.
Przyłącz się do poszukiwań osoby, którą kazałeś porwać.
Bądź zawsze wśród gaszących dom, który sam podpalasz.
Śmiej się z dekalogu.
Kpij z wartości, ale powołuj się na nie zawsze.
Potępiaj wszystkich tych, którzy jawnie je łamią.
Biegnij z krzyżem, wodą święconą, z kamiennymi tablicami.
Znajdź największe, jak to możliwe audytorium
i krzycz najgłośniej jak potrafisz.
Postępuj jak lis, ale rób to tak byś w oczach reszty był lwem.

Niech widzą w tobie obrońcę swych marnych zasad i schematów.
Mitów, których potrzebują.
Ideałów, które nie istnieją.
Reguł, które nie obowiązują.
Utwierdzaj innych w ich błędnych przekonaniach.
Naiwnie szczęśliwi z przeświadczenia
o swej rzekomej racji staną się marionetkami w twych rękach.
Pociągaj więc za sznurki
i nie zaprzeczaj szlachetnie przed sobą,
że te rady są właściwe.
Potęp je jednak publicznie najżarliwiej
jak potrafisz, by nikt nawet nie podejrzewał cię o to,
że je wyznajesz.

Mariola Socha, Łodź

Dziewięć dzwonów

bądź wolny
mam miękki sweter
aby okrywać ramiona
nie dotykasz ich ciepłymi dłońmi
jesteś tylko modlitwą
dlatego będziesz zawsze
ale to tylko słowa
wiem, że jesteś żywy
ciepłe skronie i krew
której ciągle za mało
gdzie jesteś dla mnie?

dotykam myślami twojej twarzy
często
słowa nie są potrzebne
chciałabym cię chronić
przed chmurami
aby wszystkie twoje poranki
były wiatrem, słońcem
deszczem, nowymi porankami
nie zapomnij o mnie

bądź wolny
niełatwo dać ci wszystko
pewnie nigdy nie wrócisz
albo nie zrozumiesz
moja dusza jest o ciebie zazdrosna
zaciśnięte palce
bezradność
człowiek jest małostkowy
czy nie umiem kochać?

dziewięć dzwonów na wieży
w czystym powietrzu
tylko na trwogę je słyszę

chciałabym aby dobry Bóg
dał ci jedną myśl
jedną emocję
odczucie
wtedy dotkniesz swoich ramion
poczujesz że gdzieś jest *KTOŚ*
na słonecznej drodze wzbija się kurz
jest ci gorąco
umierasz z pragnienia
las szumi
już blisko do mnie
zdejmuję sweter

czekam na twoje ciepłe dłonie

wybory
śluby
połówki jednego jabłka
we wszechświecie
e-tam (bez internetowych podtekstów)
Droga Mleczna schodzi do oceanu
masz w oczach łzy
płaczę z tobą
wiecznie niespełnienie
inaczej bylibyśmy aniołami
ciągle starzejemy się
schodzimy do oceanu *Może*

wyciągam ramiona
stoisz nieruchomo
masz nieobecne oczy
jesteś modlitwą - frazesem
miłość
najokrutniejsze uczucie
nie zostawia żadnych śladów
moje dłonie nie są wcale poranione
ale serce
nie widać serca

nie odpychasz mnie
ale też nie dotykasz ciepłymi dłońmi

WIĘC

bądź wolny
w modlitwie same frazesy
kilka słów bezwiednie powtarzanych
zbaw nas od złego
nie wódź na pokuszenie

dziewięć dzwonów z kościelnej wieży
leci w czystym powietrzu
spadną na piaszczystą drogę
na trwogę

niełatwo dać ci wszystko
czy nie umiem kochać?
schylam się po sweter
chłodno, okrywam ramiona

bądź wolny
ale serce
nie widać serca

Miłość doskonała

masz otwarte serce
jedni wychodzą
tracisz wszystko

drudzy przychodzą
ranią cię, nawet nie proszą cię do tańca
czuję, że za tym wszystkim, co się zdarzyło
byłeś już ty

przymierzałam niebieską suknię
dotykając delikatnie talii
zamknęłam oczy
to twoje ręce poczułam
tak
tak bardzo ja?
nieprzeczuwany ty

przysięgam, że chcę cię zapomnieć
ale boję się, że zapomnę życie
ja stworzona na następny rok
nieświadoma i niewierna swojej duszy

przymierzałam suknię jak ciebie
pasowałeś do mnie
ale byłeś zbyt kosztowny
światła zbyt jasne
kolejka zbyt długa
kasa nieczynna
na dodatek zgubiłam portmonetkę

niespodziewany ty
nieprzeczuwana ja
w ogrodzie

mijają mnie tłumy

nie potrącajcie mnie przytomni
przecież dążycie do celu

miejsce między historiami
zajmują łzy
świat nigdy nie powstał
chociaż odleciał jak anioł
te wiersze nie istnieją
moja Miłość pisana z dużej litery
jak jasnoniebieska chusta
wpada do wody i tonie

bo Miłość jest zawsze doskonała

pada deszcz
plaża jest pusta
dopóki tańczę jak wróżka
nie skrzywdzisz mnie

Miłość Doskonała
otacza moje dłonie
nie potrącajcie mnie przytomni
przecież dążycie do celu

Dziewczyna z kontynentu

mój przyjaciel skrzypek jest nieszczęśliwy
kocha dziewczynę z kontynentu
zimno tam i wietrznie
jasne chmury przebiegają niebo
otwarte okna nie dają mu wytchnienia

muszę okrywać go kraciastym kocem
wieczorem bezbronnie przytula twarz do poduszki
złożone dłonie wkłada pod nią
jak do modlitwy

gdy gra - jego kartki z nutami
fruwają nad naszymi głowami

znalazłem telefon, internetową pocztę
napisałem do niej, do dziewczyny z kontynentu
przecież musiałem go kiedyś obudzić

dziewczyna z kontynentu przyjechała
na moją specjalną prośbę
gdy stanęła w drzwiach
zdjąłem jej mokrą od deszczu kurtkę

w pokoju było ciemno
wieczór przyszedł szybciej z chmurami
patrzyła na mnie
ja patrzyłem na nią
była piękna
dziewczyna z kontynentu
jasne włosy, jasne oczy
jasne piegi na nosie
wzruszający zarys ust
chmury przebiegały granatowe niebo
weszliśmy do pokoju
mój nieszczęśliwy przyjaciel skrzypek spał
kraciasty koc leżał na podłodze
nawet poduszka, która chroniła jego dłonie
zniknęła w wieczornej przestrzeni

ja i dziewczyna z kontynentu
staliśmy w ciszy
z mojego najbliższego świata
okno było najjaśniejsze
jego wysokość WINDOW
patrzyło na dziewczynę z niebios
pojawiła się jak pragnienie, jak duch

mój przyjaciel skrzypek nieświadomie spał

odrzuciwszy koc, poduszkę i wszelkie poglądy

dziewczyna z kontynentu podeszła do niego
dotknęła jego śpiącej dłoni
usiadła na łóżku
przyjaciel skrzypek westchnął – może nazbyt teatralnie
przecież spał
dziewczyna z kontynentu
dotknęła jego włosów, jego twarzy
wtedy otworzył oczy
pocałowała go - *mój Boże*
gdzie zdarza się sen???

mój przyjaciel skrzypek
leżał na poduszce odurzony
zamknął oczy aby ją zatrzymać we śnie
wtedy dziewczyna zniknęła

Co zrobiłeś – przecież to nie był sen - pomyślałem zazdrośnie

CZY
będziesz ze mną chociaż przez chwilę
gdy jasnozielone drzewa już zapomną wiosnę?

Samotne serce

For William Butler Yeats

jeździec był już niedaleko
pędził przez puste pola
w stronę jedynej góry
pod jego płaszczem - samotne serce

zboża pochylały się nad ziemią
chłopi pochylali się nad zbożami
niebo kłaniało się słońcu

po co mnie stworzyłeś Panie
abym jeźdźcowi niebieskiemu dawał
na wszystko przyzwolenie?

cierpienie dosięga mnie
ale ty tego nie widzisz
tak, Ty mój Boże
jesteś pewny swego zwycięstwa
człowiek ma być zawsze silny
wierzysz w nieomylność swojej konstrukcji

przyjechałam do poety
tak się nazywasz, mój bracie
stanęłam obok twojej mogiły
jacy my biedni jesteśmy
zapłakałam w duszy
dla świata - przymknęłam tylko oczy

moje kartki w dłoniach zadrżały
piszę, mój bracie
beznadziejne moje zajęcie, wiem
wspomóż moją tęsknotę
bo my wiemy, że oszaleliśmy doszczętnie
nawet Bóg nas nie dogoni
chociaż wysyła za nami jeźdźca
któremu kłaniamy się z chmur
cóż te kartki – powielanie tęsknoty
śmieszne wypełnianie niebieskiej woli

stoimy obok siebie
wolni od wszelkich podejrzeń
od kiedy wiemy
że innym Bóg dał pola, łąki
zachody słońca,
szczęśliwe nuty, szybujące ptaki

A nam Bóg dał tylko spragnionego szaleńca
dyszącego demonstracyjnie nad uchem

Dał nam też przerażonego konia, który stratuje nas
jeśli nie będziemy przed nim uciekać

jeśli to są wiersze - to proszę …
odbierz mi je zaraz i daj spokojny sen
ale ty tego nie zrobisz

jeszcze jedno
to wiemy aż nadto dokładnie
stojąc obok siebie
wolni od wszelkich podejrzeń
czujemy nasze serca
małe od tęsknoty
granatowe od smutku

kto będzie czytał
nasze słowa bez nadziei
nigdy nas nie spotka spełnienie
ty wiesz, że oboje
mamy tutaj swoje porachunki
łąki, trawy, górę,
szaleńca - nieokrzesanego jeźdźca
umiemy oszukiwać
opisać wszystko dokładnie
bo oboje wiemy
jak Bóg nam pomieszał dusze

rozmyślnie dał

Tobie Kobietę
Mnie Mężczyznę

żadne z nich
nie ocali naszych dłoni
może nawet pogrążą nas w niebycie
ach nie chcę myśleć
bo ty byłeś szczęśliwszy
nie wypieraj się
zdobyłeś kobietę *swojej duszy*
twoje marzenie, twoje cierpienie

dlaczego tak blisko nas
wszelkie złudy, przeciwieństwa
prawie zmory
jeździec już jest niedaleko
czuję jego pelerynę na swoim ramieniu

wrzosy w moich włosach
nagłą jesienią
nasze rozmyślania

puste od słów
pełne od łez
wciąż składamy ręce do naszych miłości
modlitwy w oddechach

stoimy obok siebie
wolni od wszelkich podejrzeń
ile jeszcze zdołamy znieść
ile zdołamy zrozumieć

dajesz mi znak, mój bracie
słowa to zaklęcia
potrzeba duszy, czasu, uczuć

twoja kobieta idzie przez łąkę
możesz dotknąć jej płaszcza - odwróci się

mój mężczyzna patrzy wieczorem w niebo
nieświadomy mojego istnienia
moje marzenie, moje cierpienie

jeździec jest już zbyt blisko
pędzi przez puste pola w stronę jedynej góry
pod jego płaszczem bezpieczne - Samotne Serce

Jedynie w tobie mam sprzymierzeńca

razem gubimy
serca stracone
umieramy zgodnie
jak poeci
jedynie w tobie mam sprzymierzeńca

ja i ty

bylibyśmy niezłymi kompanami
w wiecznej tęsknocie
mokry wiatr od oceanu
odkrywa moje łzy
ciągle zimniej w moim sercu
wszystko stało się trudne i nieodgadnione

jeśli tylko chcesz
napiszę dla ciebie każdy wers
chociaż ciągle nie rozumiem
jak duszę moją deformuje
uczucie, które zna tylko *Bóg*

miłość

wędrują ludzie z krzyżem
śpiewają o miłości
wchodzą do kościołów
składają ręce
a ja
jedynie w tobie mam sprzymierzeńca
krople deszczu spadają
róże więdną w nieodpowiednim czasie
oddychasz szybciej
gdy dotykam twojej dłoni
w wiecznej tęsknocie

ty i ja
razem gubimy
serca stracone

Zaklęcie

daj mi opamiętanie
gdy wzbierasz w falach oceanu
nie odmawiaj wietrze
będziesz moim pierwszym sojusznikiem
w nierównej walce o *Serce*
porwiesz moje ramiona
w swoich objęciach … to tylko moje ramiona
przecież nie ma nikogo
obok mnie

chmury dotykają plaży
woda zostaje na moich dłoniach
daj mi wytchnienie nadbiegającymi falami
jesteśmy jednym strumieniem
moich słonych łez - mój drugi - silny przyjacielu
twoje niebieskie lustro
odbija moją twarz
już mogę powtarzać zaklęcie
daj mi ochłodę modry oceanie
zdejmij moją ziemską bransoletkę
wolę ciebie
niż niestałych śmiertelników

pomóż mi Boże
wyjść z tej ziemskiej łąki
moja modlitwa nadziejnie powtórzona
moje zaklęcie w nierównej walce o *Serce*

gdy skończę ostatni wers
zniknie pokusa
mój spokój
początkowo udawany
zamieni się w silne postanowienie
nowej nadziei

mój ostatni sprzymierzeniec
pierzasty anioł
usiądzie po raz pierwszy
w nogach mojego łóżka
da mi siłę gwiazd
przyjdzie bo moje łzy
napełnią go tkliwością
będzie dotykał mojej
mokrej twarzy
mrużąc anielskie oczy
powtarzając żarliwie słowa
łagodzącej mój ból modlitwy
gdy to nie będzie pomagać

obieca mi specjalne zaklęcie

trzech przyjaciół
trzy zaklęcia
nadzieje i jedno głupie Serce
ogniste jak odrzucony diabeł

jak w bajce omotamy cię pajęczynami
staniesz się bezbronny
a ja będę wolna nareszcie
wystarczy jedno słowo
słowo poety
zagubionej duszy
nie chcę oskarżeń
to niemądre
niemodne
nietrwałe
nieprawdziwe

wyjdź za próg, nie tańcz już ze mną
trudno zamknąć drzwi za tobą
jednak stanę za nimi
będę słyszeć twój oddech
dni staną się krótsze
noce będą prawdziwsze

nasze kamienie znalezione na plaży
nasze oczy uważne
nasze dłonie wzniesione
w niemożliwości dotknięcia
zatrzymane w powietrzu, nad wodą, na ziemi
w ognistym porywie
anioł ochłodził nasze czoła
on mnie broni

zaklęcie działa

nie martw się
powie mi pierwszy zmierzch

nie płacz
uspokoi mnie deszczowa ulica

nie szkodzi
szepnę cicho

wystarczy jedno słowo zaklęcia
w nierównej walce o *Serce*

*** * ***

zjawiłeś się w samą porę
nie wiedziałeś przecież… kto wypełnia nasze drogi
raczej trakty pełne bólu
rzadziej szczęścia *boże* ścieżki

nie wierzę w wieczną duszę
nadzieje zaczęte i porzucone
boję się
nie powinnam tego pisać ani mówić

zjawiłeś się w samą porę

mój Boże od ścieżek
nigdy o nic cię nie prosiłam
teraz chcę *go* ochronić
zachować od wszystkich nieszczęść
właśnie *jego* bo dla mnie jest aniołem

w moim zeszycie twoje zdjęcie
mój aniele
granatowe światło oświetla cię
jesteś zmęczony
wiem, że nie oszczędzasz się
nie warto – dawno zrozumiałeś
może nie trzeba cię ochraniać?

zjawiłeś się w samą porę
tysiąc dróg
powodów jeszcze więcej

już martwiłam się
czy to się zdarzy
kto straci dla mnie głowę

zjawiłeś się w samą porę
przyglądałeś mi się chciwie
podniosłeś rękę i kieliszek wina rozlał się
już na siebie spojrzeliśmy
nerwowo wycierałeś stół
ktoś się zaśmiał

wolałam wrócić do domu
wyszedłeś za mną
mój płaszcz okazał się potrzebny
wieczorny deszcz był przenikliwy

zjawiłeś się w samą porę

nigdy nie potrzebowałam cię
ale teraz chętnie położę głowę na twoim ramieniu

światła na skrzyżowaniu
mieszają nam szyki
przebiegam szybciej
jesteś tuż za mną
chwytasz moją dłoń
zaczekaj *mówisz*

muszę już iść
zniknąć jak Kopciuszek
nie czekaj na cud
pantofelki nie pasują
przyjechałaś do mnie?
usiłujesz mnie wzruszyć
chcesz znać powody
bo to wszystko nie wygląda dobrze
pozostaje mi milczenie
może być romantyczne

czy widziałeś kiedyś okręgi
które nigdy się nie przecinają

ponad naszymi ramionami płyną chmury
moje łzy
gdzie jesteś Aniele
wczoraj wierzyłam że zawsze
będę silna i młoda
wytrzymam delikatne powiewy

ponad ramionami
ponad moimi myślami
ponad wiatrem

nigdy nie potrzebowałam cię Boże

ale teraz chcę go ochronić
chętnie położę głowę na jego ramieniu

czy to się zdarzy
mój aniele

pantofelki Kopciuszka nie pasują
chociaż zjawiłeś się w samą porę

Latarnia

- W latarni można dostać pokój, tam zapytajcie – kobieta zamknęła drzwi.

Niemiłosiernie wiało. Do latarni było niedaleko – może kilometr, ale teraz to zimny, wietrzny i deszczowy kilometr.

- Zawsze ktoś we wsi był, zawsze były jakieś pokoje, co się nagle stało? Wyprowadzili się? - mruczał niezadowolony Norman.

- Daj spokój, pytaliśmy chyba wszędzie, a zresztą sam widziałeś te zamknięte domy. Chyba idzie sztorm, znasz dobrze tego latarnika? – Nora usiłowała zawiązać chustkę.

- Tak, samochód będzie bezpieczny, chociaż nie wiem czy gdzieś znajdę mechanika, to chyba coś poważnego, skrzynia biegów może nawet – westchnął.

W gęstej mgle nawet latarnia dawała liche światło.

- Wygląda demonicznie – wzdrygnęła się Nora.

Skręcili do drzwi latarni, weszli na schody.

- Nie ma dzwonka – rozglądał się Norman.

Zapukali do drzwi, długo nikt nie otwierał. Wreszcie za drzwiami ktoś zaszurał butami. Latarnik uchylił drzwi.

- Pan Kublik? – zapytał Norman.

- Tak – szepnął staruszek.

- Przepraszamy, że tak po nocy ... ale często tu u pana bywałem, kiedyś – zaczął Norman.

- Nie szkodzi, panie – latarnik otworzył szerzej drzwi.

- We wsi nie ma gdzie spać, wysłali nas do pana i jeszcze na dodatek zepsuł nam się samochód – tłumaczył Norman.

Latarnik pomagał im zdejmować mokre płaszcze.

- Jak bieda to do latarnika, co? – uśmiechnął się staruszek.

- Tak, tak, panie Kublik – Norman przecierał okulary.

Jasnoniebieskie oczy latarnika zatrzymały się na Norze.

- A panią też znam, była tu pani już, prawda?

- Tak, panie Kublik, jeszcze panią Kublikową pamiętam – dokończyła cicho.

- No tak, no tak – chrząknął niewyraźnie latarnik - Tak się szybko zwinęła, nie wiadomo kiedy, nie chorowała, a tu powiedziała mi tego lata, co to jak pani była, to pani pamięta…. Lało prawie cały czas – ucichł na chwilę - Powiedziała, koniec ze mną, na jesieni pochowasz mnie na cmentarzu, przy kościele.

- Bój się Boga, powiedziałem jej, przecież ten cmentarz to morze zabiera. Głupio tak powiedziałem, bo przecież o śmierci nie chciałem słuchać. Tam mnie, Rudolf, pochowasz, niech i to morze mnie zabierze, przeszkadza ci to, powiedziała do mnie. Zamilkłem, bo i co powiedzieć na takie tam... - przerwał Kublik - Na takie tam... gadanie. Nawet nie mówiłem jej, że tam już nie chowają. Zdrowa była, ale te deszcze jej nie służyły. Na latarni zawsze siedzieliśmy jak była wigilia, kto wiedział, że to będzie ostatnia... Statki zawsze były, w wigilię też trzeba było uważać – Kublik mówił cicho.

- Ale przecież państwo nie muszą po zapaleniu latarni niczego już robić, chyba że tu macie jakąś łączność z innymi latarniami lub z portem... dokończyła cicho Nora.

Kublik popatrzył zdziwiony

- Latarnia to nie tylko mała świeczuszka, proszę pani. - Kublik wstał, otworzył jakieś skrzypiące drzwi - To pokój... dam i lampę jeszcze.

- Wystarczy, panie Kublik – Nora zerknęła na lichą żarówkę, niech tak zostanie, dziś już i tak będziemy spać.

- A to proszę – odsunął się od wejścia do pokoju.

Weszli do środka, Norman położył torbę na łóżku, zrzucił sweter, usiadł, sprężyny jęknęły.

- A herbaty nie napijecie się? Dziś taka plucha, że samemu siedzieć – zajrzał Kublik, nie dokończył, tylko chrząknął.

- Dobrze, oczywiście, chętnie, panie Kublik – Nora pochwyciła niezadowolone spojrzenie Normana. Był zmęczony i chciał już iść spać.

Po chwili już siedzieli w małej kuchence Kublika, rozcierając zmarznięte dłonie. Ale nietaktem byłoby marudzić, że jest chłodno.

- Często bywa pan we wsi? – zapytała Nora.

- Raz w tygodniu, czasami... ale wie pani, ja już nie tęsknię za ludźmi – Kublik zamyślił się.

W czajniku zagotowała się woda, latarnik wstał i zaczął nalewać esencję z czajniczka, a potem dopełnił ją gorącą wodą. Herbata była smaczna, grzała ręce i pięknie parowała w świetle naftowej lampy.

- Jaką piękną ma pan lampę – Nora dotknęła ręką podstawy lampy.

- A to, pani, na syreny, bo one takiego światła, jak tam – pokazał ręką na górę – nie boją się. A takiego ognia, to owszem, tak – Kublik pokiwał głową.

Norman westchnął. Teraz pewnie czeka ich przydługa i smętna morska opowieść, na dodatek o syrenach. A tu trzeba pójść spać.

- Dlaczego pan się boi syren, panie Kublik? Ja wiem, śpiewy, legendy, mity, ale czy to nie takie zwyczajne, od lat znane opowieści...

Norman podniósł kubek z herbatą do ust.

- Każdy człowiek tu wie, że syreny były zawsze. Może wy miastowi nie wierzycie… ale jakbyście wsiedli ze mną na kuter, to wtedy nie myślelibyście, że stary Kublik zwariował żachnął się latarnik.

- Ale ja nie chciałem .... Ja wiem – Norman starał się wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Kublik przygasił lampę, wstał i zapalił światło. Mała żarówka żyrandola zabłysnęła w jednej chwili.

- Teraz czujecie się lepiej? – zapytał trochę ironicznie.

Norman dopijał herbatę. Wymownie pokazał Norze zegarek.

- Panie Kublik, ja myślę, że morzu tajemnica nigdy nie zaszkodzi. Niech będą syreny – Nora zakończyła polubownie. Też spojrzała na zegarek – chyba już pójdziemy.

Wiatr za oknem wzmagał się.

- Pogoda może poprawi się, nie ma co martwić się na zapas – powiedziała Nora.

- Może, może – podchwycił Kublik – tylko listopad to smutny miesiąc dla miastowych.

- A dla pana nie? – zapytała Nora

- Dla mnie, moja pani, każdy miesiąc dobry. Latarnia chodzi, statki są, morze zawsze może być niespokojne, ale znam i takie listopadowe morze – zaśmiał się krótko Kublik.

- To dobrze, że pan się przyzwyczaił – zaczęła Noora.

- Do czego? – Kublik spojrzał zdziwiony na Norę

- Do samotności – zmieszana trochę, odpowiedziała szybko.

Dreptał dokoła stołu, sprzątając nasze kubki.

- Przecież nikt tak nie chce, tak ... bez kogoś.... zaczął nie patrząc na nas.

- Ale w latarni musiał pan polubić taką pracę – pomogła mu Nora

- Pewnie, ale moja Hela chyba bardziej niż ja tę latarnię lubiła – przyznał i spojrzał do góry.

Nora nie mogła uwolnić się od wrażenia, że Kublik patrzy w górę, jak patrzy się w niebo, dziękując Bogu za przychylność.

- Przedtem byliśmy w Świętym Ujściu, tam latarnia samotna, niewysoko, ale na wzgórzu, ważna, w bardzo niebezpiecznym miejscu. Piętnaście lat tam byliśmy, ale zdecydowali, że latarnia będzie bez ludzi – całą automatykę założyli – zamyślił się - Może nie umarłaby tak szybko... - dodał po chwili.

- Co pan mówi, tak miało się stać, jaki mamy na to wpływ ?... panie Kublik.

- A, pani, wszystko musiało, musiało – machnął ręką.

Norman słuchał go wyraźnie śpiący. Za oknem wzmagał się wiatr, coraz głośniej słychać było jego silne podmuchy.

- No dziś płynie Maryland, taki nieduży, ale... znajomego tam mam - Kublik wyjrzał przez szyby małego okna, potem je otworzył. Nawałnica szarpała ramą okienka, tak że Kublikowi trudno ją było utrzymać. - No tak, no tak, niech państwo idą spać, ja muszę jeszcze wejść na górę – mruczał zamykając z wysiłkiem okno.

Na górę? – zdziwił się Norman, przecież w dzisiejszych czasach to latarnie są sterowane nawet z daleka – ziewnął.

- Tak, panie, tak – ale jak taka burza sztormowa, to nie ma rady, a z Marylanda przecież znam marynarzy, szkoda byłoby chłopaków... - Kublik krzątał się koło szuflad kredensu, wyciągał z nich jakieś pudełka i upychał w kieszeniach.

Nora usiłowała wyjrzeć przez okno.

- Deszcz leje, jeszcze nie widziałam takiej burzy, nawet błysku latarni w ogóle nie widać. Wejdę z panem na górę, dobrze ? - zapytała Nora.

- Jak pani chce – Kublik nie był już taki grzeczny, raczej zdenerwowany, otworzył drzwi na korytarz.

W korytarzu było ciemno, zanim zapalił światło coś z rumorem spadło z półki. Gdy licha żarówka zapaliła się Norman otworzył drzwi do pokoju, w którym mieli spać.

- Ja idę spać, możecie iść na tę cholerną latarnię, tylko nie spadnijcie – ziewnął ostentacyjnie.

- Zgaś światło, poradzę sobie – odpowiedziała Nora, kierując się za Kublikiem, który już wszedł do wieży.

Było ciemno. Kublik wchodził na górę powoli, ciężko dysząc, ale nie zatrzymywał się ani na moment. Gdy Nora poczuła zmęczenie i przystanęła, aby odpocząć - podziwiała jego kondycję. Latarnia miała wysokość trzystu stopni - była najwyższa w tej części wybrzeża. Liczba stopni była wypisana na krawędzi schodów, co 30 stopni. W połowie wysokości Nora wyjrzała przez okno. Morza nie było właściwie widać, słychać było tylko ryk fal.

Wydawało się, że podmuchy wiatru przewrócą latarnię. Ruszyła dalej. Wreszcie na górze, ponad sobą, Nora usłyszała otwieranie drzwi i zobaczyła jakieś światło. Kublik zostawił otwarte drzwi. Wspięła się na ostatnie stopnie. Byli w części latarni z oknami na samej górze. Nora przylgnęła nosem do szyby. Wiało niemiłosiernie. Wiatr uderzał litrami wody w oszkloną izdebkę. Na morzu przeświytywały jakieś białości, pewnie słupy ogromnych fal.

- Jest coraz gorzej, to ogromny sztorm – krzyknęła Nora do schylonego po drugiej stronie izdebki Kublika.

- A tak, miał być za trzy dni dopiero, trochę za szybko, ale dzisiaj ten wiatr już taki był sztormowy... odpowiedział latarnik.

- Co pan będzie robił? – zapytała zdziwiona.

- A świece zapalę – odpowiedział niechętnie Kublik.

- Jakie świece, przecież jest elektryczność? – Nora niczego nie rozumiała.

- Nie, pani, takie światło nie pomoże – Kublik na czworakach rozkładał pudełka ze świecami, przypominającymi znicze.

- Dlaczego cztery ?– zapytała dygocząc.

Już nawet nie myślała, aby zapytać po co w ogóle akurat te dziwne świece.

- A bo cztery – na wschód, zachód – nie dokończył Kublik.

- No tak – wpadła mu w słowo - nie pomyślałam, z tego zimna.

- Lepiej - pani - cztery, chociaż jak nie ma to trzeba chociaż jedną na północ wystawić.

Kublik zapalił knoty. Śmierdziało czymś niemiłosiernie, jakimś starym łojem.

- Panie Kublik, pan latarnię spali, co to tak śmierdzi? - Nora zasłoniła nos dłonią.

- Muszą być takie knoty, bo jeśli nie, to nic to nie da... - powiedział latarnik.

- Teraz muszę poczekać, jeśli wszystko jest po mojej myśli, to Maryland jest już blisko.

- Ale nie widać przecież światła latarni. A te pana świeczki to na diabły, czy co? Też ich nie będzie widać...– powiedziała Nora z powątpiewaniem.

- Latarni nawet jak nie zobaczą, pani, to nie szkodzi, chyba że z kursu zboczą, ale kapitan dobry jest, umie dobrze drogę znaczyć, nie zboczy, nie zgubi się. To i moja latarnia mu niepotrzebna. Ale świece tak, bo tu niedobre morze jest.... nie dokończył Kublik.

- Nie wiem, panie Kublik, co panu się majaczy? – podniosła brwi do góry Nora.

- Może – mruknął – osłaniając jeden ze słabszych płomieni - Niech pani idzie, ja już tu sobie dam radę – powiedział jakby się chciał już jej pozbyć.

- Otworzę drzwi, będzie pani widziała schody, będzie jaśniej – powiedział Kublik

Snop światła z górnej izby nie starczył na długo, miała latarkę, ale na dolnym pięterku też paliło się tylko mdłe światło. Wyjrzała przez małe okienko - fale huczały, ale niebo stało się jakby mniej granatowe. Usiłowała przebić wzrokiem gęsty, aż kleisty od deszczu mrok.

Czy rzeczywiście ten Kublikowy Maryland gdzieś tam płynie? Na pewno w dzień, przy dobrej pogodzie, też nie byłby łatwy do znalezienia, a co dopiero teraz – pomyślała. Już miała schodzić dalej, ale jej uwagę przykuła ciemna fala, którą wyraźnie widziała. Fala łączyła się z drugą zdecydowanie jaśniejszą. Nora przetarła oczy, przecież w takim sztormie, to niemożliwe żeby cokolwiek widziała. Na fali coś jakby migotało. Przez plecy Nory przebiegł chłód. Na górze słychać było jakiś łoskot, to Kublik schodził.

- Panie Kublik! - zawołała Nora.

- Tak? – zachrypiał nad nią - Proszę iść, proszę się nie bać, ja zaraz zgaszę i też będę już szedł spać. Dziś po Marylandzie nic już nie płynie koło nas.

Stanął przy niej. Ale Nora była dosłownie przyklejona do szyby.

- Co to takiego? widzę coś dziwnego, panie Kublik, a najdziwniejsze, że widzę to zupełnie wyraźnie – krzyknęła Nora i odwróciła się do Kublika.

Ten natychmiast opuścił głowę, jakby nie chciał na nią patrzeć.

- To nic, jak będzie płomień ze świec, nic się nie stanie – szepnął.

Nora pokręciła głową i powoli zaczęła schodzić na dół.

- Chyba śnię …. Syreny … to dopiero – mruknęła, wchodząc do pokoju.

Po ciemku, w kurtce, położyła się obok Normalna. Obudził się.

- No i co, jak tam romansik z latarnikiem, udał się? – szepnął dość przytomnie.

- Tak, udał się – odpowiedziała.

- Co tam widziałaś? – w jego głosie wyczuła ironię.

- Syreny... Śpij już – odburknęła niegrzecznie.

- Ach, tak? To świetnie - Norman odwrócił się na drugi bok i prawie natychmiast zasnął.

Siedziała jeszcze przez moment oparta o poręcz łóżka. Nagle zaczęła nasłuchiwać z niedowierzaniem. Od strony okna, przez granatową nawałnicę przebijał się jakiś nieregularny dźwięk. Był delikatny jak stylowa muzyka. Nora leżała bez ruchu.

- Gdybym wierzyła w te bajki, pomyślałabym, że to syreny - uśmiechnęła się do siebie i odgarnęła włosy z czoła.

Zdjęła kurtę i wsunęła się pod kołdrę. Za chwilę spała. W szumie wiatru syreny śpiewały.

Wanda Szado-Kudasikowa, Nowy Targ

****

Luty sie ozpłakoł
tak po babsku
rzewliwie.
Wisom dyscowe krople
na smrekowyk gałęziak
jak
łzy na rzęsak
zakiela namysłom
spłynąć potóckami
po licak.
Kany sie podzioł
tyn mroźny miesiąc
kie zgrzypioł sniyg pod nogami
a na oknak
co rano zakwitały na nowo
zacarowane ogrody.
Cosi tajemnego
i niedobrego
zastrzego sie w mroku.
Dejze Boże
coby ucichło światowe płakanie.
Niekby jesce trochę radości
położyło sie
wroz ze słonkowym promieńckiem
na brzegu pościeli
coby sie jom mogło
pogłoskać palicami
i ogrzoć zasmucone serce.

****

Przedwiośnie się rodzi. Ptak jakiś
na szarym rozśpiewał się niebie.
Przemknęła mysi nagłym pytaniem:
czy głos ten doleci do ciebie?

Wszak z wiosną nadzieja kiełkuje
i rośnie w sercu na nowo.
Więc ptasia piosenka pofrunie,
zaniesie ci dobre słowo.

Niech wszystkie śpiewaki skrzydlate
swoje trele w chór złożą
i jak wiosenny bukiet
na serce radością położą.

Śpiewajcie piosenki nadziei
podniebni skrzydlaci posłańcy
Niech kwitnie złotem forsycja,
a wierzba zielony walc tańczy.

Noinakso wiesna

Ta wiesna
noinekso ze syćkik.
W rzecy
te same holnego duchnieńcio
ale inkse
zrucajonce lawiny wspomnień.
Te same krokusy
ale dziś kwitnom
filiotowym zolem.
Beziki
miękućko przybacujom
drogik rąk dotknięcio,
a syćkie
wieśniane ptoski
śpiywajom na wyścigi
coby wyłożyć
ostatni chodnicek
Świętego Wędrowca
nopiykniyjsymi nutami.
Świat wiy
i cuje.
Temu ta wiesna
noinakso.

***

Noc
zawiesiła na smrekowej gałęzi
złotą gwiazdę.
Kołysze się teraz z wiatrem
i zagląda ciekawie w okno
jakby chciała ogrzać i rozweselić
moje
niezbyt pogodne myśli.
Po październikowym niebie sunie pół księżyca.
Zastanawiam się
czy ta sama połówka
oświetla teraz samoloty
czołgi
żołnierzy
którzy dziś
na dalekim Wschodzie
podjęli walkę
ze strasznym terroryzmem.
Wiem tylko na pewno
że w świetle tego samego księżyca
zalśniły bezradne łzy
wszystkich matek świata.
Na smrekowej gałęzi
kołysze się złota gwiazda.
Boję się,
że spadnie.

W Ludźmierzu

Kiedy
w ludźmierskim Ogrodzie Różańcowym
zamykał się
serdeczny krąg świateł
z wieczornego nieba
spadła złota gwiazda.
To
uleciała do nieba
dusza Człowieka
Ojca i Brata
Tytana myśli
Atlety Pana Boga.
Zamarł świat.
Po ludźmierskich dróżkach
przetaczał się refren
maryjnej pieśni:
Ave Maryja.
Do końca
Totus Tuus.
Zgasła gwiazda.
Rozsypały się
paciorki różańca
w ostatniej modlitwie.

***

W szpitalnych łóżkach
stare kobiety
zaplatają włosy w cieniutki warkoczyk
i łzami
omywają oczy
koloru wyblakłego błękitu .
aby wnuki
odnalazły babciną młodość
w ich blasku.
Potem
odczytują laurki
wypełnione po brzegi
miłością.
Stare kobiety
w szpitalnych łóżkach
ślicznie młodnieją
promieniując radością
w kolorze
wiosennego tulipana.

Góralskie anioły

Góralskie anioły
o twarzach
Maryny z Hrubego
i Jadwisi spod Regli
rozdzielają włosy
złotym grzebieniem
i splatają
w bujne warkocze.
Góralskie anioły
sieją krokusy na polanach
i aksamit szarotek
gładzą lekkimi palcami.
Góralskie anioły
tańczą wiecznie
„wiecnom”
na klepisku nieba.
Prowadźcie anioły
strudzonego Wędrowca
co góralskie miał serce
do Wysokiej Białej Izby
na wieczyste
z Bogiem Posiady
Strojne pięknym uśmiechem
góralskie anioły.

Turbaczowe święto

Popłynie jak co roku
turbaczowa nuta
szeroko
i ukołysze Twój sen
powiewem gorczańskiego wiatru.
Po polanach
po lesie
wśród chmur
szukać będziemy
darowanych słów
zbierać je w naręcza
i chować jak skarb
w człowieczym sercu.
Kiedy noc
wycętkowana gwiazdami
nad górami zawiśnie
wrócisz na Rusnakową
by do plecaka
pozbierać z polany
nasze modlitwy
serdeczne słowa wspomnień
okruchy pozostawionych serc
i zanieść je
przed tron Boży.
Namaluj nam znaki
wędrownego szlaku
byśmy mogli iść bezpiecznie
Twoim śladem.

Modlitwa w deszczu

Zasnął świat. Schowały się strachy
w mysie dziury i tam szczerzą zęby.
Wiatr po czarnym niebie pędzi
chmur deszczowych zwały, całe kłęby.

Jeszcze deszczu krople dzwonią w rynnach
jeszcze bez zmoknięty łkaniem płacze,
jeszcze przestraszone, obolałe serce
w piersiach ciężko, z trudem się kołacze,

ale już nadzieja blaskiem świta
i na myśl przywodzi Twoją dobroć Panie!
Pozwól zasnąć bez strachu i bólu
a rano z otuchą powitać świtanie.

Poranną modlitwę ścielę Ci pod nogi
a Ty ją przyjmij i wysłuchaj - Boże.
Wierzę. I wiem, że bez Twego przyzwolenia
nic złego człowiekowi zdarzyć się nie może.

Ojcze Przedwieczny! I wczoraj i dzisiaj,
a także jutro - jam pod Twoją pieczą.
Przyjmij, wysłuchaj i przygarnij sercem
kaleką, biedną modlitwę człowieczą.

Anna Maria Świerczek, Nowy Targ

Pożegnanie

Dziesięć pociągnięć dotyku
Tego pragnę na zakończenie

Twoich dłoni na ciele
W płonącym ogniu pościeli

Bez słów i żalu
Bez kawy i zimnego poranka

Satynowy obraz
Przypomina mi ciebie

Na zimowy wieczór

Ukołysz mnie do słów
Ciepłych jak cappuccino z pianką

Zamknij w dłoniach
I chuchnij na szczęście

Całuj słodko jak kandyzowane owoce
I kochaj...

Natura

Nagość bez słów
jak pocałunek bez ust

jak raj bez westchnienia
w każdej sekundzie ekstazy

nie umierasz naprawdę
a giniesz w zaświatach

miłość obcina palce
wypełnia tobą